

Nicola Doherty

tylko się nie zakochaj

Włoski zawrót głowy



Nicola Doherty

tylko się nie.
zakochaj

Włoski zawrót głowy

Dla moich rodziców i wszystkich Alicji na świecie



Rozdział 1

Leżę na łóżku i obserwuję, jak Luther się rozbiera.

Podziwiałam ten widok już niejednokrotnie, ale i tak za każdym razem mnie fascynuje. Najpierw ściąga śnieżnobiałą koszulkę, która kontrastuje z jego opaloną skórą, targając sobie przy tym swoje już i tak zmierzwiłone ciemnobrązowe włosy. Trudno się domyślić, co wyrażają jego brązowe oczy – spojrzenie jest pełne pasji, poważne, a zarazem wrażliwe. Jego dłoń wędruje w kierunku dzinsów. Powoli zaczyna rozpinać pasek...

Dzwoni telefon. Odpowiadam niechętnie, ze wzrokiem nadal

wlepionym w ekran.

– Cześć, Alice – to Erika. – Wiem, że dzwonię w ostatniej chwili, ale spotykam się ze znajomymi w The Dove. Chcesz wpaść? Czy jesteś gdzieś na mieście? Słyszę czyjś głos.

– Nie, skądże. – Znajduję pilota i naciskam pauzę. –

Chciałabym się spotkać, ale pracuję – natychmiast żałuję swoich słów, bo wiem, co powie.

– Och, daj spokój. Zawsze zabierasz pracę do domu.

Powinnaś być bardziej asertywna i zadbać o równowagę między obowiązkami zawodowymi a resztą życia.

Boże, kocham swoją siostrę, ale nie mogę sobie zawracać nią głowy dziś wieczorem.

– Tak zrobię. Przepraszam, że dzisiaj nie mogę, ale następnym razem na pewno się pojawię.

– Powinnaś. Nie możesz siedzieć nadąsana w domu, chyba zdajesz sobie z tego sprawę – rzuca na poże- gnanie.

I tu się myli. Mam ochotę właśnie na siedzenie w domu i

nąsanie się, no i na bezmyślne oglądanie filmów z Lutherem Carsonem (co uchodzi za pracę), objadanie się pringlesami, picie białego wina i generalnie unikanie myślenia o tym, że po dwóch miesiącach znajomości nie obchodzę Simona na tyle, by ze mną oficjalnie zerwał.

Choć wiem, że nie powinnam tego robić, zachowałam

wszystkie SMS-y od niego. To jak historia naszego

ośmiotygodniowego związku w pigułce. Jest wśród nich ten

pierwszy: „Cześć, Alice, fajnie było cię spotkać wczoraj. Drink w przyszłym tygodniu? Simon x”. Brzmi to jak cenne wspomnienie ze złotej epoki, w której nadal mnie lubił. Wiadomości, które później przez jakiś czas otrzymywałam, były równie miłe: „Dzięki za wspnięcia wieczór. Do zobaczenia wkrótce. S xx”. Ale w ciągu ostatnich paru tygodni te „x” zaczęły zanikać, a SMS-y stawały się coraz rzadsze i bardziej przypadkowe, jak na przykład: „Spóźnię się, wybacz” albo „Nie jestem pewien, dam Ci znać w przyszłym tygodniu”.

– To jak rozwiązanie stosunku pracy poprzez zaniechanie –

oznajmiła Erika, gdy po raz pierwszy opowiedziałam jej, co się dzieje. – Formalnie cię nie zwolnił, ale

zmienił warunki twojego zatrudnienia tak, żeby twoje poprzednie zajęcie – czyli związek – przestało istnieć.

Chyba fajnie jest mieć siostrę, która specjalizuje się w prawie pracy, jednak czasem podchodzi do spraw zbyt profesjonalnie.

Ostatnia wiadomość, jaką dostałam od Simona, brzmiała: „Sorry, nie dam rady w środę. Zadzwoń, żeby się umówić na inny termin”.

Było to ponad tydzień temu. Początkowo próbowałam się

tym nie martwić i powtarzałam sobie, że jest bardzo zajęty w pracy (niedawno dostał awans). Ale gdzieś w głębi serca wiedziałam, że traci zainteresowanie. Wczoraj odłożyłam na bok swoją dumę i wysłałam mu krótkiego, przyjacielskiego SMS-a ostatniej szansy.

Ale to był koniec – sprawdzam telefon – minęło dwadzieścia osiem godzin, a on wciąż nie odpisał. Nadal nie do końca mogę w to uwierzyć. Jak można kogoś rzucić po dwóch miesiącach i zrobić to nawet nie przez telefon, za pomocą SMS-a czy maila, ale ciszą?

•

Mój współlokator Martin chyba już wrócił, bo z pokoju obok dobiegają mnie odgłosy transmisji sportowej. Jego ulubione zajęcie to oglądanie piłki nożnej przy dźwięku podkręconym na cały regulator. Martin nagrywa je i w lecie ogląda w kółko ulubione spotkania. Poza tym przyrządza dziwne potrawy, jak na przykład zapiekanekę z makaronu, salami i awokado, co zajmuje mu wiele godzin i wymaga zajęcia całej kuchni. Tak naprawdę doprowadza mnie do szału, ale bardzo lubię swoją drugą

współlokatorkę, Ciarę. Łatwo się z nią dogadać: zawsze ma w lodówce butelkę wina i nie powiedziała ani słowa, kiedy

obudziłam wszystkich, gdy uruchomiłam alarm przeciwpożarowy, przyrządzając tost o trzeciej nad ranem. Krótko przed tym, jak się wprowadziłam, rozstała się ze swoim chłopakiem i była trochę zdołowana, ale wydaje się, że teraz czuje się o wiele lepiej.

Ktoś musiał strzelić bramkę – słyszę gwizdy i okrzyki. Mój pokój był kiedyś jadalnią i od salonu oddzielają go dwuskrzydłowe drzwi z prostokątnymi szybami. Słysząc wszystko, co się dzieje w pomieszczeniu obok i odwrotnie. Kiedy się wprowadziłam,

kupiłam gruby biały papier i zakryłam wszystkie szyby

przyniesionymi z pracy oklejonymi na biało kartonami. Zajęło mi to cały weekend. Nie wygląda to jak wnętrze z „Elle Decoration”, ale nie jest źle. Simonowi się nie podobało – uznał, że wystrój jest tandetny i rodem z akademika. Może dlatego ze mną zerwał?

Może wydaje mu się, że jestem zbyt „studencka”, żeby być jego dziewczyną? W sumie, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, nigdy nie nazwał mnie swoją dziewczyną, choć ostatnim razem, gdy spotkaliśmy się

z moimi znajomymi, przedstawiłam go jako

swojego chłopaka...

Dobra, wystarczy, przestanę się zadręczać myśleniem o tych wszystkich błędach, które popełniłam w związku z Simonem.

Kładę się z powrotem na łóżku i nalewam sobie kolejny kieliszek wina. Szefowa poprosiła mnie o to w ostatniej chwili, ale cieszę się, że mogę znów obejrzeć *Gorączkę*. Myślę, że ten film może równać się z *Footloose* i *Dirty Dancing*, choć niektórzy twierdzą, że to bezczelna zżynka z obu tych filmów, tyle że nakręcona w latach dziewięćdziesiątych. Wydajemy autobiografię Luthera, a Olivia chce, żebym wybrała kadr z filmu, który znajdzie się w wkładce zdjęciowej do książki. Nie jest to ciężka praca.

Odnotowuję czas, zapisuję obok „L bez koszuli” i dorysowuję gwiazdkę.

Scena w sypialni kończy się zbyt szybko. Następuje scena z rodziną Jimmy’ego i Donny, w której staje się jasne, że go nienawidzą. Ojca gra dyrektor szkoły z filmu *Wolny dzień Ferrisa Buellera*. Teraz Jimmy próbuje przekonać Donnę, żeby rzuciła swojego sztywniackiego narzeczonego z Harvardu i uciekła z nim do Nowego Jorku. Zaczynają się o to kłócić, aż w końcu on

milknie i prosi ją do tańca. Nie odzywają się do siebie ani słowem, ale kiedy piosenka się kończy, ona oznajmia, że pojedzie z nim.

Uwielbiam tę scenę. Może to zabrzmie dziwnie, ale kiedy ją

oglądam, nie czuję tego, że Luther gra – czuję, że on to przeżywa i naprawdę mu zależy. Chce ją przekonać, by mu zaufała i została z nim, ale nie osiąga tego, sprzecząc się z nią, tylko pokazując jej, co dla siebie znaczą. To takie romantyczne. Jaka szkoda, że życie to nie film o tańcu dla nastolatków i prawdziwi mężczyźni tak nie postępują. Zamiast tego zrywają z tobą za pomocą cichych dni.

Być może zrobię sobie w ten weekend filmowy maraton

terapeutyczny. Zgromadziłam mniej więcej trzydzieści płyt DVD, większość z nich to romantyczne czarno-białe filmy albo filmy o tańcu lub dla nastolatków. Mam wszystkie klasyki: *Klub winowajców*, *Footloose*, *Dirty Dancing* (to chyba jasne), *Dziewczyny chcą się bawić*, a także kilka przypadkowych tytułów: *Wygrane marzenia*, *Śmiertelne zauroczenie*, *Na fali* (Patrick Swayze i Keanu Reeves w obcisłych piąnkach), *Ostatni legionista* (film nie w moim typie, ale Luther jest w nim świetny) i mój ulubiony – *Pracująca dziewczyna*. Mam też *Wszystko o Ewie*, *Mieć i nie mieć* (kocham, kocham Lauren Bacall), *Urzeczoną* i *Spotkanie* (choć w moim obecnym stanie ten ostatni może doprowadzić mnie do załamania nerwowego). Poza tym mogę się pochwalić zestawem filmów z Audrey Hepburn, który dostałam od Eriki – mój ulubiony to *Rzymskie wakacje*. Wszyscy moi znajomi naśmiewają się z tego, że tak bardzo lubię te filmy. Ale kto może mnie obwiniać, kiedy prawdziwe życie i związki wyglądają tak, a nie inaczej?

Znów słyszę dzwonek telefonu. Wciskam pauzę i szukam

aparatu pod kołdrą, na stoliku przy łóżku, aż w końcu odnajduję go pod łóżkiem. Nadal mam odrobinę nadziei, że tym razem to

Simon, który będzie chciał się usprawiedliwić – śmiercią w rodzinie, wątpliwościami dotyczącymi naszego związku, nawet martwy zwierzak byłby do zaakceptowania – ale oczywiście to nie on. Nieodebrane połączenie: Olivia. O Boże, czemu moja szefowa dzwoni do mnie o dziewiątej wieczorem w środę?

Nie chodzi tak naprawdę o to, że boję się Olivii. Ale ona

potrafi być nieprzewidywalna. Przez większość czasu jest świetna, jednak czasem wpada w szal z zupełnie nieoczekiwanego powodu.

Od razu do niej oddzwaniam, ale nie odpowiada, więc nagrywam się na pocztę. Mam nadzieję, że nie doszło do jakiejś katastrofy w pracy i że znów czegoś źle nie zrobiłam.

Na moim monitorze uchwyciłam kadr, w którym Jimmy

obejmuje Donnę i patrzy na nią, jakby nigdy nie chciał pozwolić jej odejść. Donnę gra Jennifer Kramer, która była wówczas wielką gwiazdą, ale później nikt o niej już nie słyszał. Myślę sobie: „Och, Luther, gdybym to ja mogła teraz być z tobą na tym parkiecie, tak daleko od mojego prawdziwego życia”. Ale tak się raczej nie stanie, więc kończę oglądać film, robię notatki dla Olivii i idę spać.



Rozdział 2

Gdy następnego dnia jadę metrem do pracy, nie mogę

przestać analizować całą tę sprawę z Simonem, próbując

zrozumieć, w którym momencie to wszystko się zepsuło. Na

początku wydawał się taki entuzjastyczny, gdy w ten wieczór, kiedy się poznaliśmy, poprosił o mój numer i napisał do mnie następnego dnia. Nie mogłam uwierzyć, gdy nie przestawał

dzwonić – w głębi serca sądziłam, że jest dla mnie za dobry. Ma dość napięty plan dnia: jest szefem marketingu w dużej firmie produkującej napoje, która sponsoruje wiele imprez, a w wolnym czasie zajmuje się dziennikarstwem. Poza tym był – jest – boski: bardzo wysoki (nareszcie umawiałam się z kimś wyższym od

siebie), z ciemnymi kręconymi włosami i ciemnoniebieskimi

oczami. Jest inteligentny, dobrze się czuję w jego towarzystwie i przez większość czasu mieliśmy wiele tematów do rozmowy –

czyta masę interesujących książek, rozmawialiśmy o jego pracy dziennikarskiej i wszystkich tych prestiżowych imprezach, które organizował. Co więc się zmieniło? Co takiego zrobiłam?

To prawda, że ostatnio byłam nieco roztargniona, a nasza

ostatnia randka okazała się katastrofą. Poszliśmy na wystawę, na którą on musiał iść ze względu na pracę, a tam było mnóstwo jego znajomych. Zamiast tkwić u jego boku, próbowałam zagadywać do innych ludzi tak dużo, jak to było możliwe, ale nie znałam wystarczającej liczby osób i jakoś zawsze wracałam do niego.

Potem całymi godzinami chodziliśmy po Chelsea, próbując

znaleźć jakieś miejsce, w którym można coś zjeść, ale wszystko było albo zamknięte, albo zbyt drogie, więc trafiliśmy do Pizza Express, co nie było dobrym pomysłem, ponieważ Simon nie znosi sieciowych restauracji. W ogóle nie powinnam była proponować pójścia na kolację. Był przeziębiony i jakiś nieswój, a ja za dużo mówiłam o problemach w pracy. Nie chciał wrócić ze mną do

domu, bo następnego dnia miał wcześniej rano spotkanie. Tak naprawdę... po poprzedniej randce też nie wrócił ze mną. A

jeszcze wcześniej wrócił, ale...

Oj, nie zamierzam już o tym więcej myśleć, to zbyt

przygnębiające. Sięgam po egzemplarz „Metra”, który jest

wciśnięty za pasażerem siedzącym obok mnie, uśmiecham się do tego mężczyzny i od razu przerzucam strony, szukając działu

„Grzeszne przyjemności”. Jest tam zdjęcie Luthera, zrobione przez paparazzich, gdy jechał na lotnisko w Rzymie, gdzie kręci remake *Rzymskich wakacji*. Przypadkiem wiem, że leci na Sycylię, gdzie będzie kończyć swoją książkę. Teraz jest starszy niż w *Gorączce*, ma trzydzieści trzy lata i sędzę, że wygląda lepiej z tym

tajemniczym spojrzeniem i potarganymi brązowymi włosami.

Ubrany w szare dzinsy i czarne kowbojki, w których każdy inny facet wyglądałby śmiesznie, ma w sobie sporo niewymuszonej elegancji. Pewnie nasz dział PR będzie miał dostęp do tego materiału, ale na wszelki wypadek chowam gazetę do torby.

Tak naprawdę w sprawie z Simonem dręczy mnie fakt, że

takie rzeczy ciągle mi się zdarzają. Spotykam się z kimś, na początku ten ktoś jest bardzo entuzjastyczny, a po mniej więcej dwóch miesiącach mnie rzuca. Chciałabym wiedzieć, co robię nie tak, ale jedyną osobą, która może mi to powiedzieć, jest Simon, a nie zamierzam go o to pytać. Wyobrażam sobie, że po zakończeniu jakiegoś związku mam wypełnić ankietę. Oceniałabym Simona dość wysoko we wszystkich aspektach poza tym, w jaki sposób się ze mną rozstał. Nawet jeśli mnie olał z jakiegoś skomplikowanego powodu, który nie miał nic wspólnego ze mną, i nawet jeżeli byliśmy razem tylko dwa miesiące,

zasłużyłam na coś więcej niż ciche dni. Zaczynam myśleć, że powinnam wysłać mu wiadomość, w której napiszę, że nie ma sensu, żeby się ze mną kontaktował – z nami koniec. Ale być może jest na to już trochę zbyt późno.

Kiedy przychodzę do biura, jest wcześniej i poza Poppy

nikogo jeszcze nie ma. Poppy siedzi przy biurku, w ręce trzyma lusterko, ma na wpół otwarte usta i wkłada sobie coś do oka.

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, założyłabym, że to szkła kontaktowe albo coś w tym stylu, ale wiem, że Poppy przykleja sobie sztuczne rzęsy. Musi mieć dziś w planach coś wyjątkowego, bo normalnie nie nosi ich w biurze.

– Dzień dobry, kochanie – wita mnie półgębkiem i macha

zakrzywionym palcem.

Zanim ją poznałam, nie wierzyłam, że tacy ludzie istnieją, nie mówiąc już o tym, że zatrudnia się ich w biurach. Jej ubrania są albo vintage, albo szyte na miarę, albo jedno i drugie – to niemal kostiumy. Dziś ubrała się w białą szydełkową

minisukienkę, która dobrze komponuje się z jej brązowym afro i długimi nogami, i jest to jak na nią dość skromna stylizacja. Pod biurkiem ma coś, co można nazwać skrzynią z kostiumami, i

upiera się, żeby w piątek kończyć pracę o czwartej i posiedzieć przy herbacie i ciasteczkach. Na początku nie wiedziałam, co o niej myśleć – tak naprawdę trochę mnie zawstydzała, bo ma taką przytłaczającą osobowość. Ale mimo tej szalonej otoczki jest bardzo szczerą, a to sprawiło, że łączy nas prawdziwa przyjaźń. W

przeciwieństwie do Claudine, której nie znoszę.

– Ładnie wyglądasz – mówię, odwieszając żakiet. – Nowa

sukienka?

– Dzięki – odpowiada zadowolona. – To ze sklepu z używaną

odzieżą w St. John's Wood. Mnóstwo wyrzutków z szaf uroczych bogatych dam. Powinnyśmy się tam kiedyś udać.

Poppy zawsze znajduje cudowne ubrania w lumpeksach, co

jest bardzo przydatną umiejętnością przy naszych pensjach.

Odkłada lusterko i odwraca się w moją stronę.

– Jak się miewasz? Jakież wieści od pana Dempseya?

– Żadnych. To chyba oznacza, że między nami koniec. –

Cieszę się, że jesteśmy same i mogę jej to powiedzieć na

osobności. Upokorzenie jest równie złe albo nawet gorsze niż tęsknota za Simonem.

– Bzdury – kwituje Poppy ze współczuciem. – Nie mogę

uwierzyć w to, że nawet do ciebie nie zadzwonił. Co za drań. Jaka szkoda. Tak mi przykro. – Miło mi, że to mówi, bo wydawało mi się, iż z jakiegoś powodu nigdy nie polubiła Simona.

– Czy jest jakaś szansa, że coś mu się stało? – pyta. – Został

przygnieciony czymś ciężkim? Ma amnezję?

– Chciałabym. O tym samym na początku myślałam, ale to

nigdy nie jest powodem, prawda?

– Nie, mężczyźni nigdy nie umierają, tylko przestają

dzwonić.

Poppy zawsze potrafi mnie rozśmieszyć, nawet gdy nie mam

na to ochoty. Kiedy czekam, aż mój komputer zacznie działać, zdejmuję baletki i wkładam buty na nieco wyższym obcasie, które noszę w pracy. Poppy prawie umarła ze śmiechu, gdy po raz

pierwszy mnie na tym przyłapała. W przeciwieństwie do jej biurka moje jest mało ciekawe, zawałone ogromnymi stertami wydruków książek i papierów. Jedyne element dekoracyjny to zawieszony ogromny plakat Luthera, który dostałam w prezencie od niej i pozostałych dziewczyn, gdy kupiliśmy prawa do jego książki. W

założeniu był to żart, ale cieszy mnie, że tam wisi i stanowi źródło inspiracji.

– Jesteś dziś wolna w czasie lunchu? – pytam. Nagle

nabieram ochoty na ucztę pełną tłuszczu i węglowodanów.

– Chciałabym, ale mam spotkanie z agentem – odpowiada. –

Ale mogę jutro.

Miesiąc temu Poppy awansowano na stanowisko redaktora,

więc ma teraz więcej spotkań w czasie lunchu. Muszę przyznać, że początkowo byłam o to zazdrosna. Zaczęłyśmy pracować mniej więcej w tym samym czasie – pojawiła się u nas miesiąc po mnie.

Ale zasłużyła na to: jest niesamowicie bystra, naprawdę ciężko pracuje i ma talent do wyszukiwania okazji. Znalazła wspaniałą debiutancką powieść, która wszystkim się spodobała. W każdym razie mam nadzieję, że jeśli nie będę się wychylać i popracuję ciężko, awansuję w przyszłym roku. Pracuję tu już

wystarczająco długo – cztery lata to moment, kiedy trzeba zdecydować: wóz albo przewóz. Chcę zostać redaktorem przed dwudziestymi siódmymi urodzinami, więc mam jeszcze tylko sześć miesięcy.

Moje maile już się ściągnęły. Gdy widzę, jak bezwzględnie

pojawiają się kolejne, czuję gdzieś w środku coraz większe napięcie. Olivia ma w zwyczaju wysyłać maile do mojej

wiadomości, a ich adresaci robią to samo, więc moja skrzynka odbiorcza pęka w szwach. Pracuję na stanowisku asystentki

redaktora, co oznacza, że redaguję wiele książek, nad którymi pracuje Olivia, ale jestem też jej asystentką, muszę więc godzić wiele obowiązków. Mam tylko nadzieję, że dzięki temu zdobywam cenne doświadczenie.

– Kawy? – pyta Poppy, machając swoim kubkiem.

– Tak, poproszę – zaczynam się zastanawiać, gdzie się

podziewa Olivia. Zazwyczaj o tej porze jest już w biurze. I w jakiej sprawie dzwoniła do mnie wczoraj? W ciągu tych kilku lat

spowodowałam parę katastrof, ale ostatnio szło mi całkiem nieźle.

Żaden z jej maili nie wydawał się zbyt poważny – jeden z agentów narzekał na okładkę, a pewien autor nie był zadowolony z miejsca na liście sprzedaży Amazona, ale nic nie zapowiadało nieszczęścia.

To musiało mieć coś wspólnego z książką Luthera. To

sytuacja, która wymaga wprowadzenia pomarańczowego kodu:

robi się naprawdę późno i wszyscy wpadają z tego powodu w

panikę. Dostaliśmy niedawno pierwszą wersję tekstu i jest

okropna. Pomija wszystkie interesujące kwestie, takie jak relacje Luthera z ojcem, narkotyki, odwyk, szalone małżeństwo i rozwód, rok, w którym zniknął... Sądzę, że Olivia była trochę zaskoczona tym, ile wiedziałam o Lutherze Carsonie. Nie chodzi o to, że się w nim podkochuję, chociaż oczywiście jest to prawda (ale kto tego nie robi?). Poza tym sądzą, że to bardzo ciekawa postać. Tak naprawdę to ja zasugerowałam, że byłby dobrym kandydatem do napisania autobiografii.

Postanawiam jeszcze raz zadzwonić do Olivii. Nadal nie

odbiera, co jest dziwne. Jak tylko się rozłączyłam, dzwoni telefon.

Zastanawiam się, czy to ona, ale na ekranie wyświetla się

nazwisko Daphne Totnall – osobistej asystentki naszego dyrektora zarządzającego.

– Czego ona chce? – myślę głośno.

– Kto? – rzuca Poppy, wracając z kuchni.

– Cześć – mówi Daphne. – Czy mogłabyś przyjść i zobaczyć się z Alasdaiem?

– Oczywiście – rozłączam się. Co tu się dziś dzieje, do cholery?

Poppy podaje mi kawę.

– O co chodzi? – pyta zaciekawiona.

– Dyrektor chce się ze mną spotkać – odpowiadam, kierując

się w stronę windy. Do tego momentu w biurze pojawiło się już więcej osób, w tym okropna Claudine, która dziś w czarnych obcisłych spodniach i naszyjniku z pereł pozuje na Audrey

Hepburn. Wszyscy słyszą, jak Poppy woła do mnie:

– Powodzenia! Nie skacz!

•

Jadąc windą do biura Alasdaira, wycieram o spódnicę lepkie od potu dłonie i przyglądam się sobie w lustrze. Co mnie napadło, żeby włożyć czarną spódnicę do białej koszuli? Wyglądam jak kelnerka. Poza tym prezentuję się jak zawsze: długie jasne włosy, zbyt różowe policzki, niepewna mina. Daphne nawet nie podnosi głowy znad swoich tablek, gdy każe mi od razu wejść do środka.

Nigdy tu wcześniej nie byłam. Gabinet jest ogromny, z okien sięgających od podłogi do sufitu rozciąga się widok na Tamizę.

Przy oknie, w koszyku, śpi spaniel Alasdaira. A on sam wstaje zza biurka.

– Alice, bardzo ci dziękuję, że przyszałaś – zaczyna miło,

podaje mi dłoń i pokazuje, żebym usiadła, jakbym była jakimś jego wysoko postawionym znajomym. Jest mniej więcej w wieku

mojego taty, ma lekko siwiejące włosy, błyszczące ciemne oczy i mocną opaleniznę, którą nabył podczas częstych wakacji

spędzanych na jachcie lub na polowaniu. – Obawiam się, że mam złe wieści.

Jakie złe wieści? Zostanę zwolniona? Jeśli tak, to z

pewnością powinien tu być ktoś z kadr. I nie powinnam najpierw dostać kilku ostrzeżeń? Będę musiała

zadzwoń do Eriki...

– Olivia musi przejść niespodziewaną operację – ciągnie

Alasdair – z powodu podwójnej przepukliny. Jest w szpitalu i zostanie zoperowana jutro tak wcześnie, jak to będzie możliwe.

Nie będzie w stanie pracować przynajmniej przez dwa tygodnie, być może dłużej.

– O mój Boże – zakrywam ręką usta. – To okropne. Biedna

Olivia. To brzmi przerażająco. Choć muszę przyznać, że czuję ulgę, że nie wylecę z pracy. Jak to się stało? Wczoraj wszystko było z nią w porządku.

– Rozmawialiśmy przed chwilą przez telefon o jej projektach

– ciągnie Alasdair.

– Oczywiście. – Znam na pamięć plan dnia Olivii, więc mogę pomóc. Oznacza to mnóstwo dodatkowej pracy. Wyobrażam sobie, że będę dalej pracować nad książkami, które już zostały mi przydzielone, i przejmę większość pozostałych – być może

będziemy w stanie zlecić kilka na zewnątrz...

Nagle uświadamiam sobie, że Alasdair mówi, a ja go nie słucham.

– ... Luther Carson. Jak mniemam, rękopis nie jest gotowy?

– Oj! No cóż... – Zdaję sobie sprawę, że założyłam ręce na piersi, skrzyżowałam nogi i owinęłam je wokół krzesła jak precel.

Powoli, żeby nie było to zbyt oczywiste, wracam do pozycji wyrażającej większą pewność siebie. – Nie, nie jest. Nie jest wystarczająco osobisty. Pomija wszystkie najbardziej interesujące fragmenty. Brian jest świetny, więc uważam, że zrobił, co w jego mocy – dodaję szybko. Brian to pisarz, który pomaga Lutherowi. –

Wygląda to jednak tak, jakby jeszcze nie udało mu się wyciągnąć od Luthera najistotniejszych informacji.

– No cóż, trzeba to naprawić – stwierdza Alasdair. – Nie

oczekuję fajerwerków, ale tekst musi się nadawać do czytania.

Konieczne jest napięcie, a także trochę nieszczęścia – nie za dużo, ale chcemy poznać także upadki, a nie tylko wzloty. On zdaje sobie z tego sprawę. Ma to zapisane w umowie. Dodaliśmy w niej zapis zastrzegający, że w książce będą zawarte fragmenty

opisujące jego dzieciństwo, narkotyki, rozwód i roczne zaginięcie.

Kiwam głową. Fakt, że wspomina o tym zapisie, budzi we

mnie dziwne, niepokojące uczucie, ale nie umiem określić, o co dokładnie chodzi.

– Czyli, jak wiesz, potrzebujemy ukończonego tekstu mniej

więcej za...? – spogląda na mnie z wyczekiwaniem. Nie mogę się pomylić.

– Cztery tygodnie.

– Najpóźniej za cztery tygodnie, żebyśmy zdążyli z premierą na początku września. Musimy zarobić przed świętami na tej książce milion funtów, inaczej nie zrealizujemy budżetu.

Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę, ale kiedy mówi o

tym Alasdair, wydaje się to bardziej przerażające.

– Jak wiesz, zapewniliśmy Lutherowi miejsce pobytu na

Sycylii, bardzo przyjemne miejsce, niedaleko Taorminy, na nasz koszt, żeby mógł pracować nad książką. Autor, który mu pomaga, jest razem z nim. Zanim Olivia się rozchorowała, planowaliśmy, że dołączy do nich, żeby mu pomóc, trochę go przycisnąć, na bieżąco redagować książkę. Sądzę, że powinnaś tam pojechać.

Co? Ja mam polecieć na Sycylię? Czy on postradał zmysły?

– No, oczywiście, jeśli uważa pan, że to najlepsze wyjście –

słyszę swoje słowa. – I mam pracować z Brianem?

– Nie, z Lutherem. Trzeba z nim przysiąść, poćwiczyć

wywieranie wpływu i generalnie nie odpuścić, dopóki nie skończy tej książki.

Mam problem z wizją, jaką przede mną roztacza – z wielu

powodów. Czy mówi serio? Jak, do diabła, mam nakłonić Luthera Carsona do działania? Nie mam na niego żadnego wpływu.

– Alice, zastanowiliśmy się nad tym i uważam, że to

najlepsze wyjście. Normalnie wolelibyśmy zlecić to komuś z większym doświadczeniem, ale znasz ten projekt najlepiej. Olivia mówi, że wiesz wszystko, co można wiedzieć o Lutherze. I

słyszałem wiele dobrego o twojej pracy jako redaktora. Olivii bardzo się podobało to, co zrobiłaś z tymi wspomnieniami z przytułku dla zwierząt.

Wspomnienia z przytuliska dla zwierząt: co za koszmar. Trzy konie, dwadzieścia kotów, dwanaście psów,

zbiorowisko ptaków i gadów i jedna autorka, która kochała zwierzęta równie mocno, jak nienawidziła ludzi. Jednak stuknięta miłośniczka zwierząt to nie to samo, co wielka gwiazda filmowa. Próbuję to wyrazić w bardziej taktowny sposób, ale Alasdair nie przestaje mówić.

– Proponuję, żebyś w ciągu następnego dnia albo dwóch

załatwiła wszystkie sprawy tutaj i tak szybko, jak to możliwe, zarezerwowała bilet na Sycylię bez określonej daty powrotu.

Daphne pomoże ci przy ustaleniu szczegółów, organizowaniu

przelotu i tak dalej. Porozmawiaj z Ellen i zespołem na dole o rozdzieleniu twoich pozostałych obowiązków, a ten potraktuj priorytetowo.

To się dzieje zbyt szybko. Jakąś godzinę temu byłam

asystentką Olivii, a teraz ona leży w szpitalu, a ja mam pracować z Lutherem Carsonem. I zajmować się książką o wiele ważniejszą niż wszystkie, z którymi do tej pory miałam do czynienia. I autorem, który choć jest boski, jest też pewnie cholernie trudny we współpracy. Nie dam rady. Mam za krótki staż i zdecydowanie za małe doświadczenie. Muszę mu powiedzieć, że potrzebuję więcej czasu, żeby to przemyśleć albo coś w tym stylu.

Alasdair patrzy na mnie i pyta:

– Czy jest coś jeszcze?

Otwieram usta, żeby potwierdzić, ale coś mnie

powstrzymuje.

Zdaję sobie właśnie sprawę z czegoś absolutnie oczywistego.

Może się to wydawać przerażające, ale to dla mnie wielka szansa, coś jak klucze do królestwa. Co ja wyprawiam, zastanawiając się w ten sposób i ociągając? Powinnam być szczęśliwa, że mi to zaproponowano. Muszę przestać zachowywać się jak tchórz i

podjąć wyzwanie. Od razu.

– Nie – zaprzeczam najpewniej, jak potrafię. – Wszystko

jasne. Zajmę się tym.

Alasdair uśmiecha się, wstaje i podaje mi dłoń.

– Świetnie. Bądźmy w kontakcie. Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

Gdy jestem w połowie drogi do wyjścia, woła mnie raz

jeszcze.

– Alice, twoje stanowisko w tej chwili to asystentka

redaktora, tak?

– Zgadza się – odwracam się w jego stronę. Czy rozważy to

raz jeszcze, bo zajmuję zbyt niskie stanowisko? „Nie zmieniaj zdania” – myślę gorączkowo. Chcę pojechać! Jestem w stanie to zrobić!

– W takim razie, gdy wrócisz z książką w walizce, będziemy musieli porozmawiać o tym, by to zmienić – mówi. – Redaktor albo może nawet starszy redaktor.

Powstrzymuję się, by nie zapiszczyć z radości.

– To brzmi świetnie – odpowiadam powściągliwie. –

Dziękuję.

Wychodzę z gabinetu kompletnie zamroczona. Zapominam

pożegnać się z Daphne i po drodze do windy zderzam się z wielką rośliną w doniczce. Mam zaróżowione policzki, równocześnie czuję mdłości i podekscytowanie. Moja wielka szansa. Powtarzam to sobie w myślach, ale jednocześnie pojawia się jeszcze jedna, jeszcze bardziej niesamowita myśl: poznam Luthera Carsona.



Rozdział 3

– Czy naprawdę powiedział, żebyś nie odpuściła, dopóki nie dokończy książki? – pyta Ruth, niemal płacząc ze śmiechu.

– Tak – potwierdzam z zadowoleniem. Siedzimy przy małym stoliku przed The Cow przy Westbourne Park Road, niedaleko od domu Ruth. Nie jest to dla mnie szczególnie

dogodne. Uwielbiam Ruth, ale jest ona jedną z tych osób, do których musisz się pofatygować, bo w drugą

stronę to raczej nie zadziała. Wokół nas tłoczą się ludzie, ale moja przyjaciółka zapobiegliwie była na miejscu wcześniej i zajęła nam stolik na zewnątrz. To miało być wyjście na drinka, żeby współczuć mi z powodu Simona, ale zmieniło się w świętowanie. Jest cudowny lipcowy wieczór, lato wreszcie nadeszło. Życie jest dobre.

Właściwie życie jest wspaniałe.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi Ruth, co chyba nie musi

być komplementem. – Nie, żebyś na to nie zasługiwała – dodaje szybko. – Po prostu to takie surrealistyczne. Moja najlepsza przyjaciółka ze szkoły jedzie na wakacje z Lutherem Carsonem.

Co będzie później? Mike zacznie grywać w koszykówkę z

Leonardem DiCaprio?

Mike to obecny chłopak Ruth, bankier z Irlandii, którego

poznała w pracy. Przed nim był Jonny, a przed Jonnym... James czy Chris? Nie pamiętam. Ruth jest jedną z tych kobiet, które bez wysiłku wymieniają jednego mężczyznę na innego. Nigdy nie ma między nimi przerwy dłuższej niż kilka tygodni, a czasem nawet nakładają się na siebie. Nie wiem, jak ona to robi. Oczywiście jest bardzo ładna, ma duże brązowe oczy i taki trochę chłopięcy urok, no i zajmuje się PR instytucji finansowych, które wydają się lepszym źródłem mężczyzn niż wydawnictwa. Tak dla kontrastu przed Simonem byłam sama przez mniej więcej dziewięć miesięcy

– kompletna pustynia poza kilkoma dziwnymi randkami. Ale kto by się przejmował Simonem, gdy mam Luthera Carsona?

– Nie jadę z nim na wakacje – przypominam jej. – Będę z

nim pracować i jestem tym przerażona. Nigdy wcześniej nie

zajmowałam się tak ważnym autorem. Przestań się śmiać!

W końcu Ruth się uspokaja.

– Będzie dobrze – zapewnia, przecierając oczy. – Pojedziesz tam, wydobędziesz z niego wszystkie mroczne sekrety, on

wypłacze się na twoim ramieniu i zakocha w tobie do szaleństwa.

– Tak sądzisz? – śmieję się, bo to niedorzeczne, ale szczerze mówiąc, całkiem podoba mi się ten pomysł – jako czysta fantazja, oczywiście.

– No pewnie. Uzna twój angielski bezpośredni urok za miłą

odmianę po całym tym hollywoodzkim blichtrze. Powie: „Alice, mam dość tych wybotksowanych laleczek. Wszystkie chcą tylko zostać sfotografowane u mojego boku. Potrzebuję cię”.

– Ha! – chciałabym mieć tyle pewności siebie co Ruth. – To ładny obrazek. Ale nierealny.

– Dlaczego nie?

Sprawdzam, czy pyta poważnie.

– Ponieważ jest gwiazdą filmową wielkiego formatu. Pracuje codziennie z najpiękniejszymi kobietami na świecie. Był mężem Dominique Rice. Nie znajduję się nawet w kręgu jego

zainteresowań.

– Tego nigdy nie możesz być pewna – odpowiada Ruth.

– Tego mogę. A nawet gdyby był mną w jakiś sposób

zainteresowany, co się nie stanie, nie ma szans na to, byśmy mieli... romans.

– Dlaczego nie?

– Bo ta książka jest zbyt ważna. Jeśli nie popracuję nad nią, jak trzeba, skończy się to katastrofą dla firmy. To duża część naszego budżetu.

– Dlaczego więc nie wdasz się z nim w przelotny romans i

nie odwalisz dobrej roboty przy książce? – pyta Ruth. – Proste.

– Nie sądzę – zaczynam wyliczać na palcach powody. – Po

pierwsze, muszę być w stanie powiedzieć mu, co ma zrobić, a nie uda mi się to, jeśli będę... no wiesz. Po drugie, byłoby to

całkowicie nieprofesjonalne. Po trzecie, wyleciałabym z pracy, a moja kariera ległaby w gruzach.

– Ale kariera nie będzie ci potrzebna, jeśli będziesz żoną Luthera Carsona. Żartuję! Żartuję! Alice! Nie powinnaś brać wszystkiego na poważnie – klepie mnie po ramieniu. – Najwyższy czas, by Olivia dała ci takie fajne zadanie. Zredagowałaś dla niej wystarczająco dużo koszmarnych książek. Cieszę się, że w końcu dostrzegła, jak wiele potrafisz.

Właśnie chcę powiedzieć, że tak naprawdę nie miałam

jeszcze okazji porozmawiać o tym z Olivią, ale Ruth odbiera właśnie telefon.

– Cześć, kochanie! Tak, w porządku... Jestem z Alice w The

Cow. Naprawdę? Może do nas dołączysz? – spogląda na mnie,

jakby oczekiwała mojej aprobaty. „Jasne”, pokazuję na migi. Ruth rozmawia dalej – to oczywiście Mike – a ja sprawdzam własną komórkę. Dwie wiadomości. Jedna od znajomej, która pyta, czy zdarzyło się coś nowego w sprawie Simona. Boże, żałuję, że opowiedziałam o naszych problemach aż tylu osobom.

Druga od mojej współlokatorki, Ciary: „Świetne wieści. Świętujesz? Gdzie jesteś?”. Odpowiadam: „The Cow przy Westbourne Pk Rd.

Przyjdź! ”.

Ruth kończy rozmawiać.

– To był Mike – oznajmia zupełnie niepotrzebnie

rozradowana. – Będzie tu lada moment.

– Świetnie – odpowiadam, starając się ukryć rozczarowanie.

Mike jest miły. Ale od wieków nie spędziłam czasu tylko z Ruth, a to miał być nasz drink z powodu współczucia, które przerodziło się w świętowanie... no cóż.

– W każdym razie – nalewa mi wina – posłuchaj, Alice.

Poradzisz sobie. Dasz sobie radę z tym gościem. Po prostu niczego nie wykluczaj. Krótki romans mógłby pomóc ci odzyskać pewność siebie po tej sprawie z Simonem.

Mam ją zapytać, czy nadal robi sobie ze mnie żarty, gdy

pojawia się Mike. Przyjeżdża taksówką, co oznacza, że: a) bardzo chce się zobaczyć z Ruth, b) ma sporo kasy. Podoba mi się a) i nie obchodzi mnie za bardzo b). Nigdy nie ciągnęło mnie do bogatych gości z City. Bardziej podobają mi się kreatywni ludzie, co Ruth określiłaby jako część mojego problemu.

Mike daje Ruth szybkiego, ale entuzjastycznego buziaka i z sympatią wita mnie skinieniem głowy. Tworzą dobraną parę. Ona jest drobna i ciemnowłosa, on też jest niski, ale ma budowę zawodnika rugby, a do tego jasne włosy i piegi. Jak tylko wraca z baru z kuflem piwa, Ruth dzieli się z nim najnowszymi

wiadomościami.

– ZGADNIJ, CO SIĘ STAŁO? Alice jedzie na wakacje z

LUTHEREM CARSONEM!!!

– Kim? – pyta Mike. Gorączkowo próbuję uciszyć Ruth –

nawet w tym wyjątkowo gwarnym miejscu jedna czy dwie

zaciekawione osoby patrzą w naszą stronę.

– Ten aktor? Grał w *Ostatnim legionście*, znasz to, i *Gwiazdach na wodzie* o mężczyźnie, którego żona umiera...

– A, twój ulubieniec. Występował też w tym filmie o dwóch

cowbojach? – Po czym Mike zaskakuje nas stwierdzeniem: – To był dobry film.

– *Tajemnica Brokeback Mountain*? Nie, to był Jake

Gyllenhaal – odpowiadam taktownie.

– Nie wiedziałam, że podobał ci się ten film. – Zaskoczona Ruth wpatruje się w Mike’a, jakby przed chwilą ocalił tonące dziecko albo odkrył lekarstwo na raka.

– Lubię nie tylko hity w multipleksach – uściśla Mike. – A więc jak to się stało, że jedziesz z nim na wakacje?

Wyjaśniam. Mike w zamyśleniu kiwa głową, po czym pyta:

– A czy on nie jest trochę zbyt młody na pisanie

autobiografii?

– No cóż, jest – zgadzam się z nim. – Ale ma całkiem

ciekawą historię do opowiedzenia. W wieku dwudziestu czterech lat był już gwiazdą, zagrał wtedy w *Gorączce*...

– Odniósł ogromny sukces i zniknął z radarów na rok –

dodaje Ruth. – Nikt nie wie, co się z nim działo.

– A później powrócił w *Ostatnim legionście*. Miał szalone dzieciństwo. Jego rodzina przez jakiś czas była bezdomna.

– No i ożenił się z Dominique Rice. Musisz z niego wydobyć jak najwięcej na ten temat – zwraca się do mnie Ruth. – Szczerze, jak możesz tego wszystkiego nie wiedzieć? – pyta, odwracając się w stronę Mike’a.

– Okej, w porządku. – Mike podnosi ręce. – Jesteście obie

dobrze poinformowane. To twoja praca, Alice, ale skąd ty tyle wiesz na temat tego gościa? – To pytanie kieruje do Ruth.

– No wiesz, to wiedza ogólna.

– Czyżby? – Mike unosi brew. – No to na przykład co on

takiego ma, czego mi brakuje?

Wymieniamy spojrzenia z Ruth.

– Poza tym, że zarabia miliony dolarów i jest przystojnym

gwiazdorem filmowym – dodaje Mike. – Skąd ta wielka

fascynacja?

– Chyba chodzi o ten... urok łobuza – odpowiadam

nieśmiało.

– Dokładnie – dorzuca Ruth. – Zawsze jest na jakiejś

impresie i pakuje się w kłopoty...

– Teraz już rzadziej, tak było kilka lat temu – uzupełniam.

– Ale wiesz, to z powodu jakiejś traumy z przeszłości... tego szalonego dzieciństwa... rozvodu... i jest taki utalentowany... –

Ruth sprawia wrażenie rozmarzonej, ale Mike jest sceptyczny.

– No to widzę, że będziesz miała przy nim ręce pełne roboty.

– Och, chciałabym mieć ręce pełne...

– No tak – przerywam Ruth, zanim powie coś

niestosownego. – Najprawdopodobniej jest trudny we współpracy, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Słuchaj, nie chciałem cię martwić – stwierdza Mike. –

Jestem pewien, że to cudowny człowiek. Wypij z nim parę

głębszych, a opróżnisz jego bak.

– Co? – pytam. To nie brzmi zbyt dobrze.

– Chodzi mu o to, żebyś poszła z Lutherem na drinka, a

wszystko będzie w porządku. Tak? – Ruth zwraca się z tym

pytaniem do Mike'a. – Mike uczy mnie irlandzkich powiedzonek.

– Dziesięć na dziesięć – odpowiada chłopak i wznosi toast w moją stronę. Uśmiecham się i stukam kieliszkiem w jego kufel. To miły człowiek. Mam nadzieję, że zostanie u boku Ruth na dłużej.

– O, popatrz, to Ciara – mówi Ruth. – Ciara! Tutaj!

Nie powinnam ich porównywać, ale w przeciwieństwie do

Ruth Ciara przyjechała specjalnie na spotkanie z nami w

Westbourne Park aż z Bermondsey, gdzie pracuje w organizacji charytatywnej. A i tak zobaczyłaby mnie w domu w Hammersmith.

Przedstawiamy ją Mike'owi, a ponieważ oboje są z Dublina,

zaczynają rozmawiać o wspólnych znajomych. Zanim jednak na dobre się tym zajmą, Ciara idzie do baru zamówić szampana, a Mike podąża za nią, żeby wyklócić się o to, kto ma za to zapłacić.

Mam nadzieję, że wygra, bo Ciara nie zarabia zbyt wiele.

Kiedy wracają, moja współlokatorka wysłuchuje naszej

wspólnej opowieści o Lutherze. Cieszy się, szczególnie gdy wspominam, że Alasdair napomknął coś o możliwości awansu.

– No a co się stało z Simonem? – pyta w którymś momencie.

Od kilku dni właściwie się nie widziałyśmy, więc nie jest na bieżąco. Doceniam jej troskę, ale mam już dość opowiadania o tym, jakby to były zerwane zaręczyny lub coś w tym stylu. Chyba powinnam zamieścić gdzieś ogłoszenie: „Uwaga: do wszystkich zainteresowanych! Simon rzucił Alice”. No cóż, przynajmniej nie zmieniałam na Face- booku swojego statusu.

– O, nie odzywał się. To nic takiego – odpowiadam.

Nie chcę wdawać się w szczegóły przy Mike'u – nie ma nic

gorszego niż opowiadanie o swoich romansowych porażkach przy nowym chłopaku przyjaciółki. Ale Mike upiera się, że chce poznać szczegóły. Kiedy mu je przedstawiam, nie mówi: „Dlaczego do niego nie zadzwonisz?” ani nie podaje wymówek. Stwierdza, że Simon jest dupkiem i powinnam o nim zapomnieć. Zaczynam

dochodzić do wniosku, że ma całkowitą rację. Spędzamy miły wieczór, wszyscy są w doskonałym nastroju. Kocham moich

przyjaciół, kocham Londyn, dam sobie radę z Lutherem Carsonem.

Zaraz po jedenastej wypraszają nas z lokalu. Przez chwilę

zastanawiamy się nad pójściem gdzieś indziej – może do któregoś z klubów w Notting Hill – ale następnego dnia wszyscy pracujemy, więc żegnamy się. Ciara i ja udajemy się na Harrow Road po frytki, a później wracamy na stację Westbourne Park. W drodze odbieram SMS. Od Simona. „Przepraszam, Alice, byłem b. zajęty w pracy. Obawiam się, że nie mogę się z tobą spotykać.

Powodzenia”.



Rozdział 4

Powodzenia. Powodzenia? Powodzenia?

Nie mogę uwierzyć w to, że Simon zerwał ze mną za pomocą

„Powodzenia”. Na litość boską, on chce być dziennikarzem. Czy nie powinien lepiej dobrać słów? Czy nie mógł wymyślić czegoś bardziej odpowiedniego? Co to w ogóle znaczy? Powodzenia w czym? Życiu? Po zerwaniu? „Obawiam się, że nie mogę się z tobą spotkać”. To brzmi, jakby znalazł się w więzieniu albo coś podobnego. Powinien, za złamanie zasad rządzących związkiem i brak elementarnej przyzwoitości.

– Może ma na myśli coś w stylu... odejść w pokoju – mówi

ostrożnie Ciara, kiedy pokazuję jej SMS. – Wiesz? W sensie ja pójdę swoją drogą, ty idź swoją, zachowajmy piękne

wspomnienia...

Raz jeszcze czyta wiadomość.

– Nie, nie można tego inaczej zinterpretować.

– Powodzenia – powtarzam. Chcę wysłać mu wiadomość,

w której dokładnie opiszę, co o nim myślę, ale Ciara mówi, że lepiej tego nie robić. Dwa dni później w samolocie nadal gotuję się z wściekłości. Tak naprawdę wolałabym milczenie od tej okropnej, bezdusznej, tchórzliwej wiadomości. Nie miałam

pojęcia, że może się okazać taką świnia. Poza tym, że jestem zła na Simona, wściekam się też na siebie. Jak mogłam to tak źle ocenić?

Sądziłam, że po tych wszystkich katastrofalnych związkach ten ma szansę powodzenia, ale była to kolejna ułuda.

Przynajmniej te przygotowania w szaleńczym tempie

pozwoły mi się od tego nieco oderwać. Po wielkich męczarniach związanych z pakowaniem chyba udało mi się zrobić to całkiem nieźle: kilka lekkich koszulek, szorty, sandały, mała czarna, gdybyśmy mieli pójść na kolację, żeby porozmawiać o książce. No i kostium kąpielowy, bo willa jest z basenem, a

ja zamierzam przepłynąć codziennie parę długości. Ruth namawiała mnie,

żebym posmarowała się samoopalaczem, ale nie jestem

wystarczająco odważna, by to zrobić. Poza tym ostatnie dni były bardzo trudne. Codziennie siedziałam w biurze do ósmej wieczór, próbując wszystko uporządkować.

Dopiero wczoraj zdążyłam zadzwonić do rodziców.

Cieszyłam się, że dobre wieści o wyjeździe i możliwości awansu mogą odciągnąć ich uwagę od mojego kolejnego nieudanego

romansu. Tato ciągle mówił o ubezpieczeniu podróżnym, a mama pytała, czy Sycylia jest „bezpieczna”, więc oznajmiłam, że nie mam nawet zamiaru odpowiadać na to pytanie. Oboje zawsze się martwią. O mnie. Kiedy Erika miała dwadzieścia sześć lat, była już starszym prawnikiem w swojej kancelarii, kupowała pierwsze mieszkanie i zaręczyła się z Rajem. W porównaniu z nią czuję się, jakbym jeszcze nie wystartowała.

Rozmawiałam też z Olivią. Zadzwoniła do mnie ze szpitala

zaraz po tym, jak wybudziła się po operacji, i przekazała mi, że wysłanie mnie na Sycylię wcale nie było jej pomysłem.

– Powiedziałam Alasdairowi... żeby Ellen się tym zajęła...

ale on nalegał – nadal była zachrypnięta po zabiegu. – Chce kogoś młodego i ... nadającego z Lutherem na tych samych falach.

Możliwe, że nadal miała omamy po narkozie, ale wydawała

mi się całkiem przytomna. Poczułam się przez to jeszcze mniej pewna siebie, a dodatkowo wzbudziła we mnie poczucie winy.

Sprawiała wrażenie takiej słabej jak umierająca ciotka, która na łożu śmierci powiedziała mi, że wcale nie chce zostawiać mi w spadku swojej ulubionej broszki z kameą. Ale to jest moja wielka szansa i jestem zdeterminowana, by ją wykorzystać.

Nadzieję daje mi to, że Luther ma tak niezwykłą historię do opowiedzenia. Wiem, że wiele osób uważa go tylko za

przystojniaczka z filmów akcji, ale wydaje mi się, że nie mają racji. Przeczytałam kilka wywiadów, w których jego wypowiedzi były interesujące i wnikliwe, i naprawdę uważam, że jest bardzo utalentowany. Ta scena z *Gorączki*, którą tak uwielbiam, w której tańczy bez słowa, podobno była jego pomysłem. W każdym razie nie robi się takiej kariery jak on, nie mając głowy na karku.

Dlaczego więc Luther w ogóle pisze tę książkę? To

niezwykłe posunięcie w przypadku gwiazdy filmowej takiego

formatu. I nie chodzi o to, że potrzebuje pieniędzy. Myślę, że jest w nim coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Może ma to związek z jego zniknięciem na rok; może chodzi o coś zupełnie innego, ale na pewno ma ku temu jakiś powód.

Za każdym razem, gdy przypominam sobie, że go poznam,

jestem w szoku. Nie tylko się z nim spotkam – jeśli wszystko pójdzie dobrze, poznam go od tej najbardziej osobistej strony. No dobrze, jednej z najbardziej osobistych. Będę z nim rozmawiać o rzeczach, o których nigdy nikomu nie powiedział. A po tym

wszystkim, przez co przeszedł, nie dziwię się, że chciałby przyjrzeć się swojej przeszłości, przemyśleć ją, porozmawiać z kimś. A tym kimś mogę być ja.

A jeśli tak się stanie... chyba bym umarła, gdyby ktoś

dowiedział się, że o tym myślę, ale może, być może... mogłoby do czegoś dojść. W końcu aktorzy cały czas zakochują się w swoich asystentkach i wizażystkach, bo to ludzie, którzy znają ich najlepiej. Dlaczego więc nie redaktorka? Pozwalam sobie

pofantazjować o tym, jak po dniu ciężkiej pracy nad książką idziemy na romantyczną kolację, a Luther zwierza mi się ze wszystkiego: „Nigdy wcześniej nie byłem w stanie o tym

rozmawiać...”. Musiałabym wrócić do Londynu, ale może przez

jakiś czas moglibyśmy być w związku na odległość. Później

przeprowadziłabym się do Los Angeles i mieszkalibyśmy w

małym domu w Malibu, gdziekolwiek to jest... Jestem pewna, że w Los Angeles są agencje literackie, w których mogłabym szukać pracy. Mam cudowną wizję, w której Simon przegląda jakieś

czasopisma i musi przeczytać o moim romansie z gwiazdorem albo widzi moje zdjęcie z Lutherem i żałuje, że nie jesteście razem...

Ale później wizja pryska. Skoro nie byłam w stanie zainteresować Simona swoją osobą dłużej niż przez osiem tygodni, jestem pewna, że nie mam szans z Lutherem Carsonem.

Bim-bom! Kolejny komunikat w dwóch językach. Lądujemy.

Widzę już Sycylię: oświetlone wybrzeże, morze tonące w mroku i jeszcze więcej ciemności w głębi lądu. Jestem po raz pierwszy we Włoszech i czuję podekscytowanie. Podobnie jak reszta

pasażerów, którzy spontanicznie zaczynają klaskać po

wylądowaniu. Włoszka siedząca obok mnie odkłada książkę i

zaczynamy rozmawiać. Pracuje w Londynie, ale cieszy się, że wraca do domu. Kiedy w końcu wychodzimy z samolotu, dotyka palcami asfaltu i je całuje; nie widziałam nigdy czegoś takiego na lotnisku Gatwick.

Wybiła dziesiąta wieczorem, zrobiło się ciemno, ale

powietrze nadal jest przyjemnie ciepłe. Gdy wchodzę do terminalu, jestem zaskoczona widokiem wielu mężczyzn wyglądających jak żołnierze, wymachujących bronią pokaźnych rozmiarów. Mijają wieki, zanim pojawiają się nasze bagaże, a ja jak zawsze boję się, że moja walizka zaginęła, choć do tej pory nigdy to się nie zdarzyło.

Dwadzieścia minut później staje się to faktem. Nie ma mojej walizki. Jedna z włoskich rodzin nie może znaleźć wózka, więc dołączam do nich i idziemy do biura. Ojciec złorzeczy i wścieka się, ale dostajemy tylko długi formularz do wypełnienia. Gdy napięcie wokół mnie sięga zenitu (ojciec wskazuje na mnie chyba po to, by pokazać, jak wygląda bezradny obcokrajowiec,

zawiedziony obsługą na lotnisku Fontanarossa), postanawiam załamać się później. Dam sobie radę. Wszystkie ważne rzeczy, w tym rękopis książki i słoik pasty warzywnej, o którą prosił Brian, mam w bagażu podręcznym. Poza tym oznacza to przynajmniej

tylko, że kolejka do odprawy paszportowej znacznie się skróci, choć i tak mój paszport jest poddany wnikliwej inspekcji, a celnik zerka to na mnie, to na moje okropne zdjęcie.

– *Inglese?* – pyta.

Mogę tylko zgadywać, o co mu chodzi.

– Tak, Angielka – potwierdzam.

Wzrusza ramionami, jakby chciał pokazać, że nie jest w

stanie pomóc, i oddaje mi paszport.

– *Grazie* – mówię.

Gdy wchodzę do hali przylotów, czuję się jak gigant – jestem zdecydowanie najwyższa i najbardziej błada. Wszędzie dookoła mnie są niscy, szykownie ubrani mężczyźni i wspaniałe kobiety, które rozmawiają, ile sił w płucach. Jest dużo blichtru: białe dzinsy, koszulki od projektantów i prawie żadnych płaskich butów w zasięgu wzroku.

Rozglądam się za kimś z tabliczką – zamówiłam kierowcę.

Mogłam wynająć samochód, ale to sporo kosztuje, a nie jestem pewna, czy poradzę sobie z prowadzeniem auta na Sycylii. Nie widzę jednak nikogo, kto wygląda jak kierowca. Gdy zastanawiam się, czy już sobie poszedł, podchodzi do mnie wysoki brunet w okularach i szarej koszulce z napisem UCLA.

– Olivia?

– Nie, jestem Alice Roberts – odpowiadam. – Pracuję z

Olivią. Czy pan jest z Italicar?

Mężczyzna unosi brew.

– Nie, jestem Sam Newland.

O Boże! To potworny superagent Luthera. Czytałam kilka z

jego przerażających maili. Wyobrażałam sobie, że jest po

czterdzieści, ale nie może być dużo starszy ode mnie. Co on tu robi? Powinien być w Los Angeles.

– Oj, przepraszam, nie miałam pojęcia, że tu będziesz.

– Jasne. Ja również się ciebie nie spodziewałam.

– No tak, Olivia jest chora, więc przyjechałam zamiast niej. –

Jakim cudem o tym nie wie? Powiadomiłam kogoś z jego zespołu, może nawet jego.

Sam patrzy na mnie, jakby zamówił żeberka z rusztu, a

zamiast nich otrzymał tatar. Z pewnością wyglądam zbyt młodo, by zajmować się Lutherem. A on sam, no cóż, nie przypomina emeryta. Jest przystojny w typowo amerykański sposób: wysoki, dobrze zbudowany, opalony, ma idealne zęby i kanciastą szczękę.

Jego jedyną niezwykłą cechą są lekko skośne zielone oczy, trochę przekrwione. Nie wygląda jak hollywoodzki agent, raczej jak grzeczny studenciak albo młody bankier, któremu pozwolono w weekend pograć w futbol. Ruth z pewnością by się spodobał, ale zdecydowanie nie jest w moim typie.

Sam niecierpliwie stuka nogą i wygląda, jakby bardzo chciał

ruszyć w drogę.

– Gotowa? Gdzie twój bagaż? – pyta.

Wyjaśniam, co się z nim stało, i zanim jestem w stanie go

powstrzymać albo zapytać, co ma na myśli, on już biegnie wiercić dziurę w brzuchu jednemu z pracowników lotniska. Mówi przy tym całkiem płynnie po włosku. Nie osiąga więcej niż ja, więc odczuwam ulgę. Zgubienie bagażu i odkrycie, że zamieszkał w willi, są już wystarczającym nieszczęściem, nie potrzebuję więc, żeby natychmiast rozwiązywał moje problemy logistyczne.

– Zarezerwowałam samochód – mówię, gdy zmierzamy do

wyjścia.

– Tak, anulowałam rezerwację. – Sam z pewnością jest

najwyższą osobą na lotnisku i dotrzymanie mu kroku nie jest łatwe. – Chciałem z tobą porozmawiać i wyjaśnić parę rzeczy, zanim dotrzesz na miejsce.

Brzmi to złowrogo. Docieramy do zakurzonego wynajętego

fiata (co, nie porsche?). Sam otwiera mi drzwi, po czym siada za kierownicą. Mam jednak przeczucie, że to kwestia

przyzwyczajenia, a nie jakaś szczególna potrzeba zrobienia na mnie dobrego wrażenia. Po wejściu do samochodu zdejmuję

okulary i pociera oczy.

– Tak przy okazji to nie z przepicia – mówi. – Mam

zaczerwienione oczy od dzisiejszego pływania w basenie.

To miło, że zażywał kąpeli, ale chcę wiedzieć, co on tutaj robi – nie tylko w tym miejscu, na lotnisku, lecz także w willi. I o czym chce ze mną rozmawiać? Sądziłam, że będę miała czas

podczas drogi, żeby przygotować się na wszystko, a nie że od razu zostanę wrzucona na głęboką wodę. Zdaję sobie też sprawę, gdy spoglądam ukradkowo w lusterko, że wyglądam okropnie. Po

drzemce w samolocie moje włosy są potargane, mam zmęczoną

twarz i zaspane oczy.

Zaraz wjeżdżamy na autostradę. Sam podkręca na maksa

klimatyzację i cieszę się, że mam na sobie mój szal. Może jutro będę mogła zrobić z niego sarong. Albo może w willi będą jakieś zasłonki, które zastąpią mi sukienki jak w *Dźwiękach muzyki*.

Myślę o wszystkich ważnych rzeczach, które były w mojej

walizce: torebka z lekarstwami, kostium kąpielowy, ładowarka do telefonu i – o nie! – wielka butla balsamu do opalania z filtrem czterdzieści pięć. Jak Miley Cyrus dosłownie wyskoczyłam z samolotu z marzeniem i sweterkiem, tylko w moim przypadku

mam marzenie i szal.

– Czy willa jest ładna? – próbuję zagaić. Za willę płaci

wydawnictwo, ale wyboru dokonała ekipa Luthera.

– Oczywiście. Luther potrzebował jakiegoś cichego miejsca

po pobycie w Rzymie i poprosił mnie o wybranie domu. Myślał o Sardynii, ale to zbyt imprezowe miejsce – tu będzie bardziej kameralnie.

Być może nie ukończył szkoły wdzięku, ale z pewnością ma

duży wpływ na Luthera. Lepiej, żeby stał po mojej stronie.

– Gdzie nauczyłeś się tak dobrze mówić po włosku?

– W którymś momencie spędziłem tu trochę czasu –

odpowiada tonem, który nie zachęca do zadawania kolejnych

pytań. Staram się myśleć o bardziej subtelnych pytaniach, ale on jest lepszy i zaczyna przesłuchanie.

– Tak więc... co dokładnie dolega Olivii?

Wyjaśniam kwestię podwójnej przepukliny.

– Jasne – odzywa się takim tonem, jakby uważał, że powinna wziąć się w garść, łyknąć parę aspiryn i wsiąść do samolotu. –

Dlaczego mnie nie powiadomiła, że przyjeżdżasz zamiast niej?

– Brian o tym nie wspominał?

– Nie, powiedział tylko, że przyjeżdża redaktorka Luthera.

Co dla mnie oznaczało Olivie. – Następuje znacząca cisza. – To ty jesteś dziewczyną z „nie ma mnie w biurze”? – pyta nagle.

– Słucham?

– Chodzi mi o to, że to twoje nazwisko jest wymienione w jej autoresponderze.

– A, tak – cholera. Cholera. Teraz wie, że jestem jej

asystentką. – Tak, bardzo... blisko ze sobą współpracujemy. –

Mam nadzieję, że brzmi to wystarczająco enigmatycznie.

– No tak. Nieważne. Jesteś tutaj.

„Mnie również miło cię poznać” – odpowiadam w duchu.

– Chodzi o to, że tak naprawdę nie było potrzeby, żebyś

przyjeżdżała – kontynuuje Sam. – Luther już pracuje z Brianem.

Powstała z tego bardzo dobra książka. Teraz tylko ją dopieszczają.

– No cóż – nie tak chciałam rozpocząć tę rozmowę. – Jeśli

mam być szczerą, to nad tekstem trzeba jeszcze popracować.

Skoro będę tu, przy Lutherze, możemy nawiązać bliższą

współpracę.

– Ale nigdy nie mieliśmy zamiaru zrobić z tego

skandalizujących wspomnień. Nawet jeśli Luther miałby jakieś trupy w szafie, których, tak na marginesie, nie ma, to jest dość skrytym człowiekiem i nie czułby się komfortowo, dzieląc się tym z czytelnikami.

Zjeżdżamy z autostrady i pokonujemy teraz ostre zakręty. Po lewej stronie piętrzą się szczyty górskie, a po prawej, trochę zbyt blisko, bym mogła być spokojna, widzę morze i strome zbocza klifów.

– No tak, my też nie oczekujemy skandalizujących

wspomnień. – O Boże, czy powinnam o tym mówić? – Ale w

książce musi być więcej życia, niż jest obecnie, musi opowiedzieć o takich sprawach jak jego relacje z ojcem, odwyk... Można

pominąć sprawy dotyczące seksu, choć seks byłby świetny. –

Luther ma ciekawą historię do opowiedzenia. I przypuszczam, że chce się nią podzielić, inaczej nie zgodziłby się na napisanie książki.

Spoglądam na Sama, którego wzrok jest wlepiony w drogę.

Jestem tak zdenerwowana, że czuję mdłości. A może to przez te zakręty.

– Posłuchaj, Alice – mówi zwodniczo rozsądnym tonem,

który uruchamia mój wewnętrzny alarm. – Luther zgodził się na napisanie książki. Ale nigdy nie chcieliśmy, żeby się w niej odsłaniał. To było jasne od samego początku. Ktoś taki jak Luther nic nie zyska, gdy opinia publiczna pozna każdy aspekt jego życia.

Nie chcę, żeby to, jak ludzie postrzegają go prywatnie, wpływało na jego odbiór jako aktora.

„Dlaczego więc, do diabła, zgodziliście się na tę książkę?” –

zastanawiam się. Jestem zrozpaczona. Właśnie takiej przemowy się obawiałam. Nie wiedziałam tylko, że wysłucham jej w niecałą godzinę po wylądowaniu. Zaciskam zęby i postanawiam wytoczyć większe działa.

– Ale mamy to w umowie. Jest w niej zapis, że Luther będzie musiał w książce zawrzeć – gorączkowo próbuję sobie

przypomnieć, jak dokładnie brzmi ten punkt – obszerne fragmenty dotyczące jego dzieciństwa, narkotyków i rozwodu. A także

zniknięcia.

Ku mojemu przerażeniu Sam wybucha śmiechem.

– Żartujesz sobie, prawda? Nie ma mowy, żebyśmy zgodzili

się na coś takiego.

– Ale się zgodziliście – odpowiadam już nie tak pewna

siebie. Mam koszarne wątpliwości.

– Mówię serio – spogląda w moją stronę. – Nie ma takiego

zapisu.

Boże. Czy on może mieć rację? Dodawaliśmy ten zapis na

późnym etapie negocjacji. To znaczy Olivia poprosiła mnie, żebym dopisała go do formularza, który wypełniamy, gdy pracujemy nad nową umową. I dodałam go. Prawda?

A może nie?

Zaschło mi w ustach, nerwowo przełykam ślinę i z trudem

łapię oddech. Moje palce instynktownie łapią klamkę i przez jedną szaloną chwilę rozważam otwarcie drzwi, wyskoczenie z auta i powrót biegiem na lotnisko, żebym mogła wsiąść do pierwszego samolotu i sprawdzić tę cholerną umowę. Ale to nie jest możliwe, więc próbuję zachować spokój. Zadzwońię do Poppy. Będzie

wiedziała, co zrobić. A przynajmniej mi powie, czy naprawdę pominęłam ten zapis. Nie mogę teraz o tym myśleć: jestem

przytłoczona późną porą, utratą bagażu i obecnością Sama.

Nie rozmawiamy ze sobą przez resztę drogi. On z pewnością

nie zamierza się wysilać i inicjować rozmowy, podobnie jak ja.

Wkrótce zaczynamy zjeżdżać w dół ubitą, nieoświetloną drogą w kierunku zatoki. Rząd cyprysów skrywa coś jasnego: willę.

Dojeżdżamy do wysokiego muru i sterowanej elektrycznie bramy.

Sam wychyla się z auta, wciska jakiś przycisk i możemy wjechać.

Gdy parkuje obok dwóch innych samochodów – jeden to

elegancko wyglądający zabytkowy pojazd – widzę nazwę zapisaną na filarze: Al Plemmirio.

Obchodzimy willę z boku, kierując się w stronę tarasu z

basenem odbijającym tysiące gwiazd. Rozciąga się stamtąd widok na zatokę. Słyszę szum morza i odgłos cykad. Pod daszkiem stoi stolik z kilkoma butelkami na blacie (dostrzegam szampana i czerwone wino)

oraz kilka krzesel.

– Chyba możesz się z nimi jutro przywitać – mówi Sam.

Jestem tak zmęczona, że rejestruję tylko cudowny chłód, jaki panuje wewnątrz domu, kamienną podłogę i niejasne wrażenie, że pomieszczenia są bardzo przestronne. Sam prowadzi mnie do

sypialni na końcu korytarza i odchodzi. W końcu się go

pozbywam. Pierwsze, co robię, gdy zostaję sama, to biorę telefon i dzwonię do Poppy. Nie odbiera, ale zostawiam jej wiadomość, prosząc o to, by oddzwoniła tak szybko, jak to tylko możliwe.

Później wysyłam SMS do rodziców, w którym informuję ich, że bezpiecznie wylądowałam, choć oczywiście można się spierać, czy to słuszne stwierdzenie.



Rozdział 5

Budzi mnie nieznane mi uczucie: ciepłe światło słoneczne

ogrzewające moją twarz.

Mrużąc oczy, dostrzegam, że słońce prześwieca przez

okiennice, które pomalowano na jasnoniebieski kolor. Sypialnia jest niewielka, ale wysoka. Ściany wyglądają staro, zostały pobielone wapnem, a podłogę wyłożono ciemnymi kamiennymi

płytkami. W pokoju nie ma żadnych mebli oprócz ogromnej

komody, na której stoi staromodne lustro. Oto jestem: na Sycylii, w willi z Lutherem, bez ubrań. Wydaje mi się, że słyszę szum morza. Sprawdzam telefon. Jest dziewiąta pięć tutejszego czasu.

Do sypialni przylega łazienka i jestem bardzo szczęśliwa,

gdy widzę, że są w niej ręczniki i eleganckie przybory toaletowe, w tym, dzięki Bogu, szczoteczka do zębów. W torbie trzymam mały dezodorant, więc przynajmniej mam zapewnione

podstawowe rzeczy. Biorę prysznic i wkładam ubrania, które miałam na sobie w samolocie: kremowe lniane spodnie i

granatową koszulkę. Szczotkuję włosy. Powinnam je umyć, ale nie widzę nigdzie suszarki, a nie chcę

pierwszego ranka paradować po willi, ociekając wodą.

Lekko maluję rzęsy i przyglądam się sobie w lustrze,

zastanawiając się, czy mogę zrobić coś jeszcze, żeby poprawić swój wygląd. Jakoś nie wierzę w to, że wywrę dobre wrażenie na Lutherze, mając nieświeże włosy i pogniecione ubranie z

poprzedniego dnia. Och, dlaczego musiałam nadać bagaż? No cóż, nic nie da się z tym zrobić. Nigdy nie będę przypominać, nawet odrobinę, tych kobiet, które widuje w Los Angeles. Zobacz we mnie raczej Bridget Jones. Wszyscy wiedzą, że Angielki są

niechlujne i źle ubrane. Będę musiała polegać na swojej

osobowości.

Opuszczam pokój. Willa sprawia wrażenie dużo większej niż

z zewnątrz. Wszystkie pomieszczenia mają wysokie sklepienia z dębowymi filarami i kamienne podłogi; wszędzie panuje spokój, tak kontrastujący z motylami latającymi w moim brzuchu. Udaję się na tyły domu, skąd dobiegają mnie dźwięki rozmowy.

Wychodzę na zewnątrz, a widok zapiera mi dech w piersi.

•

Z tarasu rozpościera się panorama małej zatoki otoczonej

stromymi, zalesionymi wzgórzami. Ogromne błękitne morze zlewa się z błękitem nieba. Na lewym krańcu tarasu znajduje się basen, za którym widać tylko zielone wzgórze – dostrzegam cyprysy, palmy i morze. Po prawej stronie stoi długi stół, który widziałam wieczorem. Teraz jest uprzątnięty i częściowo zacieniony dzięki ogromnemu płóciennemu zadaszeniu. Sam siedzi w słońcu,

przegląda jakieś dokumenty i pisze coś na swoim BlackBerry, pijąc równocześnie espresso i zajadając bułeczki z masłem. Wyobrażam sobie, że brakuje mu koktajlu białkowego, soku z pszenicy czy co tam zwykle jada w Los Angeles.

– Uhm... dzień dobry.

– Cześć – odpowiada zwięźle, ledwo podnosząc wzrok.

Siadam i zastanawiam się, gdzie jest Luther.

Słyszę jakieś dźwięki dobiegające z basenu, odwracam się i zdaję sobie sprawę, że ktoś w nim jest, w drugim końcu. Widzę tylko głowę i ramiona. Później słyszę plusk i ten ktoś znika pod wodą, by parę chwil później pojawić się przy naszym krańcu basenu. To z pewnością on. Kiedy wychodzi z wody, rozpoznaję tatuaż na ramieniu. I ten nagi, brązowy tors i szerokie ramiona –

umięśnione, ale nie przerysowane, opalone i błyszczące. O mój Boże. To jak fantazja seksualna, która rozgrywa się tuż przed moim nosem. Nieśpiesznym ruchem owija sobie biały ręcznik

wokół bioder, eksponując boski, umięśniony brzuch. Podchodzi do nas swobodnym, sprężystym krokiem, ociekając wodą. Wyciąga dłoń – kompletnie mokrą – a ja podaję swoją. Dotykam jego dłoni!

– Ty musisz być Alice – mówi. – Jestem Luther.

Wie, że o tym wiem, a ja wiem, że on wie, że ja wiem, co

czyni sytuację jeszcze bardziej surrealistyczną. Ciężko jest opisać uczucie, które towarzyszy poznaniu kogoś bardzo znanego. Nie ma się wrażenia, że ten ktoś wszedł do twojego świata; raczej, że tobie pozwolono wejść do świata tej osoby. Czuję się, jakbym była w filmie. Któryś z filmów Luthera.

– Cześć – odpowiadam oczarowana.

Nie jest tak wysoki, jak się spodziewałam, tak naprawdę

wzrostem niewiele mu ustępuję. Ale jest tak przystojny – nie, nawet bardziej – jak w moich wyobrażeniach. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam na żywo równie pięknej twarzy: podłużna szczęka z delikatnym zarostem, mocno zarysowane kości

policzkowe, wspaniałe usta, jasnobrązowe oczy, które lekko mruży w ostrym świetle. Ale nie chodzi tylko o jego wygląd. Ma w sobie sporo magnetyzmu. Niemal czuję go w powietrzu. Gdy Luther tak stoi, a za nim rozpościera się błękitne niebo, wygląda jak postać z plakatu albo filmu, co jest oczywiście zgodne z prawdą. Nie jestem nawet świadoma swoich pogniecionych ubrań czy niemytych od trzech dni włosów, po prostu rozkoszuję się jego obecnością.

Zasiada na krześle naprzeciwko mnie, ciągle ociekając wodą.

– I jak się masz, Alice? – ma inny akcent, niż się

spodziewałam, bardziej nowojorski. W myślach recytuję

fragmenty notki z Wikipedii: Michael Luther Carson, urodzony w Camden, New Jersey... później przeprowadził się do Queens...

– O... Doskonale! – tylko tyle jestem w stanie z siebie

wyduścić. Moja dłoń nadal jest mokra i nie wiem, co z nią zrobić.

Wytrzeć? A jeśli tak, to o co?

– Cieszę się, że tu jesteś. Nigdy wcześniej nie miałem

redaktora. Wielu reżyserów, ale żadnego redaktora. Jak to działa?

Uśmiecham się do niego. Mam nadzieję, że ten uśmiech

pokaże mu, że może na mnie liczyć.

– Jestem tu, żeby ci pomóc!

– Świetnie – spogląda na mnie zamyślony. Jego oczy nie są

brązowe, jak mi się wydawało, mają raczej miodowo-orzechowy odcień... może nawet bursztynowy? – Nie mam w tej chwili za

bardzo natchnienia, więc chętnie skorzystam z pomocy.

– Właśnie po to tu jesteście! – to dobrze: wydaje się, że jest zmotywowany.

– Wiesz, Sam uważa, że nie będę w stanie dokończyć tej

książki, ale udowodnimy mu, że się myli, dobrze? – Uśmiecha się do mnie szelmowsko, a mój żołądek fika koziołka.

– Jasne, stary – odzywa się Sam, nawet nie podnosząc głowy znad papierów. – Udowodnij mi, że się mylę.

Mam wrażenie, że podsłuchiwał całą naszą rozmowę i nie

przegapił ani słowa.

Ktoś wychodzi z domu. Elegancka dama z pięknie ułożonymi

siwymi włosami. Na czarną sukienkę ma zarzucony niebieski

fartuszek, niesie kawę, której nalewa mi i Lutherowi. Oczywiście: gospoia.

– Alice, to Maria Santa – przedstawia kobietę Sam, po czym mówi do niej po włosku coś, czego nie rozumiem. Ona spogląda najpierw na mnie, później na Sama i zadaje mu pytanie. On

uśmiecha się, kręci głową i oboje wybuchają śmiechem.

Zauważam, że jest wobec niej niezwykle czarujący.

Z fascynacją obserwuję, jak Luther nalewa sobie mleka do

kawy i zjada figi. Oglądam Luthera Carsona jedzącego śniadanie.

Maria Santa podaje mi chleb i masło, ale nie jestem całkiem pewna, czy mogę teraz cokolwiek zjeść. Dzwoni telefon Sama.

Przeprasza nas i odchodzi, żeby porozmawiać.

– To wspaniałe miejsce do pracy nad książką – zwracam się

do Luthera. Moje serce bije szybko, bo jest przepełnione

adrenaliną, i odczuwam ulgę, że jestem w stanie płynnie się wysłowić.

– Cieszę się, że ci się podoba. Przepraszam tylko, że to nie Ibiza. Wiem, że wy, Brytyjczycy, uwielbiacie

tę wyspę.

– Nigdy tam nie byłam – odpowiadam. Choć pewnie wystarczyłby jeden rzut oka na mnie, by sam się o tym przekonał.

– Chyba najlepsze w tym miejscu jest to, że można się pozbyć fotografów. Mniej więcej. – Wskazuje nożem w kierunku zatoki. – No chyba, że zakradną się tu na motorówkach z aparatem z teleobiektywem.

– Zachowaliśmy dyskrecję – wtrąca Sam, dosiadając się do stolika.

– Tu jest tak pięknie – mówię. Czuję się, jakbym była w ogromnym błękitnym raju, zawieszonym między niebem a morzem. Widzę drzewka cytrynowe rosnące w ogrodach na zboczach wzgórz, kaktusy i jaskraworóżowe kwiaty pnące się po białych murach – te, które można zobaczyć w każdym filmie, którego akcja toczy się nad Morzem Śródziemnym. Bugenwille.

Na moment niemal zapominam, gdzie się znajduję. Jestem zszokowana, gdy wracam myślami na ziemię i uświadamiam sobie, że jestem tu, na Sycylii, i rozmawiam z Lutherem Carsonem i jego agentem o paparazzich.

Zatem dobra wiadomość jest taka, że Luther wydaje się absolutnie czarujący i bezpośredni – dokładnie taki, jaki wiedziałam, że będzie – i o wiele miłszy niż jego agent.

Wprawdzie niekoniecznie dzieli się ze mną swoimi najskrytszymi przemyśleniami, ale i na to przyjdzie pora. Zła wiadomość to taka, że Luther jest tak atrakcyjny, że będę musiała się bardzo starać, żeby się uspokoić, skoncentrować i nie gapić na niego.

Postanawiam delikatnie przejść do rozmowy o książce.

– Tak więc nie wiem, jakie masz plany na dziś, ale może w którymś momencie przed południem moglibyśmy usiąść i porozmawiać o książce i o tym, co do tej pory zostało napisane?

– Jasne, możemy odbyć kreatywną pogawędkę. – Kiwa

głową i uśmiecha się do mnie. Wow. Widziałam ten uśmiech wiele razy w filmach, ale gdy został skierowany do mnie, niemal nie potrafię siedzieć prosto. Jestem taka szczęśliwa, Luther sprawia bowiem wrażenie, że mnie polubił. Może to będzie łatwiejsze, niż sądziłam?

– Chcecie, żebym dołączył? – pyta Sam.

– Nie, poradzę sobie. Witaj, panienko – przez sekundę nie

rozumiem, o co chodzi, ale później uświadamiam sobie, że Luther mówi do kogoś, kto znajduje się za mną.

Z drugiej strony tarasu nadchodzi jedna z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałam na żywo, a nie w

kolorowym magazynie. Ma na sobie białe bikini i przeźroczystą różową koszulę. Przez jedną okropną sekundę wydaje mi się, że to Sienna Miller, ale tak nie jest. Jej bikini kontrastuje z nonszalancko dobranymi naszyjnikami – kilka z nich jest delikatnych, inne są dość wyraziste. Ja nie potrafię tak komponować dodatków.

Dziewczyna jest mojego wzrostu, też ma jasne włosy, ale na tym podobieństwa się kończą. Ja jestem blada i noszę rozmiar

czterdziesty, a ona jest niewiarygodnie szczupła i opalona na idealnie złoty kolor. I gdy moją fryzurę tworzą dziś smętne strąki, jej włosy spływają wzdłuż ramion w złocistych, swobodnych

falach.

– Annabel, to jest redaktorka Luthera, Alice. Alice, to

Annabel – przedstawia nas Sam.

– Kto Luthera? A, faktycznie, chyba ktoś o tobie wspominał

– mówi Annabel głosem tak słodkim, fałszywym i lodowatym, jak coca-cola light. Jest Angielką! Jakie to zabawne, pomyślałam, że wygląda na Amerykankę. Ale jej akcent ze Sloaney natychmiast przypomina mi o wrednych dzieciakach ze szkoły, King's Road i mnóstwie innych rzeczy, o których wolałabym zapomnieć. Czy to dziewczyna Luthera? Z wielu powodów mam wielką, ogromną

nadzieję, że tak nie jest.

– Annabel i ja niedawno skończyliśmy kręcić *Rzymskie*

wakacje – informuje mnie Luther.

– Ojej – odpowiadam jak idiotka. – Kogo zagrałaś?

Annabel obdarza mnie szerokim, nieszczerym uśmiechem.

– Zagrałam Jane. To główna dama dworu księżniczki.

Drugoplanowa rola. Ale dużo czasu spędzam na ekranie.

Nie wzbudza sympatii – wygląda świetnie jak niesamowita

modelka czy aktorka, ale patrzy na mnie w taki sposób, że czuję się jeszcze gorzej niż wcześniej. To tyle, jeśli chodzi o zanedbane Angielki: Annabel jest idealna. Nawet jej paznokcie są piękne: nie pomalowane, a wypolerowane na wysoki połysk. Siada obok

Luthera, opiera cudowną stópkę o krzesło stojące obok mojego i z wdziękiem próbuje kawy.

– To wspaniale – próbuję podtrzymać rozmowę. – Praca z

Natashą Pullman musiała być ekscytująca. Uwielbiam ją,

przypomina mi Audrey Hepburn.

Ledwo wypowiadam te słowa, gdy uświadamiam sobie, że

popęłniłam wielki błąd. Annabel patrzy na mnie z nienawiścią. Jej oczy mają piękny turkusowy kolor jak basen, ale jest w nich też odrobina szaleństwa.

– Linie lotnicze zgubiły bagaż Alice – zwraca się Sam do

Annabel. – Możesz jej pożyczyć jakieś ubrania?

– Postaram się – odpowiada Annabel. – O ile mam coś

wystarczająco dużego. Ale Luther, czy my się wybieramy dziś w rejs jachtem Federica? Czy musisz teraz zająć się nudną pracą nad książką? – Zasmucona spogląda na Luthera i wydyma usta.

– Ach, tak. Zróbmy to. Alice, mój kumpel Federico ma

piękny jacht, sunseekera. Lubisz łodzie? Zatrzyma się dziś w naszej zatoce i pomyśleliśmy, że popłyniemy z nim w krótki rejs, może wokół wyspy aż do Lipari...

– Ojej, ale mieliśmy... – zaczynam.

– Aż do Lipari? – wpada mi w słowo Sam. – To ponad sto

sześćdziesiąt kilometrów.

– Sto dolców – odpowiada natychmiast Luther. – Nie, sto

euro. Euro za każdy kilometr. Stary, da radę.

– Jak chcesz. – Śmieje się Sam. – Popływamy. Pościgamy

się.

Przy całym tym przekomarzaniu się o czymś chyba

zapominamy – o książce. Martwię się, że jedno słowo

wypowiedziane przez Annabel sprawia, iż Luther zapomina o

naszym planie na dziś, ale nie wiem, jak mam mu powiedzieć, żeby odwołał rejs jachtem przyjaciela. No cóż, dogadujemy się, więc może powinnam się na tym skupić. A później, kiedy będzie bardziej podatny na moje sugestie, może skłonię go do pracy.

Poza tym jest niesamowicie gorąco. Nie ma jeszcze

dziesiątej, a temperatura już zbliża się do trzydziestu stopni. I tak pewnie niewiele byśmy byli w stanie zrobić, smażąc się tutaj. Na jachcie przynajmniej zaczerpnjemy trochę świeżego powietrza, a ja będę miała okazję poznać lepiej Luthera.

W trakcie tej rozmowy Annabel uważnie mi się przygląda.

– Alison, jesteś redaktorką – mówi okropnie protekcyjnym tonem. – Czy to oznacza, że cały dzień tylko siedzisz i czytasz?

– Mam na imię Alice. I nie muszę...

– Uwielbiam czytać – przerywa mi Annabel. – Grałam w

Dynastii Tudorów. Ale dostaję tyle scenariuszy do przeczytania, że nie mam czasu na książki.

Nie rozumiem. Czy jej się wydaje, że *Dynastia Tudorów* to książka?

– O, dzień dobry, Alice – wita mnie ktoś za mną.

Nigdy nie sądziłam, że ucieszę się na widok Briana

Reynoldsa, pisarza, który pomaga Lutherowi. Brian wlecze się w naszą stronę, wygląda, jakby od wielu dni nie zmrużył oka.

Zaróżowiona twarz, łysina i okulary sprawiają, że wygląda

normalnie, a przez to jego obecność dodaje mi pewności siebie.

Miło jest mieć w pobliżu kogoś, kto nie wygląda jak model. Bez entuzjazmu przybija piątkę z Lutherem i z wysiłkiem siada na krześle.

– Cieszę się, że tu jesteś – mówi i metodycznie pochłania

swoje śniadanie. Maria Santa podaje mu herbatę, on zaczyna dopytywać się o Olivię, ale nie wdają się w szczegóły – nasze towarzystwo nie za bardzo przejmuje się tym, o czym

rozmawiamy. Annabel szepcze do Luthera, co jest moim zdaniem bardzo niegrzeczne, a Sam zajmuje się swoim BlackBerry. Brian sprawia wrażenie wyczerpanego i zauważam, że nie wydaje się szczególnie uszczęśliwiony na widok Luthera. Zastanawiam się, co, do licha, może być nie tak z tą książką, skoro

Luther jest taki uroczy.

– Brian, przywiozłam ci te dokumenty, o które prosiłeś –
mówię. – Czy chcesz pójść do domu i je ze mną przejrzeć?

Pozostali patrzą na mnie, a ja czuję się jak kujon. Anna- bel uśmiecha się ironicznie, Sam bacznie nas obserwuje, tylko Luther wydaje się niczym nie przejmować. Brian, dzięki Bogu, wstaje i idzie za mną.

– Do zobaczenia za chwilę – żegnam się z uśmiechem i
szybko odchodzę.

Zasiadamy z Brianem na nieskazitelnie białej kanapie w
kącie dużego salonu, pełnego pięknych abstrakcyjnych dzieł

sztuki, z niskim stolikiem kawowym z mozaikowym blatem. Na kamiennej podłodze leżą grube czerwone i niebieskie dywany.

– No i jak idzie? – pytam. – Wydaje się bardzo uprzejmy i
normalny. A może po prostu nie chce współpracować?

– Nie bardzo – odpowiada. – Jestem wykończony. Fajnie

opowiada, ale za każdym razem, gdy siadamy do pracy, co nie zdarza się zbyt często, przypomina to łapanie żywego srebra. Jest uroczy, miło z tobą gawędzi, ale nie da się z niego wyciągnąć niczego osobistego.

– Ale dlaczego tak się dzieje?

– Nie wiem, po prostu nie wiem. – Brian wygląda na

przygnębionego. – Może nadal trwa w jakimś stanie zaprzeczenia odnośnie tej książki. Albo uważa, że nie stanowią wystarczająco interesującej widowni. Nie mogę go rozgryźć. A jego agent jest koszmarny. Siedzi z nami podczas wywiadów, wtrąca się, próbuje cenzurować wszystko, o czym rozmawiamy, zachowuje się

nachalnie.

– Mogę sobie wyobrazić – stwierdzam. – Posłuchaj, nie

martw się. Porozmawiam z Lutherem. Wygląda na to, że jak na razie dobrze się dogadujemy, więc mam nadzieję, że teraz, gdy tu jestem, uświadomi sobie, że to prawdziwy projekt, i weźmie się do pracy. Chyba tego ranka nie będziemy mieli czasu, ale później zamienię z nim parę słów.

Przypominam sobie o paście dla Briana, przynoszę ją z

pokoju i daję mu w prezencie. Idzie pokazać słoik Marii Sancie i zatelefonować do kogoś. Mam zamiar wrócić na taras, by

zaprzyjaźnić się z Lutherem, gdy wpada Anna- bel,

prawdopodobnie zmierzająca do swojej sypialni. Wtedy sobie przypominam: nie mam się w co ubrać na rejs jachtem Federica.

Ani tak naprawdę na jakąkolwiek inną okazję.

Pytam ją raz jeszcze, bardzo niechętnie zresztą, o możliwość pożyczenia od niej ubrań i ku mojemu zdziwieniu Annabel cała się rozpromienia.

– Oczywiście! Chodź ze mną.

Gdzie ona mnie zabiera? Lepiej, żeby nie dzieliła pokoju z Lutherem. Ale w jej sypialni nie zauważam oznak obecności

żadnego mężczyzny. Pokój jest większy od mojego, mamy

podobny widok na morze. Sypialnia wygląda, jakby eksplodowała w niej jakaś bomba: szczotki, tubki, balsamy, prostownice do włosów, ogromne wałki i wielkie, profesjonalne kufarki na

kosmetyki leżą na wszystkich szafkach i zakrywają całą podłogę.

W jednym z kątów pokoju stoi przekrzywione ogromne lustro.

Wygląda, jakby przeniesiono je z innego pomieszczenia. Wszędzie leżą porzucane sterty kolorowych ubrań, które wylewają się też z każdej półki i nie mieszczą w szafie. Gdyby tylko chciała, prawdopodobnie mogłaby tu urządzić pokaz mody.

Annabel zaczyna grzebać w stosach ciuchów i wyciąga coś,

co początkowo wygląda na bikini, a co okazuje się

jednoczęściowym strojem kąpielowym, z gatunku tych

przeróżających, z dekoltem do pępka i wycięciami z boku.

Kostium jest jaskrawolimonkowy i wyglądałby świetnie na kimś bardzo chudym i opalonym, ale jestem stuprocentowo pewna,

nawet bez przymierzania, że ze względu na moją bladość i pulchne uda na mnie będzie się prezentował straszliwie.

– O, ten jest uroczy! Ma regulowane ramiączka, więc

powinien na ciebie pasować – oznajmia, a w jej głosie słychać powątpiewanie.

– Dzięki – odpowiadam bezradnie.

– Nie ma sprawy! – Odwraca się i zaczyna nakładać

ekskluzywnie wyglądający balsam.

– Yhm... – Nie chcę jej prosić o następną przysługę, ale nie widzę innego wyjścia. – Czy mogłabyś mi pożyczyć jakąś

koszulkę albo coś takiego? Na wszelki wypadek, dopóki nie uda mi się odzyskać walizki albo kupić nowych ubrań...

– Oj – wstaje z wyraźną niechęcią. – Ojejciu, jejciu –

wzdycha i przerzuca wieszaki z ubraniami. – Nie jestem pewna, czy coś będzie na ciebie pasować.

Czy ona mówi serio? Aż tak bardzo nie różnimy się

rozmiarami. Z pewnością nie spotkałam nikogo tak straszliwie bezczelnego, jak ona, przynajmniej nie od czasów nauki w szkole tylko dla dziewcząt.

– Możesz przymierzyć to... elastyczna, więc może się uda. –

Wręcza mi pogniecioną lnianą sukienkę do kolan, z

motylkowatymi rękawami i białą falbanką przy szyi. Jest raczej okropna, ale wzrok Annabel sugeruje, że nie dostanę niczego innego.

– Dzięki – mówię i wtedy przypominam sobie o moim

kremie z filtrem 45, jedynej rzeczy, bez której na pewno nie mogę się obyć. – Przepraszam, że jestem taka upierdliwa, ale masz może jakiś balsam do opalania na zbyciu? Nie przejmuj się, jeśli nie...

– Nie – odpowiada Annabel. – To znaczy mam ten balsam

Sisley, ale jest niesamowicie drogi. – Spogląda na mnie, jakby dalsze wyjaśnienia nie były konieczne. I nie są.

– Okej, jakoś sobie poradzę. Jeszcze raz dziękuję – po tych słowach wychodzę.

Co za krowa. Wiem, że to musi być irytujące, jeśli obca

osoba chce coś od ciebie pożyczyć, ale mimo wszystko. Na

szczęście Brian ma wodoodporny krem dla dzieci z filtrem 50. Jest bardzo biały i glutowaty i ciężko go rozsmarować, ale

przynajmniej się nie poparzę. Nie będzie go potrzebował, bo nie wybiera się z nami w rejs.

– Nie chcę się znów spiec – wyjaśnia. – Wczoraj opaliłem

sobie głowę i czułem się okropnie. Przeczytam jeszcze raz

brudnopis książki i sprawdzę, czy jest w nim coś, co da się uratować. Alice, a czy nie sądzisz, że moglibyśmy to wszystko po prostu zmyślić?

Gdy odchodzę, siedzi w cieniu baldachimu z laptopem.

Maria Santa zaparzyła mi więcej herbaty i przyniosła małe

cytrynowe ciasteczka, więc pocieszam się myślą, że nawet jeśli jest mi teraz bardzo ciężko, to przynajmniej uczucie to dopadło go w tak ładnym miejscu.

Przez chwilę stoję na tarasie, rozkoszując się pięknym

widokiem. Mam wrażenie, jakbym się znajdowała na dziobie

statku, nigdy nie widziałam czegoś tak niebieskiego. Po lewej stronie widzę miasteczko położone na szczycie klifu – to pewnie Taormina. W ogrodach usytuowanych niżej dostrzegam kurczaki grzebiące w ziemi pośród drzew oliwnych i cytrynowych. Poza gdakaniem kur jedynym dźwiękiem jest hipnotyczny szum morza.

Wyobrażam sobie, jak cudownie będzie na jachcie, gdy nagle ku własnemu przerażeniu przypominam sobie, że muszę jeszcze zadzwonić do Poppy i dowiedzieć się, co z tym zapisem w

umowie. Biegnę do sypialni, zamykam drzwi i okno, żeby nikt mnie nie słyszał: wyobrażam sobie Sama czającego się w krzakach pod domem.

Na szczęście Poppy odbiera telefon już po kilku dzwonkach.

– Alice! *Ciao bella!* Jak tam Włochy? Co się dzieje? U nas jest taki okropny, deszczowy dzień. Masz szczęście, że jesteś...

Zauważam dopiero teraz, że kończy mi się bateria w

komórce, więc przerywam jej.

– Poppy, to chyba jakaś katastrofa. Musisz coś dla mnie

sprawdzić – wyjaśniam tak szybko, jak potrafię.

– Daj mi pięć minut – odpowiada. – Zaraz to sprawdzę.

Czekając, aż Poppy oddzwoni, wachluję się swoim

paszportem. W domu jest nieco chłodniej, ale i tak się rozpływam.

Chętnie bym popływała, ale czy na pewno odważę się włożyć

koszmarny neonowy kostium Annabel? Z utęsknieniem myślę o

moim sprawdzonym czarnym stroju kupionym w Marks and

Spencer, który sam teraz jest na jakichś wakacjach... Ale później karzę sama siebie. To nie są wakacje. Jeśli w umowie brakuje tego zapisu, będę miała o wiele więcej powodów do zmartwień niż niepasujący do mnie strój plażowy.

– Okej, jestem – mówi Poppy. – Słuchaj, nie ma go.

– Czego nie ma? Kontraktu?

– Nie. Tego zapisu. Przeczytałam umowę dwa razy. Przykro mi.

Zamykam oczy i ciężko opadam na łóżko. Wiedziałam. Teraz

sobie przypominam. Olivia przysłała mi mail w ostatniej chwili, zapisała w nim mnóstwo rzeczy, które miałam zrobić, a na samym końcu była mowa o tym zapisie. A ja zapomniałam.

– Alice, jesteś tam jeszcze?

– Ledwo, ledwo.

– Wiesz, to jeszcze nie jest koniec świata. Luther może w

końcu opowiedzieć ci o tych wszystkich rzeczach, o których mowa w tym brakującym punkcie.

– Ale nie musi. A to oznacza, że nie możemy używać tego

zapisu jako argumentu. A jeśli coś z książką będzie nie tak, nie będziemy mieli podstaw prawnych, żeby cokolwiek na nich

wymóc. I będzie to moja wina, i wylecę z pracy – czuję się tak źle, że ledwo jestem w stanie mówić.

– Nie wylecisz z pracy. Błędy się zdarzają. Nie jest to idealna sytuacja, ale tak bywa. Uważam, że powinnaś powiedzieć o tym Olivii albo Alasdairowi, żeby byli świadomi i przygotowani, jeśli coś pójdzie nie tak.

Wiedziałam, że to powie. Poppy nie owija niczego w

bawełnę. Nie wiem, czy jej pewność siebie wynika z tego, że jest taka bezpośrednia, czy odwrotnie, ale ona ma obie te cechy, a ja żadnej z nich.

– Nie mogę – odpowiadam z udręką w głosie. – Olivia już i

tak uważa, że się do tego nie nadaję.

– Co?

Nie miałam zamiaru opowiadać nikomu o rozmowie, którą

odbyłam z Olivią, gdy była umierająca, ale prawda i tak wychodzi na jaw.

– No cóż, taka jest Olivia – oznajmia bez ogródek Poppy. –

Nie jest typem, który potrafi wspierać. Ale posłuchaj, i tak nie skłonisz Luthera do opowiedzenia swojej historii za pomocą haczyków prawnych. Musisz go przekabacić na swoją stronę w inny sposób.

– Chyba masz rację – przyznaję bez entuzjazmu. – Słuchaj,

muszę już kończyć. Mamy zaraz wsiadać na jacht i chyba wszyscy czekają tylko na mnie.

– No proszę! Już się z nim zaprzyjaźniasz! Jesteś urocza,

więc po prostu bądź sobą i poznaj go lepiej, a będzie jadł ci z ręki.

Moja rozpacz tylko się pogłębia, gdy wkładam straszliwy

kostium od Annabel. Wygląda tak okropnie, jak to sobie

wyobrażałam. Limonkowy kolor sprawia, że przypominam ofiarę jakiejś zarazy. Wylewam się z niego. Przez te regulowane paski moje piersi wyłazą bokiem. Może powinnam po prostu włożyć tę lnianą sukienkę? Nie mogę się zdecydować, więc przebieram się we własne ubrania i wracam na taras, żeby się uspokoić

podziwianiem pięknego widoku.

– Czy Annabel pożyczyła ci jakieś ubrania? – pyta ktoś za

mną.

To Sam. Za jego plecami wyrasta ogromny, ośnieżony szczyt, który sprawia wrażenie, jakby był tuż za domem, choć wiem, że jest od niego oddalony o wiele kilometrów. To musi być Etna.

Niewiarygodne, że wcześniej jej nie zauważyłam. W sumie to wygląda dość przerażająco.

– Ach, tak. Pożyczyła, ale sądzę, że i tak spróbuję odzyskać swoją walizkę.

– Daj sobie spokój. Pewnie jest już w połowie drogi do

Pekinu. Powinnaś po prostu pożyczyć od niej więcej rzeczy.

Przyjechała tu z chyba ośmioma walizkami.

Widzę, że on też jej nie lubi, ale nie obchodzi mnie to. Skąd to nagłe zainteresowanie moimi ubraniami? Nie jestem dzieckiem, na litość boską, potrafię zadbać o własną garderobę.

– Nic się nie stało. Nie potrzebuję nie wiadomo ilu ciuchów, żeby redagować książkę Luthera – odpowiadam zwięźle.

– Jasne, ale jak znudzi ci się chodzenie cały dzień w

pidżamie, daj mi znać – oznajmia i odchodzi.

Nie uważam już, żeby był pomocny w kwestii ubrań: jest okropny. Czy moje spodnie naprawdę wyglądają jak pidżama?

Wydawało mi się, że są dość eleganckie, ale wówczas nie wyobrażałam sobie, że będę je nosić przez cały pobyt tutaj.

Zaczynam nagle marzyć o tym, by być na Sycylii z Simonem na romantycznej wycieczce, a nie w związku z trudnym projektem w pracy. Ale zanim wpadam w kolejny dołek z powodu byłego

chłopaka, przypominam sobie, że mam zaraz popłynąć jachtem z Lutherem Carsonem! Nie pozwolę na to, by problem z umową

albo ten bezczelny agent powstrzymali mnie od tego, by go lepiej poznać.



Rozdział 6

– Nie wiem, czy o tym wiedziałeś, ale wybierał między mną

a – zgadnij kim? – Rosamund Pike. A reżyser nie lubi Rosamund Pike. Nienawidzi jej! Uważa, że jest straszna! Nie znosi jej! Ale został zmuszony do tego, by ją wybrać, ze względu na to, że jest tak znana. Wolałby mnie. Szkoda mi go.

Gdy słucham wywodów Annabel, przychodzi mi na myśl, że

wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdybyśmy spisywali historię jej życia: z pewnością jest gotowa udzielać informacji.

Jacht jest naprawdę niezły. Nigdy nie rozumiałam całego

tego zamieszania wokół jachtów, ale ten wygląda wspaniale.

Płyniemy szybko, lecz ta prędkość nie jest odczuwalna – podróż przebiega tak gładko, jakbyśmy unosili się w powietrzu. Z pokładu wybrzeże wydaje się piękne i zielone, morze ma intensywnie błękitny kolor, a za nami bieli się piana. Jedynym elementem, który nie pasuje do tego obrazu, jestem ja sama.

Postanawiam nie wkładać drapiącej lnianej sukienki, która

nieczo przypomina mi włosienicę. Zamiast niej po prostu

narzucam swoją wczorajszą granatową koszulkę na straszliwy limonkowy strój kąpielowy. Annabel oczywiście wygląda

nieziemsko w turkusowo-białym bikini i uroczym turbanie

zamotanym na głowie. Mój kostium jest tak nieprzyzwoity, że muszę zostać w koszulce, przez co prawdopodobnie wyglądam jak amiszka w wieku szkolnym, a moje blade nogi stanowią świetne tło dla smukłych, opalonych kończyn Annabel. Jako uzupełnienie stroju wzięłam torebkę, do której na wszelki wypadek wepchnęłam szorstką sukienkę. Oczywiście Annabel ma piękną, bawełnianą plażową torbę w paski.

Nasz gospodarz, Federico, również jest niezwykle elegancko ubrany w schludną pomarańczową koszulkę polo i szorty. Jest w wieku Luthera albo trochę starszy i ma urodę bohatera kreskówki: kręcone czarne włosy, wyraziste niebieskie oczy. Wygląda dość sympatycznie, ale sprawia wrażenie trochę oderwanego od

rzeczywistości. Kiedy nas sobie przedstawiono, spojrział na mnie tak zaskoczonym wzrokiem, jakby nie był pewien, co ja tu w ogóle robię.

– To Alison – powiedziała Annabel. – Chce, żeby Luther napisał książkę.

– Tak naprawdę mam na imię Alice. Cześć – podałam mu

rękę. Gdy się ze mną witał, otaksował mnie od stóp do głów i widziałam, że zastanawiał się, gdzie, do licha, Luther mnie znalazł.

Z tego, co zrozumiałam, Federico i jego żona przyjaźnią się z Samem i Lutherem, ale jakim cudem i dlaczego – tego jeszcze nie wiem.

Federico i Sam odwalają teraz jakąś męską robotę z linami na dziobie jachtu. Luther i Annabel relaksują się w białej strefie wypoczynkowej usytuowanej o poziom niżej od miejsca, w którym stoję, i piją szampana. Ona kładzie mu rękę na ramieniu i

zaśmiewa się z tego, co powiedział.

Wymykam się na górny pokład, żeby przez chwilę w

samotności poleżeć na słońcu. Miałam nadzieję porozmawiać

dłużej z Lutherem, ale Annabel cały czas wracała do *Rzymskich wakacji* i jakiegoś niezależnego filmu, w którym zagrała. Mam wrażenie, że chce, żeby Luther w jakiś sposób wspomógł tę

produkcję. Gdy siedziałam tak z nimi, czułam się jak

jaskrawozielony agrest. Powtarzam sobie, że to tylko przejściowe, drobne przeszkody i że w którymś

momencie zdołam naprawdę

porozmawiać z Lutherem. Postanawiam nacieszyć się słońcem i mimo straszliwego kostiumu zdjąć koszulkę.

Wydaje mi się, że mam zamknięte oczy od jakichś pięciu

minut, gdy czuję, że pada na mnie cień. Podnoszę wzrok – to Luther. Za każdym razem, gdy go widzę, mam wrażenie, że

nastąpiło jakieś zakrzywienie rzeczywistości, i muszę się do niego od nowa przyzwyczajać. Niesie dwa kieliszki do szampana –

schłodzone w lodówce – i butelkę Moëta. To jak sen na jawie. Na początku czuję zażenowanie, że odkrył, iż się tu zacząłam, ale oczywiście jestem podekscytowana, zaskoczona i zadowolona, że mnie wyśledził. Mogę się założyć, że Annabel nie jest z tego powodu ucieszona.

– Hej – mówi. – Mogę ci nalać coś do picia?

Z gracją siada obok mnie, wyprostowując jedną nogę, a

drugą zginając w kolanie, opiera się o niską ścianę kabiny. W

ubraniu wygląda jeszcze lepiej, o ile jest to w ogóle możliwe: ma na sobie postrzępione białe dżinsowe spodenki do kolan i wyblakłą błękitną koszulkę. Nawet jego bose stopy wyglądają pięknie. W

przypadku większości mężczyzn stopy nie należą do ich

największych zalet, ale stopy Luthera są urocze. Nagle, gdy porównuję jego szczupłe brązowe nogi do swoich bladych, znów czuję zakłopotanie. Dlaczego nie zrobiłam sobie pedicure, jak sugerowała Ruth? Ukradkiem wkładam koszulkę, obciągając ją tak, by zakrywała uda.

– Co cię tutaj sprowadza? – pyta. – Miałaś dość rozmowy o

filmach?

– Skądże – nie chcę wyjść na niegrzeczną. – Chciałam się po prostu nacieszyć widokiem.

– Tu jest tak spokojnie po zamieszkaniu w Rzymie. To były

trudne zdjęcia. – Na chwilę zamyka oczy. – To znaczy to zabawna komedia romantyczna, ale pracujesz w cieniu wielkiego klasyka.

Było też trochę ograniczeń w związku z planem zdjęciowym, więc musieliśmy kręcić o dziwnych porach, co było raczej męczące.

– Ojej, oczywiście. Czy... twoim zdaniem poszło dobrze? –

Czuję się niepewnie, gdy wypytuję o jego pracę.

– Mam nadzieję. Ale to trudna reżyserka. Czasem w waż-

niejszych scenach musieliśmy trzydzieści razy powtarzać ujęcia, raz za razem i nie mówiono nam dlaczego, a później, gdy w scenie występowałem tylko ja i Natasha, wystarczyło jedno.

Kiwam głową i przechodzi mi przez myśl, że jeśli chcę się do niego zbliżyć, będę musiała nauczyć się tego aktorskiego slangu.

– I właściwie nie było żadnych przerw; parę osób z obsady

przyjechało tu w zeszły weekend, no i Annabel nadal tutaj jest, więc wciąż czuję się, jakbym był na planie.

– Ach, czyli przyjechaliście całą grupą? – informacja, że

Annabel nie została specjalnie zaproszona, sprawia mi dużą przyjemność.

– Tak, Annabel została. To sympatyczna dziewczyna. Lubię Brytyjki – spogląda na mnie i lekko się uśmiecha. Wow! Czy on ze mną flirtuje? Chyba sobie to wyobrażam.

– Dobrze się bawiliśmy. Było trochę scen tanecznych,

kręcenie ich okazało się interesujące. Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz w nich grałem.

– Oczywiście! Wiem o tym! Uwielbiałam cię w *Gorączce* –

mówię szczerze. – Jestem wielką fanką filmów tanecznych i

uważam, że to jeden z najlepszych. Byłeś w nim niesamowity.

Luther sprawia wrażenie bardzo zadowolonego.

– Tak? Dzięki.

– Jest w nim tyle społecznych podtekstów. Na przykład w tej scenie, kiedy wszystkie pary ustawiają się po oficjalnym tańcu i dyrektor nie chce się z tobą przywitać... to było takie wzruszające.

I stanowiło taki wyrazisty akt oskarżenia wobec społeczeństwa w tamtych czasach – kręcę głową i nagle zdaję sobie sprawę, że szampan uderza mi do niej.

– To ciekawe, że o tym wspominasz. Wiesz, taka rzecz

przytrafiła mi się w liceum.

– Naprawdę? – jestem zafascynowana. Nareszcie: osobiste

wspomnienia! Siadam i podwijam nogi, obciągając przy tym dół

kostiumu kąpielowego.

– Tak, dyrektorem był taki straszliwy dupek... Miałem

wystąpić w szkolnym przedstawieniu, wystawialiśmy *Nasze miasto* i tydzień przed premierą przyłapano mnie z koleśkiem, który miał przy sobie trochę trawki. Nie byliśmy nawet na terenie szkoły

– siedzieliśmy przed budynkiem szkolnym w jego samochodzie. W

każdym razie złapano nas. Byłem czysty, ale stwierdzono, że kupowałem od niego towar. Wybuchła ogromna awantura i

dyrektor, pan Spelling (ang. pisownia) – uwierzysz, że tak się nazywał? – chciał mnie zawiesić w obowiązkach ucznia i wyrzucić z obsady.

– I co się stało?

– Nauczyciel opiekujący się przedstawieniem powiedział, że to niemożliwe, bo nie mam dublera, więc pozwolono mi wystąpić.

Ale, nie wiem, czy w to uwierzysz, nie mogłem wyjść na scenę po spektaklu.

– Nie!

– Serio. Reszta obsady wyszła, ukloniła się i tak dalej, a ja musiałem stać w kącie na tyłach sceny – upija łyk szampana. –

Mnie to nie obchodziło, ale na widowni siedziały moja mama i babcia i było mi ich szkoda. Ludzie rozmawiali na mój temat, mówili o tym, co się stało, i jedna ze wścibskich sąsiadek bardzo im uprzykrzała życie... Wygadywała takie bzdury.

– A co robiłeś, gdy reszta obsady kłaniała się publiczności?

– Paliłem trawkę! – Uśmiecha się szeroko.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Po wypiciu

szampana ta historia śmieszy mnie jeszcze bardziej. Jestem podekscytowana, że już opowiedział mi o dwóch tematach z tego zapisu w umowie: o narkotykach i dzieciństwie. Tak jakby. To mogłoby się znaleźć w pierwszym rozdziale, choć oczywiście musielibyśmy zmienić nazwisko dyrektora. Kiedy na pokład

wchodzi Sam, nadal się śmiejemy.

Nie wiem dlaczego, ale przez tego szampana i moje

roznegliżowanie czuję się, jakbym została przyłapaną na robieniu czegoś niedozwolonego. Ale Sam rzuca na nas tylko przelotne spojrzenie i mówi:

– Luther, rozmawiałem z Paulą. Prześlą nam scenariusz *Fur Coat Blues*.

– Tak? No nie wiem, stary. To brzmi dziwnie.

– Uważam, że powinieneś go przeczytać. Dam ci znać, gdy

dotrze – oznajmia Sam i odchodzi. Boże, ależ on jest

apodyktyczny. Czy Luther tak po prostu pozwala mu mówić do siebie w ten sposób?

– Sam jest świetnym gościem – stwierdza spokojnie Luther

po jego odejściu. – Wiele razy uratował mój tyłek. I załatwił mi świetną rolę w *Rzymskich wakacjach*. Jeśli postanowisz przeprowadzić się do Hollywood i grać w filmach, zadbaj o to, by zostać twoim agentem – wznosi toast w kierunku Sama i stuka swoim kieliszkiem o mój.

– Nie sądzę, żeby tak się stało – odpowiadam. – Chodzi mi o przeprowadzkę do Hollywood. – Szampan nie pomaga w

wymyślaniu celnej riposty.

– Trudno jest się dostać do prawdziwego agenta. Mnóstwo

dzieciaków przyjeżdża do Hollywood i trafia na beznadziejnych menadżerów. Pracują w swoich mieszkaniach. Nie wolno im

szukać dla ciebie pracy, ale i tak to robią. Część z nich bierze duży procent nawet od małych zleceń, których ci nie załatwili, pobierają opłaty za zdjęcia do portfolio – niektórzy z nich to po prostu alfonsi.

Wow. Nie wiem, co powiedzieć, więc tylko kiwam głową i

myślę, jak niesamowicie przystojnie wygląda Luther, gdy tak marszczy czoło, wiatr rozwiewa mu włosy, a w tle rozciąga się morze. Postanawiam pokierować rozmowę na bardziej osobiste tematy i trochę go wybadać.

– A kto był twoim agentem za czasów *Gorączki*?

– Nie miałem agenta. – Wzrusza ramionami. – Mama

znalazła prawnika, który przeczytał umowę, choć wątpię, czy miał

jakikolwiek pojęcie, bo skupił się głównie na nieuzasadnionych żądaniach odszkodowania. A my to podpisaliśmy i tyle. Teraz wydaje mi się to niewiarygodne. Miałem naprawdę dużo szczęścia.

– Z pewnością było ekscytująco.

– Tak, było świetnie. Ale teraz jestem na takim etapie, że potrzebuję zespołu. Wiesz, nie znoszę tego całego

hollywoodzkiego cyrku. Nie jestem jedną z tych osób, które chcą mieć menadżera, szefa menadżera i siedmiu agentów... –

przerywa, spogląda na mnie, a ja kiwam głową.

– Mam tylko jednego agenta. To Sam. I specjalistkę od PR,

Sandy. Zatrudniam też adwokata i księgową. I asystentkę. Może to jest jakiś mały cyrk. Ale nie potrzebuję dietetyka, trenera ani eksperta od feng shui. To znaczy mam trenera, ale nie widzieliśmy się od jakiegoś czasu. Tutaj jednak zdecydowałem się przyjechać sam.

Znów kiwam głową. Wiem wystarczająco dużo, by zdawać

sobie sprawę, że to naprawdę nietypowe zachowanie jak na

gwiazdę Hollywood. Mógłby mieć dużo większą ekipę. Miałam

więc rację: jest bezpośredni.

– A czy twoja asystentka...?

– Moja asystentka jest w LA i opiekuje się moimi psami.

Mam rodezjana i charta. Wpadają w depresję, jeśli zostają same.

Chcesz zobaczyć zdjęcia?

– Jasne! – Nie jestem wielką fanką psów, ale to nie są jakieś tam psy! Luther wyjmuje iPhone'a i pokazuje mi kilka fotek, a ja myślę tylko o tym, że oglądam zwierzaki Luthera Carsona.

– Ale dobrze, że Sam jest w pobliżu. Fajne jest w nim to, że ma jakieś zasady, wiesz? Nie każe mi w kółko kręcić sequeli.

Pozwala mi odmawiać.

Jestem pewna, że tak jest. „Nie” to chyba ulubione słowo

Sama. Mam mętlik w głowie i ciężko mi stwierdzić, o co

powinnam teraz zapytać. Zadaję więc pierwsze pytanie, jakie przychodzi mi na myśl.

– Miałaś kiedykolwiek menadżera?

– Yhm – nagle mam wrażenie, jakby się bardzo ochłodziło.

Zamiast jak wcześniej spojrzeć mi w oczy, Luther wydaje się zainteresowany czymś znajdującym się bardzo daleko. – Nie, nigdy. O, wygląda na to, że się zatrzymaliśmy. Chcesz popływać?

Ja chyba się skuszę. – Wstaje i wyciąga rękę w moją stronę. Łapię ją. To dość niebezpieczne, bo od razu mam ochotę nigdy jej nie puszczać.

Gdy schodzimy na dół, kręci mi się w głowie nie tylko z

powodu szampana. Żałuję, że nie wzięłam dyktafonu albo notesu, ale po namyśle stwierdzam, że byłoby to trochę głupie. Ale to taki świetny materiał. Pomimo tego, co mówił Brian, Luther już

opowiedział mi dwie świetne anegdoty: o tym, jak musiał czekać za sceną, i o podpisywaniu umowy z beznadziejnym prawnikiem, ale dlaczego zareagował w taki, a nie inny sposób, gdy zapytałam go o menadżera? Och, nie. Czy pokazałam, że jestem ignorantką?

Czy posiadanie menadżera jest czymś strasznym? Chyba nie jest to aż tak niezwykle. Obserwuję Luthera, gdy zmierza w stronę burty i spogląda na morze. Może chciał po prostu popływać? Nie, z

pewnością coś mu się nie spodobało w moim pytaniu.

– Alice! – woła Federico, wychodząc z części barowej. –

Powinnaś popływać. – Spogląda na mnie z powątpiewaniem. Być może zastanawia się, czy potrafię to zrobić.

– Ja chyba zrezygnuję – oznajmia Annabel. Wypoczywa na

leżaku, na nosie ma wielkie okulary przeciwsłoneczne. – Jestem cała śliska od balsamu przeciwsłonecznego i nie będzie mi się chciało nakładać go po raz kolejny.

Luther odwraca się w jej stronę i widzę, że uważnie się jej przygląda. Nie dziwię mu się – wygląda olśniewająco.

– Jak chcesz – rzuca obojętnie Sam. – Ja idę.

Ma na sobie kąpielówki i chyba gdzieś zgubił okulary. Znowu zauważam, jak dobrze jest zbudowany: szeroki w barkach, mocne ramiona, płaski brzuch. Wiem, że wiele kobiet uwielbia taki typ facetów, ale ja, patrząc na niego, myślę tylko o tym, ile czasu musi spędzać w siłowni. Simon nie miał kaloryfera na brzuchu, ale za to w przeciwieństwie do Sama można z nim było odbyć interesującą rozmowę, co jest dużo ważniejsze, jeśli kogoś obchodzi moje zdanie. Sam niemal bezszelestnie wskakuje do wody, a Luther i Federico go oklaskują.

– Okej, teraz ja – mówi Luther i zaczyna się od razu

rozbierać. Zauważam, że Annabel siada na leżaku, żeby to

obejrzeć. Ja też patrzę, w końcu nie jest to widok, jaki mogę oglądać każdego dnia. Luther jest absolutnie boski: nieprzesadnie muskularny i gibki. Jego ciało nie wymaga dublerów. Nurkuje i szybko odpływa kraulem.

Annabel siada i przeciąga się od niechcienia.

– Może jednak też popływam? – zastanawia się głośno i

zdejmuje okulary. Czy jej zachowanie mogłoby być jeszcze

bardziej oczywiste?

Obserwujemy z Federikiem, jak schodzi w dół, jej piękne

ręce obejmują z obu stron drabinkę, aż opuszcza ostatni

szczebelek, piszcząc trochę z powodu temperatury wody. Płynie w kierunku Luthera.

– Masz zamiar popływać, Federico? – pytam.

– Nie, muszę opiekować się jachtem – z dumą poklepuje

barierkę. Nagle zdaję sobie sprawę, że pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobił, było słuszne: jest trochę nijaki.

Federico siada obok mnie bez wątpienia dlatego, że nie ma

nic innego do roboty, i zaczyna rozmowę. Jestem wdzięczna, że postanowił dotrzymać mi towarzystwa, ale czuję się trochę

zaskoczona, gdy opowiada mi historię całego swojego życia.

Najpierw objaśnia, jak trudno jest obecnie znaleźć odpowiedni jacht. Później, gdzie we Włoszech najlepiej kupować ubrania –

najwyraźniej w Rzymie lub Mediolanie, a nie na Sycylii.

Następnie opowiada o tym, jak piękne jest jego mieszkanie i jakich wysiłków i stresu wymaga prowadzenie rodzinnego interesu, który brzmi jak „nawalanka”, ale jestem pewna, że źle go zrozumiałam.

– Chyba nie wiem, co to znaczy – przyznaję ostrożnie.

– Budowlanka. Domy, drogi – tłumaczy zniecierpliwiony

Federico.

– Ach, oczywiście, wybacz.

Niestety, sprawy budowlane nie są tematem na długą

rozmowę. Mówię, że Sycylia jest piękna, Federico przytakuje i zapada cisza.

Jest bardzo gorąco i naprawdę mam ochotę popły- wać, ale

myśl o tym, że musiałabym się pokazać w tym okropnym

kostiumie – a tak naprawdę, że miałabym wystąpić

roznegliżowana przed całą tą ekipą – onieśmiela mnie. W końcu jednak postanawiam stawić temu czoło. Zdejmuję koszulkę i

ruszam w kierunku drabinki. Normalnie zanurkowałam w

wodzie, ale nie zrobię tego w tym stroju – ramiączka mają

zatrważającą tendencję do zsuwania się.

W upalnym słońcu woda wydaje się cudowna, chłodna i

jedwabista. Natychmiast moje samopoczucie się poprawia.

Zanurzam głowę i odpływam od pozostałych. Pływanie zawsze

sprawia, że czuję się wolna. Gdy spoglądam na niebo, jestem w stanie na kilka chwil zapomnieć o wszystkim i po prostu unosić się na wodzie.

Nagle coś uderza z całej siły w moją nogę, podskakuję do

pozycji wyprostowanej. Serce mi wali, rozglądam się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy to rekin, ale to tylko Sam. Musi być równie dobrym pływakiem, jak Michael Phelps – minutę temu nie było go w pobliżu.

– Auć, to bolało! – prychnam, choć tak naprawdę uderzenie

nie było bolesne.

– Wybacz – mówi nieuprzejmym tonem. – Wiesz, nie

powinnaś podpływać tak blisko jachtu. Możesz zostać pod niego wciągnięta.

– Albo skopana na śmierć – mamroczę pod nosem w

odpowiedzi.

Zauważam, że Sam spogląda w dół, i patrzę w tym samym

kierunku. O mój Boże. Jedno z ramiączek tego głupiego kostiumu zsunęło się, obnażając moje wdzięki. Poprawiam je natychmiast, ale gdy podnoszę wzrok, Sam płynie już w kierunku jachtu, co w tych okolicznościach wydaje się najlepszym wyjściem. Kiedy wspina się na górę po sznurowej drabince, dostrzegam dwie głowy pojawiające się w oddali nad powierzchnią wody: jedna jasna, druga ciemna – Luther i Annabel. Cholerka.

Przybijamy do brzegu, żeby zjeść lunch. Kryję się w

małej restauracyjnej toalecie i próbując doprowadzić się do porządku, mam wrażenie, że osiągnęłam nowy stopień upodlenia.

Kiedy wróciłam na jacht, z przodu na mojej koszulce był wielki glut balsamu do opalania. Annabel stroiła niewinną minę, ale podejrzewam sabotaż. Przebrałam się więc w brązową sukienkę, która jest teraz wilgotna od moich mokrych włosów. Nos mam zbyt mocno opalony, dorobiłam się też czerwonej plamy od

oparzenia słonecznego na ramieniu. Przyglądam się sobie

dokładniej – to nie jest jedyne miejsce, w którym się poparzyłam.

Zapomniałam zaaplikować sobie balsam nad górną wargą, skóra w tym miejscu jest teraz tak samo czerwona, jak nos. Już w tej chwili wygląda źle, a jeśli ściemnieje, będę miała wąsik. A jakby nie było wystarczająco fajnie, to Sam widział, jak wyglądam topless.

Przyglądam się sobie w lustrze i czuję nadciągającą falę

paniki. Co ja tutaj robię? Jak zdołam sprawić, że ta książka powstanie? Co się stanie, jeśli Luther nadal będzie unikał pracy i oprowadzał mnie po najmodniejszych miejscach Sycylii? Na swój sposób wydawał się dość przyjacielski, ale wpadam w paranoję, że jakoś zraziłam go do siebie. Mogłabym zadzwonić do Olivii lub Alasdaira, ale nie wiem, jak mieliby mi pomóc. Jestem teraz zdana na samą siebie.

Wszyscy zasiedli przy stoliku na tarasie. Miasteczko jest

bardzo ładne, domki wybudowane na stromym wzgórzu są w

kolorze ochry i bieli i ciągną się aż do tętniącej życiem przystani.

Z restauracji rozpościera się widok na przystań, gdzie słychać ciche postukiwanie zacumowanych jachtów. Wzdłuż nabrzeża

spacerują piękne pary, rodziny, a także jeden nieustraszony człowiek na rolkach. Wszyscy obserwują się nawzajem i wszyscy, nawet dzieci, noszą okulary przeciwsłoneczne i śliczne ubrania w jasnych kolorach. Tutejsi mężczyźni są niewiarygodnie przystojni, ale Luther i tak wyróżnia się spośród nich – przynajmniej moim zdaniem.

Gdy zbliżam się do naszego stolika, zauważam, że wszyscy –

poza mną, oczywiście, ubraną w worek na ziemniaki – wyglądają bardzo sztywnie. Luther założył okulary przeciwsłoneczne i odwrócił się tyłem do morza. Oczywiście kilka osób go rozpoznało i widać niewielką falę zainteresowania oraz poruszenie wynikające z jego obecności, jednak nikt go nie zagaduje. Reszta towarzystwa jest opalona i w dobrej formie. Annabel robi mnóstwo hałasu, bo siedzi przodem do słońca. Chce, żeby Sam zamienił się z nią miejscami, ale on odmawia. W ramach odwetu odsuwa krzesło tak, że znajduje się ono w cieniu i tuż obok Luthera. Uważnie

przeczesuje wzrokiem tłum, jak sędzę, wypatrując paparazzich.

– Tak jest dużo lepiej – stwierdza, potrząsając blond włosami i poprawiając jedwabną chustę. – Nie chcę nabawić się

zmarszczek. Z drugiej strony dobrze by było, gdybym na nowych zdjęciach próbnych była ładnie opalona. A przecież bardzo dobrze znoszę pobyt na słońcu – spogląda na mnie z fałszywą troską. – A ty jesteś strasznie czerwona. O, czy to poparzenie słoneczne nad górną wargą? Gdy zbrązowieje, będziesz miała wąsik.

– Nic mi nie jest – mamroczę, siadając obok Federica. Ta

brązowa sukienka to najgorsza rzecz, jaką można nosić w taki dzień jak dzisiaj. Dosłownie smażyć się na słońcu.

Kelner przynosi nam jedzenie. Zamówiłam linguine z

przeżrębkami i śmietaną i umieram z głodu, bo nie zjadłam śniadania. Makaron jest przepyszny: jedwabisty, kremowy, z lekką nutką cytryny i cudownie mięsistymi małżami. Jem, żeby sobie poprawić nastrój, ale w tej chwili mam wrażenie, że tylko

jedzeniem jestem w stanie osiągnąć ten cel. Ceny są niebotycznie wysokie, a ja zbyt późno uświadomiłam sobie, że nie ustaliłam w pracy limitu na wydatki podczas tego wyjazdu. Czy spodziewają się, że będę za to płacić?

– Jak ci smakuje makaron, Alice? Jeśli nie będziesz ostrożna, zapadniesz w śpiączkę z powodu przedawkowania węglowodanów

– mówi Annabel.

– We Włoszech jemy wszystko – oznajmia z powagą

Federico. – I palimy papierosy. Uwielbiam palić.

– O tak, oczywiście. Też jem to, co chcę. Życie jest zbyt

krótkie – odpowiada Annabel, ostrożnie wyławiając grzanekę z sałatki.

– W Los Angeles nikt nie pali – odzywa się Sam. – Prawie

wszędzie jest to zabronione. Nawet bezdomni rzucili palenie.

– Z wyjątkiem trawki, to się nie liczy – dodaje Luther. – Ja palę, Dominique również.

– Naprawdę? – Chciałabym usłyszeć coś więcej, ale Annabel

mówi:

– Mam nadzieję, że Tesoro nie będzie zadymione.

– Nie sądzę, abyśmy wybierali się do Tesoro, Annabel –

stwierdza Sam.

– Moglibyśmy pójść – rzuca Luther. – Co nam szkodzi?

– Dopadną cię paparazzi – wyjaśnia Sam, a ja, widząc minę

Annabel, wiem, że właśnie o to jej chodzi.

– Co to jest Tesoro? – podpytuję dyskretnie Federica.

Macha ręką.

– To klub nocny niedaleko od Taorminy. Bardzo przyjemny,

bardzo, ale nie każdy może tam wejść. Znam właściciela. Tak, wybierzmy się.

Wpadam w jeszcze większą rozpacz. Kolejne eskapady

Luthera. Nawet jeśli za bardzo nie nabroi, z pewnością nie da się położyć do łóżka o dwudziestej drugiej i nie będzie miał ochoty na pracę nad książką jutro wczesnym rankiem. Ten projekt całkowicie wymyka mi się spod kontroli.

– Może dziś wieczorem? – proponuje Annabel.

Luther wzrusza ramionami.

– Pewnie, dlaczego nie? – odwraca się w moją stronę. –

Chcesz się z nami wybrać, Alice?

– Chyba nie mogę. Mam tylko tę sukienkę. Będę musiała się

kiedyś wybrać na zakupy, ale jeśli chcecie iść do klubu dzisiaj, nie dam rady. Nie rezygnujcie jednak ze względu na mnie.

– No tak, wyobrażam sobie, że mają surowy *dress code* –

mówi Annabel. – Jaka szkoda, że nic z moich rzeczy na ciebie nie pasuje – dodaje tak miłym i zwyczajnym tonem, że przez chwilę nie pamiętam naszej sesji przymierzania ubrań. Ale nawet gdy sobie ją przypominam, nie mogę uwierzyć w to, że kłamie, i odkrywam w sobie szacunek dla jej umiejętności aktorskich.

– Nie, zapomniałem – odzywa się Federico. – Dziś klub jest zamknięty. Jutro będzie otwarty.

– W takim razie wybierzmy się gdzieś indziej – proponuje

Luther.

– Możemy iść do Pearl Bar – mówi Federico. Mają tam

prywatną salę, całkiem przyjemną. Zapytam Marisę.

– Świetnie – odpowiada Luther.

– W takim razie zarezerwuję stolik dla pięciu... sześciu

osób? Idziesz? – pyta mnie Federico.

– Wygląda na to, że Alice nie ma ochoty nigdzie wychodzić –

oznajmia Sam. – Ale ja się wybieram.

Szczęka mi opada. Dziękuję ci, Sam, za to, że mówisz mi, na co mam ochotę. Robię się podejrzliwa: czy on świadomie chce mnie trzymać z dala od nich?

– Zbierajmy się stąd – mówi Luther, a wszyscy wstają od stołu.

– Zapłaciliśmy rachunek? – pytam zdziwiona.

– Tutaj za nic nie płacimy! – rzuca Luther i też wstaje.

Wypowiada te słowa takim tonem, jakbym wypła u niego w domu filiżankę herbaty, a on powiedział mi, że nie muszę po sobie zmywać.

Ale płacimy, bo widzę, że Sam coś podpisuje i zabiera kartę.

Świetnie. To oficjalne: zapłacił i to on rządzi sytuacją.

– Szkoda, że nie możesz z nami dziś wyjść – oznajmia

jowialnie Luther i delikatnie klepie mnie po ramieniu. Oddycham z ulgą, bo wygląda na to, że nie jest już na mnie zły. – Ale wybierzemy się tam ponownie – dodaje.

Uśmiecham się niepewnie. Tego się właśnie obawiam.



Rozdział 7

Podczas drogi powrotnej jestem bardzo przygnębiona.

Wszystko to wina mojego głupiego bagażu. Gdybym tylko go nie rejestrowała: dlaczego nie wzięłam go ze sobą do kabiny? Ale nawet gdybym miała swoje ubrania, w czym by mi to pomogło?

Nadal chodziłabym za Lutherem, pytając, czy mógłby poświęcić kilka sekund na pracę nad książką, czego najwyraźniej nie ma zamiaru robić. Spędziłam tu cały dzień, a nie poczyniliśmy żadnych postępów. Równie dobrze mogłabym nadal być w

Londynie.

Po powrocie każdy zajmuje się swoimi sprawami. Federico

wrócił do domu, żeby się spotkać z żoną – wiedziałam o jej istnieniu, ale nie wspomniał o niej, gdy wcześniej wygłaszał swój monolog. Luther zniknął – na podstawie dźwięków dochodzących z jego pokoju wnioskuję, że wciągnęła go gra komputerowa. Sam prowadzi kolejne rozmowy telefoniczne, podczas których zwalnia i zatrudnia pracowników. Annabel zajęła się rytuałami

pielęgnacyjnymi i wybieraniem jednego z miliona strojów na dzisiejszy wieczór. Zza jej drzwi wkrótce dobiegają dźwięki piosenek Madonny. Uwielbiam Madonnę i zupełnie irracjonalnie irytuje mnie to, że Annabel też ją lubi. Brian wychodzi mi na spotkanie do salonu.

– Jakież postępy? – pyta cicho z nadzieją w głosie.

– Jeszcze nie – odpowiadam zwięźle i wymijam go. Po całej

tej gadaninie o tym, jak to zamierzam zaprzyjaźnić się z Lutherem!

Z pewnością uważa mnie za kompletną idiotkę.

Będę musiała zadzwonić do Olivii. Przyznać się do

wszystkiego, wyjaśnić sytuację i zapytać, co mam robić. Wracam do swojego pokoju, uspokajam się i wygrzebuje komórkę z

torebki.

Telefon jest rozładowany. A gdzie ładowarka? No tak,

oczywiście, w walizce. Na chwilę siadam na łóżku i patrzę na swoje odbicie w lustrze: jak zawsze niespokojna i zarumieniona.

Co zrobiłaby Olivia? No tak, zawsze, gdy pojawia się jakiś problem, trzeba porozmawiać z agentem. Będę musiała zmierzyć się z Samem. Możemy się nie zgadzać w kwestii tego, co ma się znaleźć w książce, ale Sam musi zaakceptować to, że jest

odpowiedzialny za dostarczenie przez Luthera odpowiedniego rękopisu.

Gdy wychodzę z pokoju, dostrzegam, że Brian siedzi w kącie salonu i szeptem rozmawia przez telefon.

– Możemy mieć tylko nadzieję, wiem o tym, wiem. Po prostu

nie snujemy dalekosiężnych planów.

Z kim on, do licha, gada? Z Olivią? Czy rozmawiają o mnie i o tym, jak słabo sobie radzę? Wybiegam z pokoju, zanim jestem w stanie usłyszeć coś więcej.

Sam stoi na tarasie i jak zwykle rozmawia przez BlackBerry

– teraz awanturuje się o rozmiar czyjejs przyczepy na planie filmowym. Jejku, kogo obchodzi wielkość

przyczepy? Po drugiej stronie zatoki zachodzące słońce przybrało widowiskowy

pomarańczowozłoty kolor. Za nami Maria Santa nakrywa do

kolacji i zapala świece. Gdy podchodzę do Sama, myślę o tym, jak sielankowe mogłoby być to miejsce, gdybym znalazła się tu w innej sytuacji i w towarzystwie, które nie czuło do mnie niechęci, z wzajemnością zresztą. Sam kończy rozmowę, wkłada telefon do kieszeni i zauważa mnie.

– Sam, muszę z tobą porozmawiać.

Odwraca się, opiera o balustradę i wpatruje się we mnie.

Szkoda, że jest taki wysoki.

– Dajesz.

Oddycham głęboko.

– Słuchaj, wiem, że jestem tu dopiero jeden dzień, ale wydaje mi się całkiem jasne to, że Luther nie ma ochoty, by pracować nad książką.

– No i?

– No i zakładam, że jako jego agent użyjesz swoich

wpływów, by skłonić go do wypełnienia swoich zobowiązań

wobec nas.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – jestem wstrząśnięta. – Dlatego, że podpisał

umowę! Dlatego, że dostał zaliczkę i jakieś sześć tygodni temu miał dostarczyć tekst gotowy do publikacji. – Próbuję mówić cicho, na wypadek gdyby Luther był w pobliżu.

Sam wzrusza ramionami.

– Możemy zwrócić zaliczkę.

– Na to już trochę za późno – odpowiadam z wahaniem, bo

nie jestem pewna, czy powinnam powiedzieć to, co mam zamiar.

Ale i tak to robię. – Jeśli nie dostaniemy tego tekstu, z pewnością wybierzemy drogę prawną – oczywiście blefuję, bo nie mamy

żadnych możliwości, a przynajmniej nie takich, na których by nam zależało.

– Proszę bardzo. Doprowadzimy was do bankructwa.

– Ale dlaczego w ogóle pozwoliłeś mu podpisać tę umowę?

– Nie pozwoliłem. Podpisał ją z pomocą swojego drugiego agenta i nie skonsultował tego ze mną.

– To był Marc? – to z nim kontaktowaliśmy się przed

pojawieniem się Sama i przed tym, jak pewnego dnia zniknął bez śladu. – Co się z nim stało?

– Już z nami nie pracuje – oznajmia Sam obojętnym tonem,

który brzmi złowrogo. – Słuchaj, Luther nie jest jednym z tych waszych zer, które desperacko pragną sławy za wszelką cenę. Jest gwiazdą. Wiem, że nie zawahałabyś się, żeby go wykorzystać, gdyby tylko oznaczało to, że zaimponujesz szefowej

przywiezieniem skandalizującej autobiografii, ale tak się nie stanie. Jeśli o mnie chodzi, Luther dostarczył to, do czego się zobowiązał, a teraz należą mu się wakacje. – Odchodzi, wyjmując z kieszeni telefon.

Chcę się gdzieś skryć, więc udaję się do swojego pokoju.

Serce bije mi jak oszalałe, jestem wściekła. Jak on śmie mówić, że chcę wykorzystać Luthera? Jednocześnie jestem przerażona, czuję się, jakbym spadała ze stromego klifu, u którego stóp leży wydawnictwo w stanie upadku po tym, jak odkryto brak zapisu w umowie. Popadam w niełaskę, moja kariera jest skończona... A co, jeśli książka nie powstanie?

– Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczyła ducha.

To Luther. Wyszedł ze swojego pokoju, który mieści się

naprzeciwko mojego. On jest tak przystojny, że jego widok zapiera mi dech w piersi. Jest już gotowy do wyjścia, ubrany w szarą lnianą marynarkę, niebieską koszulkę i wąskie dżinsy. Włosy ma potargane, jakby przed chwilą się zdrzemnął. W ręce niesie paczkę.

– Zobacz. Dostałem właśnie taki zestaw od Sandy.

Korespondencja i parę gadżetów.

– Gadżetów?

– Tak, firmy wysyłają mi mnóstwo produktów, żeby móc się

pochwalić, że ich używam. Zatrzymuję wszystko to, czego

asystentka Sandy nie odrzuci. Przesłali mi najnowszy iPhone'a i trochę kosmetyków – spogląda na jedną z przesyłek. – Świetnie, kolejna paczka dla Lucifera Carsona.

– Luther – wyrzucam z siebie – martwię się o książkę.

Prawdopodobnie nie tak należało to ująć, ale przynajmniej

wyszło szydło z worka.

– O książkę? Dlaczego? – zapala papierosa, choć jestem

pewna, że nie wolno palić w willi. Boże, powinnam się sama posłuchać. Palenie w domu to nie jest najgorsza rzecz, jakiej się dopuścił.

– No cóż, nie mieliśmy jeszcze okazji nad nią popracować. –

W samą porę przypominam sobie, żeby wyrażać się w bardziej pozytywny sposób. – Chciałabym to wkrótce zmienić.

– Tak zrobimy – przygląda mi się z powagą. – Alice,

popracujemy nad nią. Ale wiesz, jesteś tu dopiero jeden dzień!

Pomyślałem, że fajnie będzie cię najpierw lepiej poznać – dodaje łagodnie, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Wiesz, wyjść gdzieś, spędzić razem trochę czasu, zanim zacznę ci opowiadać historię swojego życia!

Kładzie rękę na moim ramieniu. Zerkam na nią.

– Aha – czuję się teraz kompletnie zagubiona. Czy on mówi

serio, czy tylko chce się mnie pozbyć?

– Wydajesz się fajną dziewczyną – mówi dalej. – Sądzę, że

powinnaś się zrelaksować, wyjść z nami, zabawić się... O nie, nie możesz dziś wyjść?

– Nie, obawiam się, że nie. Muszę jutro rozwiązać jakiś

kwestię swoich ubrań, a nie mogę wyjść w tym. – Wskazuję na włosienicę.

– Wyglądasz w tym uroczo – stwierdza. – To takie...

szykowne w angielskim stylu.

– Annabel mi pożyczyła – odpowiadam szybko. Nie chcę,

żeby pomyślał, że założyłam tę sukienkę z własnej woli.

– Dokładnie, angielski szyk – podsumowuje Luther.

Obejmuje mnie ramieniem i prowadzi w kierunku tarasu. – Więc słuchaj, nie przejmuj się. Zajmiemy się książką, obiecuję ci to. Czy Sam wygłosił już swoją przemowę ważniaka? Nie słuchaj go. To on pracuje dla mnie, a nie odwrotnie.

– Czyli popracujemy jutro?

– Jasne – ma tak poważną minę, że po raz pierwszy czuję się trochę spokojniej. To znaczy wydaje mi się, że faktycznie dobrze byłoby się najpierw lepiej poznać, zanim zaczniemy tak

intensywnie współpracować.

– Chodźcie na kolację – zaprasza nas Sam, który siedzi przy stole. Wiem, że obserwował koniec naszej rozmowy i uznał, że czas ją zakończyć.

Gdy wszyscy siedzimy już za stołem, daje się wyczuć pewne

napięcie. Annabel skupia się na Lutherze i wygląda jeszcze bardziej elegancko niż wcześniej. Ma na sobie obcisły żółty kombinezon, który podkreśla jej opaleniznę i blond loki. Nie wiem, jak bardzo przyjazna powinnam być wobec Luthera, więc siedzę cicho i nawet nie patrzę na Sama, który ciągle obserwuje nas sokolim wzrokiem – wyraźnie widać, że zależy mu, żeby

Luther nie powiedział nic choć odrobinę interesującego. Brian jest nieco roztargniony i wcale go nie winię. Pewnie miał nadzieję, że pojawi się ktoś lepszy niż ja.

– Wszystko w porządku? – pytam go szeptem.

– Tak, tak, oczywiście. Jaki ładny kolor – mówi, spoglądając znad okularów na Annabel. – Nieczęsto widzi się dziewczyny ubrane na żółto.

– Miałam strój w tym kolorze w czasie ceremonii wręczenia, nagród BAFTA – oznajmia Annabel. – I podczas Londyńskiego

Tygodnia Mody. To zabawne, ale teraz ten kolor jest moim

znakiem rozpoznawczym. Prasa zawsze o tym wspomina. Z

pewnością wybiorę go też w przyszłym roku na galę oscarową.

– Spodziewasz się zaproszenia? – pyta Sam.

– Oczywiście, jak tylko *Ugryzienie jej mistrza* będzie miało oficjalną premierę.

– Co to takiego? – zwracam się cicho do Sama.

Annabel spogląda na mnie protekcyjnie.

– To mój następny duży film o wampirach. Gram w nim

główną rolę. Szukamy odpowiedniego dystrybutora, na pewno będzie hitem. Moja agentka twierdzi, że to jeden z najlepszych filmów, jakie widziała, a ona ma znajomości. Jest jedną z

najlepszych przyjaciółek Martina Scorsese. Pewnie o niej

słyszałaś. Terry Heverige. Była kiedyś aktorką, odnosiła spore sukcesy w latach dziewięćdziesiątych...

Gdy Annabel dalej trajkocze, wyobrażam sobie ją

odgrywającą wampiryczny czarny charakter. Na przystawkę

zjedliśmy sałatkę z pomidorów i mozzarelli, a teraz Maria Santa podaje nam cudownie wyglądający makaron z wysmienitym sosem z mięsa i pomidorów.

– Choć uważam, że powinnam mieć też jakiegoś

przedstawiciela w Los Angeles – ciągnie swój wywód Annabel. –

Choćby po to, by odpowiadać na całe tamtejsze zapotrzebowanie.

– Spogląda wymownie na Sama. Wszyscy milkną. Sytuacja jest kłopotliwa.

– Wybacz, Annabel. Opiekuję się już kimś, kto bardzo ciebie przypomina. – Mam wrażenie, że powiedział jej to już wcześniej pewnie kilka milionów razy.

Jego wypowiedź tylko na chwilę wytrąca Annabel z

równowagi. Kiedy dochodzi do siebie, skupia swoją uwagę na mnie.

– Czy w przypadku książek też organizuje się gale? – pyta

niewinnie. – Imprezy z czerwonym dywanem? Paparazzi?

Mam usta pełne makaronu i nie jestem w stanie

odpowiedzieć, na szczęście Brian przychodzi mi z pomocą i

opowiada jej o Nibbies, Nagrodzie Bookera i innych

wyróżnieniach literackich.

– Brzmi to niezwykle elegancko – przyznaje Annabel. –

Tylko pomyśl, Luther, jak napiszesz swoją książkę, nie będziesz miał czasu na galę oscarową, będziesz szykował się na – jak to się nazywa – Nibbles?

– No tak, mógłbym się tam pojawić – odpowiada Luther. –

Zapowiada się fajnie. Mógłbym poznać atrakcyjne intelektualistki.

– Pod warunkiem że nie ominie cię ceremonia wręczenia

Oscarów – zaznacza Sam.

Zauważam, że podczas gdy wszyscy piją wino, Sam przez

całą kolację siedzi nad małą butelką piwa. Ma bzika na punkcie kontrolowania wszystkiego. Jak Luther jest w stanie z nim

wytrzymać?

– O, Marisa i Federico – mówi Luther.

Federico właśnie wchodzi, a z nim – oczywiście – niezwykła kobieta. Nie jest wysoka, ale ma szczupłą i zgrabną sylwetkę, którą podkreśliła prostą różową sukienką w stylu lat pięćdziesiątych i srebrnymi sandałkami. Nie uważam, żeby była niezwykle piękna –

ma raczej rzymski nos – ale jest bardzo elegancka. Czarne włosy idealnie upięła, jej makijaż jest nieskazitelny, a zielone oczy podkreślone eyelinerem – z zakrzywioną kreską. Teraz jeszcze bardziej wstydzę się mojej brązowej sukienki, ale Marisa zdaje się tego nie zauważać. Serdecznie wita się z Samem i Lutherem i całuje nas wszystkich, nawet mnie i Annabel. Federico, ubrany w lekko połyskujące szare spodnie i białą koszulę, wita nas z mniejszym entuzjazmem, a Marisa natychmiast zaczyna rozmowę.

– *Ciao a tutti!* Jak się wszyscy miewacie? Przepraszam, że nie mogłam wcześniej do was dołączyć. Musiałam obejrzyć

apartament. Dobrze się bawiliście? Zaprzyjaźniliście się z jachtem Federica? Kocha tę łódź bardziej niż mnie. – Uśmiecha się do męża i siadając, na moment kładzie dłoń na jego udzie. On

odpowiada jej uśmiechem, którego nie widać w jego oczach.

– Było cudownie – odpowiada Annabel. – Ładnie się

opaliłam, ale biedna Alice musiała cały dzień siedzieć w cieniu, żeby się nie przypiec. – Wyciąga swoje złociste ramię i przygląda mu się z podziwem.

– Alice jest sprytna – zauważa Marisa. – Trzyma się z dala od słońca i będzie wiecznie wyglądać młodo. Ja za dwadzieścia lat będę przypominać krokodyla.

– Bardzo atrakcyjnego krokodyla – dodaje Luther.

– Tak się nie stanie, Mariso. Będziesz jak Sophia Loren.

Młoda Sophia Loren – mówi Sam, a jego wypowiedź jest jak na niego niezwykle czarująca. Najwyraźniej, gdy zechce, potrafi się tak zachować.

– Tak – zgadza się Annabel. – Włoszki się tak pięknie

starzeją. Ja osobiście nie mogę się doczekać tej dojrzałości. Nawet kobiety po trzydziestce lub czterdziestce mogą być niewiarygodnie eleganckie.

Nie jest to najbardziej taktowna wypowiedź, zwłaszcza że

Marisa mogła już przekroczyć trzydziestkę, ale Annabel

kontynuuje swoją paplaninę. Maria Santa znów nadchodzi i jestem zaskoczona, że ona i Marisa chyba się znają – Marisa z czułością całuje ją na powitanie. Jestem też zdziwiona, bo Maria Santa podaje kolejne danie – zdaje się, że tym razem to kurczak.

Sądziłam, że zjedliśmy już kolację. Więcej nie będę w stanie w siebie wmusić. Pochłonęłam tyle makaronu.

– To drugie danie – informuje mnie z wyższością Anna- bel.

– Włosi jadają makaron na pierwsze danie, a mięso lub rybę na drugie. Nie wiedziałaś o tym?

Postanawiam, że gdy wrócę do domu i natrafię na zdjęcie

Annabel w kolorowym czasopiśmie, dorysuję na każdym z nich wąsy, nawet jeśli będę musiała wykupić wszystkie egzemplarze w kiosku. A teraz staram się jej nie słuchać. Rozmowa zeszła na temat filmowych plotek – tego, ile który film zarobił, kto ma wziąć udział w jakim projekcie, i o tym, że coś ma być sprzedane do innego studia. Marisa i Sam mają chyba wspólnych znajomych.

Annabel w tym czasie próbuje wyjaśnić Federicowi historię

Tudorów. W końcu się poddaje i stwierdza:

– Powinieneś obejrzeć mój profil na imdb.com.

Rozmawiam głównie z Brianem i Marisą. Jest w niej coś

niezwykle sympatycznego i zastanawiam się, co ona robi z

Federikiem, który jest miły, ale jeśli chodzi o osobowość, to nie ma jej wcale.

Luther odsuwa się na krześle.

– Dobrze, moi drodzy, zbierajmy się – ponagła. Wszyscy

odkładają sztucce i wstają od stołu.

– Do zobaczenia – rzucam.

– Nie jedziesz z nami? – pyta Marisa. Zanim zdążyłam coś

powiedzieć, Annabel wtrąca swoje trzy grosze.

– Och, Alice nie lubi klubów nocnych. Zamierza zostać w

domu z Brianem i spędzić wieczór w cywilizowany sposób, czyż nie? Będą rozmawiać o książkach.

Zamierzam udzielić dość ciętej odpowiedzi, gdy w wejściu

pojawia się Brian.

– Popatrz, co znalazłem, Alice – próbuje sprawiać pogodne

wrażenie. – Scrabble!

– Świetnie – odpowiadam pod nosem. Nie chcę urazić jego

uczuć, ale w tej chwili chciałabym się zapaść pod ziemię.

– Pa, paaaa! – żegna się Annabel. – Tylko nie szalejcie za bardzo!

Całe towarzystwo wygląda tak elegancko: Federico, Marisa

w różowej sukience, Annabel w kombinezonie i oczywiście Luther.

Stanowią niezwykłą grupkę. Tylko Sam nie wysilił się wcale, ma na sobie dżinsy i koszulkę – dziś białą – i nadal nosi okulary. Ma niezły tupet, nazywając mój strój pidżamą. Gdy ich głosy rozlegają się echem na dziedzińcu i podjeździe, czuję się jak dziecko, które zostało w domu z opiekunką, podczas gdy dorośli poszli się zabawić.

– Szkoda, że nie mamy słownika – stwierdza Brian, robiąc na stole miejsce na planszę.

Odwracam się w jego stronę, jestem zawstydzona.

– Przepraszam cię, Brian. Nie mam jeszcze nad nim kontroli.

Potrząsa głową i nie patrzy na mnie, gdy mówi: – Spędźmy

miły, spokojny wieczór. Jutro zaczniesz od nowa.

Nadal czuję się okropnie. Cieszę się, że nikt nie wie, że gram w scrabble z Brianem w czasie, gdy mój autor doskonale bawi się beze mnie. Luther wydaje się miły i szczerzy, dlaczego więc nie mogę nad nim zapanować? Wiem, że nie jest zainteresowany tylko imprezowaniem i rejsami jachtem, i mam wrażenie, że jestem w stanie się do tego dokopać, gdybym tylko mogła spędzić z nim więcej czasu albo gdybym pozbyła się Sama i Annabel. To takie frustrujące. Być tak blisko i nie móc nic zrobić. Jakiś cichy głos w środku pyta mnie: a co, jeśli Olivia miała rację? Co, jeżeli się do tego nie nadajesz? Z całych sił staram się go ignorować, ale słyszę go jeszcze długo po tym, jak położyłam się spać.



Rozdział 8

Po przebudzeniu czuję się odrobinę lepiej. Przecież pierwszy dzień musi być trochę zakrecony. A dziś

zamierzam rozpocząć

„Projekt Luther”. Wczoraj wieczorem, po tym jak Brian spuścił mi łomot w scrabble, uprałam w umywalce brązową sukienkę i moją koszulkę. Jest tak gorąco, że są już prawie suche. Ślad po balsamie do opalania nie zniknął całkowicie, więc wkładam sukienkę i zastanawiam się, czy reszta towarzystwa nie pomyśli, że to coś w rodzaju habitu, który noszą redaktorzy książek. Ale przynajmniej strój zakrywa część mojego poparzonego ramienia. Nos i skóra nad górną wargą nadal są jaskrawoczerwone. Śmiać mi się chce, gdy przypominam sobie, jak martwiłam się, że Luther lub Sam

rozszyfrują, że nie jestem tak naprawdę doświadczonym

redaktorem. Nie obchodzi ich to, równie dobrze mogłabym się zajmować roznoszeniem poczty.

Na zewnątrz nie ma nikogo, ale stół jest zastawiony chlebem, masłem, jogurtem, oliwkami i owocami. Cudownym zrzędzeniem losu pojawia się Maria Santa, niosąc kawę i świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, które przyjmuję z wdzięcznością. Wiem, że reszta towarzystwa wróciła o trzeciej lub czwartej nad ranem. Słyszałam dużo osób, zdecydowanie więcej niż pięć, sporo z nich mówiło po włosku i wydaje mi się, że dochodziły do mnie również odgłosy z basenu. Poza tym, że leżaki są krzywo ustawione, wszystko

wygląda raczej normalnie, ale za jedną z poduszek zauważam stanik. O mamó, ciekawe, czy na śniadaniu pojawią się jakieś nowe twarze? A może to własność Annabel? Podnoszę stanik i przyglądam mu się, próbując ocenić po rozmiarze, kto jest jego właścicielką.

– Boże, czyje to? – słyszę głos z tyłu. Natychmiast

upuszczam biustonosz, ale to na szczęście tylko Brian.

– Dzień dobry. Nie jestem pewna. Gdzie Luther?

– Wybrał się na wyścigi zabytkowych samochodów.

– Żartujesz! Kiedy? Musiał wyjechać o świcie! – spoglądam

na zegarek. – Jest dopiero dziewiąta.

– Obawiam się, że wyjechał jakieś piętnaście minut temu.

Nie mogę w to uwierzyć. To znaczy mogę uwierzyć w to, że

Luther udał się na poszukiwanie rozrywek, ale jak mogłam na to pozwolić. Po raz kolejny. Powiedział, że popracujemy nad książką.

Powinnam była wstać wcześniej i dopilnować, by nie zapomniał o swojej obietnicy.

– Nie chciałeś się tam wybrać? – pytam. – Zaproponował ci

to?

– Nie i nie miałem na to ochoty – odpowiada Brian. – Alice, będę z tobą szczerzy. Nie przyjechałem na Sycylię, żeby pływać jachtem czy oglądać wyścigi starych samochodów. Wolałbym

zostać tutaj i pracować nad tą cholerną książką. Przykro mi jednak, że pojechał tam bez ciebie. Wydaje mi się, że chciał obejrzeć jakiś konkretny wyścig.

No cóż, skoro Luther zniknął, wykorzystam okazję i zajmę się swoją garderobą.

– Czy mogę pożyczyć twoją komórkę? W mojej wyładowała się bateria.

– Oj – Brian robi dziwną minę. – Przykro mi, czekam na ważny telefon. Mam nadzieję, że nie masz żalu. Ale jest tu telefon stacjonarny.

– W porządku.

Mam zamiar zadzwonić na lotnisko i porozmawiać z kimś o

moim bagażu. Jeśli się odnalazł, wezwę taksówkę i go odbiorę, a jeżeli nie, po prostu pojedę do Taorminy albo Katanii, żeby kupić parę rzeczy. Nie stać mnie na to oczywiście, ale zapłacę kartą kredytową i będę się modlić, żeby firma zwróciła mi pieniądze.

Niespecjalnie cieszy mnie pomysł, by wyjaśniać Olivii kwestię zaginionego bagażu – i tak już uważa, że jestem zbyt roztrzepana –

ale jeśli kiedyś istniała sytuacja wyjątkowa, to ta właśnie taka jest.

Nie mogę siedzieć w willi w brązowej sukience, gdy Luther wozi się po mieście.

I właśnie w tym momencie jakby w odpowiedzi na moje

modlitwy pojawia się Maria Santa. Niesie bezprzewodowy telefon i pokazuje, że to do mnie. Świetnie! Wtedy ogarnia mnie

przerażenie: to Olivia, która nie będzie zadowolona z tego, że nie poczyniłam żadnych postępów.

– Halo – mówię niepewnie.

– Alice, *bella!* Tu Marisa!

– Cześć, Mariso, co się dzieje? Coś się stało? – nagle

zaczynam się martwić. Czy doszło do wypadku? Czy Luther

uderzył w drzewo albo wydarzyło się coś podobnego?

– Nie, nic! – odpowiada. – Sam opowiedział mi o twoim

problemie z bagażem. Muszę jechać dziś do Katanii. Możesz

wybrać się ze mną. Podjedziemy na lotnisko i odbierzemy twoje ubrania albo wyciągniemy od nich trochę pieniędzy. Jeśli

dostaniemy kasę, pojedziemy kupić sukienkę. *Va bene?*

Jestem oszołomiona tym, jak bardzo jest dla mnie miła.

– Mariso, jesteś pewna?

– Do zobaczenia za pół godziny – mówi i odkłada słuchawkę.

Przyjeżdża małym cinquecento tuż przed dziesiątą. Wygląda

bardzo sztywnie, ma na sobie rybaczki i koszulę bez rękawów, a na włosach apaszkę.

– Dobrze się wczoraj bawiłaś? – wsiadam do samochodu i

zastanawiam się, czy wspomnieć o staniku.

– Tak, dobrze. I do późna! – śmieje się, umiejętnie

podjeżdżając pod stromą górkę. – Wróciliśmy z przyjaciółmi i pływaliliśmy w waszym basenie – imponuje mi to, jak rześko

wygląda. Mam nadzieję, że też będę taka, gdy przekroczę

trzydziestkę.

Nasza wizyta na lotnisku przypomina ucieczkę z miejsca

wypadku. Podjeżdżamy tam z zawrotną prędkością, Marisa

parkuje w zupełnie niedozwolonym miejscu, wpadamy i

wypadamy stamtąd w niecałe dwadzieścia minut. Przyglądam się z boku, nie będąc w stanie wydusić ani słowa, gdy Marisa masakruje człowieka od bagażu, mówiąc bez przerwy opanowanym głosem, z rękami opartymi na smukłych biodrach. Oczywiście nie rozumiem z tego ani słowa, ale widzę, że ten człowiek zostaje stopniowo stłamszony i zmiażdżony, aż w końcu po wykonaniu dyskretnej rozmowy telefonicznej wręcza nam czek.

– Co mu powiedziałaś? – pytam zafascynowana w drodze do samochodu.

Wzrusza ramionami.

– Powiedział, że twój bagaż nadal się nie odnalazł, więc przypominałam mu, że muszą wypłacić odszkodowanie, jeśli walizka nie odnajdzie się w ciągu trzech dni.

– Ale minęły dopiero dwa! I nie trzeba było wypełnić formularza dla firmy ubezpieczeniowej albo czegoś w tym stylu?

Marisa ponownie wzrusza ramionami.

– Dostałaś czek już teraz.

Z pewnością chodziło o coś więcej, ale jestem jej niezwykle wdzięczna. Spoglądam na czek i nie mogę uwierzyć własnym oczom.

– Mariso, ale to za dużo. Mój bagaż nie był tyle wart.

– Nie? Nieważne, kupisz sobie jakieś nowe rzeczy!

– Wystarczy coś bardzo prostego – mówię niepewnie.

Katania nie od razu rozkłada mnie na łopatki. Przejeżdżamy przez dość nijakie przedmieścia i zauważam, że wiele budynków sprawia wrażenie ciemnych i brudnych. Ale po zaparkowaniu, kiedy idziemy spacerowym krokiem w kierunku centrum,

miasteczko wygląda coraz lepiej. Są tam bardzo ładne barokowe kamieniczki, dostrzegam też fragmenty zrujnowanych rzymskich albo greckich pomników. Poza niskimi palmami, które rosną

wszędzie, wszystko wygląda tak jak w moich wyobrażeniach o Rzymie. Z każdego miejsca, w którym się znajdujemy, widzimy Etnę, górującą na końcu niemal każdej ulicy. To niesamowite, że w mieście jest tak niewiarygodnie gorąco, a szczyt tej góry jest ośnieżony.

Docieramy do pięknego placu otoczonego majestatycznymi budynkami, wśród których wyróżnia się ogromny kościół, a właściwie katedra. Pośrodku znajduje się okazała kamienna

fontanna. W ogródkach kafejek siedzą ludzie, popijają kawę i obserwują otoczenie. Mija nas mężczyzna w granatowym

garniturze i różowej koszuli. W ręce niesie aktówkę, a na smyczy prowadzi pudelka. Wszyscy, nawet ci, którzy są ubrani w stroje do pracy, wyglądają, jakby byli na wakacjach. Ten widok bardziej przypomina moje wyobrażenia na temat włoskich miast.

– Wow – wyrywa mi się mimowolnie. – Jak uroczo.

Marisa śmieje się, chwyta mnie za ramię i prowadzi w stronę szerokiego deptaku, pełnego ludzi spacerujących tam i z powrotem bez specjalnego pośpiechu i wstępujących do wyjątkowo

eleganckich butików. Znajdujemy sklep, w którym kupuję

ładowarkę do telefonu, po czym Marisa sugeruje, żebyśmy skupiły się na ubraniach. Zaczynam się martwić, że zaprowadzi mnie do jednego z tych drogich sklepów, ale zamiast tego wchodzimy do domu towarowego o tajemniczej nazwie Coin (ang. moneta), co, mam nadzieję, jest dobrym nawiązaniem do tego, jakie w nim obowiązują ceny.

Gdy Marisa ogląda apaszki, ja wjeżdżam ruchomymi

schodami na piętro. Mam świadomość tego, że na mnie czeka, więc nie chcę stracić całej wieczności na wybieraniu ubrań. Poza tym te ciuchy mają mi tylko pozwolić przetrwać w trakcie tego wyjazdu. Priorytetem jest bielizna: kupuję dwa gładkie białe staniki i kilka zestawów bawełnianych majtek. Znajduję kilka granatowych koszulek, przypominających tę, którą już mam, białą koszulkę, lniane spodenki i czarną sukienkę z przeceny na jakieś wyjścia. Udaje mi się też znaleźć granatowy kardigan, który wygląda na bardzo praktyczny i ciepły. Jestem z siebie

zadowolona, więc zmierzam do kasy. Nie sędzę, żebym musiała przymierzać te ubrania – widzę, że będą pasować.

Marisa podchodzi do mnie, gdy czekam w kolejce.

– Co wybrałaś?

Pokazuję jej, a ona dosłownie się wzdraga, jakby zobaczyła worek pełen węży.

– Alice! Nie!

– Dlaczego nie? – jestem całkowicie zdezorientowana. – Co

z nimi nie tak?

Po prostu kręci głową i ma bardzo poważną minę. Zabiera

mnie z powrotem na piętro, oprowadza między wieszakami,

zdejmuje z nich ubrania i wręcza mi je. Najpierw wybiera parę białych koszulek i bawełnianych topów o różnych krojach, czarny top wiązany na szyi i różową spódniczkę o kroju tulipana. Sama nie zwróciłabym uwagi na te rzeczy, ale muszę przyznać, że wyglądają świetnie. Marisa decyduje się także na bawełniany żakiet w czarno-białe paski, jedwabną apaszkę w cudowne

niebieskie i zielone wzory, białą sukienkę na ramiączkach, bładoniebieski kopertowy kardigan i białą koszulkę, po czym zmusza mnie do przymierzenia tych wszystkich ubrań. Później dobieramy jeszcze sandały typu gladiatorki i czółenka na wysokim drewnianym obcasie. Chcę zatrzymać spodenki, ale zamiast nich Marisa proponuje rozkloszowaną granatową spódniczkę. Wybiera też wielkie okulary

przeciwsłoneczne i kapelusz z szerokim rondem. Sama znajduję piękne jasnoniebieskie bikini, granatowy zestaw jedwabnej bielizny, który będzie stanowił przeciwwagę dla bawełnianych majtek, i koszulę nocną. Marisa przypomina mi o kupnie nowej torby podróżnej i plażowej, o czym sama bym nigdy nie pamiętała. Żadna z tych nowych rzeczy nie jest droga, ale dzięki temu, jak Marisa je zestawiała, wyglądam o wiele bardziej modnie i szykownie.

– Wszystko prezentuje się wspaniale – mówię.

– To dlaczego sama tego nie wybrałaś?

– Nie wiem – przyznaję. Gdy wpadam w panikę, mam

skłonność do wybierania nieciekawych ubrań. „Nudnych”, jak powiedziałyby Ruth. – Może dlatego, że wydawały się zbyt

wymyślnie? – zdaję sobie sprawę z tego, jak beznadziejnie to brzmi. – I nie chciałam marnować zbyt wiele twojego czasu.

– Nie martw się. Nie mam dziś nic innego do roboty.

Gdy to mówi, wygląda na odrobinę smutną.

– W każdym razie muszę coś załatwić na mieście – dodaje z

tajemniczą miną.

Po zaopatrzeniu się w balsam do opalania i parę innych

kosmetyków wychodzimy ze sklepu i udajemy się do dużej

kawiarni na rogu ulicy, naprzeciwko wejścia do ogrodu

botanicznego. Marisa zostawia mnie tam i mówi, że wróci, jak tylko załatwi swoje sprawy. Wchodzę do środka, trzymając w ręce torby z zakupami. Jestem podekscytowana na myśl o moich

nowych ładnych ubraniach.

Kawiarnia jest wypełniona starszymi panami w białych

koszulach i szarych spodniach, nastolatkami w koszulkach i dżinsach, filigranowymi staruszkami w brązowych i czarnych sukienkach i pięknymi kobietami w moim wieku lub trochę

starszymi ode mnie, modnie ubranymi, ze starannym makijażem.

Nie wszyscy siedzą przy stolikach, część stoi przy barze i prowadzi bardzo głośne rozmowy. Kelnerzy w niebieskich

kamizelkach i białych koszulach w pośpiechu wbiegają za ladę, z prędkością światła serwują napoje, podają resztę i rachunki na małych metalowych tackach. Na ladzie, pod plastikowym

przykryciem, wyłożono niesamowity wybór ciasteczek, ciast i słodkości, których nie potrafię nawet nazwać. Wsłuchawszy się w szum włoskich głosów, zdaję sobie sprawę, że przez cały dzień nie widziałam ani jednego turysty.

Wszyscy, nawet drobna, ubrana na czarno i przypominająca

ptaka staruszka, która usiadła obok mnie, wyglądają tak stylowo, że postanawiam nagle, iż muszę pozbyć się tych lnianych spodni, które niemal same z siebie stoją. Sam miał rację – faktycznie wyglądają jak spodnie od pidżamy. Udaję się do maleńkiej toalety i przebieram w różową spódniczkę i czarny top wiązany na szyi.

Nie mam stanika bez ramiączek, więc postanawiam obyć się bez niego, szybko przeczesuję włosy szczotką i upinam je z tyłu głowy.

Gdy wychodzę, czuję się jak zupełnie nowa osoba. Czy to moja wyobraźnia, czy nagle więcej osób niż wcześniej patrzy w moją stronę?

Staję przy barze, żeby zamówić kawę, jak to robią tutejsi

mieszkańcy. Wybieram cappuccino, ale kelner kręci głową i

pokazuje na zegar. Podaje mi espresso z mlekiem. Nie mam

pojęcia, o co chodzi, ale zakładam, że skoro jestem w Katanii...

Kiedy wraca Marisa, nie zauważa mnie, dopóki nie chwytam

jej za ramię.

– O, przebrałaś się! – mówi z aprobatą i kładzie mi dłonie na ramionach. – Pięknie.

– Dzięki! Mogę to założyć wieczorem.

– Nie. Ubrania wieczorowe kupimy w innym miejscu.

Lubi rządzić i na swój sposób podoba mi się to.

– Masz ochotę na kawę? – pytam. – Zamówię. Tylko nie proś

o cappuccino, kelner nie chciał mi go podać.

Śmieje się.

– Cappuccino serwuje się do śniadania, dlatego nie przyjął

zamówienia. Jest dwunasta!

Ależ to dziwne. Jak na taki, zdawałoby się, wyluzowany kraj przestrzegają wielu zasad: makaron przed daniem mięsnym,

niepodawanie cappuccino po śniadaniu... Marisa wypija ze mną kawę, po czym wracamy do auta. Nie zdawałam sobie sprawy, że będziemy musiały jeszcze gdzieś jechać samochodem, więc czuję nagle wyrzuty sumienia. Nie powinnam przecież tracić całego dnia na zakupy.

– Marisa... – spogląda na mnie z wyczekiwaniem. – Uhm...

czy to daleko? To miejsce, do którego je- dziemy?

– Pół godziny drogi. Czemu pytasz?

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć jej, że nie potrzebuję ubrań wieczorowych i powinnam wrócić do willi. Ale z drugiej strony – nie mam pojęcia, czy Luther już jest w domu. A wiem na pewno, że wieczorem wychodzi, więc prawdopodobnie kupienie czegoś, w co mogę się ubrać, jeśli wyjdę razem z nim, ma sens.

– Nie, nic, tak tylko się zastanawiam! – odpowiadam,

wsiadając do samochodu.

Chwilę później wyjeżdżamy z miasta i kierujemy się na

autostradę. Po trudach wczorajszego dnia dziś czuję się o wiele bardziej zrelaksowana, a Marisa jest cudowną towarzyszką.

Opowiada o Sycylii, pyta mnie o rodzinę i życie w Londynie.

Trochę przypomina mi moją siostrę Erikę. Chce też wiedzieć, czy mam chłopaka, i okazuje dużo współczucia, gdy wspominam o

rozstaniu z Simonem.

– Nie zasługiwał na ciebie – mówi pewnym głosem. – Pojawi

się ktoś lepszy.

Nie jestem pewna, czy jej wierzyć. Skoro Simon na mnie nie zasługiwał, dlaczego nadal nie jest ze mną. Ale podoba mi się takie podejście. Chcę ją zapytać, czym się zajmuje, ale nie robię tego, bo mam wrażenie, że właściwie nie ma żadnego zajęcia.

Po mniej więcej trzydziestu minutach docieramy do

miasteczka położonego wysoko na wzgórzu, na zupełnym

pustkowiu. Gdy wysiadamy, dostrzegam falujące wzgórza w

kolorze zieleni i piasku, rozciągnięte w słońcu, a na nich gdzieniegdzie stare miasteczka. To, w którym się znajdujemy, sprawia wrażenie nieco nowszego. Nie jest szczególnie

malownicze – tylko jedna uliczka, przy której otwarto bar, salon fryzjerski i warsztat samochodowy. No i

sklep bez szyldu.

– To tutaj – Marisa prowadzi mnie do środka.

Wnętrze jest przestronne, ale w niczym nie przypomina normalnego sklepu. Ustawiono w nim mnóstwo wieszaków z ciasno stłoczonymi ubraniami. Wysoka kobieta w zielonej

sukience i okularach w rogowych oprawkach kieruje się w naszą stronę i po krótkiej rozmowie z Marisą zostawia nas, żebyśmy mogły się rozejrzeć.

Nie rozgrywa się tu scena zakupów z Pretty Woman, ale

sytuacja nieco ją przypomina. Marisa każe mi przymierzać setki sukienek, w tym piękną bladą różową jedwabną, wiązaną na szyi, i niebiesko-zieloną, wyszywaną paciorkami, w której czuję się jak paw. Nie wydaje mi się, żebym z własnej inicjatywy przymierzyła którąkolwiek z nich, ale obie są cudowne. Niemal nie rozpoznaję swojego odbicia w lustrze. Szkoda, że Simon nie może tego

zobaczyć. Ciekawe, czy w ogóle by się zorientował, że to ja?

– Nie sądzisz, że to trochę przesada?

Marisa macha ręką.

– Piękny wygląd nigdy nie jest przesadą.

Obie sukienki są przecenione – dopiero po jakimś czasie

zdaję sobie sprawę z tego, że to outlet – i stać mnie na ich zakup, zwłaszcza teraz, gdy dysponuję moim cudownym czekiem.

Przymierzam też czarną kopertową sukienkę, która wygląda na praktyczną i ma cenę obniżoną o siedemdziesiąt pięć procent, ale Marisa kręci głową.

– Blondynki dobrze wyglądają w czerni, ale ten krój jest dla ciebie zbyt poważny – decyduje. – Poza tym chyba masz już

mnóstwo czarnych ubrań.

Mam zamiar zapytać ją, skąd o tym wie, ale uświadamiam

sobie, że bawi się ze mną. Nie mam nic przeciwko temu.

Wyciągam najlepszy okaz z całego sklepu: kurtkę motocyklową, lekką jak piórko, dopasowaną, niezwykle twarzową, uszytą z bardzo miękkiej stalowoniebieskiej skóry. Marisa sugeruje, żebym przymierzyła ją do sukienek, o czym sama nigdy bym nie

pomyślała. Jest piękna, ale zbyt droga.

– Jeśli się w niej nie zakochałaś, nie powinnaś jej kupować –

mówi Marisa poważnym tonem. – Ale jeżeli się zakochałaś, kup ją.

Ma rację. Biegnę, żeby oddać kurtkę kobiecie za ladą, zanim ktoś inny ją przechwyci. Przez całą wieczność zastanawiam się nad wyborem sukienki i uświadamiam sobie, że próbuję odgadnąć, która bardziej podobałaby się Lutherowi. Odganiem od siebie te myśli – postanawiam zaszaleć i kupić obie. Marisa mówi, że to dobra inwestycja. Sama przymierza dzinsy, ale rezygnuje z nich z powodu jakiejś drobnej wady.

Jest już po drugiej, mówię Marisie, że chciałabym zaprosić ją na lunch. Idziemy do małego baru usytuowanego przy tej samej ulicy. W środku siedzi kilku mieszkańców miasteczka, którzy z ciekawością na nas zerkają, gdy wchodzimy, po czym tracą

zainteresowanie, kiedy dostrzegają nasze torby. Marisa rzuca w przestrzeń *Buona sera*, a wszyscy odpowiadają. Nastolatka odrywa się od wysyłania SMS-ów, prowadzi nas do stolika i podaje dwie miseczki gnocchi z sosem ze świeżych pomidorów, chleb i

czerwone wino. Nagle zdaję sobie sprawę, że umieram z głodu.

Marisa z podobnym entuzjazmem zabiera się do klusek, które posypała wcześniej parmezanem. Jestem jej bardzo wdzięczna za to, że służyła mi dziś pomocą, choć mogła spędzić dzień na jachcie z Federikiem albo na wyścigach samochodowych z Lutherem.

– Skąd ty i Federico znacie Luthera? – pytam.

– Poznałam Sama kilka lat temu w Cannes, a później jeden z jego podopiecznych występował w filmie, którego byłam

producentką. Pozostaliśmy w kontakcie, a gdy przyjechał na Sycylię z Lutherem, zadzwonił do mnie. Teraz ja i Federico cieszymy się, że możemy z obydwojma się spotykać.

– Nie wiedziałam, że pracowałaś w filmie.

– Ach, tak, przez pięć lat w Rzymie jako producentka.

Zrobiliśmy wiele filmów w koprodukcji z brytyjski- mi i francuskimi wytwórniami, a także japońskimi i koreańskimi...

Wiele pięknych filmów ze wspaniałymi reżyserami.

– I co się stało? Dlaczego postanowiłaś z tego zrezygnować?

– Zbankrutowaliśmy.

– Oj.

– A później wyszłam za Federica. Pracuje na Sycylii. Nie

może stąd wyjechać, więc wyniosłam się z Rzymu i przyjechałam tutaj.

– Na Sycylii nie kręci się filmów? – pytam.

– Nie za bardzo. Włoski przemysł filmowy jest dość mały,

jeśli porównywać go z francuskim czy hiszpańskim, i prawie wszystko odbywa się w Rzymie. Tu ogólnie nie ma za dużo pracy.

Sycylia, jak sama widzisz, jest piękna, ale niezbyt bogata. Niemal wszyscy moi znajomi z dzieciństwa wyprowadzili się z naszego miasteczka i przenieśli do Palermo lub Mesyny albo do

kontynentalnej części Włoch.

Jestem w szoku. Zrezygnowała z kariery dla Federica? Ale

nie mogę zadać takiego pytania, więc zagaduję:

– Czyli pochodzisz z Sycylii?

– Oczywiście. Poznałaś moją matkę!

– Naprawdę? Kiedy?

Marisa spogląda na mnie rozbawiona.

– Nie widziałaś jej rano przy śniadaniu?

– Maria Santa? To twoja mama? – jestem zdziwiona, ale

teraz, gdy o tym myślę, dostrzegam oczywiste podobieństwo. – Jak to się stało, że tam pracuje?

– Mama jest na emeryturze, ale wcześniej razem z tatą

prowadzili hotel w Cefalù, na północnym wybrzeżu. Po śmierci taty lubi czasem wyrwać się z domu. Opowiedziałam o tym

Samowi, a on zapytał, czy nie chciałaby pracować w willi.

Zgodziła się.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– Mamy nawet tak samo na imię – Marisa to skrót od Maria

Santa. Parę lat temu zajmowanie się Lutherem byłoby dla niej zbyt trudne, ale z tego, co mówi Sam, teraz jest dużo lepiej. Nie chodzi już tak często na imprezy.

Myślę o Samie. Zaproponowanie pracy Marii Sancie było

całkiem miłe, ale czy nie jest tak, że on musi mieć nad wszystkim kontrolę? Uświadamiam sobie z ogromnymi wyrzutami sumienia, że od paru godzin nawet nie pomyślałam o książce. Oczywiście myślałam o Lutherze, ale nie o jego autobiografii.

– Tak więc, *bella*, jak się mają sprawy z Lutherem? Robi, co do niego należy? – dopytuje się Marisa, jakby czytając w moich myślach.

– No cóż, jeszcze nie.

– Poproś Sama o pomoc. Jest bardzo skuteczny.

– No tak – przyznaję wymijająco.

Marisa uśmiecha się.

– Nie lubisz go? To świetny facet. W niczym nie przypomina typowego agenta z Hollywood.

– Naprawdę? – mam wątpliwości odnośnie do obu tych

stwierdzeń. – Szczerze mówiąc, uważam, że jest bardzo

niegrzeczny i... bezużyteczny.

– Nie! Alice, nie wiesz, ile masz szczęścia. Sam jest taki rozsądny i godny zaufania. Po prostu troszczy się o Luthera. Jak tylko będziesz go miała po swojej stronie, uda ci się zrobić wszystko.

Z pewnością nie poznałam jeszcze tej wspaniałej wersji

Sama. A, co ważniejsze, nie mam go po swojej stronie.

– Luther nie jest zły – ciągnie dalej Marisa. – Naprawdę

łatwo się z nim porozumieć, zważywszy na to, kim jest. Ale ma dużo energii i nie jest przyzwyczajony do pracy nad czymś innym niż film. Musisz więc być dla niego łagodna, ale stanowcza. Lubi cię, a to ważne. Jak tylko zdobędziesz jego zaufanie, możesz nim pokierować, a on cię posłucha. – Widząc, że rzednie mi mina, dodaje: – Uwierz mi, pracowałam z wieloma aktorami. Każdy z nich potrzebuje reżysera.

Chciałabym, żeby wszyscy, którzy udzielają mi rad, jak

postępować z Lutherem, sami musieli się nim zająć. Ale Marisa ma rację i wyobrażam sobie, że musiała być wspaniała w tym, co robiła.

– Nie brakuje ci twojej pracy? – pytam z zaciekawieniem.

Normalnie nie zadałabym takiego pytania, ale piję już drugi kieliszek wina.

– Może – odpowiada. – Tak, chyba tak. Ale trzeba czasem

podjąć jakąś decyzję.

Zastanawiam się, jaką dokładnie decyzję podjęła. Nie wydaje się do szaleństwa zakochana w Federicu – tak naprawdę czegoś między nimi brakuje. I zastanawiam się, czy nie jest przypadkiem zainteresowana Samem? Chyba nie, w przeciwnym razie nie

wychwalałaby go w tak otwarty sposób. A może?

– W każdym razie – mówi – nie przejmuj się tym. Dziś

wieczorem wszyscy pójdziemy do Tesoro, będziemy się dobrze bawić, zaprzyjaźnimy się, a jutro zacznie się twoja artystyczna współpraca z Lutherem!

Podnosi kieliszek i wznosimy toast za mnie i Luthera.



Rozdział 9

Marisa proponuje, żebym nie wracała do willi, tylko

przebrała się u niej w mieszkaniu, które jest usytuowane na obrzeżach Taorminy. Po drodze słuchamy radia i rozmawiamy.

Droga jest przepiękna, prowadzi wzdłuż wybrzeża i w górę

wzniesienia, którym jedziemy tak długo, aż docieramy do małego i niezwykle malowniczego miasteczka położonego na klifie

wcinającym się w morze – właśnie to miasteczko widziałam z tarasu naszej willi.

Parkujemy w pobliżu apartamentu Marisy, który mieści się w nowoczesnym budynku na przedmieściach. Federica nie ma w

domu. Mieszkanie nie jest bardzo duże, ale sprawia wrażenie niezwykle przestronnego i zostało urządzone (prawdopodobnie przez Marisę) w naprawdę dobrym stylu – mnóstwo tu kwiatów, na jedną z białych kanap narzucono wielki jedwabny szal w drobne wzorki, a na kamiennej podłodze leży pleciony dywan, który wygląda, jakby kosztował setki funtów.

– Moja ciotka go zrobiła – mówi Marisa, gdy wyrażam

pochlebny opinię na temat dywanu. – Napijesz się campari?

Nie mam pojęcia, co to takiego, ale brzmi jak nazwa czegoś bardzo wyrafinowanego, więc przytakuję. Marisa proponuje mi wyjście na taras i mówi, że za chwilę to przyniesie. Wcześniej przypominam sobie, żeby podłączyć ładowarkę do telefonu.

Jestem taka szczęśliwa, że mogłam ją kupić. Dostałam mnóstwo wiadomości. Jest SMS od Eriki, która życzy mi powodzenia, trzy wiadomości od mamy – w jednej pyta, jak się miewam, w drugiej podaje namiary na znajomego, który mieszka w Rzymie i z którym powinnam się skontaktować, gdybym potrzebowała pomocy, a w trzeciej dopytuje się, dlaczego jeszcze nie odpisałam. Jezu, jakbym była w Mongolii. Wysyłam tę samą wiadomość do niej i do Eriki:

„Wszystko w porządku, piękne miejsce. Luther b. miły, z książką wszystko ok”. Większość z tego to prawda. Widzę, że mam

nieodebrane połączenie od Olivii. Ups. Zaczekam, aż napiję się campari, i dopiero wtedy do niej zadzwonię.

Wychodzę na zewnątrz, na taras, i opada mi szczęka. Przede mną rozciąga się widok na całe miasto: mozaika czerwonej

dachówki, kamiennych łuków i pięknych starych domów w

kolorze złota, lodów truskawkowych i brzoskwini. W oddali dwie złociste plaże, kształtem przypominające tureckie szable, przecinające się pośrodku w miejscu, w którym znajduje się maleńka zielona wyspa. Morze ma granatową barwę, upstrzone jest gdzieś tam białymi plamkami jachtów płynących przez zatokę i krzyżujących swoje trasy. Miasteczko leży na szczycie stromego klifu porośniętego sosnami, kaktusami i

wszechobecnymi palmami. Dzięki tej egzotycznej roślinności niemal odnoszę wrażenie, że jestem w tropikach. Poniżej, na obrzeżach miasta, widzę grecki amfiteatr. Jeśli spojrzę nieco dalej w prawą stronę, dostrzegam Etnę i jej ośnieżony szczyt. Szkoda, że nie mam ze sobą aparatu.

– Pięknie, nieprawdaż? – pyta Marisa, niosąc drinki.

– Nie mogę uwierzyć, że tu mieszkasz – odpowiadam, biorąc

swoje campari. Próbuję drinka i prawie wymiotuję. Smakuje jak syrop na kaszel. Marisa spogląda na mnie i wybucha śmiechem.

– Campari nie jest dla każdego – stwierdza. – Chcesz

lemoniady?

– Nie, w porządku. Trzeba się do tego przyzwyczaić, ale

coraz bardziej mi smakuje. – Nadal kojarzy mi się z lekarstwem, ale jest odświeżający, co stanowi całkiem miłą odmianę po białym winie. I mam wrażenie, że to idealny napój do smakowania, gdy siedzi się na tym balkonie i podziwia piękne widoki.

Odpoczywamy tak mniej więcej godzinę, pijąc campari i

rozmawiając, aż wreszcie Marisa proponuje, żebyśmy zaczęły się przygotowywać.

W mieszkaniu znajduje się garderoba z toaletką i

zabudowanymi szafami po obu stronach pomieszczenia. Nie jest jednak przeznaczona wyłącznie na jej ubrania – jedną połowę wypełniają garnitury i koszule Federica. Nie mogę się

zdecydować, czy włożyć różową czy niebieską sukienkę. Ta druga jest niesamowita, ale wydaje mi się, że stanowi zbyt duży przeskok w stosunku do tego, jak wyglądałam wcześniej. Dzięki wszystkim tym paciorkom sprawia wrażenie za bardzo szykownej.

– To jest bardzo elegancki klub – podkreśla Marisa.

Jednak czuję, że różowa sukienka jest bardziej w moim stylu.

Naprawdę jest bardzo ładna – uwodzicielsko opina moje ciało, a jej kolor pasuje do bladej skóry. Szkoda tylko, że mam te

poparzenia słoneczne. Nigdy wcześniej nie nosiłam niczego z tak dużym dekoltem z tyłu, więc jestem zdziwiona, jak seksownie to wygląda. Nie mogę założyć stanika, ale myślę, że nic się nie stanie

– to jedna z zalet posiadania niewielkiego biustu.

– Masz szczęście – mówi Marisa i potrząsa głową. – Ja bez

stanika wyglądam jak potwór.

Trudno byłoby sobie wyobrazić coś bardziej różnego od

potwora niż Marisa – w szmaragdowej sukience bez ramiączek i z cienką brylantową bransoletką na szczup- łym, opalonym

nadgarstku wygląda jak milion dolarów. Zafascynowana

obserwuję, jak zawija włosy na termoloki i owija wokół nich jedwabną apaszkę na czas ich stygnięcia.

– A jak mam cię uczesać?

Potrząsam głową.

– Nie, do mnie nie pasują kręcone włosy.

– Ale nie będą kręcone. Będą miały więcej objętości. No,

dalej.

Zachowuje się jak dziewczynka bawiąca się lalką. Każe mi

usiąść i nawija moje włosy na ogromne wałki z rzepami, a

następnie traktuje je zimnym powietrzem suszarki. Mam pewne wątpliwości, ale ufam jej.

– A teraz makijaż! Mogę się tym zająć?

Nie jestem pewna, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Już się umalowałam – odpowiadam. Nałożyłam korektor na

czerwony nos i wargę, pomalowałam rzęsy maskarą, a usta

błyszczkiem i podkreśliłam powieki brązowym cieniem. Czy ona naprawdę tego nie widzi?

Marisa potrząsa głową.

– Dyskretny makijaż jest w porządku, ale nie na wieczorne

wyjście – zaznacza i zabiera się do pracy.

Obawiam się, że będę wyglądać jak *drag queen*, ale wcale tak się nie dzieje. Marisa używa niektórych moich kosmetyków, ale nakłada je swoimi pędzlami – ma ich chyba z dziesięć w zestawie – co wraz z rozcieraniem i cieniowaniem zajmuje jej wieki. Po całej operacji wyglądam jak ja, ale dużo lepiej: moje oczy wydają się większe, usta pełniejsze, skóra jest absolutnie bez skazy i nawet policzki są zarumienione, a nie po prostu

zaczerwienione. Marisa zmieszała też mój podkład z balsamem do ciała i zakamuflowała oparzenie na moim ramieniu. Wreszcie zdjęła wałki i roztrzepała włosy palcami. Z trudem się rozpoznaję: wyglądam zupełnie inaczej. Gdy głośno zachwycam się efektem końcowym, dzwoni telefon.

To Olivia. Cholera! Odbieram w przedpokoju.

– Alice! – na linii są zakłócenia. – Wreszcie! Dzwonię do

ciebie i dzwonię!

– Ojej, tak mi przykro, Olivio. Zgubiłam ładowarkę...

Wzdycha tak głośno, że słyszę to aż tutaj.

– Alice, musisz nauczyć się być bardziej uważna. No i jak się sprawy mają? Udało ci się poczynić jakieś postępy? Wiesz,

wszyscy czekamy na wieści.

– Yhm – na moim odbiciu w lustrze w korytarzu maluje się

poczucie winy. Bezgranicznie cieszę się, że Olivia mnie teraz nie widzi, gdy jestem tak odstrzelona i trzymam w dłoni campari. – No cóż, na razie skupiam się na tym, by lepiej go poznać.

– Lepiej go poznać? – Olivia jest sceptyczna. – A jakie

postępy poczyniłaś w związku z książką?

Zamykam na moment oczy i biorę głęboki oddech.

– Olivio, robię, co w mojej mocy. Ale Luther jest sprytny.

Niedawno skończył zdjęcia do filmu. Jest z nim kilkoro przyjaciół

i chce odpocząć. W tej chwili pracuję nad tym, aby łączyły nas dobre stosunki, a później mam nadzieję...

– Dobre stosunki? Alice, nie masz na to czasu. Jesteś tam, żeby wyrzucić na niego presję. Musisz posadzić go w tej chwili przy stole i zmusić do pracy.

W trakcie rozmowy przechodzę do salonu. Klęczę na

krawędzi fotela, wyglądam przez okno i obserwuję, jak słońce świeci nad dachami złotego miasteczka.

– Tak zrobię, Olivio, obiecuję. Jestem tu dopiero od dwóch dni – wiem, że sprawiam wrażenie totalnej idiotki. Tak naprawdę chcę ją zapytać, jak to zrobić, jak zmusić go do pracy, ale nie potrafię.

Olivia ciągnie dalej:

– Gdyby nie to, że zabroniono mi latać po operacji, już bym tam była i zajmowała się tą sprawą. – Następuje złowroga cisza.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Wszystko jest w porządku. Ale nie za bardzo mogę się

ruszać. I bardzo martwi mnie ta książka.

Po raz kolejny biorę głęboki oddech.

– Wszystko będzie dobrze, Olivio, naprawdę. Luther jest

bardzo miły i wydaje się podekscytowany myślą o książce. Sądzę, że potrzebuję jeszcze jednego lub dwóch dni, żeby zdobyć jego zaufanie – gdy patrzę na siebie w lustrze, widzę, że się czerwienię, ponieważ, jeśli mam być szczerą, nie wiem, czy mój strój ma pomóc budować zaufanie, czy coś zupełnie innego.

– Dobrze, zajmij się tym – mówi Olivia. – I wykorzystaj do pomocy jego agenta. Jest tam, prawda? Niech on w twoim imieniu naciska Luthera. Przypomnij mu o zapisach w umowie.

– Tak zrobię – czuję, że jest mi niedobrze. Boże, ten zapis w umowie.

– Nie mogę wszystkiego za ciebie zrobić, Alice. Musisz

nauczyć się przejmować kontrolę nad takimi sprawami i

podejmować decyzje.

- Wiem – odpowiadam z pokorą w głosie.
- Muszę kończyć – odkłada słuchawkę.
- Wszystko w porządku? – Marisa stoi tuż za mną.
- A, tak. To tylko moja szefowa pyta o Luthera.

Marisa z pewnością dostrzega w moich oczach przygnębienie.

– Nie przejmuj się – pociesza mnie. – Jest takie sycylijskie przysłowie „Martwimy się...” – Próbuje jak najlepiej

przetłumaczyć to powiedzenie. – „Martwimy się, a później umieramy”. Czy za rok będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie?

No cóż, chcę powiedzieć, że będzie miało znaczenie, bo jeśli nie dostaniemy tej książki, stracimy miliony funtów, a ja zostanę dyscyplinarnie zwolniona. Ale nie ma sensu teraz się nad tym rozwodzić.

– Mogę się jeszcze napić campari? – pytam.



Rozdział 10

Kiedy schodzimy po schodach, obie w butach na wysokich

obcasach i skropione Acqua di Gioia Marisy, udaje mi się odpędzić od siebie myśl o rozmowie z Olivią i cieszę się na dzisiejszy wieczór. W końcu pokażę się w czymś innym niż w tej

włosiennicy. Nagle uświadamiam sobie: przede mną wieczorne wyjście z Lutherem! Nie widziałam go przez cały dzień, ale był to czas owocnie spędzony. Wreszcie będę w stanie dotrzymać mu kroku i poznać go na równej stopie w nieformalnych

okolicznościach. A jutro odwalimy kawał dobrej roboty nad

książką. Prawie zapominam o moich torbach z zakupami, ale

Marisa mówi, że jeden z jej kuzynów wpadnie później odwiedzić Marię Santę i mi je przywiezie.

Jeśli widok z balkonu można uznać za spektakularny, to

miasteczko samo w sobie wygląda jak plan filmowy. Idziemy

wąskimi, krętymi średniowiecznymi uliczkami, a na końcach

małych alejek, gdzie czerwone i jaskraworóżowe kwiaty wysypują się z czarnych, kutych z żelaza balkonów, osadzonych wysoko na ścianach, przeblyskuje morze. Kamienne łuki i rosnące wszędzie palmy nadają okolicy niemal arabski wygląd. Idąc, uświadamiam sobie, jak wolne jest nasze tempo w porównaniu z tym, którym normalnie poruszam się po Londynie. Ludzie tutaj raczej się przechadzają lub prześlizgują. Częściowo pewnie dlatego, że jest tak gorąco – już czuję, jak moja jedwabna sukienka przykleja się do skóry. Poza tym spacerowanie wydaje się tu takim samym

towarzyskim zajęciem jak przesiadywanie w barze czy kawiarni.

Całe miasto jest jednym wielkim wybiegiem. Marisa zna chyba wszystkich i zatrzymuje się kilka razy, żeby powiedzieć *Ciao* i kogoś ucałować. Każda osoba, z którą się wita, jest bardziej szykowna od poprzedniej i wszystkie spoglądają na mnie z

ciekawością, kiedy Marisa nas sobie przedstawia.

Gdy przechodzimy obok kościoła, wychodzi z niego piękna

kobieta w długiej czarnej sukience, z włosami w kolorze

ciemnoblond, z pasemkami, trzymająca na rękach dziecko, a

towarzyszy jej ciemnowłosa mężczyzna w szarym garniturze. Ich pogawędka wydaje się przyjazna, ale ja wyczuwam między nimi jakieś napięcie – mam wrażenie, że coś podenerwowało Marisę, ale tego nie okazuje.

– Kto to był? – pytam moją towarzyszkę, gdy znikają z pola widzenia.

– Chodziłam z nią do szkoły. Zawsze pyta mnie, kiedy

założymy rodzinę. Możesz w to uwierzyć? Ludzie są tacy

niegrzeczni. – Wygląda na wściekłą i wcale jej się nie dziwię.

– Mojej siostrze Erice też się to zdarza – mówię. Zabawne, że nawet w takim miejscu, które dla mnie wygląda jak raj, ludzie przejmują się tymi samymi rzeczami, co u mnie w domu.

Restauracja, w której spotykamy resztę towarzystwa, mieści się w starym kamiennym budynku przy jednym z głównych

placów. Jest jeszcze ładniejszy niż ten w Katanii. Gdy spaceruję z Marisą, mam wrażenie, jakbym grała w filmie. Wyobrażam sobie, że wracamy tutaj z Lutherem, jest późny wieczór, jego marynarka okrywa

moje ramiona... Okej, muszę się wziąć w garść.

Wnętrze jest bardzo nowoczesne, ściany są białe, wszędzie

wisi pełno dziwacznych obrazów, a kelnerzy ubrani w czarne dżinsy i białe koszulki zwijają się jak w ukropie. Stoliki na zewnątrz wyglądają bardzo zachęcająco, ale chyba zarezerwowano dla nas prywatną salę. Gdy wchodzimy z Marisą do środka, widzę, że ludzie kierują spojrzenia w naszą stronę. Wszyscy oczywiście gapią się na nią, ale uświadamiam sobie, że parę osób patrzy też na mnie. Słyszę strzępy rozmów prowadzonych przez tutejszych

modnych bywalców:

– Znam ją. Czy to nie ta francuska aktorka? Wiesz, ta,

która...

– Taa, taka z niej Francuzka jak... tak ci powiedziała?

Pochodzi z Libanu.

– Wiesz, że jest tu Luther Carson? Postaram się go poznać!

Słyszałam, że później wybiera się do Tesoro.

Nasza grupa została ulokowana w prywatnej sali, wszyscy

już siedzą przy stole. Annabel jest tego wieczoru jeszcze bardziej opalona. Wygląda pięknie, ma na sobie wyjątkowo obcisłą czarną sukienkę bez rękawów, z małym dekoltem przyozdobionym

piórami. Włosy upięła w wysoki kok w stylu lat sześćdziesiątych.

Kiedy mnie dostrzega, mina jej rzednie.

– Alice, wyglądasz o wiele lepiej – zauważa zdziwiona. – To niesamowite.

Luther wstaje.

– To bardzo seksowna sukienka – stwierdza i całuje mnie w

policzek. Nigdy wcześniej tego nie robił, więc czuję niewielki wstrząs, jakby lekko poraził mnie prąd. Wysuwa dla mnie krzesło, siadam obok niego. Tracę trochę ze swej pewności siebie, gdy zsuwam z ramion moją kurtkę – sukienka wiele odkrywa. Luther zamierza wziąć moje wierzchnie okrycie, ale wyprzedza go kelner, który natychmiast się na nie rzuca. Daje mi duży, zdobiony klucz, dzięki któremu, jak zakładam, mam później odebrać kurtkę. Sam też przyjrzał mi się dokładnie i nadal się na mnie gapi.

– Dobrze się bawiłaś na zakupach, Alice? – pyta Anna- bel. –

Brian ciężko pracował w domu. Nadal tam jest.

Mam zamiar jej odpowiedzieć, gdy Sam się wtrąca:

– Ja też dziś pojechałem na zakupy – ma na sobie wytworną

marynarkę i niebieską koszulę. – Jadę we wrześniu na festiwal do Wenecji i chcę tam uchodzić za Europejczyka.

Faktycznie wygląda zaskakująco elegancko, biorąc pod

uwagę to, że nigdy nie widziałam go ubranego w coś innego niż koszulkę. No i nie ma okularów.

– Niezła próba – mówi Luther, leniwym gestem obejmując

oparcie mojego krzesła. Siedzę idealnie wyprostowana, boję się oprzeć. – Możesz być tajemnym fanem wszystkiego, co

europejskie, ale i tak zawsze będziesz wyglądać jak jankes.

Człowieku, jesteś taki wysoki. Nie chodzi tylko o ubrania, ale o to, jak je nosisz.

– Zgadzam się – dodaje poważnym tonem Federico. – Styl

jest bardzo ważny dla Włochów.

Marisa poklepuje go po ramieniu, ale zauważam, że nie

patrzy na niego, tylko na Sama.

– Za każdym razem, gdy odwiedzam moich dziadków w Salt

Lake, jeśli tylko nie włożę koszuli w kratkę, ludzie mówią mi, że wyglądam jak z LA – przyznaje się Sam.

– Z tym nie da się

wygrać.

– Sądzę, że mam dość uniwersalną urodę – mówi Anna- bel.

– Choć może powinnam znów wybielić zęby, żeby móc grać

Amerykanki.

– Aha – potwierdza Luther, prawie jej nie słuchając. Annabel opada szczęka. Boję się spojrzeć w jej stronę. Mam całkowitą świadomość tego, że Luther trzyma rękę na oparciu mojego

krzesła. Widziałam jednak wcześniej, jak siedzi w takiej pozycji.

To nic nie znaczy, on po prostu lubi się wyciągnąć.

– Alice, czy możemy się zamienić miejscami? – to znowu

Annabel.

– Yhm, ale dlaczego?

– Chcę móc widzieć się w lustrze – odpowiada. To raczej głupie, nawet jak na nią, więc nie wiem, co powiedzieć. Ratuje mnie Luther.

– Zostańmy na swoich miejscach – decyduje. – Chcę złożyć zamówienie. Co zjecie?

– Cielecinę w winie Marsala – oznajmia Federico.

– Dla mnie miecznik – mówi Marisa.

– Nie mogę się zdecydować. – Przeczytałam menu już z pięć razy i nie umiem dokonać wyboru. – Wszystko brzmi zachęcająco.

– Chcesz, żebym zamówił dla ciebie? – pyta Luther. – To może być miła niespodzianka.

– Pewnie, dlaczego nie – odpowiadam. Luther poleca risotto z białymi truflami i gotowanego kurczaka ze szparagami. Widzę, że Sam spogląda na mnie sceptycznie, ale nie dbam o to. Kiedy pojawia się kelner, zamawiam dokładnie to, co zaproponował

Luther. Gdy przychodzi jego kolej, nadal przegląda kartę dań.

Wszyscy czekają, a on dalej czyta. W końcu stwierdza:

– Czy mogę zamówić średnio wysmażony stek z frytkami?

Jestem zaskoczona, tego dania nie ma w karcie. Ale kelner kiwa głową i odchodzi.

Kolacja mija szybko jak we śnie. Luther jest w świetnej

formie, nalewa mi raz po raz wina, rozśmiesza nas wszystkich, kiedy postanawia nauczyć się mówić z angielskim akcentem. Po winie ogarnia mnie euforia. Widzę nasze odbicia w lustrze: wszyscy wyglądamy bardzo sztywnie. Przyglądam się blondynce w różowej sukience, która rozmawia z Lutherem. Czy to naprawdę ja? Zastanawiam się, czy ludzie, którzy na nas patrzą, uważają nas za pary. W takim przypadku ja, skoro siedzę obok Luthera,

byłabym jego... Wiem, że to tylko zabawa i fantazje, ale za

każdym razem, gdy spoglądam na niego, czuję się trochę

przyłoczona tym, jak na mnie patrzy.

W tym czasie Annabel zachowuje się jak rozpieszczona dwulatka i wylewa z siebie niekończący się potok żądań.

– Ta woda mineralna dziwnie smakuje. Czy możemy

poprosić o inną butelkę? Gorąco mi. Czy możemy ich poprosić o podkręcenie klimatyzacji? Sam, zamówiłam sałatkę bez oliwy. Jak po włosku mówi się „bez oliwy”?

– Nie ma takiego określenia po włosku – odpowiada Sam.

Podchodzi do nas młoda Angielka.

– Luther? Uwielbiam twoje filmy. Czy mogę zrobić zdjęcie?

– Oczywiście, pod warunkiem że sfotografujesz też moją dziewczynę.

Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie tak mocno, że nasze twarze się dotykają.

– Dziękuję! – dziewczyna odchodzi rozpromieniona. Serce bije mi szybko. Nadal czuję dotyk jego policzka na mojej twarzy.

– Czy chcesz, żebym porozmawiał z właścicielem? – pyta Sam.

– Nie przejmuj się tym, wielkoludzie – odpowiada leniwie

Luther i posyła mi uśmiech. – Powinniśmy ją poprosić o zdjęcie, prawda? – to pytanie jest zabawne, bo myślę dokładnie o tym samym.

Annabel z każdą sekundą jest coraz bardziej rozgniewana, a jej czarna sukienka pasuje kolorystycznie do jej nastroju. Wpatruje się w Luthera, który sprawia wrażenie, jakby był tego zupełnie nieświadomy. Pije wino. W restauracji jest tak gorąco, że cieszę się, iż moja sukienka jest tak skąpa, dzięki temu przynajmniej się nie rozpląnę.

Wraca dziewczyna z aparatem i zwraca się do Annabel.

– Przepraszam, zapomniałam powiedzieć, że wydaje mi się, że też cię skądś znam.

Annabel uśmiecha się z wyższością.

– Czy nie występujesz w telezakupach późno w nocy?

Annabel nawet nie próbuje odpowiedzieć, gromi tylko

spojrzeniem dziewczynę. Udaje mi się nie roześmiać, ale gdy łapię spojrzenie Marisy, wymieniamy porozumiewawcze uśmieški.

– To takie tandetne – mówi Annabel, gdy dziewczyna

odchodzi. – I nawet nie zaoferowali nam darmowego szampana.

Nigdy więcej tu nie wrócę.

– Może zamówię kawę – proponuje Sam.

– Nie, chodźmy – oponuje Luther.

Gdy zbieramy się do wyjścia, uświadamiam sobie, że dużo

wypiłam – wprawdzie sala nie wiruje wokół mnie, ale wyczuwam lekkie kołysanie jak na jachcie. Chyba kawa dobrze by mi zrobiła, skoro jednak Luther chce już wyjść, wszyscy się wynosimy.

Prawie zapominam o kurtce, ale jeden z kelnerów wybiega za nami i przynosi mi ją. Próbuję ją założyć, ale on nalega, że mi w tym pomoże, co okazuje się całkiem przydatne, bo mam problemy z rękoma.

– Z pewnością włożyłaś dziś w swój wygląd sporo wysiłku.

Mam nadzieję, że w klubie nie będziesz się czuła zbyt wystrojona

– zwraca się do mnie Annabel z lekkim uśmieszkiem, gdy

zmierzamy w stronę samochodu. – Zauważyłam, że dziewczyny z zagranicy się tak odstawiają, a Włoszki podchodzą do tego

bardziej swobodnie.

Nie wydaje mi się, żeby to była prawda, zwłaszcza po tym,

co wcześniej powiedziała Marisa, no i sama Annabel nie wygląda zbyt swobodnie, ale nie odpowiadam. W sumie to nie jestem

pewna, czy byłabym w stanie. Zdecydowanie potrzebuję chwili odpoczynku, żeby głęboko odetchnąć. Mam nadzieję, że świeże powietrze mnie orzeźwi, ale nadal lekko się zataczam. Sam widzi, że prawie się potykam, lecz nic nie mówi.

Gdy docieramy do samochodu, wielki jeep ma już włączony

silnik. Wsiadamy. Luther zamierza usiąść z przodu, ale w ostatniej chwili mówi do Sama:

– Jesteś najwyższy. Siadasz z przodu.

Zanim Sam zdążył zaprotestować, Luther błyskawicznie

wskakuje na tylne siedzenie i zajmuje miejsce obok mnie.

Dociera do mnie zapach jego płynu po goleniu i przez całą drogę czuję, jak jego ciało ociera się o moje.

– Kocham takie zakręty – mówi do mnie, uśmiechając się

przy tym szelmowsko. To, że jest tak blisko, sprawia, że kręci mi się w głowie.

Klub wygląda jak dom – prowadzi do niego długi podjazd, na końcu którego parkujemy. Gdy podchodzimy do drzwi

wejściowych, dźwięk cykad jest stopniowo zagłuszany przez

dudnienie muzyki. Przed budynkiem stoi kolejka złożona z

eleganckich ludzi, którzy umilają sobie oczekiwanie na wejście rozmową i paleniem papierosów. My wchodzimy od razu tylnymi drzwiami. Mężczyzna z słuchawkami i mikrofonem prowadzi nas do niewielkiej, odgródzonej części klubu na piętrze, gdzie przy kilku stolikach siedzą w małych grupkach jeszcze bardziej

wytworni goście. Wszyscy widzą, jak wchodzimy, ale natychmiast zaczynają udawać, że nas nie dostrzegają. Tylko kobiety gapią się na Luthera.

Ledwo siadamy, a na stole już pojawia się kilka butelek

szampana w srebrnych pojemnikach, przyniesionych przez bardzo sprawnych młodych mężczyzn, noszących zestawy składające się z słuchawek i mikrofonu. Nagle zdaję sobie sprawę, że muszę się napić wody. Proszę o nią jednego z mężczyzn, a on odpowiada:

– *Pronto, signorina.*

Pronto! Mogłabym się przyzwyczaić do takiego traktowania.

Luther podchodzi i siada obok mnie, a sekundę później jest już przy nim Annabel, która niemal mnie zdeptała, byle tylko zdążyć zająć miejsce po jego drugiej stronie.

– Luther, wiesz, co się stało? – pyta Annabel. – Zadzwoiła do mnie Tessa. Uważa, że na pewno mogłaby przekonać Martina, to znaczy Marty’ego, do pokazania *Ugryzienia jej mistrza*. Czyż to nie wspaniałe?

– Tak, to świetnie – odpowiada zdawkowo Luther. Nalewa

mi szampana, po czym sam jednym haustem opróżnia swój

kieliszek. Przysiadają się do nas Federico i Marisa i zaczynają rozmawiać. Annabel jest wściekła. Wpatruje się we mnie, a ja przez chwilę zastanawiam się, czy mnie nie uderzy albo nie zrobi czegoś w

tym stylu. Ale tylko zaciska usta i zaczyna rozglądać się po sali.

– O, jaki atrakcyjny mężczyzna – mówi głośno. Podążam za jej wzrokiem w kierunku mężczyzny w kremowym garniturze.

Wydaje mi się, że jest dość przystojny, ale ma bardzo niskie czoło, które sprawia, że wygląda trochę jak neandertalec. Mężczyzna zauważa Annabel i wznosi w jej kierunku kieliszek. Robi to w najbardziej obciachowy sposób, jaki można sobie wyobrazić.

– Podejdę się przywitać – oznajmia i piorunując Luthera wzrokiem, który wcale tego nie zauważa, rusza w kierunku swojej ofiary.

„Krzyż na drodze” – myślę i chwilę później uświadamiam

sobie, że powiedziałam to na głos. Na szczęście nikt chyba tego nie usłyszał. Jakaś dziewczyna podchodzi, żeby porozmawiać z Federikiem, ale tak naprawdę gapi się na Luthera. A on odwraca się do mnie ze słowami:

– Droga pani, co pani sądzi o Tesoro?

– Fantastyczne miejsce! – odpowiadam, rozglądając się po

raz pierwszy po klubie. Wystrój ma przypominać piwnicę, ale pełno tu stolików i krzeseł z pleksi, aksamitnych czerwonych dywanów i wielkich lusterek w złoconych ramach. Z naszego miejsca na górnym poziomie możemy obserwować parkiet, który zaczyna się zapełniać. Nie przyniesiono jeszcze mojej wody, ale mam w kieliszku trochę szampana, więc wypijam go do dna. Zakładam, że w ten sposób się jakoś nawodnię.

– Dobry stary Moët – rzuca Luther. – Nienawidzę Cristala.

Siedzi bardzo blisko mnie, a rękę znów trzyma na oparciu

mojego krzesła. Z powodu muzyki wszystko, co do mnie mówi, musi właściwie powiedzieć mi prosto do ucha. Naprzeciwko nas siedzi Sam i rozmawia z Marisą, ale widzę, że co jakiś czas spogląda w naszym kierunku.

Pomimo swojego zamroczenia, postanawiam przeprowadzić

z nim rozmowę, więc przekrzykując muzykę, pytam:

– Czy to prawda, że twoim ulubionym drinkiem jest zmrożona margarita?

– Nie, nie znoszę tequili. Ale lubię świntuszyć po hiszpańsku

– znów obdarza mnie tym swoim szelmowskim, wilczym

uśmiechem. Nie rozumiem, ale i tak się uśmiecham.

Trzy dziewczyny zaczynają tańczyć do piosenki Shakiry. Ich taniec wydaje mi się trochę dziwny i nienaturalny, ale wszystkie są piękne i sprawiają wrażenie, jakby tańczyły dla Luthera, zwłaszcza najładniejsza z nich, w białym topie bez ramiączek.

Gdy na nie patrzę, myślę sobie: mają tyle szczęścia. Mogą po prostu dobrze się bawić podczas wieczornego wyjścia i nie muszą się martwić tym, czy zachowują się odpowiednio, ani myśleć o pracy. A czy nie o to chodzi w młodości? Wypijam więcej

szampana, rozkoszując się jego ostrym, słodko-gorzkim smakiem i bąbelkami. Nagle wszystkie zmartwienia ostatnich dni – tygodni, lat – tracą jakiegokolwiek znaczenie. Jestem tu z Lutherem.

Wszystko się ułoży. Luther zaczyna mówić coś bez sensu na temat Shakiry i rozśmiesza mnie. Wiem, że powinnam uważać, bo

Shakira jest na liście osób, których autobiografie Olivia chciałaby wydać, ale nie jestem w stanie wysłuchać jego historii dotyczącej spotkania piosenkarki za kulisami. Tylko się w niego wpatruję. Jest tak nieprzyzwoicie przystojny.

Po chwili dziewczyna w topie bez ramiączek podchodzi,

żeby porozmawiać z Lutherem. Mnie całkowicie ignoruje. On

rozmawia z nią przez kilka minut, ale szybko staje się oczywiste, że chce, żeby sobie poszła.

– Posłuchaj – słyszę, jak stara się przekrzyczeć muzykę –

jestem tu ze znajomymi. Porozmawiamy później.

– Co? – dziewczyna udaje, że go nie słyszy.

– Jestem tu z dziewczyną – mówi Luther i wskazuje na mnie.

– Porozmawiamy później. Miło było cię poznać. – Po tych słowach odwraca się od niej i ostentacyjnie obejmuje mnie ramieniem.

Dziewczyna jest wściekła. Odchodzi. A ja jestem w szoku. Luther Carson właśnie nazwał mnie swoją dziewczyną. Co prawda, w

ramach żartu, no ale mimo wszystko!

– No i tyle – stwierdza. – Teraz powie pierwszemu lepszemu dziennikarzowi, jakim to jestem dupkiem. – Nalewa mi do pełna. –

Dzięki, że dostarczyłaś mi alibi. Muszę iść do łazienki – dodaje, wstając i lekko chwiejąc się na nogach – ale później wrócę, maleńka.

Odchodząc, lekko dotyka palcem mojego ramienia. Ciarki

przechodzą mi po plecach. Wow. Jeśli jest w stanie tyle osiągnąć za pomocą palca...

Zauważam, że Sam, który nadal siedzi naprzeciwko, patrzy

na mnie i z pewnością wysłuchał całej rozmowy. Do diabła z nim.

To sprawa Luthera, z kim chce rozmawiać. Widzę, że po drodze do toalety spotyka następną dziewczynę i rozmawia z nią. O nie. Czy on ją podrywa? Sekundę później obok pojawia się jakiś chłopak w dziwnym kombinezonie i pyta go, czy może zrobić mu zdjęcie.

Dziewczyna jest zainteresowana, wywiązuje się sprzeczka, w czasie której Luther wymyka się do toalety.

Sądzę, że mógłby to być dla mnie sygnał, żeby nieco

otrzeźwieć, ale nie chcę. Wiem, że jestem pijana, lecz czuję, że moje pijane „ja” pełne jest mądrości, której moje trzeźwe „ja”

mogłoby się nauczyć. Mówi mi, że życie jest po to, by je przeżyć.

Cały czas wszystkim się zamartwiam i jakie mam z tego korzyści?

Ruth zawsze każe mi się wyluzować i nie brać wszystkiego tak poważnie. Spędzam wieczór z gwiazdą filmową w klubie nocnym na Sycylii. Kiedy przydarzyło mi się coś takiego i kiedy znów się przydarzy? Czemu miałabym to zepsuć? Gdy tak sobie myślę,

stopniowo zapadam się coraz bardziej w moje krzesło, aż nagle zdaję sobie sprawę, że prawie zsuwam się na podłogę. Zanim ktokolwiek to dostrzeże, prostuję się na krześle.

Sam i Marisa siadają obok mnie, a chwilę później pojawia się Annabel, rozpromieniona z powodu sukcesu z neandertalczykiem.

– To milioner! Jest wspaniały – dodaje szybko. – Ma na imię Nikos. Pochodzi z Południowej Afryki. Albo może z Grecji.

Interesuje się filmem i mówi, że chciałby się dowiedzieć więcej o *Ugryzieniu jej mistrza!*

– Chciałby dowiedzieć się więcej o czym? – pytam. Wiem,

że nie jestem w pełni władz umysłowych, ale to nie brzmi zbyt dobrze.

– W sensie finansować, Jezu! – odpowiada Annabel.

– *Bella*, czy on tak po prostu powiedział ci, że jest milionerem? – podpytuje delikatnie Marisa.

– Nie, wymknęło mu się. Ale to prawda.

Na jej twarzy pojawia się jednak wyraz zwątpienia. Zwraca

się do Sama:

– Sam, jak się możemy dowiedzieć, czy naprawdę jest milionerem?

– Wydaje mi się, że jest taka aplikacja na iPhone’a – mówi Sam.

Podchodzi do nas bardzo przystojny starszy mężczyzna z kręconymi włosami.

– Witam, jestem Giancarlo, menadżer klubu – przedstawia

się. – Przepraszam, że nie przywitałem się wcześniej. Panie Carson, to zaszczyt. – I podaje rękę Samowi.

Spodziewam się, że Sam odgryzie koleśowi głowę, ale

zamiast tego tylko się uśmiecha i mówi:

– To bardzo miłe z pana strony.

Puszczają teraz inną muzykę, nie wyciszoną, dyskretną jak w momencie, gdy weszliśmy do klubu, ale fajniejsze kawałki, przy których można potańczyć. Parkiet, nawet na niewielkiej

przestrzeni obok nas, jest zapełniony. Poruszam nogą i jestem niebezpiecznie blisko tego, by zacząć podrygiwać na krześle –

widzę, że Marisa i Sam śmieją się ze mnie, ale nie obchodzi mnie to. Nagle zaczyna się mój ulubiony letni przebój.

– Uwielbiam tę piosenkę! – krzyczę do Marisy i Sama.

– Podobnie jak moja ośmioletnia kuzynka – mówi Sam, ale

się uśmiecha. A Annabel przewraca oczami.

– Zatańczmy! – woła Marisa. Natychmiast zrywam się z

krzesła. Sam i Federico wyglądają na rozbawionych, ale nie dbam o to. Kocham tę piosenkę – wiem, że zawsze będzie mi się

kojarzyć z tym latem. Tańczymy, ja sobie podśpiewuję i myślę o tym, jak prawdziwe są jej słowa, że życie jest szalone, a ludzie sławni. Tak wygląda obecnie moje życie. Dołącza do nas Luther.

Dorwał skądś kapelusz kowbojski i zaczyna wykonywać taniec w stylu country. Ludzie przyglądają się temu i śmieją się. Luther daje czadu, a ja nie mogę przestać chichotać.

– Świetnie tańczysz – wykrzykuje mi do ucha.

– Naprawdę? No co ty! – odpowiadam, choć brakuje mi tchu.

– Tak, naprawdę. – Łapie mnie za rękę, obraca i zaczynamy

tańczyć razem.

Choć oglądam mnóstwo filmów tanecznych, taniec nie

wychodzi mi najlepiej. Ale w tym przypadku to pestka. Muszę tylko dać się prowadzić, przyciągać i obracać Lutherowi. Kątem oka rejestruję, że ludzie się na nas gapią, ale czuję się jak we śnie: jesteśmy tylko on i ja, on mnie obejmuje, mam rozwianą sukienkę, napotykam jego wzrok. Oczywiście jest genialnym tancerzem, wiem o tym, widziałam go w filmach. Ale nie miałam pojęcia, jakie to uczucie z nim zatańczyć. Dzięki niemu sama jestem genialną tancerką. On to Jimmy w *Gorączce*, a ja – Donna, spięta dziewczyna, w której on się zakochuje i którą ratuje...

Uświadamiam sobie, że jestem kompletnie pijana, ale to nic takiego. To nawet dobrze.

Kiedy piosenka dobiega końca, Luther mnie nie puszcza.

– Fajnie było – podsumowuje, gdy zaczyna się *La Isla*

Bonita.

Z niechęcią próbuję się oddalić, ale on przyciąga mnie do

siebie. Trzyma blisko, później oddala i znów przyciąga, nadając wolniejsze, seksowne tempo. Czuję ciepło jego ciała, które jest tak blisko mnie, jego dłonie na mojej jedwabnej sukience. To trochę ryzykowne, ale wszystko jest w porządku. To platoniczne,

przyjacielskie. Choć w tym momencie tak naprawdę nasz taniec nie jest do końca przyzwoity.

– Jesteś naprawdę piękna. Wiesz o tym?

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

– Och, nie... Nie jestem.

– Oczywiście, że jesteś. Po prostu nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jesteś typem angielskiej róży, wiesz? Naturalna i

niewinna, ale niezbyt niewinna... – Jego usta, gdy wypowiada te słowa, są tak blisko mojego ucha, że niemal dotykają mojej skóry.

Czuję, że oczy mi się zamykają, po czym otwieram je i

uświadamiam sobie, że wszyscy, absolutnie wszyscy dokoła patrzą na nas. Kiedy piosenka się kończy, postanawiam w swoim

zamroczeniu, że muszę natychmiast oddalić się od Luthera i wziąć się w garść.

– Za chwilę wrócę – mówię.

– Wracaj szybko – szepcze mi do ucha.

Nigdy wcześniej nie udało mi się tak szybko odnaleźć

toalety. Na szczęście nie ma kolejki, więc wpadam do niej i wypadam w przeciągu minuty. Sprawdzam, jak wyglądam w

lustrze. „Jesteś naprawdę piękna”. Czy mówił to na serio? Moje odbicie kołysze się na boki, bo lekko się chwieję, ale widzę, że makijaż mi się nie rozmazał. Oczywiście mam szeroko otwarte, policzki zaróżowione, ale nie czerwone. Nawet fryzura dobrze się trzyma.

Miałam zamiar spożytkować tę wizytę w toalecie na przemyślenia, ale tak się nie staje. Nie chcę ryzykować, że Luther odejdzie albo zacznie rozmawiać z inną dziewczyną. W mojej głowie krąży

myśli, że nie jest to zbyt mądre podejście, lecz w tej chwili one mną nie kierują.

Kiedy wychodzę, dosłownie wpadam na Sama – niemal

uderzam w niego. Odsuwa się i znów patrzy na mnie w ten swój sposób. Mam już dość tego, że muszę być w stosunku do niego uprzejma. Nienawidzi mnie i ja go nienawidzę. Jaki sens ma udawanie, że jest inaczej?

– No, o co chodzi? – pytam go. – Masz zamiar wygłosić

wykład czy co?

– A miałoby to jakikolwiek sens? – unosi brwi, spogląda na mnie z pogardą. Próbuję odwzajemnić to spojrzenie, ale nie potrafię, więc po prostu odchodzę. Widzę, że za Lutherem

zgromadziła się mała grupa dziewczyn, ale on stoi do nich tyłem i nadal rozmawia z Marisą.

– Cześć, gdzie byłaś? – pyta mnie Luther.

– Nigdzie, tylko...

– Zatańczmy.

Przyciąga mnie do siebie i obejmuje. Tańczymy do jakiejś

wolnej włoskiej piosenki. Nigdy nikt mnie w taki sposób nie obejmował – tak mocno, tak pewnie. Gdy się tak powoli

kołyszymy, wdycham zapach jego skóry i włosów. Prawa dłoń

Luthera znajduje się teraz na moim karku, czuję, jak delikatnie masuje mi szyję, dotyka włosów. Powoli przesuwam swoją dłoń delikatnie w górę i kładę na jego karku. Czuję, jak jego ciało napiera na moje. Nie mogę teraz na niego patrzeć. Jeśli na niego spojrzę, zobaczy, jak bardzo chcę go pocałować.

Pocałować go... Wyobrażam sobie, jak kładzie usta na

moich, jak delikatne będą jego wargi. Choć ledwo się ruszamy, moje serce wali z całych sił i trzęsą mi się kolana. Nagle czuję się bardzo dziwnie, jakby cała krew napływała mi do głowy, a później z niej odpływała, przez co robi mi się słabo. Biorę głęboki wdech i to uczucie znika, ale za moment znów powraca. Muszę mocniej trzymać się Luthera, żeby nie upaść.

Mówi coś, ale nie słyszę jego słów.

– Co powiedziałaś? – spoglądam na niego pytająco. O nie.

Patrzę mu prosto w oczy. Jego twarz jest tak blisko mojej. Pochyliła się i naprawdę ma zamiar mnie pocałować...

Ciemność.



Rozdział 11

Leżę na kanapie w jakimś gabinecie. Nade mną pochylają się czyjeś zmartwione twarze. Jest tam Giancarlo – menadżer klubu, Sam i Marisa. Słyszę przytłumione dźwięki muzyki dobiegające z zewnątrz.

– Co? – pytam zdziwiona. – Co się stało? – I gdzie jest

Luther?

– Zemdlałaś – odpowiada Sam. – Gdy, hm, tańczyłaś z

Lutherem.

Zamykam oczy. Nie mogę w to uwierzyć. Po tonie jego głosu

rozpoznaję, że mówiąc „tańczyłaś”, Sam ma na myśli „robiłaś z siebie pośmiewisko”.

– Napij się wody – proponuje Marisa, podając mi szklanekę.

Słucham jej zaleceń.

Sam atakuje mnie serią pytań:

– Brałaś coś? Masz skłonności do omdleń? Masz cukrzycę?

Przerywa na moment. Mogę się założyć, że chce zapytać, czy jestem w ciąży.

– Mam po prostu niskie ciśnienie. Zdarzało mi się zemdleć w metrze. Ale nie w klubie nocnym. – Zaczynam sobie uświadamiać, jak bardzo się ośmieszyłam. Dobry Boże. Zemdlałam jak uczennica podczas apelu.

– Miałaś szczęście, że Luther cię złapał, zanim upadłaś na ziemię – informuje mnie Sam.

– A gdzie on jest? – pytam cicho.

– Nie wiem – odpowiada Marisa. – O, popatrz, idzie. –

Luther wchodzi do gabinetu z drinkiem w ręce.

– No, młoda damo, nieźle mnie wystraszyłaś.

– Przepraszam, nic mi nie jest. – Siadam z wysiłkiem.

– Zadzwońmy po samochód i zabierzemy cię do domu –

odzywa się Marisa. – Giancarlo! – Rzuca do niego coś po włosku, a on kiwa głową i wychodzi z gabinetu.

Marisa i Sam również wychodzą, a ja zostaję z Lutherem.

Palę się ze wstydu. Ledwo jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

– No cóż – mówi – nigdy wcześniej nie sprawiłem, żeby

dziewczyna zemdlała. Mam nadzieję, że to nie przez mój oddech.

– Zdarzyło mi się wcześniej raz czy dwa razy zasłabnąć, ale nigdy w klubie nocnym. Może trochę za dużo wypiałam –

przyznaję. – Albo dużo za dużo. – Głowa mi pęka i umieram z pragnienia. – Bardzo przepraszam.

– Za co? To mi pochlebia – odgarnia mi włosy z twarzy. Gdy mnie dotyka, drzę, ale jestem zdziwiona. Jakim cudem on nadal mnie lubi?

Dokładnie w tym momencie wchodzi Sam. Widzi tę scenę,

ale jej nie komentuje.

– Samochód czeka. Jesteście gotowi?

– Oczywiście – odpowiada Luther. – Chodź, maleńka –

podaje mi dłoń, ale udaję, że jej nie widzę, i wstaję bez jego pomocy. Gdy wychodzimy, w myślach przeklinam samą siebie. Co za idiotka ze mnie. Wiem, dlaczego zemdlałam: oczywiście przez alkohol, ale Luther też dosłownie zwalił mnie z nóg. I doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Co ja sobie myślałam? Czy chcę sobie zniszczyć karierę? To mój autor. Mój bardzo trudny, ważny autor, którego powinnam tak

szybko, jak to możliwe, nakłonić do pracy.

Muszę zasłużyć na jego szacunek, a nie obściskiwać się z nim w klubie nocnym.

Gdy dołączamy do reszty, widzę, że rozgrywa się tam jakaś

scena. Annabel, tak dla odmiany, znów jest wściekła.

– Nie, po prostu nie – mówi. – Możecie robić, co chcecie.

– W porządku – odpowiada Sam.

– Sam, nie możemy – odzywa się Marisa.

– Co się dzieje? – pytam.

– Nie chce wracać do domu. Zamierza zostać w klubie ze

swoim nowym przyjacielem – oznajmia Marisa.

– Dlaczego więc jej nie pozwolimy?

– Chyba nie powinniśmy – Marisa ma wątpliwości.

Och, na litość boską.

– W sumie to jest już dorosła – stwierdzam rozdrażniona.

Nagle zaczynam się chwiać. – Posłuchajcie, jeśli chcecie zostać, zostańcie. Mogę wrócić sama.

– Pojadę z tobą – proponuje Luther.

– Jasne, jedźcie – rzuca Annabel. – Zabierz ze sobą

Kopciuszka, zanim przemieni się w dynię! – odwraca się na pięcie i podchodzi do swojego nowego chłopaka, który przejął nasz VIP-owski stolik.

„Dyńa – to całkiem sprytne” – myślę zamroczona, gdy

kierujemy się do wyjścia. Kiedy niemal wpadam na wielki fotel obity czerwonym aksamitem, zdaję sobie sprawę, że trzeźwość wraca i odchodzi falami. Spinam się trochę, przechodząc obok lustra, ale nadal wyglądam dobrze. Wow! Marisa mogłaby mnie przygotowywać na każde wyjście. Wszyscy się na nas gapią.

Pewnie myślą, że straciłam przytomność, bo wzięłam jakieś

prochy – nie mam z tym problemu, lepsze to niż prawda, że

zemdlałam ze względu na nieznane mi wcześniej przebywanie w pobliżu nieziemsko atrakcyjnego faceta.

Jesteśmy już przy tylnym wyjściu, gdy jeden z mężczyzn z

mikrofonem i słuchawkami podbiega do nas i mówi coś po włosku do Sama, spoglądając przy tym na Luthera.

– Na zewnątrz są fotografowie – mówi Sam. – Wyjdźmy frontowym wejściem.

– Świetnie – stwierdza Luther. – Już myślałem, że o mnie zapomnieli. Chodź, maleńka, to będzie zabawne. – Po czym obejmuje mnie ramieniem i wychodzimy.

Gdy tylko pojawiajemy się na zewnątrz, oślepia nas błysk

fleszy. Wydaje mi się, że fotografów jest około sześciu, ale nie jestem pewna. Chyba jest ich więcej. Błyskające flesze nie są aż tak onieśmielające, jak się tego spodziewam, denerwują mnie raczej okrzyki, głównie Włochów mówiących po angielsku, ale rozpoznaję też kilka głosów z brytyjskim akcentem.

– Luther! Tutaj!

– Luther! Kim jest twoja przyjaciółka?

– Jak ma na imię?

– Kochanie, czy możesz się nam przedstawić?

Staję się obiektem zainteresowania paparazzich! Cieszę się, że jestem odpowiednio ubrana. Odruchowo się uśmiecham, po

czym uświadamiam sobie, że nie lubimy tych natrętnych

fotoreporterów, więc zaczynam marszczyć brwi. Później

przypominam sobie, co przeczytałam w kolorowych pismach na temat kładzenia dłoni na biodrach i stawiania bokiem. Staram się wcielić te rady w życie, ale jestem zbyt pijana i Sam ciągnie mnie do samochodu. Niechętnie wsiadam do środka, pamiętając o

złączeniu nóg, na wypadek gdyby ktoś spróbował sfotografować, co mam pod sukienką. Gdy już siedzę, odwracam się, żeby

spojrzeć na Luthera, ale zamiast niego obok siebie widzę Sama.

– To nie było konieczne – mówi do Luthera, który siedzi z

drugiej strony.

– To była frajda dla Alice – odpowiada rozdrażniony Luther.

Wszyscy milczą, poza Federikiem, który z niewyjaśnionych

przyczyn stał się bardzo rozmowny i rozpoczyna długi, nudny monolog o tym, jakim to sukcesem dla Giancarla okazało się prowadzenie klubu nocnego, i jak to sam chciałby się tym zająć.

Siedząca przed nim Marisa odpowiada monosylabami.

Po odwiezieniu ich do domu zostaje nam jeszcze tylko

piętnaście minut drogi. Oczy mi się zamykają. W głowie

odtwarzam sobie cały wieczór: ubieranie się, kolację, klub, paparazzich i, o Boże, taniec... cudowny taniec. Nie było to mądre posunięcie z mojej strony, ale było wspaniale.

Jesteśmy na miejscu. Wsiadamy i zmierzamy w kierunku

willi. To dziwne uczucie być tu bez Annabel. Dziwne i bardzo przyjemne. To tak, jakby dom został opętany przez jakiegoś złośliwego ducha, a teraz odprawiono w nim egzorcyzmy.

Zatoka jest spokojna jak zawsze, powietrze łagodne i rześkie.

Od razu czuję się lepiej.

– Kto się pisze na drinka przed snem? – pyta Luther. –

Dopiero druga. Noc jest jeszcze młoda!

Wiem, że powinnam położyć się do łóżka, ale tu jest tak

przyjemnie. Zdecydowanie, zdecydowanie nie doprowadzę do

jakiejsz dziwacznej sytuacji z Lutherem. Ale może mądrym

posunięciem jest napicie się z nim i Samem, żeby uniknąć

niezręcznej atmosfery.

– Nie trzeba – mówi Sam.

– Poproszę o sprite'a – zwracam się do Luthera.

Ten kręci głową.

– Rozczarowujecie mnie – oznajmia i wchodzi do domu.

Minutę później pojawia się z powrotem. – Zauważyliście, że przygotowuję wam drinki? To miło z mojej strony, nie sądzicie? – i znów znika.

Padam na jeden z leżaków i spoglądam na gwiazdy, które być może nieco się ruszają.

– Dobranoc – rzuca Sam.

Spoglądam na niego przerażona.

– Idziesz spać?

– Owszem. Nie chcę ci przeszkadzać.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Twoja wczorajsza przemowa

na temat podejmowania kroków prawnych i całej reszty sprawiła, że wydawałaś się bardzo oddana swojej pracy. Ale patrząc na twoje dzisiejsze przedstawienie na parkiecie, nie jestem już tego tak pewien. Przyjechałaś tu do pracy czy po to, by znaleźć sobie sławnego chłopaka?

– Tylko tańczyliśmy. Co w tym złego? – czuję, że oblewam

się rumieńcem. Wiem, co było w tym złego. I co było cudowne.

Sam patrzy na mnie z pogardą.

– Jeśli to właśnie sobie wmawiasz, proszę bardzo. Ale ja

spodziewałem się odrobinę więcej profesjonalizmu – mówi, po czym znika.

Piorunuję go wzrokiem, żałując, że nie wymyśliłam żadnej

ciętej riposty. Drań! Przemądrzała świnia! Jak on śmie prawić mi kazania? I co go to w ogóle obchodzi?

Niemniej jednak czuję się zakłopotana. Pewnie powinnam

położyć się do łóżka. Z niechęcią zwlekam się z leżaka i udaję w kierunku domu, gdzie niemal zderzam się z Lutherem. Pod pachą trzyma otwartą butelkę szampana, a w ręce dwa kieliszki, z których jeden już jest pełny.

– Hola! Nie tak szybko. Gdzie uciekasz? – stawia butelkę na stole i wręcza mi kieliszek. – Oto sprite dla ciebie.

– Luther, wiem, że to szampan. Idę się położyć.

– O nie, nie idziesz. Popływamy.

– Popływamy?

– Dokładnie tak – gdy na niego spoglądam, uświadamiam

sobie, że nie mam już do czynienia z romantycznym Jimmym z dyskoteki. Ma teraz poważne plany. Tym razem nie ograniczy się do paru obrotów i nie będzie możliwości omdlenia... Nadal

uwazam, że jest nieziemsko przystojny, ale czuję też, że mam twarde orzech do zgryzienia. Luther podchodzi bliżej i bierze mnie za rękę. A ja dostrzegam, że ma coś w nosie: trochę białego proszku.

Nie jestem idiotką. Wiem, co robi za każdym razem, gdy

zamyka się na kwadrans w łazience. I nie chodzi o to, że dzięki temu odzyskuję przytomność umysłu. Jestem bardzo pijana, to prawda, ale jakaś mała, maleńka część mnie nadal potrafi myśleć trzeźwo. I podpowiada mi, że mam teraz wybór: mogę pocałować Luthera, przespać się z nim i może nawet mieć z nim romans. Ale jeśli to zrobię, muszę pożegnać się z książką i karierą.

– Nie mogę – mówię. – Bardzo cię przepraszam – i zanim

jest w stanie odpowiedzieć, odchodzę chwiejnym krokiem i udaję się do swojego pokoju. Mam nadzieję, że Sam słyszy, jak

zamykam za sobą drzwi.



Rozdział 12

Chyba umieram.

Język przywiera mi do podniebienia, a w głowie jak w

fabryce tłucze się wiele młotów pneumatycznych. Konam z

pragnienia, nawet moje stopy i dłonie wydają się przesuszone, jakby coś wysssało ze mnie całą wilgoć. Muszę się czegoś napić.

Podnoszę głowę z poduszki i czuję, że młoty w głowie uderzają mocniej, a mnie coraz bardziej mdli. Zaraz chyba zwymiotuję. Na stoliku przy łóżku stoi szklanka w połowie wypełniona wodą. Jest jak oaza pośrodku pustyni. Nie bez trudu wychylam się z łóżka, wyciągam rękę i chwytam ją. Woda jest ciepła, ale przynajmniej to woda.

Nadal mam na sobie różową sukienkę. Poduszka jest

wysmarowana tuszem do rzęs. Gdy przypominam sobie horror

ostatniej nocy, na przemian robi mi się gorąco i zimno. O Boże, tańczyłam z Lutherem. Prawie go pocałowałam, a później

dosłownie zemdlałam w jego objęciach. Na samą myśl o tym upokorzeniu zwijam się w kłębek. Potem zaatakowali nas paparazzi, a następnie... Okej, wróciliśmy do domu, a ja położyłam się spać. Dzięki Bogu.

Pomimo mdłości uświadamiam sobie, że miałam sporo

szczęścia. Ale Sam, mogę się założyć, i tak myśli, że przespałam się z Lutherem. I wszyscy widzieli, jak robię do niego maślane oczy... jak przytulam się do niego w tańcu... jak mdleję... Nagle w pokoju rozlega się nieznośnie głośny piszczący dźwięk.

Nachylam się i próbuję dłonią odnaleźć telefon, który leży gdzieś na podłodze. To wiadomość od Ruth: „Jak ci idzie? Czy LC jest boski? Nie rób niczego, co ja bym zrobiła”. I kolejna od mojego taty: „Cieszę się, że dobrze ci idzie. Jak stoją sprawy z książką?”

Czy wzięłaś ze sobą czekoladki podróżne, czy korzystasz z

bankomatów? Jeśli to drugie, to uważaj na oszustów”.

Z jękiem zwlekam się z łóżka. Muszę się napić czegoś

zimnego. Zgięta wpół, powłócząc nogami, powoli docieram do kuchni. Wszyscy chyba nadal śpią. Nie mam pojęcia, która jest godzina. Znajduję wodę i wypijam ją duszkiem. Gdy niemal

czołgam się z powrotem do pokoju, rzucam okiem na basen i

przypominam sobie o swoim postanowieniu, by każdego ranka, zanim zabiorę się do pracy nad książką Luthera, przepłynąć kilka długości.

Słyszę, że ktoś idzie za mną. Odwracam się. To Annabel.

Chyba powinnam odetchnąć z ulgą, że jej neandertalczyk odwiózł

ją do domu, zamiast ją poćwiartować i porzucić na pustkowiu, ale nie jest to łatwe. Cieszy mnie, że podobnie jak ja, wygląda na nieco zużytą.

– Dobrze się wczoraj bawiłaś? – podchodzi do mnie tak

blisko, że nasze nosy niemal się dotykają. – W czyjej sypialni wczoraj zasnąłaś? – pyta agresywnie.

– Nie mogę się tobą teraz zajmować – odpowiadam i kieruję

się do łóżka. Boże, to było bezczelne z mojej strony. Może nadal jestem pijana? Siadam na łóżku i ostrożnie się kładę, po czym czuję, że jest mi niedobrze, więc biegnę do łazienki. W samą porę.

Teraz moje samopoczucie jest odrobinę lepsze. Zastanawiam

się, czy wziąć prysznic, ale to wymagałoby ode mnie pozostania w pozycji stojącej. Dochodzę do wniosku, że jedyne, co poprawi mi nastrój, to kąpiel w basenie. Moje torby z zakupami stoją tuż przy drzwiach, ustawione w równym rzędzie, ale znalezienie nowego bikini zajmuje mi całe wieki. Ledwo mam siłę na oderwanie

metek. Powoli wychodzę na zewnątrz, mrużąc oczy w słońcu. Gdy wchodzę do cudownie chłodnej wody, czuję, że moje ciało

regeneruje się jak za dotknięciem magicznej różdżki. Po chwili mogę nawet przepłynąć parę metrów. Taki wysiłek przekracza jednak moje możliwości, więc kładę się na plecach i unoszę na wodzie, pozwalając działać jej leczniczym mocom.

Nagle słyszę jakiś krzyk. Ktoś wskakuje do wody i płynie w moją stronę. Zanim udaje mi się odwrócić, czyjeś niewiarygodnie silne ręce holują mnie na skraj basenu.

– Co do... – charczę. To Sam. Wyciąga mnie z wody i

kładzie na brzegu.

– Co ty wyprawiasz? – w końcu wyduszam z siebie.

– Myślałem, że się topisz! – wrzeszczy tak, że moja głowa

znow rozpada się na kawałki. – Cholernie mnie wystraszyłaś!

Zakrywam oczy dłońmi.

– Tylko unosiłam się na wodzie.

Mrużąc oczy, spoglądam w jego stronę. Przykucnął obok

mnie. Ma na sobie koszulkę i dzinsy. Skoczył do basenu w

ubrani. Niechętnie to przyznaję, ale do twarzy mu w tej mokrej koszulce.

– Skąd miałem to wiedzieć? Wczoraj w nocy zemdlałaś,

przypominam, na wypadek gdybyś wyparła to z pamięci.

Uśmiecham się z trudem.

– Myślałeś, że to jak początek *Bulwaru zachodzącego słońca* z trupem w basenie? – zaczynam kaszleć. – O Boże, czuję się okropnie. Przez ciebie nałykałam się wody.

– Przydało ci się – oznajmia zgryźliwie – po całym tym

alkoholu, który wczoraj wypijałaś.

– Nie tylko ja piłam. Która godzina?

– Masz szczęście, że mój zegarek jest wodoszczelny. Jest

południe.

Tak późno? Ups.

– Gdzie są wszyscy?

– Brian jest na plaży. Annabel chyba właśnie wróciła ze

swojej, hm... randki. Ja czytałem scenariusz i ratowałem ci życie.

A Luther...

– Nie widziałam go od wczorajszego wieczoru – zapewniam szybko.

– Wiem. Wyszedł z Marisą i Federikiem.

Aha. Ze sposobu, w jaki to mówi, wnioskuję, że wie, iż

między mną a Lutherem do niczego nie doszło. Ale skąd? Luther mu o tym powiedział?

Sam wstaje.

– Idę się przebrać. Postaraj się nie utopić – odchodzi,

zostawiając mnie na brzegu basenu. Moja relaksująca kąpiel definitywnie się skończyła.

Uświadamiam sobie właśnie, że kolejna osoba, która może

być na mnie wkurzona, to Luther. Pewnie jest wściekły, że zwodziłam go przez całą noc, a później, w ostatniej chwili, się wycofałam. Co, jeśli jego ego gwiazdy filmowej doznało szoku i odbije to sobie na mnie? Och, dlaczego w ogóle poszłam do tego klubu? Dlaczego tańczyłam z nim w ten sposób? Miałam się z nim zapoznać w tym nieco głębszym sensie, a nie robić to, co zrobiłam.

Biorę telefon i patrzę na datę. To mój trzeci pełny dzień, a ja zdołałam wpakować się w najgorszą sytuację, jaką byłam w stanie sobie wyobrazić – gorsze byłoby tylko pójście z Lutherem do łóżka. Wydaję z siebie głośny jęk. Zaczynam myśleć o tym, jak naprawić szkody. Jeśli Luther jest na mnie zły, nie mam wielkiego pola do popisu, mogę jedynie zdać się na jego łaskę. Będę musiała odwołać się do jego pokładów dobroci. Powiem mu, że go

potrzebujemy, że ja go potrzebuję. Powiem, jak bardzo chcemy usłyszeć jego historię...

Wtedy sobie przypominam: już mi opowiedział jakąś część

swojej historii! Kulisy szkolnego przedstawienia, prowincjonalny prawnik, który podpisywał kontrakt na *Gorączkę*. To tylko jedna lub dwie strony, ale przynajmniej Brian będzie miał nad czym pracować.

Jak poinformował mnie Sam, Brian jest na małej prywatnej

plaży, którą próbuje oczyścić z kamieni. Nagle zaczynam mu bardzo współczuć. Mogę się założyć, że chciałby być już w domu.

Odkąd przyjechałam, jego sytuacja prawdopodobnie się jeszcze pogorszyła.

Brian odwraca się w moją stronę, a ja jestem naprawdę

zszokowana. Choć został wczoraj w domu, podczas gdy my

impresowaliśmy, wygląda naprawdę strasznie – jego zazwyczaj rumiana twarz jest blada, a pod oczami ma ogromne cienie.

– Brian! Co się stało, na Boga! Jesteś chory? – Podchodzę do niego.

Kręci głową.

– Tylko parę... kilka spraw, które mam na głowie. Wszystko

gra. Jak się wczoraj bawiłaś?

Zwieszam głowę.

– Było w porządku. Ale nie pomaga nam to w żaden sposób

w pracy nad książką. Kiedy Luther wróci, porozmawiam z nim.

Przysięgam. A teraz mam kilka drobnych anegdot, które mógłbyś spisać, o ile wcześniej tego nie zrobiłeś.

– Opowiadam mu o incydencie podczas szkolnego przedstawienia i o prawniku.

Kiwa głową.

– Dzięki, to niewiele, ale wplotę to w fabułę, jeśli jest w ogóle coś warta.

Kiedy Brian pracuje, krążę po tarasie, przygotowując się

psychicznie na powrót Luthera. Nie zamierzam rozpamiętywać ostatniej nocy. Zmuszę go do pracy. Tak właśnie zrobię.

Annabel rozłożyła się na tarasie. Opala się i słucha muzyki na iPodzie. Sam jest obok niej, czyta scenariusz. Teraz Annabel nakłada swój drogi balsam do opalania. Głupia krowa. Sam

podnosi wzrok znad scenariusza i spogląda na nią. Zastanawiam się, czy będzie się na nią gapił, ale wraca do lektury.

Widok Sama czytającego scenariusz rozbudza w Annabel

chęć współzawodnictwa. Wpada do domu i po krótkiej chwili

wraca z własnym scenariuszem. Ostentacyjnie zaznacza –

liczyłam! – trzy linijki i zaczyna mamrotać je pod nosem.

Mniej więcej o piętnastej słyhać skrzypienie żwiru przed

domem. Luther wraca, na szczęście sam. Wchodzi do domu, na nosie ma okulary przeciwsłoneczne, jest nieogolony, wygląda na nieco wymiętego i bardzo niewyspanego po nocnej imprezie. Taki wizerunek wyjątkowo mu pasuje, ale staram się o tym nie myśleć.

– Cześć, młoda damo – wita mnie i idzie dalej.

„Och, cholerka”. Doganiam go.

– Luther, czy mogę z tobą porozmawiać? Naprawdę

potrzebuję twojej pomocy.

– Co się dzieje? – zdejmuję okulary, a ja oddycham z ulgą, bo nie wydaje się jakoś szczególnie poirytowany, a jedynie wyczerpany. W porządku, to dobry znak.

– Chciałam tylko... – mam na końcu języka coś o minionej

nocy, ale postanawiam to przemilczeć. – Potrzebuję dwóch godzin twojego czasu dziś po południu. Żeby popracować nad książką.

Luther obdarza mnie długim, chłodnym spojrzeniem. To

niesamowite, że na kacu wygląda równocześnie na zaniedbanego i atrakcyjnego, a ja tylko na zaniedbaną. Brnę dalej.

– Wszyscy jesteśmy twoimi fanami. Wszyscy moi koledzy z

pracy są podekscytowani, że będziemy mogli zaprezentować twoją historię. Obiecuję, że nie znajdzie się w niej nic, czego nie chciałbyś powiedzieć – dodaję nieroztropnie. – Brakuje nam już czasu. I szczerze powiedziawszy, ryzykuję swoją pracę. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

– W porządku.

– W porządku? – wow. To będzie takie proste?

– Na tyłach domu jest drugi taras. Usiądźmy tam.

– Zawołam Briana.

Obraca się.

– Nie, na razie porozmawiajmy tylko we dwoje.



Rozdział 13

Biegnę po dyktafon Briana, a potem w pośpiechu idę za

Lutherem na mały kwadratowy taras z widokiem na drugą stronę zatoki. Nie miałam pojęcia o jego istnieniu. Ten dom jest naprawdę ogromny. Przy jednej ścianie stoi długie, wyściełane siedzenie kształtem przypominające sofę, a przy drugiej – leżak. Luther rzuca się na niego, zakłada nogę na nogę, a ręce splata za głową.

– No, to co chcesz wiedzieć? – pyta. Nie jestem w stanie zinterpretować wyrazu jego twarzy.

– Może zaczniemy od dzieciństwa. Na przykład od tego okresu w twoim życiu, gdy byłeś przez jakiś czas bezdomny?

– Naprawdę? Chcesz tego słuchać?

– Tak! Bardzo bym chciała! – gdy zaczyna mówić, ja uruchamiam dyktafon.

– To był szalony okres w moim życiu. Trwał około roku. Mój tata wyprowadził się, gdy miałem trzynaście lat, a mama nie była w stanie spłacać kredytu. Na początku zatrzymaliśmy się u jej przyjaciół, ale to nie wypaliło.

Kiwam głową.

– Mniej więcej w tym samym czasie mama miała nowego chłopaka, Amosa. Co za wieśniak. Zdecydowanie nie był to

typowy gość z Camden. Był bratem przyjaciółki mojej mamy, tej, u której się zatrzymaliśmy. Był hipisem, jak sądzę, palił trawę.

Ciągle opowiadał o jakimś miejscu w Meksyku, gdzie można było przyjechać i zamieszkać za darmo. Razem z siostrą mieliśmy nadzieję, że wkrótce tam pojedzie i nigdy nie wróci. – Luther spogląda na mnie.

– Któregoś dnia, kiedy wróciłem ze szkoły, mama i siostra

siedziały przy stole kuchennym. Był też Amos. Pamiętam to, jakby to było wczoraj. Mama kazała nam pozbierać nasze rzeczy.

Mieliśmy jechać do Meksyku – potrząsa głową. – Tak więc

spakowaliśmy się i następnego dnia wsiedliśmy do vana Amosa i ruszyliśmy.

– To była długa podróż?

– Oczywiście. Zajęło nam to trzy tygodnie. Cały ten czas

nocowaliśmy w tym ciasnym samochodzie. Mama nie miała wtedy auta – sprzedała je. Kiedy więc dojechaliśmy do granicy, byliśmy tak wyczerpani, że niemal dopadły nas halucynacje. Nie mieliśmy nawet paszportów, więc musieliśmy się przemknąć przez granicę.

Na szczęście celnicy nie zwracali aż takiej uwagi na osoby wyjeżdżające ze Stanów. No i dojechaliśmy na miejsce. Gdzieś w pobliżu... Tijuany. To było bardzo dziwne miejsce – Luther

kładzie się na leżaku i spogląda w niebo. – Nie wiem, jak to opisać. Zasadniczo to była sekta. Wszyscy ubierali się na biało i nazywali się Dziećmi Boga i...

– Jak?

– Dzieci Boga – spogląda na mnie obojętnie. Nie jestem

pewna, dlaczego mu przerywam. To, co słyszę, jest tak

zaskakujące, że chcę się upewnić, iż się nie przesłyszałam. W

jakimś sensie ta nazwa brzmi znajomo.

– Przepraszam, mów dalej.

– Kazali wszystkim dzieciom spać razem, z dala od

rodziców. Powiedzieli, że nie ma czegoś takiego jak dzieci ani rodzice, że wszyscy jesteśmy Dziećmi Boga – potrząsa głową. –

Razem z siostrą uciekaliśmy stamtąd tak często, jak tylko się dało.

Śpiewaliśmy na ulicach i próbowaliśmy zebrać trochę pieniędzy.

– Na co?

– Żeby uciec – Luther spuszcza wzrok. – To nie było dobre

miejsce. Serio. Starsze dzieciaki mówiły coś o rytuale

inicjacyjnym. Nie wiedziałem, na czym będzie polegał, ale byłem pewien, że nie chcę być na miejscu, gdy go zorganizują.

Nie wierzę własnym uszom. Czy to prawda? Jak to jest

możliwe, że takie rzeczy wydarzyły się naprawdę, a ja o tym nie słyszałam ani nie czytałam? Ale brzmi to wszystko dziwnie

znajomo. Równocześnie analizuję te informacje, współczuję

Lutherowi, rozważam kwestie prawne i myślę, że to dość

odkrywczy materiał.

Luther mówi, że matka pokłóciła się z Amosem, odzyskała

zdrowy rozsądek i wyjechała, zabierając Luthera i jego siostrę.

Gdy opowiada o drodze powrotnej, jest bardzo zabawny,

wspomina o szalonych przeżyciach, które były ich udziałem

podczas podróży autostopem do Queens, do rodziny matki.

Wszystko to brzmi niewiarygodnie, jednak w jego opisach jest coś, co sprawia, że wyglądają na prawdziwe.

Po jakimś czasie Luther wydaje się zmęczony, więc

proponuję, żebyśmy zrobili przerwę.

– Okej – odpowiada. – Chyba się zdrzemnę.

Boże, to nie było takie trudne. Odnajduję Briana, który siedzi w chłodnym salonie i pisze na laptopie. Nikogo innego nie ma w pobliżu.

– Udało się. Zrobiłam z nim wywiad! – wręczam mu taśmę,

która jest już prawie cała nagrana. – Powinieneś ją przesłuchać.

– Dobra robota, Alice. Przy okazji – jest coś, o czym

powinienem ci wspomnieć.

– O, co takiego? – mam nadzieję, że powie mi, co zaprzęta

mu głowę.

– No cóż, spisywałem całą tę historię o szkolnym

przedstawieniu i rozmawiałem z kobietą, która chodziła z

Lutherem do tej samej klasy – jest bardzo pomocna, jeśli chodzi o ustalanie szczegółów. Mówi, że to

nieprawda.

– Co nie jest prawdą?

– Cała ta historia o tym, że się nie ukłonił. Zeskanowała i przesłała mi zdjęcie Luthera, który kłania się na środku sceny. Nie wie, dlaczego powiedział, że go tam nie było.

– Dlaczego miałby to zmyślić? – nie mogę uwierzyć.

Brian wzrusza ramionami.

– To się zdarza. Ludzie często mówią, co im się wydaje, że się wydarzyło, albo co chcieliby, żeby się wydarzyło – czasem ciężko jest to rozróżnić. Być może na początku dyrektor mu zabronił i tylko to pamięta. Nie przejmowałbym się tym za bardzo w każdym razie. Zapytam go o to.

– Nie, ja go zapytam – mówię oburzona. – Nie chcę, żeby

pomyślał, że może tak po prostu mnie okłamywać. O cholera –

– dodaję nagle, gdy uświadamiam sobie coś bardzo nieprzyjemnego.

– Co się stało?

– Wydaje mi się, że właśnie opowiedział mi kolejny stek

bzdur.

– O czym?

– O tym, jak z matką i siostrą dołączyli do sekty.

Wiedziałałam, że jego opowieść brzmi znajomo. Powiedział, że ta sekta nazywała się Dzieci Boga.

– No i? – pyta Brian. – To brzmi dziwnie, ale może być

prawdą.

– Nie. To się przydarzyło Riverowi Phoenixowi. O mój

Boże. To najokropniejsze, co w życiu słyszałam. Ukradł

dzieciństwo innemu aktorowi! – Biorę laptop Briana i wpisuję w Google: River Phoenix sekta. No jasne. River i jego rodzina dołączyli do sekty Dzieci Boga w Wenezueli, nie w Meksyku. Ten szczegół to wymysł Luthera. – Nie wierzę już w ani jedno jego słowo.

– No tak, to dziwne, że nigdy wcześniej o tym nie

słyszeliśmy – mówi Brian.

– Ale idiotka ze mnie! A on! – ukradkiem rozglądam się

dokoła, ale nikogo nie ma w pobliżu. – Wszyscy tańczymy wokół niego, próbujemy go dorwać... Oboje moglibyśmy być teraz w domu!

Brian wpatruje się w laptop. Naprawdę wygląda okropnie.

– Brian, do licha, co się dzieje? – pytam. – Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, ale widzę, że coś cię gryzie. Co jest grane?

– Chodzi o moją żonę – mówi. – Chodzi o to, że miała robione badania i dziś rano przekazano nam złe wieści.

– Jakie?

– To rak. Jajników – łyzy spływają po jego pulchnych policzkach.

Zakrywam usta ręką. Nie mogę w to uwierzyć. Biedny, biedny Brian.

– Tak mi przykro – obejmuję go. Czuję, że sama zaraz się rozpłaczę. Brian już przestał płakać, ale wzdycha tak, że całe jego ciało drży. Gdy tylko uznaję, że jest w stanie słuchać, pytam:

– Ale Brian, co ty robisz? Dlaczego nadal tu jesteś?

– Podpisałem umowę – odpowiada otępiąły.

Myśli kłębią mi się jak szalone. Chcę mu powiedzieć, że ma natychmiast jechać do domu, ale nie mogę tego zrobić, nie

uzgodniwszy wcześniej tej sprawy z Olivią.

– Poczekaj. Porozmawiam z Olivią. Uważam, że powinieneś pojechać do domu, ale muszę jej o tym najpierw powiedzieć. W porządku?

Kiwa głową. Wygląda, jakby ledwo mnie słyszał. Szybkim

krokiem wracam do swojego pokoju i wybieram numer telefonu na biurku Olivii. Nie odbiera. Dzwonię więc na komórkę. Włącza się poczta głosowa. Zostawiam wiadomość: „Olivio, tu Alice. Coś się stało w

rodzinie Briana i uważam, że powinien wrócić do domu.

Proszę, zadzwoń do mnie, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość.

Dziękuję”.

Wracam do salonu. Brian siedzi i wpatruje się w swoje dłonie.

– Zostawiłam jej wiadomość. Zobaczmy, czy jest jakiś lot dziś wieczorem. – Ostrożnie zabieram mu laptop i zaczynam

sprawdzać połączenia. Jest samolot o dziewiętnastej trzydzieści, ale musielibyśmy wyjechać w ciągu trzydziestu minut, żeby na niego zdążyć. Następny odlatuje dopiero pojutrze.

– Ale co z książką? – zastanawia się Brian.

Dobre pytanie. Co z książką? Co ja, do licha, zrobię bez

autora? Jestem redaktorką, nie pisarką – no cóż, nie jestem nawet redaktorką, ale na razie to pominiemy. Nie powinnam nawet

przeprowadzać wywiadów z Lutherem, a patrząc na naszą ostatnią rozmowę, jak na dłoni widać dlaczego.

– No cóż... zapewne zdołamy coś wymyślić – tłumaczę niepewnie. – To znaczy... mogłabym przeprowadzić więcej wywiadów, a ty mógłbyś pracować w domu.

Brian spogląda na mnie z wyczekiwaniem. Iskierka nadziei w jego oczach łamie moje serce.

– Czy w tej chwili jest ktoś z twoją żoną?

– Nasza córka zrobiła sobie przerwę w studiowaniu i podróżuje po świecie. Przebywa w Chile. Jeszcze jej nie

powiedzieliśmy. Zostały jej tylko dwa tygodnie wyprawy, więc uznaliśmy, że szkoda je psuć.

– Czyli jest sama?

Brian potwierdza skinieniem głowy.

– Prosiłem ją, żeby zaprosiła na ten czas swoją siostrę, ale nie chciała.

Uświadamiam sobie, że nawet jeśli jest to dla nas

problematyczne, muszę spróbować wyprawić go do domu

dzisiejszym samolotem. Nie wiem, co powie na to Olivia, ale nie mogę zatrzymać tu Briana. A tak poza tym, czy Olivia nie mówiła, że muszę się nauczyć podejmować decyzje?

Wstaję.

– Brian, może pójdziesz od razu się spakować? Zadzwoń

po taksówkę, pojedziemy na lotnisko i wsadzę cię do najbliższego samolotu. Albo nie pakuj się jeszcze. Najpierw zadzwoń do żony, później pozbierasz swoje rzeczy.

– Dziękuję – mówi i zaczyna wybierać numer. Spogląda w

moją stronę. W oczach ma łzy. – Wiesz, to strasznie głupie, ale zapomniałem numeru kierunkowego do Anglii. Wstukuję go bez przerwy...

– Dwa zera i dwie czwórki, a później numer, już bez zera –

podpowiadam. – Daj telefon, ja to zrobię – na początku, kiedy zaczęliśmy rozmawiać, był spokojny, ale teraz, gdy mi o

wszystkim powiedział, rozkleja się. Wydaje mi się, że nadal jest w szoku.

Gdy kończę wybierać numer, zabieram się do szukania

telefonu do korporacji taksówkowej. Dlaczego wcześniej się tym nie zainteresowałam? To szaleństwo. A co, gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego? Co ja wygaduję, właśnie zdarzyło się coś niespodziewanego. Biegnę do kuchni, bo chcę poprosić o pomoc Marię Santę, ale nie ma jej tam.

Nagle dostrzegam leżący na szafce folder, który wygląda jak domowy przewodnik. W środku – hura! – jest kartka z numerami telefonów do miejscowych taksówkarzy. Niestety, pierwsza osoba, która odbiera telefon, mówi po angielsku równie dobrze, jak ja po włosku.

– Lotnisko? – zagaduję, ale bez rezultatu.

W końcu załapuje.

– *Un'ora* – odpowiada.

– Och, nie, potrzebuję taksówki natychmiast – pokazuję na

zegarek, co oczywiście jest pozbawione sensu, bo mężczyzna mnie nie widzi. Właśnie w tym momencie do kuchni wchodzi Sam i

nalewa sobie kawy z czajnika stojącego na kuchence. Świetnie.

Ostentacyjnie odwracam się do niego plecami i podkreślam:

– Teraz!

– *Un'ora* – powtarza taksówkarz.

Odkładam słuchawkę i wykręcam następny numer.

– Wybierasz się gdzieś? – pyta Sam.

– Ja nie, Brian – chyba mogę mu o wszystkim powiedzieć. –

Jego żona jest chora, więc Brian musi natychmiast pojechać na lotnisko.

Zaczynam rozmawiać z kolejną osobą, która mówi po angielsku, ale również nie może przyjechać wystarczająco szybko.

Sam nie wychodzi z kuchni. Pije kawę i przygląda mi się z zainteresowaniem – co za drań. Wybieram trzeci numer, gdy mówi:

– Wiesz, to nie Piąta Aleja. Nie możesz po prostu pstryknąć palcami i przywołać taksówkę.

– Jestem tego świadoma – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

– Posłuchaj, ja go zawiozę.

Jestem w szoku.

– Jesteś pewien?

– Niech będzie gotowy w ciągu pięciu minut albo zmienię zdanie.

– Okej, dziękuję.

Dlaczego Sam oferuje nam swoją pomoc? Nie mam pojęcia,

ale nie ma to znaczenia. Najważniejsze to pomóc Brianowi dotrzeć do domu. Powiedziawszy mu, że wyjeżdżamy, udaję się w stronę pokoju Luthera. Jestem w tej chwili na niego wściekła. Kiedy pomyślę o tym, przez co przechodzi Brian, nie mogę uwierzyć w to, że można być takim egoistą i tak utrudniać nam pracę.

Dlaczego Luther udaje, że mu zależy na książce, kiedy wygląda na to, że jest dokładnie na odwrót?

Stoję przed drzwiami do jego sypialni, wymachuję pięścią i jestem gotowa rozszarpać go na kawałki.

Ale co będzie później?

Nakrzyczę na niego, on się wkurzy, wyjedzie i nie będzie książki.

Albo nakrzyczę na niego, on się jakimś cudem zmieni i stworzymy fantastyczną książkę? Mało prawdopodobne. Poza tym, nie mam czasu. Muszę dotrzeć na lotnisko. Odchodzę sprzed drzwi pokoju Luthera i wracam, aby pomóc Brianowi się pakować.



Rozdział 14

Pięć minut później upychamy Briana i jego walizkę na

kółkach do fiata Sama. Brian siada z tyłu, a ja po chwili wahania z przodu obok Sama.

– Powinienem był się pożegnać z Lutherem – mówi Brian, gdy ruszamy. Nadal wydaje się zszokowany.

– Nie martw się, przekażę mu – zapewniam go. – Musimy zdążyć na samolot. Czy ktoś może odebrać cię z lotniska?

– Tak. Sheila... – głos mu się łamie i milknie. To idiotyczne, ale czuję, że i mnie łzy napływają do oczu.

– Dowieziemy cię na czas – oznajmia Sam, patrząc na niego w lusterku.

Jedzie dużo szybciej niż wtedy, gdy wracał ze mną z lotniska.

Wcześniej tego nie zauważyłam, ale ma ładny profil z lekko zadartym nosem i wyraźnie wykrojone usta. I bardzo ładne

przedramiona. Lubię patrzeć na ręce mężczyzn, gdy prowadzą samochód. Widzę, jak jego mięśnie napinają się, kiedy rusza kierownicą... Spogląda w moją stronę, a ja szybko odwracam

wzrok, zanim zorientuje się, że na niego patrzę.

O mój Boże. Czy ja mu się przyglądam? Samowi? Musiałam

oszałeć. Być może popełnia właśnie niespotykane dobry uczynek dla Briana, ale i tak jest aroganckim draniem. Już nie wspominając o tym, że pewnie chce się pozbyć Briana, więc tak naprawdę sam sobie oddaje przysługę.

Odchrząkuję i siadam prosto na fotelu. Przez okno obserwuję morze i góry, podświetlone zachodzącym słońcem. Spoglądam na telefon. Zero odzewu ze strony Olivii. Cieszę się, bo im dłużej zwleka z odpowiedzią, tym lepszą mam wymówkę w związku z

wysłaniem Briana do domu. Ale muszę przyznać: to się jej nie spodoba. Tak naprawdę pewnie się wścieknie. Cała ta sytuacja nie może być bardziej pogmatwana. Wydawało mi się, że byłam

wcześniej odpowiedzialna za koszmarnie projekty, ale ten

zdecydowanie przebija wszystko.

Na szczęście do punktu sprzedaży nie ma kolejki i od razu

kupujemy bilet. Jestem przygotowana na to, by zapłacić własną kartą kredytową, ale Brian mówi, że sam ureguluje należność. Całe szczęście – po wczorajszym zakupowym szaleństwie mogę być

blisko przekroczenia limitu, a nadal nie dowiedziałam się, jak spieniężyć mój włoski czek.

– Dziękuję ci, Alice – mówi Brian po odprawie. – Na wszelki wypadek ci to zostawię – wręcza mi swój laptop. – Używam go tylko podczas podróży. Możesz mi go zwrócić po powrocie do Londynu.

– Dziękuję – biorę komputer. – Ale poczekaj. A co z taśmami i dyktafonem?

– Zostawiłem je w salonie. Jest tam też komputer. Pracuje

powoli, ale działa. I drukarka, gdyby była ci potrzebna.

– Świetnie, odprowadzę cię. Yhm... – odwracam się w stronę

Sama. Chcę porozmawiać z Brianem na osobności, ale nie wiem, jak mu to powiedzieć.

– Zobaczymy się w samochodzie – mówi lakonicznie. – Dbaj

o siebie – podaje Brianowi rękę, po czym odchodzi.

– Posłuchaj, wydaje mi się, że damy radę – zwracam się do

Briana po drodze. – Ja zajmę się wywiadami i wyślę ci taśmy do domu, żebyś mógł z nich skorzystać. Wszystko będzie w porządku.

– Nie jestem pewna, czy sama w to wierzę, ale Brian wygląda tak okropnie, że chcę go pocieszyć.

– Bardzo mi przykro, Alice. Nigdy wcześniej nie zawiodłem

w ten sposób klienta.

– Nie wygłupiaj się. To nie twoja wina – przełykam ślinę.

Dotarliśmy do kolejki ustawionej przed wejściem do samolotu. –

Brian, o matko, powinnam była zapytać cię wcześniej. Czy masz dla mnie jakąś radę? – to żałosne, ale chcę usłyszeć, czy czegoś mogę się od niego nauczyć, zanim będę zdana tylko na siebie.

Rozmyśla przez chwilę.

– Jest tego trochę, ale... najważniejsze to nigdy nie odzywać się, żeby wypełnić ciszę w trakcie wywiadu. Jeśli możesz,

przeczekaj to, a wtedy on coś powie. I prawdopodobnie będzie to coś ważnego.

– Dziękuję – obejmuję go na pożegnanie i obserwuję, jak

przechodzi przez bramki, a potem jego mała, krępa postać ginie w tłumie. W myślach trzymam za niego kciuki. Wracam do

samochoду, w którym czeka na mnie Sam. Postukuje palcami w deskę rozdzielczą i wygląda na zniecierpliwionego – czyli w skrócie jest jak zwykle czarujący. Świadomie postanawiam nie dziękować mu kolejny raz ani nie przeproszać go za spóźnienie.

– Co się stało jego żonie? – pyta, gdy stoimy w korku na

wyjeździe z lotniska. Wyjaśniam krótko.

Nie wyraża współczucia i nie odzywa się aż do momentu,

gdy jedziemy już autostradą. Wtedy oznajmia nagle:

– Będzie ci raczej ciężko bez niego.

– No cóż, nie jest to wymarzona sytuacja – od razu zaczynam się bronić. – Ale jakoś dam radę. Nadal możemy pracować nad książką.

– Ale nie musiałaś pozwolić mu wyjechać, prawda? Mogłaś

kazać mu zostać bez względu na wszystko? – patrzy w moją

stronę.

Do czego on zmierza?

– Sądzę, że mogłam, ale to nie byłoby w porządku.

Sam tylko kiwa głową. Resztę drogi spędzamy w ciszy, a on

wydaje się zamyślony. Zastanawiam się, o co mu chodzi. Czy chce mnie w jakiś sposób przetestować? Sprawdzić, jak bardzo jestem zdeterminowana, jeśli chodzi o książkę? A może myśli, że teraz, gdy

pozwoiliam Brianowi pojechać do domu, w końcu straciłam głowę. I prawdopodobnie ma rację. To było głupie z mojej strony.

Nieszczerólnie cieszy mnie perspektywa wyjaśnienia tej sytuacji Olivii.

Po chwili dzwoni telefon Sama. Zakładam, że nie odbierze,

ale ma zainstalowany zestaw głośnomówiący. Większość rozmowy jest jednak dla mnie niezrozumiała, choć wyłapuję, że chodzi o urlop i asystentkę oraz coś, co nazywa się „zabawa albo zapłata”.

Nagle rozmowa dobiega końca – wydaje mi się, że rozmówca się rozłączył. Sam przeklina pod nosem.

– Będę musiał się zatrzymać – mówi.

Jedziemy teraz boczną drogą. Zjechaliśmy z autostrady i

poruszamy się po wiejskim terenie. Gdy docieramy do spadzistej zatoczki przy drodze, Sam zatrzymuje samochód i wysiada z

niego, by do kogoś zadzwonić. Po skończeniu rozmowy pisze

przez dłuższą chwilę mail, a później jeszcze raz do kogoś

telefonuje. Włączam radio i słucham włoskiego popu, a on krąży przed samochodem. To, że widzę, jaki jest okropny dla kogoś innego niż dla mnie, niemal mnie uspokaja.

Mija całe piętnaście minut, zanim Sam wsiada z powrotem

do auta. Wydaje się bardzo spięty. Uruchamia silnik, który natychmiast się wyłącza. Próbuje dodać gazu, ale stoimy pod górkę, więc jak tylko puszcza sprzęgło, samochód momentalnie gaśnie. To pewnie dlatego, że Sam jest taki wzburzony. W końcu udaje mu się uruchomić pojazd i powoli ruszamy z zatoczki.

– Cholera! – wykrzykuje Sam.

Drogę blokuje nam teraz ogromne stado owiec, za którymi na trójkołowym pojeździe jedzie mężczyzna. Stado z pewnością liczy przynajmniej sto sztuk, a wszystkie owce beczą jak szalone i rozłazą się po całej szerokości jezdni.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Sam wybucha

śmiechem. Wyłącza silnik, opiera ręce i głowę na kierownicy i odwraca się w moją stronę.

– A wydawało mi się, że w Los Angeles są okropne korki –

oznajmia.

Teraz i ja się śmieję. Co więcej, ledwo jestem w stanie

zaczepnąć tyle powietrza, by powiedzieć, że nadchodzi jeszcze więcej owiec.

– Cholera! Faktycznie. I będziemy za nimi jechać przez całą drogę do domu.

Po pięciu lub dziesięciu minutach zwierzaki rozchodzą się, a Sam zawraca i stwierdza, że musimy wracać inną drogą.

– Mam nadzieję, że nie miałaś planów, żeby wcześniej zjeść

kolację – mówi. – Powinienem oddzwonić do tego dupka, ale

trudno. Powiem mu po prostu, że mieliśmy problem z owcami.

– Która jest teraz godzina w Hollywood? – pytam z

zainteresowaniem.

– Mniej więcej dziewiąta rano – dobra pora na rozmowy

telefoniczne. Choć moja asystentka nie zawsze może

podśluchiwać, co trochę mi przeszkadza.

– Podsluchuje twoje rozmowy?

– Oczywiście. Twoja tego nie robi?

– Yhm...

– Każdą rozmowę w Los Angeles podsluchują przynajmniej

dwie osoby i robią notatki. Jeśli to telekonferencja, jest ich więcej.

Wydaje się to idiotyczne i lekko przerażające.

– Tak to działa – ciągnie Sam, widząc moją minę. – Kiedy

zaczynałem jako asystent, całe poranki schodziły mi na ustawianiu rozmów mojego szefa. Dzwonił do mnie do biura z siłowni, domu czy samochodu, a ja musiałem go łączyć z kolejnymi osobami i zostawałem na linii, robiłem notatki i wpisywałem do jego

kalendacza. Wszyscy wiedzieli, że ktoś słucha tej rozmowy. Ale to nie powstrzymywało ich od mówienia straszliwych głupot. Na początku nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem. Później jednak nauczyłem się zasłyszane wiadomości wykorzystywać.

To chyba jeden z najdłuższych monologów, jakie wygłosił.

Mnie pochłania wizja pokornego Sama, łączącego rozmowy

szefowi. Rozmyślałem o tym, że to dziwne, iż w ogóle ze sobą rozmawiamy, gdy Sam mówi coś jeszcze bardziej

nieoczekiwanego.

– Przepraszam za to, co powiedziałem wczoraj w nocy.

– Co? To o Lutherze?

– Tak, to z nim powinienem o tym rozmawiać, zamiast

wyzywać się na tobie... Nie zrozumiałem sytuacji. Słyszałem, jak zamykały się drzwi w obu waszych pokojach – dodaje. – A

właściwie zatrzaskiwały.

– Aha. – Czuję, że cała się czerwienię.

– Chyba pośpieszyłem się z wyciąganiem wniosków.

– Tak jak w basenie? – staram się obrócić sytuację w żart.

– O nie. Tam naprawdę wyglądałaś jak topielec.

Oboje wybuchamy śmiechem. Jak do tego doszło? Jakim

cudem śmieję się z Samem, jakbyśmy byli kumplami? Nie mogę go rozgryźć. Gdy zaczynam myśleć o Lutherze, uświadamiam

sobie, że cieszę się, iż miałam okazję się uspokoić. Gdybym zobaczyła go zaraz po tych jego kłamstwach i po tym, jak Brian powiedział mi o swojej żonie, chciałabym mu uciąć głowę. Teraz jestem spokojniejsza.

Dokładnie w momencie, gdy tak myślę, dzwoni mój telefon.

To Olivia.

Nie chcę z nią rozmawiać, gdy Sam siedzi obok mnie, ale

wiem, że jeśli nie odbiorę od razu, będzie się jeszcze bardziej wściekać. Biorę więc bardzo głęboki oddech, żałując, że Sam będzie musiał słyszeć coś, co prawdopodobnie okaże się niezwykle upokarzającą rozmową.

– Alice? Odsłuchałam twoją wiadomość. O co chodzi z

Brianem?

– Chodzi o jego żonę – wyjaśniam. – Ma raka. Właśnie

postawiono diagnozę.

– Och, nie. Biedny człowiek. Muszę wysłać jej kwiaty.

Możesz się tym zająć? – następuje złowroga cisza. – Ale... co takiego mówiłaś o jego wyjeździe do domu?

– Właśnie wyjechał.

– Właśnie wyjechał? Tak po prostu?

– Nie, właściwie to ja kazałam mu lecieć.

Cisza, która teraz następuje, trwa tak długo, że pytam:

– Olivia? Jesteś tam jeszcze?

– Nie powinnaś była tego robić bez konsultacji ze mną.

Oczywiście ma rację. Dlatego to takie straszne.

– Bardzo mi przykro, Olivio. Ja tylko... Dziś wieczorem był

lot do Londynu, a Brian był w strasznym stanie. Nie mogłam, to znaczy wydawało mi się...

– Czy nie słyszałaś, jak powiedziałam to za pierwszym razem? Powiedziałam, że nie powinnaś była tego robić bez konsultacji ze mną.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Znów zapada cisza, podczas której nie mam ochoty na wyobrazenie sobie, jaką minę ma teraz Olivia.

– Jak twoim zdaniem stworzymy książkę, nie mając autora?

Wciskam się w fotel i mówię ciszej, mając nadzieję, że jakimś cudem Sam tego nie usłyszy.

– Myślę, że damy sobie radę. Luther i tak nie chciał rozmawiać z Brianem. Wydaje mi się, że mogę przeprowadzać wywiady i wysyłać taśmy Brianowi do domu. Oczywiście pod warunkiem że skłonię Luthera do mówienia prawdy – dodaję cicho.

Następuje kolejna chwila absolutnej ciszy, po czym Olivia

mówi bardzo wolno:

– No cóż, Alice. Zanim tam pojechałaś, mieliśmy kryzys. A

teraz... teraz to pieprzona katastrofa.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, jak Olivia przeklina. Nie

jestem zaskoczona, gdy odkłada słuchawkę. Wbijam paznokcie w dłonie i powtarzam sobie: „Nie płacz. Nie płacz. Nie płacz”. Jeśli się rozkleję w obecności Sama, równie dobrze mogę się poddać i od razu pojechać do domu.

Nie mam odwagi na niego spojrzeć. Czy słyszał słowa

Olivii? Na przykład to, jak kazała mi się zająć zamówieniem kwiatów? Mam straszliwe przeczucie, że tak. Wystarczyłoby

nawet, gdyby usłyszał tylko, jak na mnie krzyczy. Świetnie. Teraz wie, że nie mam wsparcia. Jeśli dowie się, że tak naprawdę nie jestem nawet redaktorką, mam przerąbane, zwłaszcza po tym, co stało się w klubie nocnym. Zdepcze mnie albo przynajmniej

poskarży się Olivii. Przygotowuję się na to, co ma nadejść.

– Próbowowałaś kiedyś caponaty? – pyta.

Zanim mam okazję odpowiedzieć, zaczyna mówić o jakimś

daniu, które Maria Santa ma dla nas przygotować tego wieczoru. I tak nie będę w stanie go zjeść. Gdy Sam rozwodzi się nad

sycylijskim jedzeniem i tym, czym się różni od kuchni włoskiej, zdaję sobie sprawę, że świadomie zmienia temat. To dziwne.

Czyżby próbował pomóc mi zachować twarz? Mój kac powraca, a ja nagle mam wielką ochotę pobyć przez pięć minut sama, żeby wziąć się w garść.

W końcu wracamy do domu i parkujemy na końcu podjazdu.

Walczę z klamką, ale z jakiegoś powodu drzwi nie chcą się

otworzyć.

– Czy włączyłeś jakieś zabezpieczenie przed dziećmi? –

pytam Sama, ale ku mojemu zdziwieniu on już się nachyla i je otwiera. Przez ułamek sekundy jego ramię i tors niemal ocierają się o moje ciało, a głowa zbliża się do mojej klatki piersiowej.

Czuję silny wstrząs – nie chcę nawet wiedzieć, co to takiego.

Przezornie wyskakuję z samochodu, żeby jak najszybciej stamtąd uciec.

Luther stoi przed domem, opiera się o ścianę i pali papierosa.

– Cześć, gdzie byliście? – pyta, idąc w naszym kierunku. –

Annabel wyszła ze swoim nowym facetem, a ja wpatrywałam się przez całe popołudnie w ściany. – Sprawia wrażenie naprawdę poirytowanego; zaczynam rozumieć, że nie jest przyzwyczajony do tego, by zostawać bez towarzystwa. Uznaję, że Sam powinien się tym zająć, i wymykam się do domu.

Ale Luther wcale nie jest zdany tylko na siebie. Na tarasie są Marisa i Federico, którzy zabierają się do jedzenia kolacji.

Sprawiają wrażenie zadowolonych, że nas widzą. Siadam obok Marisy i tak daleko od Luthera, jak to tylko możliwe. Sam sadowi się obok niej, naprzeciwko Federica.

– Byliście na lotnisku? – pyta Marisa.

Wyjaśniam krótko sytuację Briana. Marisa wydaje z siebie

okrzyk współczucia i zadaje wiele pytań. Nawet Federico sprawia wrażenie stosownie zmartwionego – tak mi się przynajmniej

wydaje.

Luther, wzdragając się, oznajmia tylko:

– Nie znoszę rozmów o raku.

Od razu zaczyna rozmawiać z Samem o nowej dacie

premiery *The Deep End* – filmu, który pojawi się w kinach przed Rzymskimi wakacjami. Nie mogę uwierzyć w to, że jest taki

samolubny. Coraz bardziej mnie rozczarowuje.

– Prawie zapomniałam! – mówi Marisa, łapiąc mnie za rękę.

– Jak się miewasz? Martwiłam się o ciebie! Lepiej się czujesz?

Przez krótką chwilę nie rozumiem – czy oni wiedzą o mojej

rozmowie z Olivią? Po czym dociera do mnie, że przypomnieli sobie o moim omdleniu, które, mam wrażenie, miało miejsce

milion lat temu.

– Ach, tak. Tylko trochę mi głupio.

Federico kiwa głową.

– Nie martw się. Wszyscy to znamy. Za dużo imprez – udaje, że mdleje – za dużo szampana i, jak to się mówi, śniegu?

Co za tupet!

– Zero śniegu, tylko szampan. Mam niskie ciśnienie.

– Hypo coś tam – dorzucą Luther. Wygląda na to, że nastrój mu się poprawił. – W każdej chwili mogę się z tobą pobawić w lekarza. Sądzę, że byłbym w tym dobry. Sam, czy mógłbyś mi załatwić rolę lekarza?

Kolacja zdaje się trwać wiecznie. Ciągle myślę o Olivii. Ma rację. Wiem, że ma rację. Nie powinnam była wysłać Briana do domu, nie uzgodniwszy z nią tego. To było idiotyczne. Kiedy powiedziała, że muszę podejmować decyzje, nie miała na myśli tych jednostronnych i głupich. Dzięki Bogu, że nie wie o moim występie w klubie nocnym. Dziwne jest to, że teraz czuję się bardziej skępowana w towarzystwie Sama niż Luthera. W

pewnym momencie zerkam w jego stronę i przyłapuję go na

wpatrywaniu się we mnie, ale zaraz odwraca wzrok.

Chyba jestem po prostu przemęczona. Wszystkie te zdarzenia z dzisiaj i poprzedniej nocy wykończyły mnie i niemal zasypiam przy stole.

– Alice – zwraca się do mnie siedząca obok Marisa. –

Słyszałaś, co mówiłam?

– Wybacz, Mariso, co takiego?

– Zapytałam, czy chcesz jutro wpaść do mnie i zjeść ze mną kolację?

– Tylko my? – pytam, a zmęczenie pozbawia mnie taktu.

– Tak, tylko my, dziewczyny! Federico znów wyjeżdża w

interesach.

Jej mąż, gdy słyszy swoje imię, odwraca się i odzywa się po włosku oburzony i ożywiony. Sam odpowiada mu po włosku

równie ostro. Marisa dołącza, próbując załagodzić sprawę.

– Jezu, potrzebuję napisów – stwierdza Luther.

Wstaję.

– Pójdę się położyć. Dobranoc wszystkim.

Marisa wygląda na zażenowaną. Uśmiecham się do niej i

mówię:

– Do zobaczenia jutro.

Gdy odchodzę od stołu, Luther opowiada kolejny dowcip i rozmowa znów zaczyna się toczyć.



Rozdział 15

Jestem w basenie, pływam tam i z powrotem, tak jak

postanowiłam, że będę to robić każdego ranka. Po pokonaniu trzydziestu długości wychodzę z wody i owijam się ręcznikiem. Po kilku ostatnich słonecznych rankach dziś przyszło niewielkie zachmurzenie, ale nadal jest bardzo ciepło. Suszę włosy,

obserwując przy tym morze. Jestem spokojna, dokładnie wiem, co mam robić.

– Gotowa na sesję terapeutyczną z Lutherem?

Oczywiście: Annabel. Cudownie byłoby sobie wyobrazić, że

wyniesie się do swojego jaskiniowca i zostawi nas w spokoju.

Podejmuję jednak wspaniałą decyzję: mam zamiar całkiem ją

ignorować. Nie mówię ani słowa, wymijam ją i zmierzam w stronę willi. Ku mojemu zdziwieniu Annabel rusza za mną.

– Ostatnio zrobiło się tu raczej nudno, wiesz? – mówi. –

Odkąd ty się zjawiałaś. Zatrzymam się na jakiś czas u Nikosa.

– U kogo? – pytam tylko po to, by ją zirytować.

– Nikosa! Mojego nowego chłopaka. Ma cudowny dom po

drugiej stronie Katanii. Naprawdę kręcą mnie Australij- czycy. Są o wiele bardziej macho niż Amerykanie czy Anglicy. Albo Włosi...

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że jest z Południowej

Afryki?

Annabel jest zakłopotana.

– No na pewno tam mieszkał...

– Nieważne. Rozumiem. Jest macho. Baw się dobrze –

mamrocze pod nosem.

Ależ ona ma ptasi mózdzek. Idę do swojego pokoju, szybko

wkładam różową spódniczkę i czarny top, upinam włosy w kok.

Chcę wyglądać schludnie, choć mój ubiór nie ma najmniejszego znaczenia. Pukam do drzwi pokoju Luthera. Wiem, że stawiając mu czoło w jego sypialni, powinnam zastać go

nieprzygotowanego, w niekorzystnym dla niego położeniu, co mi odpowiada. Poza tym jest dziesiąta trzydzieści, zupełnie rozsądna pora na pobudkę. Sam nie śpi już od paru godzin i pojechał gdzieś z Marisą.

Po dłuższej chwili Luther się odzywa:

– Kto tam?

– Alice.

– Wejdz.

Wchodzę do pokoju. Rolety są na wpół opuszczone, w

środku panuje bałagan. Dostrzegam kilka butelek po piwie i winie, sterty brudnych ubrań. Tak naprawdę przypomina to pokój mojego współlokatora Martina, choć nie śmierdzi tu aż tak bardzo. Luther leży w łóżku, bez koszulki, czyta odręcznie napisany list. Jeden ze sporej sterty. Sądzę, że to korespondencja od fanów.

– Co się dzieje? – pyta. – Nie, żeby to nie była miła

niespodzianka. – Jest przystojny i nieco zmiętoszony, ale w tym momencie niewiele mnie to obchodzi. Lokalizuję puste krzesło i siadam na nim.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Okej – odpowiada, wpatrując się we mnie. Zapala

papierosa. Częstuje mnie. Kręcę głową i biorę głęboki wdech.

Będę opanowana i rozsądna.

– Posłuchaj, Luther. Wiem, że cała ta sytuacja z Dziećmi

Boga nie wyglądała dokładnie tak, jak w twoim opisie. Właściwie w ogóle się nie wydarzyła. – Zaczyna protestować, ale ja

kontynuuję. – Podobnie jak twoja historia o kulisach i szkolnym przedstawieniu.

– No nie. Kto twierdzi, że okłamałem cię w kwestii

pieprzonych Dzieci Boga?

Czuję, że zaczynam się denerwować. Nie znoszę, gdy ludzie

tak przeklinają.

– Wiem, że tak było, bo ta historia przydarzyła się Ri- verowi Phoenixowi – odpowiadam tak delikatnie i spokojnie, jak to tylko możliwe. – I rozmawialiśmy z kimś z twojej szkoły, kto przesłał

nam zdjęcie, na którym kłaniasz się na scenie.

– Skąd wiecie, że to właściwe przedstawienie?

– Wspomniałeś o *Naszym mieście*, a tak właśnie to wygląda na zdjęciu. Słuchaj, nie obchodzą mnie szczegóły. Masz prawo do pewnej swobody poetyckiej, jeśli tylko przyjdzie ci na to ochota.

Ale musisz zdecydować teraz, czy chcesz tej książki, czy nie.

– A co z tego będę miał? – pyta nadąsany.

Nie wierzę własnym uszom.

– Co z tego będziesz miał? – powtarzam.

– Tak. Dlaczego powinienem nad nią pracować?

Coś we mnie pęka. Wszystkie moje dobre zamiary ulatniają

się. Całkowicie tracę panowanie nad sobą.

– Luther, za kogo ty się uważasz? Płacimy ci milion funtów za napisanie tej książki. Wiem, że dla ciebie to drobne, ale dla niektórych ludzi, na przykład dla mnie i moich kolegów z pracy, którzy chcieliby dostawać w tym roku wypłatę, to kupa pieniędzy.

Wynajęliśmy dla ciebie to miejsce, które kosztuje Bóg wie ile, załatwiliśmy najlepszego autora w branży, którego trzymaliśmy tu w niepewności, podczas gdy jego żona czekała na wyniki biopsji, a ty nie kiwnąłeś nawet palcem. To zależy od ciebie. Wystarczy, że będziesz leżał przy basenie i podyktujesz dziewięćdziesiąt tysięcy słów. Jeśli nie masz ochoty tego robić, powiedz, a wszyscy będziemy mogli pojechać do domów. Ale jeżeli chcesz, będziesz musiał przestać być taką samolubną świnią i jednak wykonać trochę pracy.

Luther nic nie mówi, tylko wpatruje się we mnie z lekko

otwartymi ustami, papieros zwisa mu z ust. Patrzę mu w oczy. Nie wierzę, że to powiedziałam.

– No to daj mi znać – mówię w końcu bez przekonania.

Wychodzę z pokoju i delikatnie zamykam za sobą drzwi. Serce bije mi jak szalone.

Właśnie popełniłam największy błąd w swojej karierze.

Co ja, do cholery, teraz zrobię?

Muszę się stąd wyrwać i pomyśleć. Och, jak bar-

dzio chciałabym mieć samochód i móc gdzieś pojechać, gdziekolwiek.

Postanawiam pójść na plażę, wziąć ze sobą telefon i zadzwonić do kogoś. Ale do kogo? Nie chcę rozmawiać z Ericą; wprawdzie

mogłaby udzielić mi porad prawnych, co może okazałoby się

pomocne, ale czasem ma skłonności do tego, by kazać

człowiekowi myśleć o sierotach z ogarniętych wojną krajów, gdy tylko wspomni się jej o problemach. Ma rację, ale nie chcę tego teraz wysłuchiwać. Wiem! Zadzwonię do Poppy. Ta rozmowa

będzie mnie drogo kosztować, ale nie dbam o to.

– Dzień dobry, tu redakcja – odbiera po kilku sygnałach. Gdy słyszę jej głos, od razu wyobrażam sobie, jak siedzi przy biurku, trzyma nogę na nodze i ma na sobie jeden ze swoich szalonych strojów. I wszystko to wydaje się takie odległe.

– Poppy, tu Alice.

– Alice! Jak ci idzie?

– Czy Olivia tam jest? Usłyszysz cię?

– Nie, nie wróciła jeszcze do biura. Jak się miewasz? Jak się czuje boski Luther?

– No wiesz, jak to bywa. Jest czarujący, samolubny,

rozpieszczony, a także, jak mi się wydaje, stanowi przykład kompulsywnego kłamcy i przed chwilą powiedziałam mu, że

powinien albo pracować nad książką, albo iść do diabła. No i odesłałam autora do domu.

– Co? Odesłałaś autora do domu?

– Szszsz... jeszcze cię ktoś usłyszy.

– Och, tak, oczywiście. Nie, w takim wypadku ma to sens.

Oczywiście. To bardzo rozsądne. Ojejku, słabo cię słyszę. Rozłącz się, a ja zadzwonię z drugiego telefonu, może to pomoże. –

Odkładam słuchawkę i czekam, modląc się, żeby udało się jej połączyć. Po paru minutach dzwoni telefon.

– Alice? Cześć! – Poppy syczy do słuchawki. – Claudine

stała przy mnie i nadstawiała uszu, więc poszłam do gabinetu Ellen. Co się dzieje? Co masz na myśli, mówiąc, że kazałaś Lutherowi iść do diabła?

Próbuję jej wyjaśnić.

– Jest koszmarny. Nie kiwnie palcem i w pewnym sensie –

uznam, że pominę historię z klubem nocnym – nie bierze się do pracy. Udawał, że opowiada mi o pewnych rzeczach, które okazały się kłamstwem. Tak więc tego ranka próbowałam z nim spokojnie porozmawiać, ale trochę straciłam panowanie nad sobą i

powiedziałam mu, że jest...

– Kim?

– Samolubną świnią – mówię szeptem.

– O raju, o raju – zapada cisza. – Może będzie jak w *Ani z Zielonego Wzgórza*, w tej scenie, gdy bije chłopczyka i udaje się jej go zmienić.

Zamykam oczy. Czasem wydaje mi się, że wszyscy czytamy

zbyt wiele książek i oglądamy za dużo filmów.

– To uroczy pomysł – wzdycham do telefonu. – Masz

szczęście, że zajmujesz się powieściami, Poppy. Nigdy, nigdy z tego nie rezygnuj. Autobiografie to szaleństwo.

– Nie zrezygnuję. Boże, Alice, co masz zamiar zrobić?

– W sumie to nie wiem. Po tej kłótni wyszłam z pokoju i od tamtej pory nie widziałam Luthera. Jestem zbyt przerażona, żeby o tym myśleć. Muszę poczekać i zobaczyć, co on robi.

– Jasna cholera. I pomyśleć, że ja tylko chodziłam na kurs szycia i oglądałam *Mad Men*.

Tak dobrze się z nią rozmawia, że niemal czuję, iż wracam

do formy.

– Spróbujmy zmienić temat. Co u ciebie?

Poppy przekazuje mi kojące wieści i przypadkowe fakty:

przeczytała świetną książkę, którą przedstawi na zebraniu

redakcyjnym, ma nowy rower, szyje kapelusz. Ale najważniejszą wiadomością jest to, że jej szajbnięty były chłopak, artysta o pseudonimie Crippa, pracuje nad instalacją, którą zainspirował ich związek.

– Nosi tytuł – trzymaj się mocno – Suka mnie skrzywdziła.

– Jak? To okropne! Jesteś zła?

– Tak, ale on twierdzi, że to ironiczne – odpowiada Poppy. –

Nieważne. Mam nadzieję, że nie dostanie za nią żadnej nagrody ani nic w tym stylu. Aha, chcesz usłyszeć najnowszą plotkę z miejsca pracy?

– Jasne.

– Bardzo w stylu Claudine. Dostaliśmy fantastyczny tekst i Ellen chciała, żebym go przeczytała, ale Claudine „uprzejmie”

zaoferowała, że ona się tym zajmie, bo, jak powiedziała, dla mnie ten tekst jest zbyt literacki. Serio. Walić ją, to Francuzka.

Ta historia jest tak genialnie małostkowa; żałuję, że mnie tam nie ma.

– Wiesz, że zależy jej na awansie – mówi Poppy. – Chce być następną osobą awansowaną na stanowisko redaktora.

– To jasne, że o tym marzy. Podobnie jak my wszyscy.

– A... tak przy okazji. Nie wiem, czy chcesz o tym wiedzieć, ale – to pewnie nic ważnego – ale...

– Wyduś to z siebie!

– Wygląda na to, że coś ją łączy z Simonem. Poznali się na premierze książki. Nie wydaje mi się, żeby to był romans, ale nie jestem pewna. Może to ze względów zawodowych...

Auć. Zabolało, ale właściwie nie tak mocno, jakbym się tego spodziewała.

– Poppy, nic nie szkodzi. Nie obchodzi mnie to. Niech jej

wyjdzie na zdrowie.

– To dobrze – Poppy oddycha z ulgą. – A tak poza tym co się dzieje? Kto jeszcze jest z wami? Czy to tylko przykrywka i cały czas jest naćpany i zajęty fankami? Mów.

– To niezupełnie tak wygląda. Jest bardzo leniwy, ale w

sumie dość uległy, tak mi się wydaje. Cała ta sytuacja jest jednak nie do zniesienia. – Opowiadam jej o

głupiej Annabel. O tym, jak zgubiono mój bagaż, o Marisie, Federicu i jachcie, i o Samie.

– Ojej. Przystojny młody agent?

– Tylko, jeśli lubisz takich porządných, zagniewanych typów.

Nie chce, żeby Luther wydał książkę, więc jest jak wrzód na tyłku

– uświadamiam sobie, że nie wiem, jak jej to wytłumaczyć. Jeśli opowiem, jak zawiózł Briana na lotnisko i pozwolił mi zachować twarz po rozmowie z Olivią, wyrobi sobie o nim mylną opinię. –

Jest bardzo arogancki i chce mieć nad wszystkim kontrolę. Cały czas próbuje wydawać nam polecenia. Któregoś ranka pływałam w basenie, a on uznał, że się topię, omal nie dostałam zawału, gdy wyciągał mnie z basenu.

– Uratował ci życie? To takie romantyczne! Ale co z

Lutherem? Sądziłam, że to on jest mężczyzną twoich marzeń.

– Już nie. Jest... nie wiem, nie jest taki, jak go sobie

wyobrażałam – zdaję sobie z tego sprawę dopiero w chwili, gdy mówię o tym Poppy. – W każdym razie po dzisiejszym dniu

możliwe, że zaraz wrócę do domu, jeśli Luther na serio potraktuje moje ultimatum.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza, aż w końcu Poppy przyznaje:

– No tak, to było dość ryzykowne.

– Zbyt ryzykowne? – pytam ostrożnie.

– No... nie wiem. Być może. Ale posłuchaj, Alice, bez

względu na to, co się stanie, nikt przez to nie zginie.

Myślę o żonie Briana i zaczynam się trząść.

– Nie, jasne, że nie.

– A jeśli wszystko inne zawiedzie, to jestem pewna, że

Claudine da ci jakieś zlecenia, jeśli tylko ładnie ją poprosisz.

– Zamknij się! – krzyczę i obie wybuchamy śmiechem. Nie

śmiałam się tak od kilku dni. Zapomniałam, jakie to przyjemne uczucie. Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, aż telefon zaczyna mnie parzyć.

– Lepiej już kończę – mówię z niechęcią. – Nie chcę, żebyś miała kłopoty przez wysokość rachunku

telefonicznego.

– Alice, posłuchaj samej siebie.

Wiem, co ma zamiar powiedzieć: najprawdopodobniej

schrzaniłaś książkę wartą miliony funtów, a przejmujesz się kosztem rozmowy telefonicznej? Ale ponieważ Poppy jest miła i jest moją przyjaciółką, stwierdza tylko:

– Harujesz dwadzieścia cztery godziny na dobę, nawet jeśli robisz to w pięknej willi pełnej przystojniaków. Możemy

przynajmniej ci zapewnić rozmowę z kwaterą główną.

– Masz rację, Poppy. Dobrze było z tobą porozmawiać. Czy

przywieźć ci coś? – zapomniałam wcześniej o to zapytać.

– Może oliwę z oliwek? – odpowiada zamyślona. – Ostatnio

dużo gotuję. Słuchaj, głowa do góry. Będę trzymać kciuki za to, by Luther sprawił, że staniesz się najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, gdy powie: „Tak, Alice, popracuję nad książką”.

– Dzięki. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Po zakończeniu rozmowy siedzę jeszcze przez chwilę na

plaży i wsłuchuję się w fale. No proszę: Simon i Claudine. To takie banalne, że poderwał ją na premierze książki. My też poznaliśmy się na premierze książki, na litość boską. O dziwo, nie jestem tak zrozpaczona, jak byłabym jeszcze kilka dni temu. Właściwie to od czasu mojego wyjścia na imprezę z Lutherem prawie w ogóle nie myślałam o Simonie. Poprawka: mojego katastrofalnego,

pijackiego wyjścia na imprezę z Lutherem. Myślę o pierwszym dniu mojego pobytu tutaj, o tym, jaka byłam przez niego

zaślepiąca. Nawet nie zastanowiło mnie to, że zamiast pracować nad książką, wybrał się popływać jachtem. Okazuje się, że wcale nie musiałam się martwić tym, że ktoś dowie się o braku zapisu w umowie; zdołałam sama wszystko schrzanić.

Coś jeszcze przychodzi mi do głowy. Nie jestem pewna, czy

dobrze zrobiłam, naskakując na niego w związku z Brianem.

Byłam tak zadufana, że nie spojrzałam na to z jego punktu

widzenia. Do wczoraj nic nie wiedział o sytuacji Briana. A ja mogłam bardziej się postarać, żeby zmusić go do pracy. To nie jego wina, że nie byłam w stosunku do niego stanowcza. A teraz jestem spalona. Chmurzy się coraz bardziej i zaczyna mi się robić zimno. Powoli wracam do domu.



Rozdział 16

Marisa i Sam siedzą na tarasie pochłonięci rozmową.

Zauważają mnie dopiero, gdy staję nad nimi.

– *Ciao, carissima*, witaj, moja droga – mówi Marisa. Nigdy nie przyzwyczaję się do tego, że tak się do mnie zwraca. Czuję się w takiej sytuacji, jakbym była w filmie.

– Cześć – mam wrażenie, że w czymś im przeszkodziłam. –

Yhm, gdzie jest Luther?

– Myśleliśmy, że z tobą – odpowiada Sam.

– Nie ma jego samochodu – dodaje Marisa. – Nie ma go z

Annabel, która wyszła gdzieś z Nikosem.

– Zadzwoń do niego na komórkę – proponuje Sam.

Trochę mnie to niepokoi, ale nie mógł przecież uciec,

nieprawdaż? Jestem pewna, że pojechał gdzieś, żeby to wszystko przemyśleć albo coś podobnego. Taką mam przynajmniej nadzieję.

– Czy miałabyś coś przeciwko, gdybyśmy naszą kolację

zamieniły na lunch? Nie chcę wracać dziś zbyt późno do domu.

Federico powiedział, że być może uda mu się wrócić wcześniej.

– Oczywiście – skoro Luther gdzieś zniknął, mogę wybrać

się na obiad. No a poza tym nieszczęśliwie mam ochotę być z nim sam na sam, gdy w końcu wróci. – Chcesz zjeść tutaj?

– Nie, dzięki. Pojedźmy do miasta.

Nie wracamy do restauracji, w której jadłyśmy poprzednio,

ale wybieramy inną, znajdującą się przy tym samym placu.

Siedzimy na zewnątrz, pod markizą, jemy *pasta alla Norma*, makaron z bakłażanami, i pijemy czerwone wino. Miejsce jest prześliczne, ale nie mam na tyle dobrego nastroju, żeby to docenić.

Kelner jest niesamowicie czarujący i usłużny, pokazał nam kilka wolnych stolików, żebyśmy mogły wybrać ten, który nam się

najbardziej podoba. Zastanawiam się, czy Marisa wszędzie jest w ten sposób obsługiwana. Nie mogę jednak zignorować tego, że sprawia wrażenie przygnębionej, gdyż nie jest tak rozmowna, jak zawsze.

– Czy coś się stało? – pytam.

Kręci głową. Dzwoni jej telefon, odbiera. Słyszę tylko jej odpowiedzi: „*Si... si... si... va bene. Va bene. Va bene*”. Wiem, że *va bene* znaczy „w porządku”, ale mam wrażenie, że cokolwiek się stało, dalekie jest od „w porządku”. Później następuje wybuch i gniewna przemowa, po czym wściekła Marisa kończy rozmowę.

– Wszystko okej? – zagaduję ostrożnie.

– Federico. Jednak nie wraca dziś do domu – wzrusza ramionami.

Wlepiam wzrok w swój talerz. Wiem, że w takich sytuacjach właściwie nic, co powiem, nie okaże się pomocne.

– Jak się poznaliście?

– Och. Prawdopodobnie w kościele albo w domu sąsiadów –

wpatruje się w dal. – Oboje dorastaliśmy w małym miasteczku w głębi wyspy, niedaleko od Cefalù. Był o dwa lata starszy ode mnie.

Nie znałam go zbyt dobrze, ale zawsze uważałam, że to

najprzystojniejszy chłopak w miasteczku. Podkochiwałam się w nim! Po liceum wyjechałam na studia, a on został, żeby pracować w firmie ojca.

– A tak, cement.

– Tak. Mają wielką fabrykę w pobliżu Mesyny. W każdym

razie po skończeniu studiów udałam się do Rzymu do pracy.

Dostałam posadę w telewizji, a później w wytwórni filmowej. Ale jeździłam do domu na trzy tygodnie każdego lata i dwa tygodnie na święta i zawsze wtedy widywałam Federica. Faceci w Rzymie są bardzo aroganccy – jeszcze bardziej niż ci z Sycylii. Wydaje im się, że wszystkie kobiety na świecie są w nich

zakochane. Federico był inny, bardziej szczerzy.

Próbuję pogodzić to z własnym wyobrażeniem na jego temat.

Przypuszczam, że głupkowatość może iść w parze ze szczerością.

– Po śmierci mojego ojca, dwa i pół roku temu, nastał dla

mnie straszny okres. Straciłam pracę i przyjechałam tutaj, żeby pobyć z matką. Fede był jedną z bardzo niewielu osób w moim wieku, które nadal tu mieszkały. Przychodził do nas bardzo często i robił dla mojej rodziny wiele rzeczy... Dobrze było mieć go w pobliżu. Staliśmy się parą. Później... – Marisa spogląda na mnie, a jej mina mówi „no zgaduj”.

– Aha – kwituję.

– Oboje tego chcieliśmy. Nie byliśmy w stanie wyobrazić

sobie, że można to inaczej załatwić. Byłam gotowa się ustatkować.

Miałam dość Rzymu i chciałam zostać tutaj ze względu na matkę.

No i miałam trzydzieści lat, wydawało mi się, że jestem już taka stara! – śmieje się, ale ku mojemu przerażeniu jej oczy zachodzą łzami.

– Co się stało?

– Poroniłam. Ale wtedy byliśmy już zaręczeni. I naprawdę

sądziłam, że potrafimy się wzajemnie uszczęśliwić. Teraz jest inaczej – dodaje cicho.

– Później się nie udało?

– Nie. Nie wiem dlaczego. Sądziłam, że dobrze by było się

przebadać, ale Fede nie spodobał się ten pomysł. A teraz nie jestem pewna, czy w ogóle powinniśmy. – Spogląda na swoje dłonie z perfekcyjnie pomalowanymi paznokciami i diamentową

bransoletką połyskującą na nadgarstku.

– Tak mi przykro – mówię.

Marisa patrzy na mnie, a jej oczy lśnią od łez.

– Alice! To mnie powinno być przykro. Masz wystarczająco

własnych powodów do żałobienia. Nic mi nie będzie – uśmiecha się do mnie. – Fede jest naprawdę dobrym mężem. I bardzo

wspomógł finansowo moją matkę. Tato nie zostawił zbyt dużo pieniędzy. A moja pensja w Rzymie nie wystarczała na jej

utrzymanie.

Biedna Marisa. Pamiętam, że kiedy ją poznałam, uważałam,

że nie jest piękna. Teraz myślę, że jest olśniewająca. Zastanawiam się, czy gdyby nie musiała brać pod uwagę swojej matki,

odeszłaby już od Federica. Biedna Marisa i biedny Brian...

Naprawdę nie jestem jedyną osobą, która ma problemy.

Płacimy rachunek i wracamy do willi. Jest trzecia i mam

nadzieję, że będą już jakieś wieści o Lutherze. Ale kiedy

parkujemy, widzę, że nadal nie ma jego samochodu. Sam jest na tarasie i jak zwykle pisze coś na swoim BlackBerry.

– Jakies wieści od Luthera? – pytam.

– Nie – odpowiada. – Ale nie dzwoniłbym jeszcze po *carabinieri*, żandarmów.

– Powinnam już iść i pozwolić wam zająć się pracą – oznajmia Marisa, patrząc raz na mnie, raz na Sama.

– Nie, zostań – mówi Sam. – Skończyłem pracę na dziś.

Proponuję, że zostawię ich samych, ale Marisa nalega, żebym do nich dołączyła. Maria Santa przynosi lemoniadę z lodem, a my rozkładamy się na leżakach i przez następną godzinę prowadzimy leniwą rozmowę. To zaskakująco przyjemna odmiana. Sam i

Marisa opowiadają mi zabawne historie o filmie, nad którym pracowali w Rzymie, i o reżyserach i producentach, na których trafili. Jestem w szoku, gdy dowiaduję się, że w jednej z moich ulubionych komedii romantycznych główna bohaterka większość swojej kwestii wypowiada do dublera, ponieważ aktor zawsze, gdy nie było go w kadrze, znikał z planu i odpoczywał. I jestem trochę zbulwersowana informacją o słynnym gwiazdorce filmów akcji, który musi ważyć absolutnie wszystko, co je. Ale żadna z przedstawionych historii nie jest szczególnie nieprzyzwoita.

– Sam jest zawsze taki dyskretny – prowokuje go Marisa. –

Nigdy nie opowiada nam ciekawych plotek.

– Naprawdę nie znam takich historii. Ekipa pracująca na

planie jest w tym najlepsza. Wszystko widzą, a nikt ich nie zauważa.

– Nie wierzę. Znasz wiele opowiadań – przekomarza się

Marisa i lekko uderza Sama czasopismem. A on tylko się uśmiecha i kręci głową.

Przyglądam się im i zastanawiam: czy coś jest między

nimi? Z pewnością do siebie pasują – dobrali się idealnie. A Marisa jest boska – każdy facet byłby nią zainteresowany.

– Idę porozmawiać z mamą. Wybaczcie. – Marisa wstaje,

przeciąga się i kieruje się do domu. Zostajemy tylko ja i Sam.

Natychmiast czuję się skrępowana. Sam leży tuż obok mnie,

dzieli nas tylko trzydzieści centymetrów. Kiedy przyłapuję się na tym, że przyglądam się jego opalonym bicepsom, uświadamiam sobie, że jest jakoś tak dziwnie, gdy tak leżymy w ciszy.

Potrzebuję trochę porozmawiać.

– Zawsze chciałeś być agentem filmowym? – pytam błys-

kotliwie. Ku mojemu zaskoczeniu Sam zaczyna się śmiać.

– Nie, chciałem zawodowo grać w koszykówkę.

– Och! – tego się nie spodziewałam. Ale trzeba przyznać, że Sam jest bardzo wysoki. – Co poszło nie tak?

– Dostałem stypendium sportowe na UCLA, ale na ostatnim

roku miałem kontuzję kolana. Od tamtego czasu gram tylko dla przyjemności.

– A jak się zaczęła twoja kariera agenta?

– Na początku rozważałem studiowanie prawa, ale

pomyślałem, że przydałaby mi się pensja, nawet niewielka, a nie ogromny kredyt na czesne. Chciałem zostać w Los Angeles, więc postanowiłem znaleźć pracę w tej branży. Jeden z moich przyjaciół

jest aktorem, ubiegałem się o pracę u jego agenta.

– Stanowisko asystenta?

– Nie, sortowanie poczty. I stopniowo piąłem się w górę.

Całe osiem pięter – odpowiada z udawaną powagą.

– Lubisz swoją pracę?

Sam znów się śmieje.

– Wiesz, nikt mnie nigdy o to nie pytał. Pewnie, że to lubię.

Praca jest ekscytująca. Kiedy udaje się podpisać kontrakt, czujesz ogromny przypływ adrenaliny. Lubię budować relacje z klientami, opiekować się nimi. Ale to szalone zajęcie. Nigdy nie jesteś po pracy. Teraz jestem na najdłuższym urlopie od dwóch lat.

– To jest urlop? Przecież pracujesz!

– Nie, oficjalnie jestem na urlopie. Ale muszę przez cały czas być dostępny. I mogę sobie na to pozwolić tylko dlatego, że mam tak solidną asystentkę.

Wow. Wygląda na to, że taki tryb życia jest bardzo

przygnębiający. Wydawało mi się, że Erika dużo pracuje, ale ona przynajmniej może pojechać na prawdziwe wakacje.

– A ty? – pyta Sam.

– Co ja?

Macha ręką.

– Jak zaczęłaś pracę w wydawnictwie? Czy to jest to, co

zawsze chciałaś robić? Lubisz swoją pracę? Wybierz sobie pytanie.

– A tak, zawsze chciałam pracować w wydawnictwie. Od

momentu, gdy uświadomiłam sobie, że książki nie powstają same z siebie. Uwielbiam książki i to, że jestem częścią czegoś, co dostarcza przyjemności tak wielu osobom. No i lubię pracować z autorami... – Głos mi niknie. Przez chwilę, gdy rozmawiałam z Samem, zapomniałam o tym, ale teraz znów martwię się o Luthera.

Powinien wrócić kilka godzin temu. Jakby czytając w moich

myślach, Sam mówi:

– Przestań się martwić o Luthera. Raz na jakiś czas znika.

Zrobił tak też w Rzymie. Gdy tylko nauczył się jeździć

samochodem z ręcznie sterowaną skrzynią biegów, nic go nie mogło powstrzymać. Wróci.

– Wiem – odpowiadam szybko. Nie mam zamiaru przyznać

się, że gdy ostatnim razem rozmawiałam z Lutherem, kazałam mu iść do diabła.

Po chwili wraca Marisa i zostaje u nas na kolacji. Gdy kładę się spać, Luther jeszcze nie wrócił.

Zaśnięcie zajmuje mi całą wieczność: nie mogę przestać zamartwiać się tym, gdzie on teraz jest i co robi. W pewnym momencie wstaję z łóżka i idę po

szklanę wody. Gdy wracam z kuchni przez salon, słyszę głos Sama dobiegający z tarasu. Marisa ciągle tu jest. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nadal siedzą przy stole, ich głowy niemal się stykają. On dotyka jej ramienia.

– Tylko mi powiedz – słyszę, jak mówi do niej szeptem. –

Zrobię, cokolwiek zechcesz.

Dobry Boże, o co tu chodzi? W pośpiechu wracam na

paluszkach do łóżka, zanim mnie dostrzegą. Później, w tych rzadkich chwilach, gdy nie rozpaczam z powodu Luthera i nie odtwarzam w myślach naszej rozmowy, zastanawiam się, co, do licha, tam się działo.



Rozdział 17

Budzą mnie hałasy dobiegające z zewnątrz: dzięki Bogu, słyszę też głos Luthera. Oddycham z ulgą. Ale co ja sobie wyobrażałam? Że rzuci się z mostu, bo byłam dla niego nieprzyjemna?

Ubieram się i na chwilę siadam na krawędzi łóżka, żeby

pomyśleć. Za bardzo się boję wyjść z pokoju i stanąć z nim twarzą w twarz. Właściwie to robi mi się niedobrze. Co, do licha, mu powiem? Co on powie?

Być może już zadzwonił do Olivii, żeby poskarżyć się na to, jak się do niego zwracam. Nie kontaktowałam się z nią od naszej ostatniej okropnej rozmowy. O Boże. Jeśli Luther lub Sam

zatelefonują do niej i powiedzą, że postawiłam Lutherowi

ultimatum... Ale dlaczego martwi mnie to, że moja szefowa jest zła, skoro konsekwencje mogą być dużo poważniejsze? Olivia może już nie być moją szefową. Mogła zostać zwolniona za to, że powierzyła mi tak odpowiedzialne zadanie, a ja je spieprzyłam. Od tego stresu i strachu odczuwam ciągle pulsowanie w

głowie.

Wstaję i podziwiam przez okno piękny widok. Dzień jest

cudowny, a żar zaczął już pulsować w powietrzu, wznosząc się znad ziemi falami. Niebo i morze mają ten sam, niesamowity niebieski odcień. Parapety są tak rozgrzane, że nie sposób ich dotknąć. Jest tu tak pięknie, ale po tej wyprawie nie będę już nigdy chciała wrócić do Włoch.

Słyszę pukanie do drzwi. To prawdopodobnie Sam albo

głupia Annabel chce coś ode mnie pożyczyć. A może to Luther z bukietem kwiatów i przeprosinami? Taaa, jasne.

Nie odezwałam się jeszcze, ale drzwi powoli się uchylają i Luther zagląda do pokoju. Wygląda jakby spędził całą noc poza domem, co prawdopodobnie faktycznie miało miejsce.

– Mogę wejść? – pyta.

Wchodzi do pokoju bardzo okrężną drogą, ostrożnie omijając wszelkie meble. Podchodzi do mojej toaletki i bierze jedwabną apaszkę, którą Marisa dla mnie wybrała.

– Luther, bardzo cię przepraszam za wczoraj – mówię. –

Zachowałam się niewiarygodnie niegrzecznie. I głupio. Nie mówiłam serio.

Moje słowa chyba do niego nie docierają. Obwiązuje sobie apaszkę wokół szyi.

– Pasuje mi?

– Yhm. – Uśmiecham się i potrząsam głową, choć, co

dziwne, wygląda całkiem fajnie z tą apaszką, podobnie jak we wszystkim, co zakłada.

Luther odkłada chustkę na stolik.

– Chodźmy na spacer – mówi.

Schodzimy w kierunku plaży. Nie odzywam się, bo nie

jestem pewna, co się dzieje, i chcę, żeby przemówił jako pierwszy.

Kiedy docieramy na plażę, podnosi kamień i puszcza kaczki, podobnie jak Brian dzień wcześniej, ale z dużo większą wprawą.

– To chyba ja powinienem przeproszać – mówi. – Pewnie

uważasz mnie za dupka.

Odczuwam tak wielką ulgę, że czuję ją dosłownie w swoim ciele.

– Wcale nie uważam cię za dupka.

– Aha. – Rzuca kolejny kamyk. – Sprawa wygląda tak, że

chcę wydać tę książkę. Naprawdę. Ale jest dużo rzeczy... – Głos mu się urywa, znów patrzy w morze. Czeka na to, co powie

dalej.

– Jest mnóstwo rzeczy, o których chcę komuś opowiedzieć.

– Możesz ze mną rozmawiać o wszystkim – stwierdzam. On

kiwa głową, a ja w myślach liczę do dziesięciu, jak poradził mi Brian, i czekam.

W końcu Luther mówi:

– To zabawne, że powiedziałaś: „Za kogo ty się masz?”, bo

wydaje mi się, że jestem teraz na takim etapie życia, że prawie nie wiem, kim jestem. Rozumiesz, o co mi chodzi? To znaczy,

odgrywam wszystkie te role, ale nie wiem, kim jestem, gdy

wyłączają kamery.

Nie odzywam się ani słowem. Kiwam tylko głową, starając

się nie oddychać. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by mówił w ten sposób.

– Tak więc kiedy rozmawialiśmy wcześniej, chyba grałem na

zwłokę – mówi. – Chcę, żeby ta książka powstała, ale kiedy przychodzi do rozmowy, jestem przerażony. Po prostu dziwnie się czuję ze świadomością, że ujawnię to wszystko – dodaje cicho.

Nie wiem, co powiedzieć. Przyłączają mnie wyrzuty

sumienia i współczucie. Ma rację. Choć trułam, że ma w życiu łatwo, to nie ja mam przedstawić historię swojego życia.

– Wiem – mówię – ale nie musimy się śpieszyć. I nie musimy pisać o tym, czego nie masz ochoty ujawniać.

Kiwa głową.

– Świetnie. Jestem gotowy, naprawdę. O ile ty też jesteś.

– Oczywiście. – Jestem taka szczęśliwa.

– No to co teraz robimy?

– Możemy porozmawiać. Później wyślemy taśmy Brianowi,

a on napisze tekst. Kiedy skończy, przeczytasz książkę i razem naniesiemy poprawki. I tyle.

– Okej. – Wstaje. – Wiesz co? – W jego głosie słychać

zdecydowanie. – Jestem podekscytowany. Nie ściemniam.

Naprawdę chcę to zrobić.

Ulżyło mi. Nie mogę uwierzyć, że dał się przekonać. Trochę czasu to zajęło, ale wydaje mi się, że w końcu zbliżam się do prawdziwego Luthera.

Luther idzie pierwszy, a ja wysyłam Olivii wiadomość z

informacjami o postępach. Nie zamierzam teraz do niej dzwonić, bo chcę dotrzymać mu kroku. Mój SMS brzmi: „Nastąpił przełom z Lutherem. Robimy wywiady. Spodziewam się dużych

postępów”. Ostrożnie naciskam „wyślij” i mam nadzieję, że

wszystko dobrze pójdzie.

Idę w kierunku tarasu, gdzie Luther rozmawia z Samem.

– Wiesz, kogo wybrali? – pyta Luther.

– Jeszcze nie, próbuję się dowiedzieć. Wiem, że pod uwagę

brano Sepha Banksa...

– Tego typu! Nie zrobiłby dobrego filmu, nawet gdyby ten

ugryzł go w tyłek. Pieprzyć to. Powiedz, że rezygnuję. Powiedz, że będę w tym czasie pracował nad książką.

Sam jest przerażony.

– Pracujesz nad książką? – powtarza.

– Zdecydowanie.

– Posłuchaj, Luther. To zły pomysł. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

– Nie obchodzi mnie to! Chcę to zrobić. I mówiłem ci o tym jakieś milion razy. Więc przestań mi

przeszkadzać i wymyślać wszystkie te projekty, które mają odwracać moją uwagę, bo to nie działa. – Zwraca się w moją stronę. – Jesteś gotowa?

– Tak! Wezmę tylko swoje rzeczy i taśmy. – Uśmiecham się promieniście do Sama i biegnę do domu.

Sam idzie za mną, sprawia wrażenie wściekłego.

– Mam nadzieję, że jesteś teraz zadowolona – warczy, gdy tylko wchodzimy do domu. – Przez ciebie Luther popełni największy błąd w swojej karierze.

Wiem, dlaczego jest zirytowany, ale nie przejmuję się tym.

– Sam, nie do ciebie należy decyzja – mówię. – Luther chce napisać porządną książkę. Jeśli więc masz z tym problem, musisz porozmawiać z nim.

Sam nic nie mówi, a ja wiem, że nie może nic powiedzieć.

Jeśli Luther postanowił, że naprawdę chce to zrobić, on nie może go powstrzymać.

– Pokażesz mi zapis każdego wywiadu, jaki z nim

przeprowadzisz! – krzyczy. – Wszystko, co ci powie, wymaga mojej akceptacji. Nie ma żadnych wyjątków od tej reguły.

Gdy obserwuję, jak odchodzi wściekły, uświadamiam sobie,

że prawie zaczynałam go lubić. Oczywiście nie w sensie

romantycznym, ale jako osobę. Ale nic nie można na to poradzić.

Luther już robił tak, jak Sam mu kazał, teraz moja kolej. Zbieram swoje rzeczy i przed pójściem do Luthera piszę do Poppy: „Być może masz rację, Aniu z ZW. Trzymaj kciuki, dam ci znać!”.

Mam nadzieję i modlę się, żeby moja radość nie okazała się przedwczesna.



Rozdział 18

Jesteśmy na tarasie z tyłu domu. Luther leży na leżaku, a ja siedzę naprzeciwko niego na krześle. Włączam dyktafon. Czuję, że Luther jest inny niż zawsze. Chodzi o jego zachowanie – jest bardziej poważny niż kiedykolwiek wcześniej. Pasuje to do niego.

– Tak więc... może zaczniemy od tego, o czym mówiłeś mi

wcześniej, kiedy musiałeś wyprowadzić się z domu. Czy

wyglądało to tak, jak opisałeś? – pytam. Chcę się dowiedzieć, czy to prawda, ale wolę nie podkreślać tego smutnego faktu, że wcześniej kłamał.

– No tak, w pewnym sensie. Prawdą jest to, że tata

wyprowadził się, gdy miałem trzynaście lat. A my zamieszkaliśmy później u przyjaciółki mamy przez miesiąc lub dwa. Ona

faktycznie miała brata Amosa, z którym mama zaczęła się

spotykać. I wtedy ta przyjaciółka kazała nam się wyprowadzić. To wszystko było prawdą. I wprowadziliśmy się na jakiś czas do Amosa. Ale nie chciał, żebyśmy jechali z nim do Meksyku ani nigdzie indziej. Któregoś dnia po prostu zniknął, a mama była wtedy mocno zdenerwowana.

– Och – mówię. Biedny Luther. Dwaj ojcowie zniknęli z jego życia w ciągu zaledwie kilku miesięcy.

– Musieliśmy się od niego wyprowadzić i wówczas

zamieszkaliśmy w samochodzie mamy. To było piekło. Na

początku nic nikomu nie powiedzieliśmy. Parkowaliśmy samochód w różnych miejscach. W tamtym czasie mama pracowała w

Walmarcie, więc nasze auto stało przed sklepem. Mama

przemyciała nas do środka o szóstej rano, żebyśmy mogli się umyć i ubrać do szkoły. Ludzie, którzy przychodzili na nocną zmianę, wiedzieli o tym, ale mama pracowała w ciągu dnia, więc sądziła, że ujdzie jej to na sucho. Ale i tak się dowiedzieli i musieliśmy przenieść się gdzieś indziej.

Ciarki przechodzą mi po plecach, gdy myślę o matce Luthera i dwóch dzieciakach, które myją się i przebierają w łazience dla pracowników sklepu.

– A co z twoimi dziadkami? Nie mieliście tam żadnych

krewnych?

– Nie w Camden, bo mama pochodzi z Queens. Poza tym

pokłóciła się z rodzicami, gdy wyszła za mąż za mojego ojca –

nienawidzili go. Byliśmy zdani tylko na siebie.

– Chodziłeś do szkoły przez cały ten czas?

– Na początku tak. Ale mama nie mogła znieść tego, że

ludzie dowiedzą się o nas. Bała się, że wszyscy w miasteczku poznają prawdę, choć, szczerze mówiąc, wy- daje mi się, że już wiedzieli. Mama pracowała z kobietą, która w czasie żniw jeździła na Florydę. Obiecała nam pomóc, więc z siostrą przestaliśmy chodzić do szkoły i pojechaliśmy tam starym fordem maverickiem.

Dosłownie można było obserwować drogę przez dziury w podwoziu.

– Jak było na Florydzie?

– W porządku. Fajnie, że nie musieliśmy już marznąć. A w

tym samochodzie dość szybko robiło się zimno. Ale miałem dosyć pomarańczy – codziennie jedliśmy po dziesięć. Wieczorami razem z siostrą wychodziliśmy zarabiać pieniądze. W taki sam sposób jak w mojej opowieści o sekcie – śmieje się.

– Czyli jak?

– Robiliśmy przedstawienia dla turystów. Śpiewaliśmy

piosenki, wymyślaliśmy skecze. Znałem na pamięć całą przemowę z *Powrotu do przyszłości*. – Kręci głową. – Mama miała nowego chłopaka i była zajęta czymś innym. Ale kiedy się dowiedziała, strasznie nam się dostało. Wkrótce po tym pogodziła się z

rodzicami i wprowadziliśmy się do ich domu w Queens. W tamtym czasie chyba po raz pierwszy zrozumiałem, jak bardzo lubię grać.

W ten sposób skupiałem na sobie uwagę, ale też pomagało nam to uciec od tego, co się działo w domu.

Mój redaktorski mózg myśli, że to genialny materiał. Ale

równocześnie jest mi niewiarygodnie przykro z powodu Luthera i jego rodziny. Nie potrafię sobie wyobrazić takiego życia na krawędzi.

Do końca poranka Luther wypala całą paczkę papierosów.

Opowiada mi o swoim dzieciństwie, zanim zostawił ich ojciec –

którego otaczał czcią. Luther ciągle pakował się w kłopoty: chodził

na wagary, kradł w sklepie, próbował kraść samochody. Mówi o matce, czasem bardzo czulej, a czasami pochłoniętej własnym chaotycznym życiem; o babce, która była bardziej stabilna. Nie wiedziałam, że to

ona namówiła go, żeby zapisał się na kurs tańca, dzięki czemu dostał rolę w *Gorączce*.

– Jak to wyglądało? – pytam go. – To znaczy wiem jak to

było, ale jak się wtedy czułeś?

– To było jak spełnienie marzeń. Czułem, jakby wszystkie te przyczepy, kable, światła, wizażystki, ludzie od katering, reżyser, asystent reżysera, a nawet reszta obsady byli tam z mojego powodu. Bo ja byłem gwiazdą. To ode mnie zależało, czy film odniesie sukces.

– To brzmi przerażająco.

– Nie – Luther nachyla się w moją stronę. – To powinno być przerażające, ale ja nie miałem o niczym pojęcia. Kochałem to.

Byłem od tego uzależniony. Od kostiumów, scenariusza,

choreografii – wszystkiego. Nie miałem pojęcia, co robię, musieli mi przypominać, żebym nie patrzył w kamerę. Ale trafiłem na dobrego reżysera, więc jakoś sprostąłem tym zadaniom. Tak

naprawdę nie grałem. Byłem sobą. A potem, gdy widzowie oszaleli na punkcie filmu, ja też oszalałem. Ale później to rozczarowanie w kilka miesięcy po premierze było okropne.

– Dlaczego?

– Bo wszystko się skończyło. Nigdy już niczego takiego nie przeżyję. Podpisałem wtedy kontrakt na Gwiazdy na wodzie, ale nie było gwarancji, że film odniesie tak duży sukces, jak *Gorączka*.

I zacząłem sobie zdawać sprawę, jak bardzo nie nadaję się na aktora. A co, jeśli to wszystko się zakończy i będę musiał wrócić do domu z podkulonym ogonem? Przerażające. Tak naprawdę ten strach, który powinienem był odczuwać, gdy kręciliśmy *Gorączkę*, pojawił się dopiero wtedy, gdy całe zamieszanie wokół filmu się skończyło. – Luther rozmyśla przez chwilę. – Wydaje mi się, że też...

Czekam.

– Przez cały czas, kiedy chodziłem na kursy aktorskie albo przesłuchania, miałem w pewnym sensie nadzieję, że któregoś dnia, jeśli uda mi się zostać gwiazdą filmową albo aktorem znanym z telewizji lub nawet wystąpię w reklamie, mój tato mnie zobaczy i być może... Nie wiem, czego się spodziewałem. Może tego, że pomyśli, że jestem fajnym dzieciakiem, albo że się z nami skontaktuje i da znać, że żyje. Ale nigdy do tego nie doszło.

Gorączka pojawiła się w kinach, udzieliłem mnóstwa wywiadów, byłem na wielu okładkach. I nic.

– Czy wiesz, gdzie on teraz jest?

– Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia. Możliwe, że już nie żyje. Albo może, nie wiem, utrzymuje się z zasiłków, albo mieszka w przyczepie. Jednak mam przeczucie, że tak nie jest, bo gdyby żył, chyba nie wahałby się, tylko skontaktował się ze mną.

– Żeby się spotkać?

– Nie, żeby poprosić o pieniądze.

– Aha. – Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak strasznie jest myśleć tak o własnym ojcu.

– Wiem, że biorąc pod uwagę to, że nas zostawił,

powiniennem uważać go za dupka, ale tak naprawdę pamiętam, że był całkiem fajny. Zawsze się śmiał, żartował i miał tak wielu kumpli. Kiedy wchodził do pokoju, ten jaśniał od jego blasku.

Grywał ze mną całymi godzinami w baseball. To z nim wypiliśmy swoje pierwsze piwo, gdy miałem dwanaście lat. Ale moja starsza siostra nie pamięta go w ten sposób.

– Nie?

– Nie. Mówi, że wszystko zależało od tego, w jakim nastroju wrócił do domu. Że ona i mama modliły się, żeby był w dobrym humorze, bo inaczej następowało piekło. Jeśli jego samopoczucie było zbyt dobre, to oznaczało, że pił – potrząsa głową. – Po raz pierwszy wspomniała o tym po premierze *Gwiazd na wodzie*.

Byliśmy na jakimś przyjęciu. Powiedziałem jej, że chciałbym, żeby był z nami, a moja siostra wybuchła i wszystko się wydało.

Pewnie miała rację. Nienawidziłem go za to, że zostawił mamę, że nas zostawił, ale równocześnie czułem, jakby... Zapamiętałem go jako całkiem fajnego gościa i nie chciałem o tym zapominać. Ale pewnie był dupkiem. Nie wiem, naprawdę nie pamiętam.

Kiedy tak leży na leżaku, sprawia wrażenie bardzo

przygnębitego. Szczerze mówiąc, wygląda niewiarygodnie

przystojnie, a możliwość poznania go z tej strony... Szybko biorę się w garść i pytam go o to, jak obecnie wyglądają jego stosunki z rodziną.

– Z mamą świetnie się dogaduję – mówi. – Od dziesięciu lat jest znów zamężna, to porządny facet, teraz życie jest dla niej dużo łatwiejsze, wiesz? Na prezent ślubny kupiłem im dom. Chyba dziwnie się czuł, przyjmując go, ale nie obchodzi mnie to.

– A siostra?

– To oddzielna historia. Kiedy byliśmy dziećmi, trzymaliśmy się razem, ale teraz oddaliliśmy się od siebie. Sądzę, że czuje, iż zająłem jej swoimi dramatami wiele czasu, a ona musiała robić swoje. Ale dobrze sobie radzi. Wyszła za męża, ma troje dzieci, mieszka w ładnej okolicy. Nie pozwala, żebym robił jej prezenty, ale daję je moim siostrzeńcom, więc jest okej.

Dobrze wiedzieć takie rzeczy – musimy mieć świadomość,

kto może narzekać na to, co napisze, a kto nie.

– A twoja babcia?

Milczy przez chwilę.

– Zmarła. Przez cały ten czas, gdy kręciłem Gorączkę,

umierała na raka. Nadal mam poczucie winy, że nie spędziłem z nią więcej czasu. Jeździłem do niej w odwiedziny tak często, jak mogłem, ale nie byłem z nią wystarczająco długo. Wydaje mi się, że spośród wszystkich okropnych rzeczy, jakie zrobiłem w życiu, tego właśnie najbardziej żałuję.

Biedny, biedny Luther. To wyjaśnia, dlaczego zareagował

tak, a nie inaczej, gdy wspomniałam o żonie Briana. Czuję się okropnie, że w niego wcześniej wątpiłam.

Rozmawiamy jeszcze z godzinę, aż uświadamiam sobie, że

nie jestem w stanie odczytać swoich notatek, bo robi się ciemno.

Jestem tak pochłonięta rozmową, że nie zdaję sobie sprawy z upływu czasu.

– Luther! Uwierzysz, że rozmawiamy już ponad sześć

godzin?

– Tak? Czy dostałaś to, na czym ci zależy?

– Oczywiście. Byłeś fantastyczny. Dobra robota, bardzo ci

dziękuję – mam zamiar wstać, ale on nadal siedzi ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Mimo iż zapada zmrok,

widzę, że jest nieco przytłoczony i bardzo smutny. O Boże... Mam ochotę objąć go i powiedzieć, że przykro mi, że musiał przez to wszystko przejść.

– Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko gra – rzuca, podnosząc głowę. – Dobrze, że z kimś o tym porozmawiałem. Możemy rozmawiać dalej, wiesz? –

Spogląda na zegarek, a ja czuję się rozdarta. Sama jestem

wyczerpana, ale jeśli będzie chciał dalej mówić, chcę być przy nim.

– Właściwie to nie, zróbmy sobie przerwę – stwierdza w

końcu, a ja potakuję.

Luther wyrusza na poszukiwanie Sama, a ja powoli wstaję i

się przeciągam. Uświadamiam sobie, że bolą mnie ramiona, ręce i szyja, choć tylko słuchałam, robiłam

notatki i czasem zmieniałam taśmy w dyktafonie. Ale to genialne. Dostałam dziś przynajmniej trzydzieści tysięcy słów i jest to najbardziej interesująca część książki, jaką mamy.

Federico i Marisa rozmawiają z Samem i Lutherem. Planują

wyść na kolację i drinki do Taorminy. Wszyscy wyglądają

sztywnie, tylko ja prezentuję się jak ofiara po całym dniu pracy.

– Idziesz z nami, Alice? – pyta Federico. Marisa i Luther też na mnie patrzą. Zauważam, że Sam ostentacyjnie kieruje wzrok w drugą stronę. Prawdopodobnie nie chce, żebyśmy teraz była w pobliżu.

– Obawiam się, że nie mogę – wyjaśniam, że muszę spisać

dzisiejszy wywiad z Lutherem i przesłać go Brianowi.

Uświadamiam sobie, że ten sposób będzie bardziej wydajny niż wysyłanie taśm.

– Jesteś pewna? – dopytuje się Marisa. – Moja kuzynka

Giulia bardzo dobrze mówi po angielsku. Mogłaby ci pomóc przy przepisywaniu wywiadów.

– Nie, bardzo ci dziękuję, ale muszę sama to zrobić –

odpowiadam. Tylko ja wiem, na co trzeba zwrócić uwagę Brianowi i co można pominąć. Nie wspominając już o tym, że to bardzo poufny materiał i nie chcę, żeby ktokolwiek inny się nim zajmował

bez względu na to, ile klauzuli poufności podpisze. Chcę, aby Olivia i Brian zobaczyli go jako pierwsi.

Oddycham z ulgą, kiedy wszyscy wychodzą i zostawiają

mnie samą z moimi myślami.

Nadal jestem oszołomiona tym, co powiedział mi Luther.

Przez ostatnie sześć godzin dowiedziałam się o nim więcej niż przez całą naszą znajomość. Jego dzieciństwo musiało być

prerażające. Stracił dom i był zmuszony mieszkać w

samochodzie, ojciec któregoś dnia go zostawił i nigdy więcej nie zjawił się w jego życiu – nic dziwnego, że jest taki zagubiony.

Każdy byłby na jego miejscu. Nadal próbuję porównać osobę, którą znam, z osobą z jego opowieści. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak bardzo świadomy tego, co wpływa na jego odczucia –

jak wtedy, gdy opisywał, co się z nim działo po *Gorączce* albo jak był rozczarowany tym, że ojciec nigdy się z nim nie skontaktował.

Było to wyjątkowo smutne.

Cała ta opowieść pokazuje, że można być tak bogatym i

sławnym, jak Luther, ale nie ma to żadnego znaczenia, jeśli brakuje ci najważniejszego: miłości, stabilności, domu, rodziców, którzy cię kochają albo przynajmniej interesują się tym, co robisz.

Być może dlatego chciał zostać sławny – żeby doświadczyć tej miłości, której nie zaznał w domu.

Zakładam słuchawki i rozpoczynam wieczór wypełniony

pracą. Dźwięk głosu Luthera wypełnia moje uszy, a ja zaczynam spisywać jego słowa.



Rozdział 19

Jestem na planie filmowym albo na scenie i mam grać obiekt uczuć Luthera, ale zamiast tego z jakiegoś powodu siedzę przy małym biurczku i jak szalona stukam w klawiaturę. Wokoło

ludzie ćwiczą swoje kwestie, montują światła i ustawiają kamery.

Wszyscy czekają na mnie i zaczynają się niecierpliwić, ale nic nie mogę poradzić – muszę skończyć pisać książkę, zanim pocałuję Luthera. Jedynym rozwiązaniem jest szybsze pisanie, więc żebym mogła uciec, piszę coraz szybciej, waląc jak szalona w klawisze.

Robię to coraz głośniej, aż wreszcie zdaję sobie sprawę, że to nie pisanie, lecz pukanie. Budzę się, a ktoś głośno stuka do moich drzwi. Zamykam oczy, mając nadzieję, że przestanie, ale nie, ktoś puka i puka.

– Kto tam? – krzyczę, a raczej skrzeczę.

Drzwi otwierają się. To Luther. Zakrywam prześcieradłem

odsłoniętą nogę, siadam i próbuję wyglądać bardziej przyzwoicie.

Mam nadzieję, że nie mam opuchniętej twarzy.

– Cześć. Czy moglibyśmy wkrótce zacząć? Wstałem jakiś

czas temu i myślałem...

Zerkam na niego.

– Świetnie, dasz mi chwilę?

– Ale nie za długą – odpowiada i znika.

Padam z powrotem na poduszkę. Ledwo udaje mi się

otworzyć oczy. Jestem taka zmęczona. Pisanie zajęło mi wczoraj w nocy o wiele dłużej, niż sądziłam. Byłam na nogach do drugiej trzydzieści – przepisywałam wywiady, wycinałam fragmenty, które nie będą potrzebne, robiłam notatki dla Briana. Podnoszę telefon z podłogi i sprawdzam czas.

Jest szósta czterdzieści.

Okej, trochę wcześniej, ale niech będzie. Najważniejsze, że Luther jest zmotywowany. Świetnie! Wprawdzie ledwie trzymam się na nogach, ale wezmę prysznic i wszystko będzie w porządku.

Dziesięć minut później z nadal mokrymi włosami spiętymi w

kucyk siedzę na tylnym tarasie z Lutherem. Zajmujemy te same pozycje co wczoraj. Trzymam w ręce kubek z kawą i bułkę, które wzięłam po drodze z kuchni. Luther się nie ogolił, ale sprawia wrażenie gotowego do pracy i podekscytowanego. No i jest bardzo przystojny, w niebieskiej bluzie z kapturem i dżinsach. Musi mieć wytrzymałość byka.

– Jak się bawiłeś wczoraj wieczorem?

– W porządku. Pozostali chcieli jeszcze gdzieś pójść po

kolacji, ale ja nie miałem ochoty. Dużo myślałem. Przypominałem sobie wszystko to, o czym chciałem porozmawiać.

– To wspaniale. Bardzo się cieszę, że w końcu... udało ci się w to wciągnąć – odpowiadam. I naprawdę tak myślę. To absolutnie cudowne.

Przez cały rano rozmawiamy o początkach jego kariery i

dwóch filmach, które nakręcił po *Gorączce*. Opowiada mi kilka świetnych anegdot o aktorach i reżyserach, z którymi pracował, i jak sądzę, wszystkie nadają się do tego, by zamieścić je w książce.

Słuchanie go jest taką przyjemnością, że niemal zapominam o zmęczeniu.

Po ponad trzech godzinach rozmowy i nagraniu trzech taśm

uznam, że należy nam się przerwa. Czekam na odpowiedni

moment. I kiedy Luther kończy opowiadać jedną z historii, pytam:

– Luther, jest już dziesiąta. Może zrobimy sobie pół godziny przerwy?

– Wolałbym nie przerywać – odpowiada. Mam już następny

punkt rozmowy: Don.

Zupełnie nie wiem, o co chodzi, lecz Luther nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie chcę być niegrzeczna, ale nie mam innego

wyjścia. Muszę zapytać, kim jest Don.

– Dom! Dominique.

– Ach, tak, oczywiście. Przepraszam! Źle cię zrozumiałam.

Ma na myśli swoją byłą żonę, Dominique Rice. Z tego, co

słyszałam, zachowuje się jak kompletna wariatka. Podobno na spodzie stopy wytatuowała sobie po rozwodzie jego imię, żeby móc go deptać każdego dnia. Wiem, że to prawda, bo widziałam zdjęcia, na których leży na leżaku, a na podeszwie ma wypisane okropną pseudogotycką czcionką „Luther”.

– Cieszę się, że o tym porozmawiamy. Ale może zrobimy wcześniej króciutką przerwę? W ten sposób możesz chwilę odpocząć i opowiedzieć o tym we właściwy sposób.

Luther patrzy na mnie przez moment, po czym spogląda w kierunku morza.

– No nie wiem. Mam wrażenie, że mogę opowiedzieć o tym teraz albo nigdy.

No dobra. W końcu ma zamiar mówić o byłej żonie.

Powinnam chyba być szczególnie ostrożna w przypadku tego tematu.

– Oczywiście.

Zaczyna swoją opowieść od tego, że Dominique bardzo się

zmieniła, odkąd wzięli ślub, że urodziła dwójkę dzieci i została hipiszką. Mówi też, jak ciężko jest rozstać się z kimś sławnym.

– Bo wiesz, kiedy normalni ludzie ze sobą zrywają, nie muszą oglądać swoich byłych na wielkich billboardach,

rozumiesz? Chodzi mi o to, że zerwanie z kimś jest wystarczająco trudne bez konieczności oglądania ich w telewizji czy w

czasopismach i czytania wywiadów, w których ten ktoś mówi, że rozstanie było wspólną decyzją, a ty wiesz, że to nieprawda. Tak przy okazji nie cytuj tego.

– Nie będę cytowała tego fragmentu o czytaniu wywiadów i

niezgodzeniu się w kwestii tego, że zerwanie było waszą wspólną decyzją – mówię. – Ale podoba mi się to o billboardach.

– Czytałem wywiad, który z nią przeprowadzono po tym, jak

urodziła dziecko. Nie mogłem uwierzyć, że to ona. Mówiła o bogini matce, sile życia i o tym, że wszędzie widzi tęcze.

Pamiętam, jak twierdziła, że na pewno nie chce mieć dzieci, bo wysysają z człowieka całą chęć do życia, i że dlatego z

wzajemnością nienawidziła swoich rodziców. Nie mieliśmy w

planach dzieci. Ale jemu chyba udało się ją namówić. I teraz jest szczęśliwa. To wspaniałe.

„On” to obecny mąż Dominique. Już się zorientowałam, że

Luther go nie znosi. „Gnojek” to jedno z łagodniejszych określeń, jakich użył.

– To znaczy wiesz, o co mi chodzi – udaje, że jest taki

wyrafinowany i wrażliwy, interesuje się malarstwem, stolarką i tym podobnym. To fajnie. Ale nikt zdaje się nie pamiętać, że zaczął od grania w operach mydlanych i ma mniej więcej takie samo wykształcenie, co ja, czyli żadne. I choć cieszy się opinią kasowego aktora, połowa z jego filmów nie trafia na ekrany kin.

Tak naprawdę jego sława jest niezасłużona, nie przekłada się ani na jego reputację, ani na jakość filmów, które wybiera.

– Yhm... – zaczynam sobie uświadamiać, że Luther,

podobnie jak większość aktorów, ma czasem skłonność do nagłych zmian tematu. I z pewnością ma hopla na punkcie męża

Dominique. Muszę o tym pamiętać i unikać tego tematu.

– Mówiłeś mi o Dominique – podpowiadam ostrożnie.

– Tak. Dominique i siła matki natury? – śmieje się. Po chwili jednak uśmiech znika z jego twarzy. – Wydaje mi się, że nasze rozmowy były takie trudne, bo zawsze dochodziło do nich, gdy byliśmy na haju. Ale z drugiej strony niemal permanentnie byliśmy na haju. Tak to u nas działało.

– Rozumiem – odpowiadam, starając się zrobić wrażenie

osoby, która wie, o co chodzi.

– Nie wiem, czy bierzesz narkotyki, Alice.

– No cóż, ja...

– Problem z nimi jest taki... Jeśli często sięgasz po narkotyki i jesteś z kimś, kto też często je bierze, to jest trochę tak, jakby w waszym związku była jeszcze jedna osoba. Wiesz, o co mi chodzi?

Chodzi mi o to, że... po jakimś czasie trudno jest stwierdzić, czy bierzesz narkotyki dlatego, że jesteście razem, czy może jesteście razem, bo bierzecie narkotyki czy może jedno i drugie.

Notuję to i znów myślę o tym, jaki Luther potrafi być

spozstrzegawczy.

– Poznałem ją podczas próby czytanej. Widziałem wcześ-

niej jej zdjęcia, ale pomyślałem, że na żywo jest jeszcze

piękniejsza i że ma w sobie to coś. Tatuaze... nigdy wcześniej nie widziałem wytatuowanej aktorki. Teraz wszystkie je mają, ale sześć lat temu było to dość niezwykle. Przede wszystkim jednak chodziło o to, że nie przywiązywała wagi do tego, kim jestem.

– A tobie się to podobało?

Mądra Dominique. Użyła najstarszej sztuczki na świecie.

– Tak! Przez dwa lata kobiety rzucały się na mnie. Mogłem

mieć każdą i miałem. Pamiętam – i nie żartuję – że na jednym z przyjęć dziewczyny dosłownie ustawiły się do mnie w kolejce.

Ogonek dziewczyn, które chciały ze mną porozmawiać, był tak długi, jak kolejka przed klubem nocnym. Tak więc zachowanie Dom było dość atrakcyjne. Film, jak wiesz, nie był wielkim sukcesem. Ale dobrze się bawiliśmy na planie. Mnóstwo scen akcji. W trakcie zdjęć braliśmy narkotyki – spogląda na mnie leniwie, a ja prostuję się i mam nadzieję, że nie wyglądam na zawstydzoną. – A Dom wciągnęła mnie w swoje hobby. Już

wcześniej brałem kokainę, extasy i czasem meth, ale ona grała w zupełnie innej lidze.

– To znaczy? – Mimowolnie zerkam na dyktafon, żeby

sprawdzić, czy działa. Nie chcę stracić ani sekundy. Nagle znów mam jeden z tych przebłysków surrealizmu, które przytrafiają mi się, odkąd Luther zaczął opowiadać swoją historię: siedzę tu ze znanym aktorem i słucham czegoś, czego prawdopodobnie nikomu wcześniej nie opowiedział.

– Heroina. Brała heroinę. Gdy pierwszy raz to zobaczyłem,

nie mogłem w to uwierzyć. Chciałem wezwać gliny albo coś w tym stylu. „Goniła smoka”, czyli paliła heroinę. Jak jakiś pieprzony chiński gangster. Ale ona twierdziła, że to fajne. Ufałem jej, więc robiliśmy to razem. Było to... nie potrafię ci tego wytłumaczyć, jeśli tego nigdy nie robiłaś. Ale uwierz mi, to było niewiarygodne. Problem polega na tym, że to może cię zabić.

Jedna z jej znajomych zmarła po przedawkowaniu. Dom przestała i ja przestałem. Ale zawsze coś braliśmy. Nie byliśmy w stanie nawet razem obejrzeć filmu w domu, jeśli wcześniej nie

wciągnęliśmy kreski kokainy. I zawsze braliśmy ją przed seksem.

– Luther przestaje na chwilę mówić. – Chyba przesadziliśmy.

Kiedyś moja mama wynajęła dom na Florydzie i zaprosiła nas na wakacje. Powiedziałem Dominique, że nie możemy nic ze sobą zabrać, bo wiedziałem, że mamie się to nie spodoba, więc Dom stwierdziła, że nie jedzie.

– I co zrobiłeś?

– Odwołałem wyjazd. Skłamałem, że Dom się rozchorowała.

Nie byłem w stanie być z dala od niej. Ale później uświadomiłem sobie, że wszystko wymyka się nam spod kontroli. Któregoś razu nie spałem całą noc, pociłem się i miałem majaki. Moje serce biło tak szybko, że naprawdę myślałem, że umrę. Wstałem i zacząłem szukać długopisu i kartki papieru, żeby spisać testament.

Powinienem mieć dość rozsądku, by zadzwonić po pogotowie, ale nie, skądże, ja najpierw musiałem rozdysponować swój majątek.

Ale później, jak pewnie wiesz, którejś nocy ktoś zadzwonił po karetkę i zostałem przewieziony do szpitala. Dużo wypilem i łyknąłem coś, nie wiem, trutkę na szczury czy jakiś inny specyfik.

Nie mam zielonego pojęcia, co wzięłem. Ale nie przez to trafiłem na odwyk.

– A przez co?

– Zrobiłem coś okropnego. Przy pierwszych dwóch filmach

zarobiłem mnóstwo pieniędzy, ale jakoś nigdy ich nie miałem. Gdy opłaciłem agenta, zapłaciłem podatek, kupiłem nowy samochód, no, parę samochodów, zatroszczyłem się o kolegów, wynajęłem mieszkanie, wychodziłem co wieczór... pieniądze znikwały.

Dominique była jeszcze gorsza. Którejś nocy byłem przed wypłatą i zgubiłem jedną z moich kart do bankomatu, a potrzebowaliśmy gotówki. Więc ukradłem sto dolarów Bruce'owi Willisowi.

– Co zrobiłeś?

– Byliśmy na kolacji charytatywnej, na której zbierano

pieniądze na walkę z AIDS. Siedziałem z nim przy stoliku i widziałem, jak wkłada trochę forsy do

leżącej na stole koperty na darowizny. Kiedy wstał, wziąłem pieniądze i wyszedłem. Nikt niczego nie zauważył. Wiem, że było to beznadziejne, ale wtedy wydawało mi się zabawne. Dom myślała podobnie. Szczerze

mówiąc, nie brakowało nam gotówki. Po prostu musiałem zapłacić tej nocy dilerowi i pomyślałem, że łatwiej skroić kasę ze stołu, niż jeździć po okolicy i szukać bankomatu. Ale później nie mogłem przestać o tym myśleć. Dwa razy niemal się zabiłem, a teraz okradłem jeszcze ludzi chorych na AIDS. Zadzwoiłem więc do ośrodka odwykowego i zostałem tam. Dominique nie była

zadowolona.

– Dlaczego nie?

– Czuję, że ją porzucam. Tak jak mówiłem, chciała, żebym

brał narkotyki, bo wtedy mogła usprawiedliwić własne

uzależnienie. I wydaje mi się, iż sądziła, że gdy nie ma mnie w pobliżu, bardziej prawdopodobne jest to, że przedawkuje lub wpakuje się w kłopoty. Ale ostatecznie wyszła z tego bez szwanku.

Sama sobie świetnie poradziła. – W głosie Luthera pobrzmiewa żal.

– To dlatego się rozstaliście? Dlatego, że przestaliście brać tak samo często?

– Wiesz, chyba tak. Oboje byliśmy uzależnieni i

wpędzaliśmy się w narkotyki. Wiesz, ta cała mowa o

współuzależnieniu i tak dalej. Ale prawda jest taka, że to narkotyki trzymały nas razem. Bez nich chyba nie za bardzo mielibyśmy o czym rozmawiać. Zabawne. Wiedziałem, że to wiem, ale dopiero teraz, gdy mnie o to spytałaś, naprawdę to do mnie dociera. Nie zamieszczaj tego.

Trudno mi uwierzyć w to, że Lutherowi zależało tylko na

rozmowie z nią, ale nie mnie to oceniać. To ciekawe, że potrafi dostrzec braki w ich związku. Z pewnością zdał sobie sprawę, że potrzebuje kogoś, kto prowadzi bardziej ustabilizowane życie.

– A co z tym jej tatuażem na stopie? – pytam. – Czy to

prawda, że zrobiła go po to, by...

– Deptać po mnie każdego dnia? To bzdury. Zrobiła go sobie na długo przed tym, jak się rozstaliśmy. Powiedziała, że to dlatego, że jestem ziemią, po której stąpa. Teraz pewnie już wyblakł.

Mówiłem jej, że to fatalne miejsce na tatuaż, bo szybko się ściera, ale się uparła.

Zapisuję sobie: „sprawdzić stopę Dominique” i wzdycham w

myślach. Ta historia może stać się kością wiecznej niezgody, gdyby doszło do procesu o pomówienie.

Prawnicy pytaliby o

dowody, Luther przyrzekałby na wszystkie świętości, że tak to się odbyło, adwokat Dominique, o ile przesłałibyśmy mu manuskrypt, wniósłby sprzeciw... Nagle znów dociera do mnie, jak bardzo

surrealistyczna jest ta sytuacja. W przyszłym tygodniu

prawdopodobnie spędzę sporo czasu z kilkoma innymi osobami, próbując ustalić fakty dotyczące tatuażu na stopie Dominique.

Jakim cudem coś takiego stało się częścią normalnych

obowiązków w czyjejś pracy? Gdybym kiedykolwiek choć przez sekundę pomyślała, że jakiś obcy człowiek robi notatki dotyczące moich stóp, pomyślałabym, że coś z tym światem jest naprawdę nie w porządku.

Postanawiam doprecyzować jeszcze kilka ważnych

szczególów dotyczących ich związku. Chcę na przykład wiedzieć, jak brzmiały jego pierwsze słowa skierowane do Dominique. Nie pamięta tego, szkoda, ale nie ma w tym nic niezwykłego.

– Wydaje mi się, że spytałem ją, czy pożyczy mi zakresłacz.

Razem wymyśliłyśmy lepsze pierwsze zdanie. Chcę też

wiedzieć, jak wyglądała ich pierwsza randka, ale szybko

dowiaduję się, że nie było pierwszej randki, tylko od razu pójście do łóżka.

– W porządku – mówię. – To znaczy w porządku, jeśli

faktycznie tak to wyglądało.

Luther nie odzywa się. Zerkam na niego i widzę, że jest na czymś skupiony i marszczy brwi.

– Hej – zaczyna – wiesz, ta historia o tym, jak okradam

Bruce'a. Albo ta o zaproszeniu dwóch dziewczyn na premierę.

Albo ta o tym, jak nauczyłem się odpalać samochód bez

kluczyków. I wszystkie te opowieści o piciu i narkotykach i tak dalej... i o tym, jak wysłałem moją asystentkę do dilerów...

– Tak? – pytam nerwowo. Masz na myśli najlepsze

fragmenty książki? Proszę, nie mów, że chcesz je wyciąć. Proszę, nie rób mi tego. Nie teraz... nie po tym, przez co przeszliśmy...

– Naprawdę chcesz je zamieścić w książce? Chodzi mi o

to... czy przez te fakty z mojego życia nie wychodzę na dupka?

Nie, żeby obchodziło mnie, co myślą ludzie – dodaje bez

przekonania. – Chodzi o to, że nie lubię o tym mówić w trakcie wywiadów, bo dziennikarze przekręcają moje słowa. I nie wiem, czemu ktoś chciałby o tym czytać.

Sprawia wrażenie naprawdę zdziwionego. Czy on tego nie

rozumie?

– Ależ, Luther, to jest dokładnie to, co czyni kogoś

interesującym i dającym się lubić. Gdybyś przez całe życie nie popełnił żadnego błędu i zawsze postępował właściwie, twoja historia byłaby dość nudna. Mimo że zrobiłeś tyle wspaniałych rzeczy – dorzucam szybko.

Luther jest sceptyczny.

– Naprawdę?

– Oczywiście! To tak jak w każdej opowieści. Nikt nie

utożsamia się z doskonałym bohaterem – to nieciekawe. Ale ktoś, kto popełnia błędy, jest dużo bardziej interesujący i realistyczny, bo przecież nie ma ludzi doskonałych.

Luther wygląda tak, jakby uświadomił to sobie po raz

pierwszy.

– Wiem, że tak jest w przypadku fikcyjnych bohaterów. Ale

nie myślałem nigdy, że sprawdza się też w autobiografii. Choć to chyba ma sens.

– Zapewniam cię, że tak jest – przekonuję go. – I posłuchaj, Brian jest geniuszem, jeśli chodzi o pozytywne przedstawianie swoich bohaterów. Jeżeli jest coś, w czym jest naprawdę dobry, to właśnie przekonanie czytelnika do bohatera. A tego chcemy. W

naszym interesie leży to, by cię pozytywnie zaprezentować.

Luther najwyraźniej musi to przetrwać.

– W porządku – mówi. – No cóż, to prawdopodobnie będzie

też korzystne dla Dominique. To zdecydowanie ta strona jej osobowości, której daleko do ideału. A według ciebie dzięki temu będzie bardziej sympatyczna, tak?

O raju.

– No... nie do końca. To co innego. Gdyby ona opowiadała

swoją historię, to tak, ale tu słyszymy tylko twoją wersję. Jeśli będziesz sprawiał wrażenie zbyt krytycznego lub

niesprawiedliwego wobec niej, nie przysporzy ci to fanów,

będziemy więc musieli stanąć na głowie, żeby zrobić to

kulturalnie.

– No to będziecie się musieli nagimnastykować – stwierdza

Sam, który stoi właśnie w drzwiach.

– Cześć – rzuca Luther.

Nawet cieszę się na jego widok. Od godziny bardzo

potrzebuję pójść do łazienki, ale nie mam odwagi wyjść, gdy Luther opowiada mi o tak intymnych sprawach.

Wstaję i mówię:

– Zostawię was na chwilę, żebyście mogli porozmawiać, i za moment wracam! – i uciekam, zanim któryś z nich jest w stanie się odezwać.

Gdy docieram do łazienki, po prostu siadam na chwilę, by

odreagować. Nie mogę uwierzyć w to, jak intensywny jest

dzisiejszy dzień, a do tego prawie bezsenna noc i wczorajszy dwunastogodzinny maraton roboczy. Ale nie ma to znaczenia. Nic z tego nie ma znaczenia, pod warunkiem że książka powstanie. A Luther nadal jest genialny. Cudownie. Zaczyna mi się kręcić w głowie i dochodzę do wniosku, że potrzebuję piętnastu minut tylko dla siebie.

Po minucie postanawiam jednak, że wrócę na taras. Sam

nadal tam przebywa. Jest ubrany bardziej elegancko niż zwykle: na koszulkę nałożył marynarkę, a w ręce ma coś, co wygląda jak torba podróżna.

– Wybierasz się gdzieś? – pytam, choć wiem, że to głupio

brzmi.

– Tak, muszę pojechać na parę dni do Londynu i ugasić

pewien pożar. To znaczy niedosłownie – dodaje, gdy widzi moją minę. – To znaczy... nieważne. Lecę teraz do Rzymu i tam się przesiadam. – Spogląda na Luthera. – Ale wrócę tak szybko, jak to możliwe. I będę dostępny. Dzwońcie, jeśli coś się będzie działo.

Cokolwiek. – Ostatnie słowa, pełne sarkazmu, kieruje do Luthera.

Wygląda na naprawdę wkurzonego.

– Nie martw się – odpowiada Luther. – Jesteśmy zajęci.

Pracujemy. Jesteśmy skupieni. Chcemy... – zwraca się do mnie –

może tak by było najlepiej. Izolacja. Co o tym sądzisz, Alice?

Możemy się zamknąć, upewnić, że nikt tu nie przychodzi,

żebyśmy mogli pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę...

Próbuję zapanować nad swoim wyrazem twarzy, ale tak

naprawdę trochę się martwię. Teoretycznie to genialny pomysł i jeszcze tydzień temu marzyłabym o tym, ale... jeśli Sam wyjedzie, oznacza to, że przynajmniej przez dwa dni będę w domu tylko z Lutherem i Marią Santą w roli przyzwoitki. Oczywiście

fantastycznie będzie spędzić tyle czasu z Lutherem i swobodnie przeprowadzać wywiady bez ingerencji Sama, ale jak będę w

stanie pracować wieczorami? Luther potrzebuje towarzystwa, szczególnie po tak intensywnych dniach, a ja nie mogę być razem z nim i równocześnie spisywać naszych wywiadów. Nie będę

miała czasu. Będę musiała polegać na Federicu i Marisie.

– Oczywiście – próbuję być wesoła. – Poradzimy sobie.

Udanej podróży.

Sam spogląda na mnie.

– Przeczytam te zapisy – oznajmia szorstko. – Nie zapominaj o tym.

Gdy patrzę, jak wychodzi z torbą zawieszoną na ramieniu,

mam dziwne poczucie: jakbym została na wyspie odcięta od świata i patrzyła, jak w oddali przepływa statek.

– O czym to ja mówiłem? – pyta Luther.



Rozdział 20

Gdy nadchodzi wieczór, jestem cieniem dawnej siebie.

Nie chodzi o to, że Luther sprawiał problemy, wprost przeciwnie. Otworzył się całkowicie. Mówił i mówił, jakby zażył

tabletki, po których można powiedzieć tylko prawdę. Po

wysłuchaniu jego opowieści nie wierzę już w nic, co napisano w gazetach: rzeczywistość prawie zawsze okazuje się jeszcze

bardziej dziwna. Ujawniał jeden za drugim skandaliczne fakty o różnych gwiazdorch z pierwszych stron gazet i gwiazdkach

mniejszego formatu. Kiedy wspominał o jednym z aktorów, z

którym grał w filmie, a który poprosił asystentkę, żeby zerwała z jego dziewczyną w jego imieniu, musiałam mu wytłumaczyć, że nie możemy opublikować wszystkiego, co nam zdradza.

– Jak to? – spytał. – Przecież to prawda.

– Bo zostalibyśmy pozwani – odpowiedziałam. – Nie jestem

prawniczką specjalizującą się w sprawach o zniesławienie, ale wiem na pewno, że jeśli wypowiesz coś, co może być odebrane jako oszczerstwa, musimy być w stanie udowodnić to w sądzie, a zresztą nawet jeżeli możemy to zrobić, i tak nie chcemy stawać przed sądem. Nie jest to tego warte.

– Nie? – Luther nie sprawiał wrażenia bardzo zawiedzionego, ale ja ciągnęłam dalej:

– Możemy wspomnieć o niektórych z tych historii, pod

warunkiem że nie ujawnimy tożsamości bohaterów. Ale i to bywa problematyczne, bo możemy stworzyć jakąś fałszywą postać, która może zostać wzięta za kogoś, kto naprawdę istnieje.

– Aha – skwitował moją wypowiedź Luther. Widziałam, że

nie wiedział, o co chodzi. Nie mogę nie zauważyć, że trudno skupić jego uwagę, gdy mowa o kimś innym niż on sam.

W każdym razie Luther ma do opowiedzenia mnóstwo

interesujących anegdot, które nie ocierają się przy tym o skandal.

Na przykład świetne historie o tym, jak razem z Leonardem

DiCaprio podrywali dziewczyny albo jak poszedł na przyjęcie do Toma Cruise'a bez zaproszenia. Najlepsze jest to, że w

przeciwieństwie do wielu... no cóż, bardziej dojrzałych gwiazd, które mają w swoich wspomnieniach wielkie dziury spowodowane nadużywaniem substancji chemicznych, Luther pamięta wszystko albo prawie wszystko. Biorąc pod uwagę to, a także jego

szczerłość, pogmatwane dzieciństwo oraz początki kariery,

zapowiada się fantastyczna książka.

Jak dotąd – jest wspaniale, ale też niełatwo. Bolą mnie

ramiona; tak naprawdę boli mnie każdy miesiąc. Nigdy nie

sądziłam, że słuchanie kogoś to taka ciężka praca. A to przecież nie tylko słuchanie, lecz także skupienie się na rozmówcy, zadawanie właściwych pytań, trzymanie się tematu i chronologii, notowanie faktów, a wszystko to trzeba robić równocześnie. Nadal też nie wiem, kiedy będę miała czas, żeby to spisać. Próbowałam

dodzwonić się do Marisy, żeby zapytać ją, czy wpadnie, ale nie udało mi się.

O dziewiętnastej trzydzieść Maria Santa za pomocą dzwonka

informuje nas, że podano kolację. Jest wcześniej – pewnie widziała, jak wędnę podczas naszego szybkiego lunchu, który składał się z kanapek i który w najmniejszym stopniu nie przerwał wywiadu. Ile bym dała za to, by móc paść na kanapę i zjeść kolację przed telewizorem.

Nagle uświadamiam sobie, w jak dziwnej sytuacji się

znajduję. Jestem we włoskiej willi z Lutherem Carsonem, w

którym od lat się podkochuję, który przez widzów MTV został

obwołany najbardziej pożądanym mężczyzną i oficjalnie uznany za jednego z trzydziestu najseksowniejszych mężczyzn na ziemi.

On odkrywa przede mną swoje serce i opowiada mi o czymś, o czym najprawdopodobniej nikt inny nie wie. Cały dzień spędzamy tylko we dwoje, a za chwilę zjemy razem kolację. Brzmi jak raj na ziemi i jeszcze tydzień temu uznałabym to za marzenie nie do spełnienia, jednak kiedy naprawdę znalazłam się w tej sytuacji, mocno odbiega ona od moich wyobrażeń.

– Czas na żarełko – zauważa Luther. – Może weźmiesz ze

sobą dyktafon? Możliwe, że w trakcie jedzenia wpadnie mi coś do głowy.

Biorę dyktafon, żeby włożyć do niego nową taśmę. I wtedy

zdaję sobie sprawę z drobnego problemu, który może jednak dla mnie oznaczać trochę odpoczynku.

– Luther, taśma jest już zapełniona. A to moja ostatnia.

Nagraliśmy już wszystkie. To wspaniale! – dodaję, widząc, jak rzędzie mu mina. – To świetnie, że tak ciężko pracowałeś. Ale muszę teraz zgrać wszystkie pliki na komputer, zanim zaczniemy robić kolejny wywiad. To może chwilę potrwać.

– No to chyba możemy po prostu porozmawiać – mówi, a w

jego głosie daje się wyczuć rozczarowanie.

Wieczór jest przepiękny. Słońce zachodzi po drugiej stronie zatoki, a taras nigdy wcześniej nie wyglądał tak kusząco. Maria Santa nakryła do stołu, na którym postawiła małe białe-żółte bukietki kwiatów i zastawę stołową, której nigdy wcześniej nie widziałam, a która wygląda na zupełnie nową. Uśmiecha się do mnie znacząco, gdy siadamy za stołem, i nalewa nam po kieliszku Prosecco. Pomocy. Czy ona myśli, że to jakieś romantyczne

spotkanie? Jeśli gdzieś za kulisami ukryła kwartet smyczkowy, nie wiem, co zrobić.

– Chyba jej się wydaje, że coś świętujemy – zauważa Luther.

– Świętujemy pracę, jaką wykonałeś nad książką –

odpowiadam i trącam jego kieliszek. – Mówię poważnie, Luther, jesteś absolutną gwiazdą.

Umieram z głodu. Zaczynamy jeść pierwsze danie, moje

ulubione: grillowane marynowane warzywa, podane z małymi

kawałkami szynki i sera. I wtedy uświadamiam sobie coś bardzo dziwnego: spędziłam ostatnie dwa dni, mając Luthera na

wyciągnięcie ręki, wysłuchałam historii jego życia, a teraz, gdy już nie pracujemy nad książką, nie mogę wymyślić ani jednej rzeczy, o której chciałabym mu powiedzieć. Gorączkowo próbuję zadać mu jakieś pytanie, ale obawiam się, że może już być zmęczony

mówieniem. Usiłuję więc wymyślić coś zabawnego, lecz w głowie mam zupełną pustkę. A wtedy zaczynam się martwić, że uważa mnie za nudną.

– Byłeś kiedyś w Londynie? – pytam, zakładając, że być

może będę mogła go zabawić opowieściami z metropolii.

Rozmyśla przez chwilę.

– Tak, kilka razy. Zobowiązania promocyjne przy premierze

ostatniego filmu. Zatrzymałem się w The Dorchester. Nie

widziałem za dużo. Kiedy jestem w Londynie – dodaje – zawsze mam zarezerwowany pokój na nazwisko Joe DiMaggio. Nie wiem dlaczego.

– Och, to zabawne.

Zapada cisza.

Gdy gorączkowo szukam następnego tematu do rozmowy,

przychodzi mi na myśl absolutnie radykalny nowy pomysł.

A czemu Luther nie zapyta o coś mnie?

Próbuję sobie przypomnieć, czy tak było, ale wydaje mi się, że przez całą naszą znajomość nigdy nie zadał mi pytania na mój temat. Dowiaduję się absolutnie wszystkiego o nim, a on nie wie zupełnie nic o mnie. Jasne, to ja mam przeprowadzać z nim

wywiady, ale z pewnością większość ludzi zadałaby ze dwa

pytania tak z czystej uprzejmości, jeśli nie byłaby faktycznie zainteresowana. Luther na pewno nie wie, jak się nazywam. Gdyby go przycisnąć, pewnie byłby w stanie powiedzieć, że mieszkam w Londynie. Ale tak poza tym to mogłam przylecieć tu trzy tygodnie temu z Księżyca.

Spogląda na mnie świadomy tego, że na niego patrzę. Wiem,

że zachowuję się dziwnie. Być może trochę go przedawkowałam, ale nie mogę tego dać po sobie poznać.

– Wybacz. The Dorchester jest uroczy. Wstąpiłam tam na

herbatę. Miałaś tam apartament czy...?

I odpłynął. Wystarczy, że słucham i zadaję pytania, i w

myślach notuję wszystko, co moglibyśmy zamieścić w książce.

Gdy tak rozmawiamy albo raczej gdy on mówi, a ja słucham,

uświadamiam sobie, że kogoś mi przypomina. Kogo?

Simona. Przywołuję w pamięci naszą ostatnią okropną

randkę w Pizza Express, kiedy bardzo starałam się wymyślić, co powiedzieć i o co go zapytać. Nie mogę uwierzyć, że wydawało mi się wtedy, że za dużo mówię o swoich problemach w pracy.

Tymczasem udział w rozmowie rozkładał się w stosunku

dwadzieścia do osiemdziesięciu.

Luther nadal mówi, a ja się zastanawiam, czy wszystkie moje rozmowy z mężczyznami będą polegały na wysłuchiwanie ich

monologów. Może powinnam zatkać uszy i zacząć mówić o sobie: opowiedzieć Lutherowi o dorastaniu w Hertfordshire, o okropnej szkole, o tym, jak zależy mi na awansie, o moim beznadziejnym życiu osobistym, o Simonie i o tym, jak zawsze zostaję porzucona.

Ale pewnie zasnęłyby w ciągu kilku minut.

Rozumiem, że może uważać mnie za nudną. Ale –

przychodzi mi do głowy kolejna radykalna myśl – czy sam Luther nie jest trochę nudny? Ma wspaniałe życie, oczywiście. Ale kiedy nie przeprowadzamy wywiadów, czy rozmowa z nim jest

interesująca? Nadal uważam go za dobrego aktora, lecz czy ludzie robiliby wokół niego tyle zamieszania, gdyby wyglądał inaczej? W

obu przypadkach muszę przyznać, że odpowiedź brzmi „nie”.

W końcu, po zdawałoby się kilku godzinach, jesteśmy po

kolacji, a Luther wstaje i przeciąga się.

– Pora zagrać w Grand Theft Auto – mówi. Patrzy na mnie i

ocenia moją kandydaturę. – Chcesz się przyłączyć?

O Boże. Nie wypada odmówić, to byłoby niegrzeczne. Ale

nie mogę przyjąć zaproszenia, bo przebywałam w jego

towarzystwie ponad dwanaście godzin bez przerwy i jeśli nie spędzę w samotności chociaż dziesięciu minut, oszaleję. Gdybym miała mój obecny stan umysłu przedstawić za pomocą obrazu, byłabym *Krzykiem* Edvarda Muncha. Tak się naprawdę czuję, choć się uśmiecham.

– Bardzo chętnie – odpowiadam. – Może za chwilę? Muszę

tylko najpierw zrobić coś do pracy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Gdy tylko Luther znika, znów dzwonię na komórkę Marisy.

Kiedy odbiera, mówi żywiołowo po włosku, a ja nie potrafię rozróżnić, czy jest zła, czy szczęśliwa.

– Marisa! Tu Alice. Jak się masz? Posłuchaj, mam do ciebie wielką prośbę.

Dwie minuty później rozłączam się w stanie totalnej

blęgości. Dziś wieczorem jest zajęta, ale jutro przyjdą razem z Federikiem o dziewiętnastej i zabiorą

Luthera na kolację i drinki.

Jutrzejszego wieczoru zostaną wybawiona z opresji. A pojutrze Sam powinien wrócić. Ulga, jaką czuję, jest nie do opisanego.

Marisa naprawdę jest moją dobrą wróżką.

Spoglądam na zegarek. Jest dwudziesta, a ja powinnam już

zacząć spisywać wywiady. Zakładam, że tym razem posiedzę nad tym przynajmniej do trzeciej nocy. Gdyby tylko istniał

program komputerowy, który przekształca nagrania audio w słowa.

Właściwie to mogę się założyć, że już istnieje albo zostanie wynaleziony, jak tylko skończę pisać.

Gdy zasiadam przed komputerem, czuję, że jestem

wykończona. Postanawiam zaparzyć sobie kawę, bo inaczej już widzę, jak zasypiam z twarzą na klawiaturze i budzę się w środku nocy z „assdfghj” odcisniętym na policzku. Może powinnam

pożyczyć od Luthera trochę jego środków farmakologicznych, żeby nie zasnąć. Ale to oznaczałoby, że muszę zapukać do jego drzwi, a w tej chwili nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

Wow. Nigdy, przenigdy nie pomyślałabym, że będę się tak czuła.

W ramach nagrody pozwalam sobie na krótką wizytę na

Facebooku. Ruth określiła, że jest „w związku” z Mikiem.

Szczęściarz z niego. Erika zamieściła zdjęcie swojego nowego kotka – jest uroczy. Z przyzwyczajenia zaglądam na profil Simona.

Wrzucił zdjęcia z imprezy, na których obejmuje jakąś brunetkę, ale nie jest to Claudine. Już mam zamiar wejść na jej profil, żeby dowiedzieć się czegoś o niej, ale zmieniam zdanie. Dlaczego chcę to zobaczyć? Nie interesuje mnie to. Wracam na stronę Simona i naciskam „usuń z przyjaciół”. Świetnie! Czuję się teraz o wiele szczęśliwsza.

Niedawno zorientowałam się, jak się stąd zalogować do

mojej służbowej poczty. Oprócz korespondencji z pracy jest też wiadomość od Ciary, która pyta, jak się miewam i kiedy wracam.

Wszystko to sprawia, że zaczynam tęsknić za domem. Fajnie

byłoby wrócić do Londynu i spotkać się ze znajomymi. Już mam jej odpowiedzieć, gdy zauważam, że przyszedł też mail od Sama –

bez tematu. Serce bije mi mocniej, gdy go otwieram. Co w nim napisał?

„Alice, nadal nie przesłałaś mi tych zapisów. Są mi potrzebne w tej chwili”.

Ech, to bardzo krótki, niegrzeczny mail. Nie chce wiedzieć, jak się miewamy, jaka u nas pogoda, nic takiego? Ale zaraz zdaję sobie sprawę, że zachowuję się śmiesznie. Przecież właśnie tego chciałam. Wygrywam, a Sam musi mnie prosić o pomoc. Załączam w odpowiedzi najnowsze zapisy i naciskam „wyślij”, starając się zignorować irracjonalne rozczarowanie faktem, że Sam nie ma mi nic więcej do powiedzenia.



Rozdział 21

– Brakuje mi rozdawania autografów. Fajnie jest dać komuś

autograf, bo to trochę tak, jakbyś podarował mu coś wyjątkowego.

Ale kiedy fani tylko robią ci zdjęcie komórką i nawet się do ciebie nie odezwą, czuję się, jakbym był małą w zoo. Rozumiesz?

Luther rozłożył się na leżaku. Ma zamknięte oczy i rękę

założoną na głowę, żeby ochronić się przed słońcem. Wygląda, jakby leżał na kozetce u psychoterapeuty. Siedzę na krześle naprzeciwko niego. Większość czasu w ciągu ostatnich kilku dni spędziliśmy w takich właśnie pozycjach, a taras na tyłach domu znam równie dobrze, jak swoją sypialnię. Czerwone płytki na podłodze, pęknięcie w ścianie, z którego czasem wychodzi

jaszczurka, okna bawialni i Etna w oddali... Prawdopodobnie ten widok będzie się pojawiać w moich snach jeszcze przez wiele lat.

Wczorajszy dzień był o wiele łatwiejszy. Po pierwszym

szaleńczym wybuchu Luther trochę zwolnił tempo. Zaczęliśmy pracę dopiero o dziewiątej, więc udało mi się złapać przynajmniej pięć godzin snu. Pracowaliśmy do osiemnastej, robiąc sobie krótką przerwę na lunch. Wieczorem zgodnie z obietnicą zjawili się Federico i Marisa i zajęli się Lutherem, dzięki czemu mogłam spędzić cały wieczór na przepisywaniu wywiadów, układaniu ich we wstępną strukturę narracyjną i robieniu notatek dla Briana.

Skończyłam znów około drugiej.

Brian, dzięki Bogu, jakoś się trzyma. Rak jego żony wszedł

dopiero w drugą fazę, co jest dobrą informacją. Mam wrażenie, że Brian jest w lepszym stanie teraz niż w dniu swojego wyjazdu.

Stwierdził, że potrafi skupić się na pracy nad książką, przygotował

też listę pytań, które powinnam zadać Lutherowi.

– Ale twoje wywiady są wspaniałe – pochwalił mnie. – Nie

będzie z nimi żadnego problemu. Książka na pewno okaże się sukcesem.

Byłam tak szczęśliwa, słysząc te słowa, że dosłownie

podskoczyłam z radości. Zaczynam mieć nadzieję, że ta książka nie tylko powstanie, lecz także będzie dobra. Martwi mnie jedynie to, że nie mam żadnej wiadomości od Olivii, choć wysyłam do niej całą swoją korespondencję z Brianem.

Luther zbacza z tematu, więc chcę go pokierować z

powrotem na właściwe tory, czyli kręcenie *Rzymskich wakacji*, o czym opowiadał wcześniej.

– A tak przy okazji jak się pracowało z Natashą Pull-man?

Nie spytałam cię o to wcześniej.

– To było magiczne, fantastyczne przeżycie. Jest niezwykle utalentowana, bla, bla, bla... tak naprawdę to mała wiedźma. Czy możemy napisać, że jest małą wiedźmą?

Śmieję się.

– A jest nią? No cóż... moglibyśmy nadmienić, że nie

połączyła was przyjaźń albo że z innymi członkami obsady lepiej się dogadywałeś. To znaczy możesz wyrażać swoje zdanie o

innych, pod warunkiem że będzie ono przedstawione jako twoja opinia, a nie jako fakt...

– Aha – odpowiada i w tym samym momencie traci

zainteresowanie. – Nie, po prostu ją zignorujmy. Ona tak postąpi w moim przypadku. Poczekaj, aż przeczytasz jej oświadczenie. Nie znosiła plotki o naszym romansie i nie powie na mój temat ani słowa w żadnym ze swoich wywiadów. Spośród wszystkich

gwiazd, z którymi pracowałem, ona jest jedną z tych oferujących najmniej wsparcia. Właściwie nie mogłem z nią rozmawiać,

wszystko wymagało aprobaty reżysera i jej dziesięciu menadżerów i asystentek.

– Ojej – żółć, jaka wylewa się z Luthera, zaczyna mnie

trochę męczyć.

– Ma obsesję na punkcie udowodnienia wszystkim, kto

zasługuje na miano największej gwiazdy w tym filmie. Jasne, jest numerem jeden na zdjęciowym planie pracy i większą gwiazdą ode mnie.

Wypowiedź ta stanowi dla mnie zaskoczenie. Wcale bym tak

nie powiedziała. Mam zamiar spytać, co ma na myśli, ale uznaję, że cokolwiek by to było i tak prawdopodobnie nie chcę tego teraz omawiać. Obawy Luthera odnośnie tego, czy jest wielką gwiazdą, mogą się sprawdzać w wywiadzie dla prasy, ale nie ma na takie wątpliwości miejsca w naszej książce. Mówię więc tylko:

– To szaleństwo, uważam, że jesteś o wiele większą gwiazdą niż ona. Wiesz, że rozmawiamy już półtorej godziny? Może

zrobimy sobie krótką przerwę?

– Tak? Naprawdę minęło już tyle czasu?

– Zgadza się...

– Nic nie szkodzi – stwierdza wesoło. – Nie zapominaj, że jestem przyzwyczajony do czternastogodzinnego dnia pracy.

„Ale ja nie jestem” – mam ochotę powiedzieć.

– Muszę zmienić taśmę – oznajmiam sprytnie.

Luther wstaje.

– W porządku. Zróbmy dziesięć minut przerwy. Ale nie

więcej! Odleję się i może popływam w basenie. Ale nie martw się, nie w tym samym czasie – i znika.

Zamykam oczy i oddycham głęboko, gdy nagle spokój

poranka zostaje zakłócony ogłuszającą muzyką – wydaje mi się, że to Aerosmith. Luther tak głośno słucha muzyki, kiedy robi sobie przerwę. Irytuje mnie to, ale przypuszczam, że w ten sposób się wyładowuje. W każdym razie to niewysoka cena za to, co od niego otrzymujemy: jego historię. W końcu na sekundę odpływam w sen na jawie: status bestsellera „Sunday Times” dla Luthera, awans dla mnie, premiera książki, na której ja i Poppy będziemy obserwować celebrytów...

Od samego siedzenia z Lutherem na tarasie moja skóra

nabrała ładnego, biszkoptowego odcienia, który podziwiam przez szkła okularów przeciwsłonecznych, gdy w wejściu pojawia się Sam. To oczywiste, że przyjechał prosto z lotniska. Wygląda na zmęczonego,

jest nieogolony i ma worki pod oczami – żeby się tu dostać, musiał wstać o świcie. Dziwi mnie to, jak bardzo cieszę się na jego widok, prostuję się na krześle i jestem zadowolona, że rano nareszcie znalazłam czas na umycie włosów.

– Witaj! Jak się udała podróż?

– Była krótka – odpowiada zwięźle. – Jak tylko

przeczytałam, co mi wysłałaś, postanowiłam wrócić wcześniej.

– Ojej, dlaczego?

– Dlaczego? No cóż, pomyślmy. Są romanse. Są opowieści o

wybrykach Luthera, są historie o innych aktorach. Narkotyki.

Alkohol. Mam wymieniać dalej?

– Ale...

– Nie spodziewam się, żebyś była tego świadoma – mówi

Sam – ale wśród ludzi takich jak Luther obowiązuje pewna

niepisana zasada, że nie rozsiewa się plotek o swoich

przyjaciółach. To, co robisz w wolnym czasie, jest tylko i wyłącznie twoją sprawą.

Czy można być bardziej protekcyjnym? „Nie spodziewam

się, żebyś była tego świadoma” – jasne.

– Ale te historie nie dotyczą przyjaciół Luthera – oponuję.

– Nie? A ta o wyprawie do Meksyku z Colinem Farrellem?

Albo ta o niewymienionej z nazwiska, ale łatwej do

zidentyfikowania aktorce, która na planie zdję-
ciowym

dostarczała mu kokainę? Albo o aktorze idiocie, który poprosił

asystentkę o zerwanie w jego imieniu z dziewczyną?

– Ale to tylko... – chcę powiedzieć, że to nieszkodliwa

rozrywka, choć zdaję sobie sprawę, że nie jest to najlepsze określenie, jakiego powinnam użyć. Świadomie poruszaliśmy

tylko lekkie tematy, stosunkowo lekkie, oczywiście. Większość książki stanowi opowieść o Lutherze, jego

dzieciństwie, dorastaniu i tak dalej. A ta hollywoodzka część wcale nie jest skandalizująca, jeśli porównamy ją do tego, co wypisują na plotkarskich portalach.

Owszem, te historie są barwne, ale pozbawione złośliwości. I nie naruszamy tutaj czyjejkolwiek prywatności.

– A co z Dominique Rice?

Nie wiem, co powinnam odpowiedzieć.

– Chodzi mi o to – ciągnie Sam – że nie ma możliwości, żeby zaakceptowała to, co Luther o niej powiedział. Wkrótce to samo stwierdzą twoi prawnicy.

– Tak, oczywiście, i możemy nanieść zmiany, które zaproponują. Ale poza tym to książka Luthera i wolno mu opowiedzieć, co mu się żywnie podoba.

– A co, jeśli Luther nigdy więcej nie znajdzie pracy z powodu tej autobiografii? Jak taki sukces będzie o was świadczył?

– Do tego nigdy nie dojdzie – zapewniam niepewnie.

– Naprawdę? Czy jesteś w stanie wymienić jakiegoś aktora

pokroju Luthera, który napisał taką książkę i nie miała ona wpływu na jego karierę?

Ta myśl sprawia, że czuję się znacznie gorzej. Ale nie mogę pozwolić na to, by słowa Sama mnie powstrzymały.

– Posłuchaj, to kariera Luthera. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by ta książka ją zakończyła, ale jeśli on chce ją napisać, czyż nie ma do tego prawa?

Ani ja, ani Sam nie zauważamy, że zbliża się Luther.

Obejmuje nas ramionami.

– Cześć. Nie chcę, żeby mamusia i tatuś się kłócili.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Na Samie ten żart nie robi najmniejszego wrażenia.

– Mówiłeś, że masz dla mnie jakieś nowiny – Luther zwraca się do Sama.

– Tak – Sam dochodzi do siebie. – Bardzo ekscytujące

wieści. Seth dostał zielone światło na nakręcenie pilota...

– Oo. Nie. Tylko nie on.

– To wspaniała rola.

– Nie. Żadnej telewizji. Nie występuję w telewizji. Tylko na dużym ekranie.

– Luther, wszyscy występują w telewizji. Glenn Close gra w serialu. George Clooney. Laurence Fishburne. Chloë Sevigny.

Gabriel Byrne. Rob Lowe...

– Nie! Nie mów mi o Robie Lowie! Nigdy nie

występowałem w TV!

– I pieniądze są przyzwoite. Wiesz, ile proponują za odcinek?

Podaje Lutherowi kwotę, a mnie aż zapiera dech w piersiach.

– Nie robię tego dla pieniędzy – stwierdza Luther.

Mina Sama mówi, że ma teraz ochotę go udusić. Współczuję

mu, bo wiem, jak bardzo nieznośny bywa Luther. Sam zaczyna opowiadać o uznanych scenarzystach i producentach, którzy

zostali zaangażowani do pracy przy tym serialu.

– Dustin Hoffman występuje teraz w TV. Nie sądzisz, że to o czymś świadczy?

– Zostawię was samych – oznajmiam i dyskretnie się

wycofuję.

Mam nadzieję, że zdołam w samotności zjeść kanapkę,

zanim zajmę się spisywaniem dzisiejszych wywiadów.

Niegrzecznie byłoby zostawić Luthera samego w czasie lunchu, ale teraz, gdy wrócił Sam, czuję się usprawiedliwiona. Martwię się tym, co powiedział mi o Lutherze. Nie chcę, żeby jego kariera legła w gruzach. Denerwujące jest to, że Sam obwinia mnie, choć nie ma w tym mojej winy.

W kuchni nie zastaję nikogo, ale połowa szafek jest

pootwierana. To jak scena z *Szóstego zmysłu*. Wiem, dlaczego tak jest: Luther wcześniej przygotowywał sobie przekąskę i nie wpadł

na to, by posprzątać po sobie. Zamykam je wszystkie, kroję chleb, ser i pomidory, kładę na talerzu i

wychodzę na przedni taras.

Gdy tylko zaczynam jeść, dzwonią moi rodzice. Nie

rozmawialiśmy od czasu mojego przyjazdu, więc fajnie jest

nadrobić zaległości. Niedawno odwiedzili Erikę i Raja i widzieli ich nowego kotka, kupili elektryczną kosiarkę-traktor, choć nie mają na tyle dużego trawnika, by była im naprawdę potrzebna, ale tato już zdążył się od niej uzależnić.

– No cóż, to tańsze niż nowy samochód – zauważa mama. –

A tak przy okazji masz wystarczająco dużo kremu z filtrem

pięćdziesiąt? Oglądałam prognozę pogody dla Sycylii. Wczoraj było trzydzieści pięć stopni!

W tym momencie przychodzi Luther. Widzi, że rozmawiam.

Zasłaniam telefon dłonią.

– Przepraszam, rozmawiam z rodzicami. Możemy zacząć za

pięć minut?

Luther jest poirytowany.

– No, ja już jestem gotowy – odwraca się i odchodzi.

– Mamo, muszę kończyć.

– Wszystko w porządku? – wydaje się zaniepokojona.

– Tak, zadzwonię później.

Wracam na taras na tyłach domu. Zajmujemy z Lutherem

nasze miejsca. On jednak sprawia wrażenie przygnębionego. Jest przygarbiony, pali papierosa.

– Telewizja, co?

– Och, Luther. Jestem pewna, że to dobra rola. Co to za

serial?

– O agentach nieruchomości w Los Angeles w latach

osiemdziesiątych – odpowiada markotny. – Prezentują go jako skrzyżowanie *Gotowych na wszystko* z *Mad Men*. Mój bohater – to znaczy ten, w którego zdaniem Seta i Sama miałbym się wcielić –

jest zdegenerowanym agentem, robiącym mnóstwo interesów i

posuwającym wiele pięknych kobiet.

– Ale to idealnie do ciebie pasuje! To znaczy, przepraszam, byłbyś świetny w tej roli. Dlaczego nie chcesz jej przyjąć?

– Wydaje mi się... no może to będzie dobra rola. Ale czy

Clooney by ją przyjął? Nie. Rozumiesz?

Chyba rozumiem: Luther uważa, że telewizja w jakiś sposób oznacza porażkę.

– Nie wiem, co zrobiłby George Clooney, ale naprawdę lubię *Mad Men*. I *Gotowe na wszystko*. Uważam, że amerykańskie seriale są niesamowite.

Luther spogląda na mnie z powątpiewaniem.

– Serio. Na przykład *Prawo ulicy* – mimo że nie oglądałam wszystkich odcinków, tylko niektóre – to dzieło sztuki. Czytałam w gazecie, że gdyby Dickens albo Szekspir żyli w dzisiejszych czasach, pisaliby scenariusze dla amerykańskiej telewizji.

Luther chyba mnie nawet nie słucha, tylko kręci głową i

wzdycha.

– Naprawdę? – pyta obojętnym tonem. – Wracajmy do pracy.

Rozmawiamy do szóstej, później Luther idzie poćwiczyć, a

ja zabieram się do wieczornego pisania. Mam zamiar pracować tylko przez godzinę lub dwie. Federico i Marisa przychodzą na kolację i wydaje mi się, że będę w stanie do nich dołączyć. Udało nam się przerobić właściwie całą historię Luthera, z wyjątkiem tego roku, w którym zniknął. Brian też pracuje na okrągło i za kilka dni powinniśmy mieć pierwszą wersję tekstu, a wtedy

jesteśmy w domu. Luther na pewno będzie chciał dokonać jakichś zmian, ale przynajmniej będziemy mieli tekst, który możemy opublikować – a jeszcze tydzień temu nie mogliśmy tego

powiedzieć.

Biedny Luther. Prawdopodobnie nie powinno mnie tak

bardzo szokować to, że gwiazda filmowa jest do tego stopnia zainteresowana tylko własną osobą. To dziwne, że zdaje się nie czuć intensywności, jaką niesie ze sobą spędzanie czasu tylko we dwoje, ale najwyraźniej nie ma to na niego takiego wpływu jak na mnie.

To chyba dobrze, że nie wie nic na mój temat. Im bardziej

jestem anonimowa, z tym większą swobodą może ze mną

rozmawiać. To osobliwa, jednostronna relacja, ale wyobrażam sobie, że większość jego znajomości ma właśnie taki charakter. Jak to jest być nim, do licha? Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mnie to przeraża. Sytuacja byłaby zupełnie inna, gdyby istniała jakaś normalność, do której mógłby uciec, na przykład szczęśliwe małżeństwo, stabilne otoczenie albo grupa przyjaciół mających punkt zaczepienia w prawdziwym świecie, ale Lutherowi tego brakuje. Nie ma rodziców, którzy chcą mu opowiedzieć o swojej nowej elektrycznej kosiarce.

Gdy zasiadam przed komputerem, rozmyślam o tym, jakim

współczuciem obdarzyła Luthera, gdy po raz pierwszy

usłyszałam o jego trudnym dzieciństwie. Ale prawda jest taka, że choć miał niełatwy start w życiu, nie zmienia to faktu, że potrafi być wrzodem na tyłku, na przykład wtedy, gdy nie pozwolił mi na dodatkowe pięć minut rozmowy z rodziną. Wyjaśnia to jego

zachowanie, ale nie zmienia efektu tego zachowania. Pamiętam, że próbowałam zdecydować, czy Luther jest biednym zagubionym szczeniakiem, czy samolubnym czarusem. Przypuszczam, że tak naprawdę i jednym, i drugim.



Rozdział 22

Piszę dopiero od dwudziestu minut, gdy dzwoni mój telefon.

To Olivia. Prostuję się jak struna. Błagam, niech będzie

zadowolona...

– Cześć, Olivio. Czy miałaś... Co sądzisz o tych wywiadach?

– Nie miałam jeszcze okazji na nie spojrzeć. Ale

przeglądałam umowę...

No to się zaczyna. Boże. Zakrywam ręką usta...

– I przypomniałam sobie. Musimy szybko zarezerwować

czas Luthera na promocję książki. Nie mogę skontaktować się z jego okropną asystentką od PR, więc pomyślałam, że może Sam mógłby nam pomóc. Możesz go o to poprosić?

– Tak, prawdopodobnie mógłby pomóc, ale...

– Genialnie. Zatem zajmij się tym. Pa.

Gdy odkładam telefon, trzęsie mi się ręka. Dzięki Bogu, że jeszcze nie spostrzegła, iż brakuje zapisu. Być może nigdy tego nie zauważy, o ile tekst będzie wystarczająco dobry. I pod warunkiem że Sam nie narobi rabanu w związku z zawartością książki.

Drzwi do jego pokoju są otwarte. Sam zapisuje coś w dużym

żółtym notatniku. Rzecz jasna, nigdy wcześniej tu nie byłam. Sam odwraca się i dostrzega mnie, po czym wraca do pisania. Pokój jest ascetyczny i uporządkowany, tylko kilka męskich akcesoriów na widoku: okulary przeciwsłoneczne, kluczyki do samochodu,

czytnik e-booków, równe sterty scenariuszy na łóżku. Czekam, aż skończy, i patrzę na niego, a raczej na jego kark. Założył okulary, które moim zdaniem bardzo do niego pasują, w koszulce, tej szarej z napisem UCLA, którą nosi cały czas, jest maleńka dziurka, a jego włosy odrobinę urosły... Odwraca się gwałtownie, a ja w samą porę kieruję wzrok w inną stronę.

– Co tam?

Mam nadzieję, że nie widział, jak się gapię.

– Sam, chciałabym, żebyśmy pracowali wspólnie nad tą książką. Albo przynajmniej nie byli do siebie wrogo nastawieni.

– To brzmi jak sielanka. Czego potrzebujesz?

– Czasu na promocję.

– Dobrze, że mi o tym przypominasz. Akurat w tym wypadku

możemy zakopać topór wojenny.

Siadam na krześle.

– Posłuchaj, Luther chce napisać tę książkę. Podoba mu się praca nad nią. Chyba stanowi to dla niego... oczyszczające

doświadczenie.

– Podoba mu się wiele rzeczy, które mu szkodzą –

odpowiada sucho.

– Ale czy to naprawdę mu szkodzi?

– Jednym słowem: tak. Jego specjalistka do spraw PR nie ma pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Powiniennem przekazać jej zapisy wywiadów, ale dostałaby zawału. Jego adwokat prawdopodobnie też. Ale wiesz, co mnie naprawdę martwi?

– Nie... – nie jestem też pewna, czy chcę wiedzieć.

– Martwi mnie to, że ludzie pomyślą, że Luther pisze

książkę, bo potrzebuje pieniędzy. Szczerze powiedziawszy, na napisanie takich autobiografii najczęściej decydują się ci, których kariera legła w gruzach.

– A Michael J. Fox? Albo Patrick Swayze? – przypominam

triumfalnie, zanim uświadamiam sobie, że biedny Patrick zmarł

przed premierą książki. – Ich kariery się nie zakończyły – dodaję z mniejszą pewnością siebie.

– To zabawne, że o nich wspominasz. Wiesz, co powiedział

szef naszej agencji, gdy Marc zawarł w imieniu Luthera umowę na tę książkę? Zapytał: Czy Luther umiera? Jest sparaliżowany?

Cierpi na chorobę Parkinsona? Nie? To po co, do cholery, pisze książkę?

– Ale to tylko...

– Prawda jest taka, że ci goście mieli konkretne tematy, na które pisali. A konkretnym tematem Luthera wydaje się jego awanturnicza przeszłość. A ja przez ostatnie półtora roku

pracowałem nad tym, by wszyscy o niej zapomnieli.

Auć.

– Zastanawiam się też, jak zareaguje Dominique Rice, gdy

przeczyta fragment, w którym jej były mąż opisuje, jak pali heroinę niczym, cytuję, pieprzony chiński gangster. I tak dalej.

– Nie musimy używać dokładnie tych słów...

– Dominique jest wpływową kobietą. Ona i jej mąż mają

dużo znajomości w jednej z największych wytwórni filmowych.

Jeśli źle zareaguje na tę książkę, istnieje duża szansa, że Luther już nigdy nie zagra w żadnym filmie. Mogą nawet oddać taką

przysługę wszystkim moim klientom. Dla ciebie to pewnie

nieistotne, ale chcę ci uświadomić, że być może szkodzisz nie tylko karierze Luthera.

– A czy fakt, że książka ukaże się tylko w Europie, nie

pomaga?

Sam wzdycha.

– Być może. Modlę się, żeby ta książka była jak jedna z tych reklam whiskey, które kręcisz w Japonii, a reszta świata nie musi o nich wiedzieć.

– A pozostałe fragmenty? Te o sławnych przyjaciółach. Może potraktują to jako komplement? Jak epizod w *Ekipie* albo coś takiego? Mógłby się z nimi skontaktować, przedstawić to jako przysługę... – słyszałam o *Ekipie* od Luthera; jest trochę zły, że nigdy nie zaproponowali mu pojawienia się w tym serialu.

– *Ekipa* to fikcja.

– Wiem – mówię poirytowana. W końcu to jego problem, a ja

staram się tylko pomóc.

Sam wygląda przez okno, zdejmuje okulary i pociera oczy.

– Sądzę, że mogliby to zaakceptować. Bardziej martwi mnie

ogólne wrażenie, jakie robi ta książka.

– Uważasz, że jej pojawienie się będzie oznaczało, że kariera Luthera dobiega końca?

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem – odpowiada

szybko. – Stwierdziłem, że część ludzi może to tak postrzegać. A Luther ma przed sobą jeszcze długą karierę.

– Oczywiście, że ma. A może ta autobiografia oznaczałaby

początek nowego etapu?

– Co masz na myśli?

– Takie książki z założenia mają szczęśliwe zakończenie.

Niekoniecznie oznaczają koniec kariery, ale, wiesz, koniec jakiegoś etapu życia. Możemy przedstawić to w ten sposób, że Luther wspomina swoją łobuzerską przeszłość, z naciskiem na słowo przeszłość, by mieć to wszystko za sobą. Czy to ci nie pomoże?

– Hm – Sam nie wydaje się przekonany.

– Mogłoby się udać, nie sądzisz? Jeśli zagra w serialu? To dla niego kolejny nowy etap. Ta rola bardzo się różni od jego

dotychczasowych kreacji. Uważam, że byłby świetny, grając

bardziej rozbudowaną, komediową postać.

– Cieszę się, że to akceptujesz – oznajmia Sam sarkastycznie.

– Akceptuję. Serial zapowiada się świetnie. Powiedziałam to Lutherowi. I powtórzę to jeszcze raz.

Sam przez chwilę się nie odzywa. Gryzmoli w swoim

notatniku, po czym nie podnosząc wzroku, mówi:

– Nie jestem w stanie przekonać Luthera do rezygnacji z

książki. Będę więc musiał ci zaufać. Czy mogę ci zaufać?

– W jakiej kwestii?

– Że nie wykorzystasz Luthera. Że nie zaszkodzisz jego

wizerunkowi. Że nie stworzycie kiepskiej książki, która zniszczy jego karierę. Albo moją.

– Sam, mówię poważnie, możesz mi zaufać – staram się

zrobić wrażenie osoby szczerzej i godnej zaufania, co z jakiegoś powodu bardzo go bawi. Odrzuca długopis i kręci głową.

– Dobrze, w porządku. Pomogę tobie i Lutherowi przy tym

nieszczęsnym projekcie. Przeczytam książkę i wskażę najbardziej problematyczne fragmenty. Przekażę tekst Dominique i postaram się załagodzić sprawę. Dam ci trzy dni na promocję. A ty będziesz wszystko ze mną konsultować i namawiać Luthera na zagranie w serialu. Zgoda?

– Zgoda – odpowiadam.

Gdy zmierzam w kierunku drzwi, Sam mówi:

– Zapomniałem cię zapytać: jak się miewają Brian i jego

żona?

– W porządku. Rokowania są optymistyczne. To miło, że

pytasz.

– Nie ma sprawy – kwituje i wraca do pracy.

Udaję się prosto do mojego pokoju. Jestem zachwycona, że

będę mogła przekazać Olivii dobre wiadomości.

– Olivia? Załatwiłam czas na promocję książki. Sam do

ciebie zadzwoni, żeby ustalić szczegóły.

– W porządku – stwierdza Olivia. To jedno z jej typowych

zagrań: czasem, nawet kiedy dobrze wykonasz trudne zadanie, sprawia wrażenie, jakby zupełnie jej to nie obchodziło – Zacznę dziś czytać ten tekst i sprawdzę – słyszę szelest kartek – jak on się ma do umowy, czy zgadza się długość i... zawartość...

O nie. Błagam, nie.

– A ten zapis...

Wstrzymuję oddech. Czy powinnam się rozłączyć? Udawać,

że przerwało połączenie?

– Gdzie on jest? Mam w ręce umowę i nie widzę tego zapisu.

Stało się. To, czego od tak dawna się obawiałam, wreszcie się wydarzyło. Mogłabym skłamać i powiedzieć, że nie wiem,

dłaczego nie ma tego zapisu, ale jaki to ma sens? Mam wrażenie, że skaczę z klifu, ale wypowiadam te słowa szybko, zanim zmienię zdanie.

– Nie ma tego zapisu w umowie.

– Jak to nie ma go w umowie? Dlaczego?

Oddycham głęboko.

– Zapomniałam go wstawić...

Podobno jest w języku francuskim takie wyrażenie: „zła

część godziny” i oznacza ono nieprzyjemne doświadczenie.

Właśnie coś takiego mnie teraz spotyka. Skupiam się na tym, by trzymać telefon w dłoni, stać prosto i liczyć płytki na podłodze, gdy potok słów Olivii obmywa mnie jak morska fala. Próbuję nie słuchać zbyt uważnie, ale i tak wyłapuję takie określenia jak: głupia, niewiarygodne, niekompetentna, brak zaufania.

– Wiedziałaś, że tego zapisu nie ma w umowie? – pyta Olivia w którymś momencie. – Wiedziałaś o tym cały czas i nam nie powiedziałaś?

Kiwam głową, po czym uświadamiam sobie, że mnie nie

widzi.

– No... tak.

– To jest... mamy prawo cię zwolnić. Wiesz o tym?

Potwierdzam.

– Alice, to poważna sprawa. Sądzę, że nie dociera do ciebie, jak bardzo poważna.

Przepraszam kolejny raz, ale to chyba jeszcze bardziej ją prowokuje. Ostatnie słowa, jakie wypowiada ze złością do słuchawki, zanim zakończy rozmowę, brzmią:

– Lepiej, żeby ten tekst był wyjątkowy.

Sygnał telefonu bardzo głośno dźwięczy w moich uszach.

Ostrożnie odkładam komórkę. Z braku lepszych rzeczy do

zrobienia postanawiam przebrać się do kolacji. Wkładam zieloną sukienkę, którą dała mi Marisa: ma bardzo ładny, pistacjowy odcień i spory dekolt. Chyba nadal jestem w szoku. Nie potrafię myśleć o tym, co powiedziała Olivia, i o tym, co ma się wydarzyć.

To faktycznie poważna sprawa. Zwolnienie. Zaczynam nakładać cienie na powieki. „Wiedziałaś o tym cały czas i nam nie

powiedziałaś?” Przynajmniej stwierdziła, że może mnie zwolnić.

A to oznacza, że prawdopodobnie tego nie zrobi. Mam nadzieję, że nie popełnię więcej błędów. Upinam włosy w kok i na szczęście od razu udaje mi się to zrobić. Słyszę, że reszta towarzystwa zmierza na taras. Świetnie. Muszę się napić.



Rozdział 23

Wychodzę na taras i jestem trochę zaskoczona, że wszystko –

słońce, basen, morze – wygląda normalnie, tak jak ostatnim razem.

Są wszyscy oprócz Briana. Nawet Annabel zaszczyciła nas swoją obecnością i przyprowadziła z sobą Nikosa. Wygląda na to, że postawiła na krzykliwy europejski styl: ma na sobie białą sukienkę z kiczowatymi rozdzarciami po bokach. Nikos wygląda okropnie w obcisłej białej koszulce, która podkreśla jego napompowane sterydami bicepsy. Nigdy nie zrozumie, dlaczego

heteroseksualnym mężczyznom nie przyjdzie do głowy, że

wyglądają w nich śmiesznie. Niechętnie siadam naprzeciw tej pary, ale akurat tam jest wolne krzesło. A po tym, jak zostałam

ochrzaniona przez Olivię, powinnam łatwo dać sobie radę z

Annabel.

– Wyglądasz na wyczerpaną, Alice – stwierdza Annabel z

satisfakcją. – Jesteś taka trochę... rozmyta. Albo może to przez ten kolor.

Nie. Nie dam sobie rady. Wstaję i obchodzę stół, żeby

znaleźć się jak najdalej od nich. Siadam naprzeciwko Marisy.

– *Carissima!* – Marisa całuje mnie na przywitanie. – Miło cię widzieć. Słyszałam, że robisz duże postępy, a Luther ciężko pracuje – ścisza głos. – A nie mówiłam? Potrzebował po prostu twardej ręki.

– Tak sądzę – nalewam jej wina, a później sobie. Nie będę

myśleć o Olivii ani o Lutherze, ani o swoich problemach. Wypiję po prostu ten kieliszek wina.

Następnie do stołu podchodzi Sam. Chyba zastanawia się,

gdzie usiąść – wolne miejsce jest obok Luthera i naprzeciwko Federica – po czym siada obok mnie.

– Rozmawiałem przed chwilą z menadżerem Dominique.

Wygląda na to, że Dominique jest teraz na Capri, gdzie spędza kilka dni, więc możemy jej tam wysłać tekst i być może znajdzie nawet czas w tym tygodniu, by go przeczytać.

Na chwilę niemal udało mi się zapomnieć, kim jest

Dominique.

– O, świetnie – mówię. – Napijesz się wina?

– Hmm... tak – odpowiada i wymienia z Marisą nieco

zdziwione spojrzenie.

Marisa wygląda jak zawsze świetnie: jest ubrana w białą

koszulkę bez rękawów i różowe rybaczki, w których ja

wyglądałabym jak słoń. Gdy widzę, jak śmieje się z czegoś, co powiedział Sam, zazdrozczę im obojgu. Nie popełnili okropnych błędów, które mogą ich kosztować pracę. A później zastanawiam się, nie po raz pierwszy zresztą, czy między nimi coś jest.

No tak, mogłaby dużo gorzej trafić. Mam zamiar dobrze

rozważyć ten temat – to dobra odskocznia od wszystkiego. Muszę przyznać, że porównując pozostałych obecnych tu mężczyzn:

Federica, Nikosa, a nawet Luthera, Sam należy do innej kategorii.

Może nie jest tak absolutnie boski, jak Luther, ale z pewnością jest atrakcyjny, o ile komuś podobają się tacy opaleni, wysportowani faceci, lubiący spędzać czas na łonie natury. Jest inteligentny i odnosi sukcesy. I nie sprawia trudności w związku z książką Luthera ot tak, próbuje robić to, co dla jego klienta najlepsze, nawet jeśli oznacza to kłótnie z nim. I choć nie spędziliśmy ze sobą tyle czasu, ile spędziłam z Lutherem, wie o mnie o wiele więcej niż on. Pamiętał nawet, żeby spytać o Briana, a Luther chyba nadal nie zauważył, że jego redaktor wyjechał.

Zaraz, zaraz. Czy moje zadurzenie w Lutherze nie ustąpiło

miejsca zauroczeniu Samem?

Nie, oczywiście, że nie. To byłoby wariactwo. Prawdą jest, że czysto obiektywnie uważam go za atrakcyjnego. Z pewnością

bardzo atrakcyjnego. Ale to nie znaczy, że jestem nim oczarowana.

W każdym razie nie mamy ze sobą nic wspólnego, a on mieszka na drugim końcu świata. No i nie muszę wspominać, że pewnie

spotyka się z Megan Fox albo kimś w tym stylu.

Sam spogląda w moją stronę, a ja uświadamiam sobie, że się na niego gapię od jakiegoś czasu.

– Przepraszam. Co powiedziałaś?

– Rozmawialiśmy o sławnej aktorce, której nazwiska nie

możemy podać – odpowiada Sam.

Marisa scenicznym szeptem wyjaśnia, o kogo chodzi.

– A tak, kojarzę ją.

– Była moją klientką – dorzuca Sam. – Przez jakieś pięć

minut, zanim stała się gwiazdą i zrezygnowała z moich usług.

Opowiadałem ci historię o tym, jak potrzebowała

natychmiastowego dmuchanka? – pyta Marisę.

Rozgląda się, czy nikt inny go nie słucha. Jestem

podekscytowana: kolejna odskocznia. Tak się cieszę, że wszyscy przyszli dziś na kolację. Inaczej musiałabym siedzieć sam na sam z Lutherem! Wypijam kolejny łyk wina.

– No więc ona kręci film w Nowym Jorku. Jest z nią jej

osobisty stylistka fryzur, ma to zagwarantowane w kontrakcie.

Fryzjer obchodzi akurat czterdzieste urodziny, więc żeby je uczcić, idzie na kolację ze swoim chłopakiem i kilkoma innymi członkami obsady i ekipy. Wszyscy dobrze się bawią w bardzo przyjemnej restauracji w Tribeca, gdy ona dzwoni do niego i nie zważając na to, że on jest w trakcie jedzenia pierwszego dania, każe mu wyjść z restauracji i jak najszybciej wrócić do centrum, ponieważ ona potrzebuje natychmiastowego dmuchanka.

– Czego potrzebowała?

– Natychmiastowego dmuchanka. Strzelała focha.

Prawdopodobnie była wściekła, że została pominięta, choć fryzjer zaprosił ją na tę kolację.

Słyszałam w ciągu ostatnich paru dni sporo takich historii, ale ta zdecydowanie wygrywa.

– Ale... – jestem w szoku. – Czy to leżało w jego

obowiązках służbowych? Poza tym on był gejem!

– No cóż... – Sam dziwnie na mnie patrzy. – To jej fryzjer.

Wielu z nich to geje. I tak to należy do jego obowiązków

służbowych, choć być może niekoniecznie w trakcie kolacji z okazji czterdziestych urodzin, zwłaszcza że miała do dyspozycji trzech innych fryzjerów, z których usług mogła w takiej sytuacji skorzystać.

Aha, chyba zaczynam rozumieć swój błąd. Wybucham

śmiechem.

– Co? Co sobie... aha – Sam też zaczyna się śmiać. – Nie

używacie takiego określenia na wysuszenie i ułożenie włosów?

– Niezupełnie – odpowiadam pomiędzy kolejnymi atakami

śmiechu. – Przepraszam... przez te wszystkie wywiady jestem

trochę nierozgarnięta.

– Muszę zatem zapamiętać – stwierdza Sam. – Wiem, że

można dmuchać balony, w gwizdek...

– O Boże – ocieram oczy. – Dmuchanie skojarzyło mi się z

czymś innym. Nie mam pojęcia, co sobie myślałam. Wybacz.

Chyba po rozmowie z Olivią wpadłam trochę w histerię, bo

nie mogę przestać się śmiać. Próbuję się uspokoić, ale kiedy spoglądam na Sama, znów zaczynam chichotać. A on śmieje się za każdym razem, gdy patrzy na mnie. Wkrótce śmiejemy się tak bardzo, że wszyscy przy stole się na nas gapią. Nawet Marisa jest zdziwiona.

Annabel spogląda na mnie i Sama, zauważa nasze

rozbawienie, po czym wraca do opowiadania swojej historii.

– No i w marcu jestem cała w błocie, tarzam się w nim,

trochę jak Xena Wojownicza Księżniczka. A w kwietniu jestem pokryta kwiatami, ale nie wszędzie – Annabel kręci się i znacząco uśmiecha do Luthera, który unosi brwi w geście uznania. – To bardzo artystyczne.

– Co takiego? – pytam, mając nadzieję, że nie wybuchnę

znów śmiechem. Choć mam wrażenie, że to prawdopodobnie

nastąpi.

Annabel zniecierpliwiona odwraca się w moją stronę.

– Kalendarz Pirelli!

– Pirelli? Naprawdę? – pyta Marisa, unosząc brwi. Federico sprawia wrażenie podekscytowanego.

– Nie, nie, maleńka, mówiłem ci – wtrąca się pośpiesznie

Nikos. – To nie Pirelli. To firma, która dostarcza towar Pirellemu.

To znaczy jest jego dystrybutorem. Taka poboczna działalność. –

Te ostatnie słowa kieruje do Sama tonem typowym dla męskiej rozmowy. – Ona nie może tego zrozumieć – Nikos ma bardzo

dziwny akcent. Nie jestem w stanie określić, skąd pochodzi, i sędzę, że Annabel też tego nie wie.

– Jasne – zgadza się Sam, ale w jego głosie słychać

wątpliwości.

– Pomysł polega na tym – wyjaśnia Annabel – że dzięki

kalendarzowi zarobimy pieniądze na dystrybucję *Ugryzienia jej mistrza*.

– Aha, *Ugryzienie jej mistrza* – mówię. Nasz sta- ry przyjaciel.

– A jak dokładnie macie zamiar sfinansować dystrybucję

filmu kinowego? – Sam pyta Nikosa. – I gdzie?

– Mam trochę kontaktów... paru kumpli. To duża działka, no

i ja zamierzam zacząć w niej działać – odpowiada Nikos. Marisa i Sam natychmiast zaczynają zadawać mu pytania, ale Luther

przerywa im, zwracając się do Annabel:

– No cóż, dziewczyny z kalendarzy Pirelli są seksowne, ty

również, więc to idealnie do siebie pasuje.

Uśmiecham się i myślę, że kilka dni temu takie słowa

wzbudziłyby we mnie zazdrość. Teraz w ogóle mnie to nie

obchodzi. Spoglądam na Sama i oboje znów wybuchamy

śmiechem.

– A jak było w Londynie? Musisz być wyczerpany.

– W porządku, naprawdę lubię Londyn. Wszystkie spotkania

miałem w Soho, a później poszedłem na spacer w stronę rzeki. Są tam piękne widoki.

– W takim razie byłeś niedaleko od mojego biura.

– A tak, wiem, sprawdziłem – dodaje, gdy widzi zaskoczenie na mojej twarzy. – Gdzie mieszkasz?

Mówienie o sobie jest taką nowością, że szczegółowo opisuję mu Hammersmith i udogodnienia dzielnicy, a później opowiadam o mojej współlokatorce Ciarze i o tym, że potrzebowała lokatora po zerwaniu z chłopakiem. Sam mówi mi o swoim znajomym,

który znalazł się w podobnej sytuacji, kiedy wtrąca się Nikos i pyta o jakiegoś gwiazdora z Hollywood, który ma dom na Sycylii.

– Podobno jest tam teraz ze swoim chłopakiem – mówi

Nikos. – Czy to prawda?

– Nie, to idiotyczna plotka – zaprzecza Sam.

– Tak, to bzdury – dorzuca Luther.

Ale mam przeczucie, że obaj kłamią. Jestem zaskoczona.

Aktor, o którym wspomniał Nikos, to znany łamacz serc, zawsze mający u swojego boku jakąś kobietę.

Rozmowa schodzi na inny temat.

– Czy to prawda? – pytam szeptem Sama. On wzrusza ramionami, co, jak rozumiem, oznacza „tak”.

– Ale on ma dziewczynę.

– Została wynajęta – mówi Sam. – Podpisała umowę z

klauzulą tajności. To aktorka, więc taka sława się jej przyda. W ten sposób wszyscy na tym korzystają.

– Ale dlaczego on musi to ukrywać? Z pewnością jest mnóstwo innych aktorów gejów.

– Oczywiście. Podobnie jak jest wielu aktorów

uzależnionych od kokainy, metamfetaminy, idiotów, prostytutek i romansów. Niestety, są postrzegani w tych samych kategoriach, uważa się, że trzeba to ukrywać. Pojawiają się plotki, agenci prasowi je tuszują, wszystko toczy się zwykłym torem.

– A co z... – staram się podać przykład.

– Usiłujesz znaleźć homoseksualnego aktora grającego

główne role? – pyta Sam. – Dam ci sto dolarów, jeśli ci się to uda.

– Rupert Everett! – mówię w końcu.

– A w jakich dużych rolach go widziałaś?

– *Mój chłopak się żeni.*

– Gdzie grał...?

– Przyjaciela geja. Tak, ale z pewnością zagrał w innych filmach...

– Nie w tych, w których mógłby zagrać, gdyby był hetero. I wymieniłaś komedię. Uważasz, że obsadziliby Jake'a Gyllenhaala i Heatha Ledgera w *Tajemnicy Brokeback Mountain*, gdyby naprawdę byli gejami?

– Czyli... kto jest gejem?

– Wolałbym nie wymieniać żadnych nazwisk. Ale jest ich

wielu. Hollywood daje wszystkim równe szanse, o ile się nie ujawniasz.

Nalewa sobie i mnie kolejny kieliszek wina. Widzę, że sporo już wypił. Być może wyjazd do Londynu nie poszedł tak dobrze.

Znam to uczucie.

– Nie zacytuję tego – zapewniam go.

– Co mówiliście o Hollywood i dawaniu szansy? – pyta

Annabel.

– Mówimy o tym, że Hollywood nie lubi obsadzać w

głównych rolach homoseksualistów – wyjaśnia Sam.

– Wcale nie. Pieprzone pedały rządzą tym biznesem –

zaperza się Nikos.

– O tobie tego się nie da powiedzieć – zauważa Sam. W

blasku świateł widzę, że z jego twarzy zniknęły ostatnie ślady uśmiechu; jest wzburzony.

– Spokojnie – odzywa się Marisa i poklepuje Sama po

ramieniu.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – wścieka się Nikos.

– Oznacza to, że nie wiem, czym się naprawdę zajmujesz, ale ani przez chwilę nie jestem w stanie uwierzyć, że wiesz cokolwiek na temat dystrybucji filmowej – ty nietolerancyjny kmiocie.

– Jak śmiesz? Wy, jankesi, wszyscy jesteście tacy sami.

Uporządkowalibyście swój teren, zanim zaczniecie rozkazywać wszystkim dokoła...

– KONIEC! – krzyczę. Wszyscy patrzą w moją stronę, są

zaskoczeni. Zwłaszcza Annabel wygląda, jakby nie mogła

uwierzyć, że ośmieliłam się przerwać jej chłopakowi.

– Przepraszam. Po prostu bardzo ciężko pracowaliśmy dziś z Lutherem i chcemy się odprężyć. Nie chcemy kłótni. Błagam.

– Wybacz, Alice – mówi Sam, nawet nie patrząc na Nikosa.

– Dobra, dobra – odzywa się Nikos. W tej chwili jeszcze

bardziej niż zwykle przypomina jaskiniowca.

– Dołożyć komuś makaronu? – pyta Marisa.

•

Kolacja się skończyła, siedzimy na tarasie z Lutherem.

Pozostali rozeszli się do domów.

– Nie zapraszajmy ich już więcej na drinka – stwierdza

Luther.

– Jasne. Jezu, skąd Annabel go wytrzasnęła? I przy okazji

skąd ona się wzięła?

– Nie wiem, była na planie filmowym, a później przyjechała tutaj.

– Czy coś było między wami? – pytam Luthera. Wiem, że to

bezczelne z mojej strony, ale zawsze byłam tego ciekawa.

– Nie. No tak. Ale na planie. A to się nie liczy.

– I od tamtej pory już nie? – dopytuje się Sam. Cieszę się, że nie tylko ja bywam wścibska.

– Nie, znudziło mi się. To wariatka. Wierciła mi dziurę w

brzuchu opowieściami o tym filmie o wampirach.

– Dlaczego uważasz, że to wariatka? – chyba dokładnie

wiem, o co mu chodzi, ale chcę to usłyszeć.

– Podobnie jak wiele innych aktorek, zamierza osiągnąć

sukces bez względu na wszystko. Będzie szła po trupach do celu.

To czasem przerażające. Niektórzy aktorzy też się tak zachowują, ale nie do tego stopnia.

Biedna Annabel. Jestem w stanie powiedzieć to samo o kilku osobach w pracy i pewnie sama czasem też się tak zachowywałam.

To, że Luther obgaduje w taki sposób swoje dawne podboje, nie czyni go szarmanckim, a ja nagle zacznę mieć poczucie winy, że również źle o niej mówiłam.

– Jest taka piękna – stwierdzam. – Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, myślałam, że to Sienna Miller.

– Sienna Miller jest naprawdę urocza – mówi Sam. – Więc nie ma szans, żebyś je pomyliła, gdybyś ją poznała. Sądzę, że Annabel i Nikos pasują do siebie.

– A tak przy okazji dlaczego tak się wściekłeś, gdy mówiliście o rolach dla gejów? – pyta Luther. – Mogłeś powiedzieć to samo w kwestii ról dla czarnych aktorów i tak dalej.

Twój młodszy brat jest gejem, prawda?

– Tak. Ale to nie ma znaczenia. Po prostu wszystko to mnie czasem przygnębia i tyle.

Luther odwraca się w moją stronę.

– Wiedziałaś, że Sam zapłacił chesne za studia brata?

– Wow.

– To nieprawda – mówi Sam. – Pomogłem mu na pierwszym roku, ale dostał też stypendium – wyjaśnia z dumą. – To naprawdę mądry gość. A takw ogóle to skąd o tym wiesz? – pyta Luthera.

– Powiedział mi, gdy poszliśmy do Griddle Cafe. To niezły przystojniak. Gdybym był gejem, leciałbym na niego jak pszczoła do miodu.

– Trzymaj się z dala od mojego brata. I siostry. Jeszcze studiuje – Sam wyjmuje telefon i pokazuje mi zdjęcie. Wygląda, jakby zostało zrobione w święta. Cała trójka stoi na tle choinki i innych dekoracji. Sprawiają wrażenie miłej rodziny. Wszyscy mają podobne szare, lekko skośne oczy.

– Masz rodzeństwo? – pyta mnie Sam.

– Starszą siostrę, Erikę. Jest mężatką, mieszka w Londynie.

Nie wiem, co innego mogę powiedzieć. Z pewnością nie zapłaciłam za jej studia i nie jest lesbijką.

– Czyli oboje jesteśmy rozpieszczonym młodszym rodzeństwem – oznajmia Luther. – A Sam jest odpowiedzialnym najstarszym dzieckiem.

– Owszem. I nie zapominaj o tym.

– Nie – protestuje Luther. – Nie wspominaj znowu o tej autobiografii. Ani o telewizji. Chcę napisać książkę. I nie chcę grać w serialu.

– Dobra, dobra, zrozumiałem – mówi Sam, nalewając mu kolejnego drinka. Patrzy na mnie i pyta: – Alice? Chcesz jeszcze?

Mam zamiar powiedzieć, że tak, gdy Luther stwierdza:

– Daj spokój, jesteś na wakacjach!

I wtedy z nieustępującym poczuciem wstydu, przypominam

sobie, że wcale nie jestem na wakacjach. Jestem w pracy, w której mam spore kłopoty. Co powiedziałyby Olivia, gdyby zobaczyła, jak się upijam z Lutherem i Samem zaledwie kilka godzin po naszej okropnej rozmowie? Spoglądam na zegarek: jest za

kwadrans północ. Muszę się położyć spać, wstać o rozsądnej porze i jutro spróbować wszystko naprawić.

– Nie, dzięki. Powinnam odpocząć – wstaję, a Luther macha mi na pożegnanie i wypija kolejny kieliszek.

– Jasne. Dobranoc – mówi Sam. Gdy odchodzę, czuję, jak odprowadza mnie wzrokiem.



Rozdział 24

Nie mogę spać.

Jestem bardzo zmęczona. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu

położyłam się przed drugą, ale nie mogę przestać myśleć o Olivii i katastrofie związanej z brakiem zapisu w umowie. No i jest tak gorąco. Przy kolacji wypiałam zbyt dużo, a później jeszcze kawę.

Jestem całkiem rozbudzona, gapię się w sufit. Patrzę na zegarek: dwadzieścia po pierwszej.

Może powinnam wyjść na dwór, zaczerpnąć świeżego

powietrza albo trochę popływać. Nie zapalam światła, wkładam bikini, ubieram z powrotem koszulę nocną i wychodzę na taras.

Jest pełnia, księżyc świeci jasno jak lampa. Na zewnątrz jest tak samo upalnie, jak w domu, ale woda wygląda kusząco. Gdy zanurzam stopę, słyszę za sobą jakiś hałas, niemal wyskakuję ze skóry. To Sam. Ma na sobie tylko dżinsy, trzyma zapalonego papierosa i słucha muzyki. W ciemności widzę tylko jego oczy i żarzącą się końcówkę papierosa.

Zdejmuje słuchawki.

– Też nie możesz spać? – pyta.

– Nie. Jest zbyt gorąco.

– Wiem. No i spałem w samolocie.

Siadam obok niego. Moja koszula nocna jest bardzo cienka,

więc cieszę się, że mam pod nią bikini.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– Tylko w wyjątkowych okazjach. Na przykład kiedy dopnę

jakąś umowę. Papieros jest dla mnie tym, czym cygaro dla

prawdziwych mężczyzn.

– Dopiąłeś jakąś umowę w Londynie?

– Nie – podaje mi swoją szklankę z whiskey. – Tak więc

topię smutki. Na zdrowie – dodaje, stukając palcem w szklankę.

– A ty?

– Wypijemy razem.

Biorę małego łyka. Nie znoszę whiskey, ale ta nie jest taka zła. Piekące ciepło alkoholu w jakiś sposób sprawia, że gorące nocne powietrze wydaje się chłodniejsze. Biorę następny łyk.

– Papierosa?

Kiwam głową. Sam zapala drugiego papierosa i podaje mi

go. Gdy się nachyla, zauważam, jak bardzo umięśniony ma brzuch

– choć siedzi i jest w dżinsach, nie ma na nim ani grama tłuszczu.

Niesamowite. To mój pierwszy papieros od wielu lat, więc gdy wdycham powietrze i odchylam głowę do tyłu, odczuwam w niej lekki szum.

Czuję się lepiej. Mam dość myślenia i zamartwiania się

pracą. Jeśli mnie zwolnią, to trudno. Przynajmniej w

przeciwieństwie do Luthera cokolwiek bym zrobiła, gazety o tym nie napiszą. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie opowiedzieć Samowi o tym, co się wydarzyło. Wyobrażam sobie, jak mówię:

„Mam poważne problemy w pracy”. Ale nie mogę mu tego

powiedzieć, choć bardzo bym chciała. Zamiast tego postanawiam zapytać go o inną rzecz, która zaprzęta mi głowę.

– Czy jesteś w stanie wymienić coś gorszego niż bycie

sławnym?

Śmieje się.

– No jest parę rzeczy...

– Nie, wiem, że przesadzam, są gorsze rzeczy. Na przykład

bycie sierotą w ogarniętym wojną kraju. Ale nawet sierota w takiej sytuacji ma coś, czego nie ma znana osoba.

Jego oczy są wpatrzone we mnie. Jest poważny i

skoncentrowany.

– Co takiego?

– Swoją tożsamość. Nie powiem, że prywatność, bo jeśli

jesteś bardzo biedny, możesz nie mieć jej zbyt wiele. Ale ja mogę wyjść na ulicę, mogę spotykać się z ludźmi jak równy z równym.

Jeżeli jednak jesteś sławny, nie jest to możliwe.

– Wiem, o czym mówisz.

– Po prostu uważam, że nie powinniśmy się do siebie w ten

sposób odnosić. To znaczy Luther jest całkiem normalny... –

przerywam na chwilę, żeby zastanowić się, czy naprawdę tak uważam. – Ale ta aktorka z historii o

fryzjerze... Nikt nie powinien się tak zachowywać. To niedorzeczne. A także niewłaściwe.

Sam przez chwilę się nie odzywa.

– Oczywiście, że nie powinien. Ale to jest tak... z jej punktu widzenia zrezygnowała z wielu rzeczy, żeby móc robić to, co dziś robi. Z tych rzeczy, o których ty mówisz: prywatności i

tożsamości. A w zamian dostaje wszystko, czego chce. Ludzie w jej otoczeniu dają jej to, bo wiedzą, że tak to działa. To ona im płaci, zarabiają dzięki niej. Nie jest już osobą prywatną, jest przedsiębiorstwem.

– Ale nie wydaje mi się, żeby zachowywała się w ten sposób z takiego powodu. To przerażające, że wszyscy ci ludzie przez cały czas potakują. To szaleństwo. Gdybym ja się tak zachowywała, robiłabym tak tylko dlatego, że chciałabym, żeby ktoś mi odmówił.

– Zgadza się, ale to z tego powodu, że jesteś mądrym i
dobrym człowiekiem. Ja jej odmówiłem, więc mnie zwolniła.

Gdy słyszę słowo „zwolniła”, krzywię się. Chcę się
dowiedzieć więcej na ten temat, ale Sam mówi dalej:

– W każdym razie... jest sporo wielkich gwiazd i naprawdę
znaczących ludzi, którzy nie zachowują się w ten sposób.

Niektórzy z nich są naprawdę mili. A czasem ci, którzy dopiero zaczynają, okazują się najgorsi. Nie ma na to prostej reguły.

Uświadamiam sobie, że ma rację, gdy myślę o Annabel.

– Ale i tak uważam, że to absurdalne. Człowiek nie jest
przedsiębiorstwem.

– Masz rację – Sam przytakuje mi. – Zgadza się. Ale spójrz na siebie i na mnie.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

– Przepraszam. Źle to zabrzmiało. Nie wiem, czy moje
zdanie ma jakieś znaczenie, ale sądzę, że Luther dostaje coś dobrego, gdy pracuje nad książką...

– Dzięki – mówię cicho. Czy on naprawdę sądzi, że wyko-
rzystuję Luthera? Traktuję go jak firmę? Pewnie tak jest.

– Jezu, Alice, przepraszam. Nie chciałem insynuować nic
takiego na twój temat. Chyba bardziej miałem na myśli siebie.

Chodzi o to, że... często muszę iść na kompromis. To, co

powiedziałem podczas kolacji, albo to, jak teraz rozmawiam z tobą

– nigdy nie mógłbym tak rozmawiać w Los Angeles. Nie

uwierzyłabyś, co mówią niektórzy ze znanych mi agentów. Są homofobami, rasistami, antysemitami, nie znoszą republikanów, demokratów, aktorów... cokolwiek sobie wyobrazisz. A z drugiej strony, przez większość czasu liżemy ludziom tyłki. I czerpiemy z tego zyski. Wiesz, nie tylko bycie sławnym sprawia, że ludzie inaczej cię traktują.

– Co masz na myśli?

– Na przykład... spójrz na mnie. Gdybym był początkującym

aktorem albo asystentem, nikt w branży nie chciałby ze mną rozmawiać. W porządku, bo to ludzie z branży, ale nie podoba mi się, że ma to wpływ na moje życie prywatne.

– Chodzi o to, że cały czas pracujesz?

– Nie. To znaczy tak, na pewno też o to chodzi. Ale... dobra, opowiem ci pewną historię. Krótka po tym, jak zacząłem pracować na własne konto, na imprezie u znajomych poznałem dziewczynę.

Pojechaliśmy do mnie... a następnego dnia przysłała mi mailem swoje CV i zdjęcia – zaciąga się papierosem. – Śmieszne jest to, że naprawdę ją polubiłem i z pewnością bym jej pomógł, gdyby tylko mnie poprosiła. Wydało mi się to strasznie smutne, że sądziła, iż musi to zrobić w ten sposób. Większości facetów, z którymi pracuję, wcale takie sytuacje nie przeszkadzają. Traktują je jak premię. Ja – nie do końca.

Przerywa na chwilę i bierze ode mnie szklanę.

– Może nie powinieneś się po prostu umawiać z aktorkami – sugeruję.

– Nie robię tego, ale chodzi mi o to, że zachowanie tej

dziewczyny stanowi doskonały przykład na to, jak postrzegają świat ludzie w Los Angeles. Nawet moja była myślała w ten

sposób, a nie jest aktorką.

Jego była. Okej, to brzmi, jakby teraz był singlem. Nie,

żebym była zainteresowana, to oczywiste, ale... jest singlem.

– Czuję, jakbym przez to zmieniał się w kogoś, kim nie chcę być. Jezu, Alice, jak ty to robisz? – pyta nagle.

– Co robię?

– Wyciągasz z ludzi takie historie. Za chwilę podam ci swój prywatny adres i opowiem o moim pierwszym pocałunku. Nic

dziwnego, że Luther je ci z ręki.

– Och... – nie mogę się skupić na wzmiankę o pierwszym

pocałunku. – Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że tak postępuję. To chyba taki nawyk. Chodzi o to...

– O co?

Patrzy na mnie w taki sposób, jakiego od dawna, a może

nigdy, nie widziałam. To mina człowieka, okej, mężczyzny, który jest naprawdę zainteresowany rozmową i chce usłyszeć, co zaraz powiem. I wydaje mi się, że to nie dlatego, że rozmawiamy o nim.

– Miałam zamiar powiedzieć: oczywiście, że to, co robisz,

ma wpływ na to, jak cię postrzegają inni. Bo to świadczy o tym, jaki jesteś – inteligentny, jak ciężko pracujesz i podejmujesz trafne decyzje. Nie rozumiem, co w tym złego. Ale jeśli interesuje ich tylko twoja praca, to zgadzam się, to nie jest w porządku. Czy to ma sens?

– Oczywiście.

– Ale... nie wydaje mi się, żebyś był z tego powodu

naprawdę szczęśliwy. I nie cieszy cię to, że musisz pracować sto godzin tygodniowo.

– Nie? – sprawia wrażenie jeszcze bardziej

zafascynowanego, a równocześnie rozbawionego.

– Nie. Ludzie, moi znajomi, którzy pracują w City czy w

różnych innych branżach, narzekają na to przez cały czas, ale nie zmieniają tego. Bo mimo że utyskują, podoba im się to.

Sam przez chwilę nic nie mówi, a ja zastanawiam się, czy nie przekroczyłam granicy. W ciemnościach nie widzę jego twarzy.

Ale po chwili odwraca się w moją stronę i szeroko się uśmiecha.

– Wow, muszę ci to przyznać, Alice. Chyba nikt nigdy w

życiu nie rzucił mi w ten sposób rękawicy. Wylałem przed tobą żal nierozumianego agenta, a ty podsumowałaś to w kilku

słowach: skończ z tym albo się zamknij. Zgadza się, lubię to –

mówi, gdy ja zaczynam protestować, że nie o to mi chodziło. –

Faktycznie to lubię. I chcę, żebyś wiedziała, że poważnie się nad tym zastanowię.

Naprawdę ma miły uśmiech. Rozświeśla całą jego twarz.

Sam wstaje.

– Odpuścimy sobie te głębokie rozmowy? Masz ochotę

popływać?

– Czemu nie.

Zdejmuje dzinsy. Pod spodem ma kąpielówki. Ja zsuwam

koszulę nocną i wchodzimy do wody. Jest cudowna. Szaleństwo ostatnich paru dni wydaje się bardzo odległe, a my jesteśmy na wakacjach i pływamy w upalną noc. Obserwuję, jak pokonuje całą długość basenu pod wodą. Mam nadzieję, że nie jest zbyt pijany, by nurkować. Wydaje się raczej trzeźwy, ale chyba sporo wypił. I tak z radością ratowałam go metodą usta-usta.

O cholera.

Zauważyłam, że w trakcie całej tej podróży po dobrej

wiadomości zawsze nadchodzą złe wieści. Dobra jest taka, że Sam nie będzie mi już przeszkadzał w kwestii książki, zła – że zadurzenie w Lutherze ustąpiło miejsca zauroczeniu Samem.

Prawdziwemu zauroczeniu.

Sam wypływa obok mnie.

– Oglądałaś *Le Grand Bleu*? – pyta. – *Wielki błękit*? Jest dość słaby, ale ma świetną ścieżkę dźwiękową Érika Serry. Zawsze kojarzy mi się z pływaniem w nocy. Kiedy przyszłaś, słuchałem jej. Chcesz posłuchać?

– Ja... okej – powinnam iść, ale nie chcę być niegrzeczna,

kiedy on proponuje mi posłuchanie muzyki, którą lubi. Zostanę minutę dłużej.

Zwinnym ruchem wychodzi z basenu i idzie po swojego

iPoda. Wyciera ręce o dzinsy. Jak mogłam w ogóle myśleć, że jest mdły i bez wyrazu? Jest taki piękny. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Wchodzi z powrotem do wody i podaje mi odtwarzacz, ale ja kręcę głową.

– Mam mokre ręce.

Przez chwilę patrzy na mnie, po czym ostrożnie wkłada mi

słuchawki do uszu, delikatnie odgarniając moje włosy. Gdy tylko mnie dotyka, czuję, że serce wali mi jak oszalałe. Od jego nagiego torsu dzielią mnie tylko centymetry. W sumie mogłabym się teraz nachylić i dotknąć go. Nigdy wcześniej nie byliśmy tak blisko. A nie, byliśmy, gdy ratował mnie od utonięcia, choć wcale nie tonęłam.

Sięga, żeby włączyć muzykę. Jest piękna. Taka tajemnicza –

jak nieznaną nam świąt, ukryty głęboko pod wodą. Sam nadal stoi bardzo blisko i wpatruje się we mnie. Staram się nie patrzeć na niego, więc spoglądam w górę na gwiazdy lub w dół na nasze talie, które są tak blisko siebie. Ale wyczuwam od niego dziwne vibracje. Jak wtedy, gdy ktoś ma zamiar cię pocałować. Powoli podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy, tylko przez chwilę, ale wystarczy. Jestem zupełnie onieśmielona i zaczynam drżeć.

– Hej – mówi, wyłączając muzykę. – Nie robi ci się zimno? –

Przykłada rękę do mojej twarzy i wyjmuję mi słuchawki z uszu.

– Nie. No, może trochę. Lepiej będzie, jak się położę.

Ale na to jest już za późno. Sam nadal dotyka mojej twarzy, a moja dłoń błądzi po jego torsie. A teraz pochyła się i całuje mnie: delikatnie, ale tak zdecydowanie, że niemal tracę przytomność.

Idealnie.

Całuje cudownie, jego usta są tak miękkie, jak to sobie

wyobrażałam, delikatne, ale bardzo pewne. Po chwili całujemy się mocniej. Jego ręce błądzą w moich włosach, na ramionach, w talii, a ja dotykam jego ramion, pleców i klatki piersiowej. Ciało Sama jest twarde jak stal: nie sposób nie zauważyć, jak bardzo jest silny.

Gdy czuję jego usta na moich, a jego dłonie na mojej skórze, rozpływam się. Równocześnie jakaś część mojego mózgu pyta:

„Czy to na pewno dobry pomysł? ”. Ale szybko zostaje zagłuszona.

Po minucie przestajemy, żeby zaczerpnąć powietrza. Sam

opiera podbródek o czubek mojej głowy. Słyszę, jak bierze wdech, i wiem, że ma zamiar coś powiedzieć. Proszę, niech to nie będzie:

„Powinniśmy przestać”. Ale zamiast tego ochrypłym głosem

szepcze mi do ucha tylko jedno słowo:

– Wow.

– Wiem – opieram głowę o jego ramię i wdycham zapach

jego skóry.

– To zdecydowanie najlepsza część dzisiejszego wieczoru.

– Mojego również – mówię mu do ucha, po czym zaczynam

je całować.

Sam pieści ustami moją szyję, obojczyk, a potem ramię.

Teraz całuje ramiączko od bikini – nie tylko skórę pod nim, lecz także samo ramiączko. Rękoma obejmuję jego szyję i opasuję jego nogę swoją. Sam zanurza się w wodzie, klęka przede mną, trzyma mnie za uda, całuje mój brzuch i schodzi coraz niżej... Nagle czuję się skrępowana, więc podciągam go do góry.

– Ej, sprawiało mi to przyjemność.

Pochylam się i całuję jego klatkę piersiową. Obejmuję go i przesuвам dłonie niżej w kierunku jego kąpielówek, po czym przyciskam go tak mocno, że aż z trudem łapie oddech. Łagodnie zsuwa ramiączko od bikini i zaczyna całować boczną część mojej piersi. Spędza tam dłuższą chwilę, a ja czuję, że zaraz umrę, rozpląnę się albo wybuchnę w zależności od tego, co zrobi.

– Alice – mruży mi do ucha. Wydaje się, że wypowiedzenie

tego słowa wymaga wszystkich jego sił.

– Tak?

– Jeśli chcesz, żebym przestał, powiedz to teraz.

– Nie – szepczę. – Nie chcę, żebyś przestawał.

Obejmuje mnie jeszcze mocniej.

– Chodźmy do środka – proponuje. Nie mogę do końca

uwierzyć, że to robi, ale podnosi mnie i niesie po schodach.

Wychodzimy tak z basenu, Sam zatrzymuje się tylko po to, by zabrać swoje dzinsy i moją koszulę. Nasza droga do domu zajmuje trochę czasu, ponieważ co parę sekund zatrzymujemy się i

całujemy. Na palcach wchodzimy do pokoju Sama i zamykamy za sobą drzwi tak cicho, jak to tylko możliwe – powiedzmy sobie szczerze, Luther nie może nas usłyszeć, byłaby to najgorsza rzecz, jaka mogłaby się teraz wydarzyć.

Gdy jesteśmy już w pokoju, Sam zrzuca z łóżka stertę

scenariuszy i papierów i kładzie mnie na nim, po czym znów zaczyna całować. Przeczesuję palcami jego

włosy, głaszczę go po plecach. Oboje jesteśmy nadal mokrzy, ale jest tak gorąco, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Nie zwróciłabym też uwagi, gdyby było dwadzieścia stopni poniżej zera. Nigdy w życiu nie byłam taka podniecona. Czuję, że nie muszę myśleć, a żadne reguły nie znajdują zastosowania. Jestem całkowicie zrelaksowana, nie mam żadnych zahamowań i całą sobą chłonę wszelkie doznania: dłoń Sama na moim udzie, dotyk jego włosów i skóry, jego usta na mojej szyi, ramieniu, piersiach...

Nie spałam z wieloma mężczyznami, ale gdy do tego dochodziło, często czułam się dziwnie i chciałam o tym

zapomnieć. Teraz pod każdym względem jest zupełnie inaczej. I nie chodzi tylko o to, że w Samie nie ma nic z egoisty – nie popędza mnie, jest cudowny i ciągle powtarza, że ja też taka jestem. Gdy widzę, jak się we mnie zatracą, czuję, że pragnie mnie równie mocno, jak ja jego. Odczuwamy takie samo pożądanie, a tego chyba wcześniej nie doświadczyłam.



Rozdział 25

Przez okno wpada nieco światła. Leżę odwrócona do Sama

plecami, a on mnie obejmuje. Nadal mam wilgotne włosy, ale pościel jest raczej sucha. To oznacza, że ostatnia noc naprawdę miała miejsce, a nie była tylko wytworem mojej pijanej wyobraźni.

Jestem w łóżku z Samem, agentem Luthera. Co ja, do cholery, zrobiłam? Już tego żałuję, on na pewno też będzie tego żałował.

Zaczynam ostrożnie wstawać, zastanawiając się przy tym, czy mogę się stąd tak po prostu wymknąć i udawać, że to się nigdy nie wydarzyło.

– Nie śpisz? – pyta łagodnie. Całuje mój kark, a ja oddycham z ulgą. Cokolwiek ma się wydarzyć... cieszę się, że chyba nadal mnie lubi.

– Uhm, nie – szepczę.

– Ja też nie – odpowiada takim samym tonem. Powoli

podnosi rękę i zerka na zegarek. – Dobrze. Jeszcze wcześniej.

– Powinnam już iść – mamrocze pod nosem, a on z

powrotem przyciąga mnie do siebie i całuje. Ledwo zaczyna, a ja się rozpląwam i nie mam innego wyjścia – też muszę go

pocałować. Gdy przyciska mnie mocniej do siebie, czuję, że z pewnością nie śpi...

Słyszemy hałas. Ktoś puka do drzwi.

– Ej, stary, jesteś tam? – cholera! To Luther!

Sam pokazuje mi, żebym schowała się pod kołdrą, ale ja

wpadam na lepszy pomysł: staczam się na podłogę, chwytam

prześcieradło i chowam się pod łóżkiem. W samą porę, bo Luther, nie przejmując się zasadami dobrego wychowania, otwiera drzwi i wchodzi do pokoju. Z miejsca, w którym leżę, widzę tylko jego stopy w sandałach, które miał na sobie poprzedniego dnia. Dobry Boże! Co on robi? Słyszał nas? A co, jeśli mnie zobaczy?

– Cześć – odpowiada zaspany Sam. – Wcześniej wstałeś –

sprawia wrażenie zupełnie odprężonego. Jak on to robi?

– Tak – rzuca Luther. Przechodzi na drugi koniec pokoju, a ja gorączkowo chowam stopy pod prześcieradłem. Nagle zauważam, że tuż obok Luthera, w stercie ubrań Sama, leży moja koszula nocna. Bikini jest schowane, ale z łatwością można dostrzec koszulę. O nie! Nie!

– Widziałeś Alice? – słyszę pytanie Luthera. – Nie ma jej w pokoju.

– Jasne, schowała się w mojej szafie. Nie, oczywiście, że jej nie widziałem. Może śpi. Przecież jest wcześniej.

– Nie, nie ma jej w pokoju. Sprawdziłem.

Co za bezczelny drań!

– Nie wiem, stary. Może jest w basenie? Albo poszła na spacer?

– Pójdę się rozejrzeć. Chcę zrobić wywiad – wygląda na zamyślonego i nie garnie się do wyjścia.

Jest mi niewiarygodnie ciasno, a w miejscu, gdzie nie ma

prześcieradła, podłoga jest zimna jak lód. Koncentruję się na kłębku kurzu, który leży kilka centymetrów od mojego nosa, i staram się oddychać najciszej, jak potrafię. Mam nadzieję, że nie kichnę. Och, Boże, niech on już sobie idzie. Spraw, by stąd wyszedł, a ja nigdy nie zrobię już nic głupiego. Nigdy w życiu.

– Okej, mam nadzieję, że ją znajdziesz – mówi Sam. Czuję

jakieś ruchy na łóżku. – Mogę sobie jeszcze trochę pospać? –

ziewa.

Luther nic nie odpowiada, ale widzę, że sandały powoli się odwracają, a on rusza w stronę wyjścia. Oddycham głęboko i powoli liczę do dziesięciu, obserwując drzwi, na wypadek gdyby postanowił wrócić. Chyba Sam robi to samo, bo nie odzywa się ani słowem. Kiedy droga wydaje się wolna, wychodzę spod łóżka, trzymając kurczowo prześcieradło. Jestem zdegustowana, gdy Sam zaczyna się śmiać.

– Co w tym takiego zabawnego? – pytam ze złością. – To

było straszne.

– Wybacz, Alice. Byłaś taka przestraszona. A twoje

śmignięcie pod łóżko było jak z francuskiej farsy. – Wyciąga ramiona i próbuje mnie objąć. – Nie śmiałem się z ciebie, wiem, że spanikowałaś. A tak przy okazji, uroczo wyglądasz w tym

prześcieradle – dotyka mojej twarzy i przyciąga mnie do siebie, żeby mnie pocałować. Ale nie potrafię odwzajemnić jego

pocałunku, nadal jestem zbyt roztrzęsiona.

– Sam, czy zdajesz sobie sprawę, co by się stało, gdyby

Luther mnie tu zastał? Byłby wściekły! Zwolniłby i ciebie, i mnie!

Sam wzdycha i wypuszcza mnie ze swoich objęć.

– Być może. Ale tak się nie stało, więc...

– Mówię poważnie! Mieliśmy szczęście, że postanowił

zapukać. Wyobraź sobie, co by było, gdyby – nie jestem w stanie nawet wypowiedzieć głośno tych słów – nas przyłapał. – Jak, do cholery, wytłumaczyłabym to Lutherowi albo – broń Boże! –

Olivii? Nie tylko zostałabym zwolniona, lecz także powieszona i poćwiartowana. – Sam, popełniliśmy błąd. Nie powinniśmy byli tego robić. Jeśli Luther się dowie...

– To nie jego sprawa.

– To jest jego sprawa, nieprawdaż? W końcu jestem

redaktorką jego książki, a ty jego agentem. To chyba trochę...

nieprofesjonalne?

Widzę, że Sam znów się nieco wzdraga. Ale zaraz pochyła

się w moją stronę i patrzy na mnie.

– Naprawdę tak myślisz? A może po prostu nie chcesz tu

być?

Już otwieram usta, żeby odpowiedzieć, gdy słyszemy kroki

na korytarzu. Oboje zastygamy w bezruchu, po czym ja kucam gotowa znów wśliznąć się pod łóżko, jeśli zajdzie taka

konieczność. Ale ten ktoś mija pokój Sama, a mnie robi się słabo –

równocześnie odczuwam ulgę i strach.

Wstaję, wciąż przyciskając do siebie prześcieradło.

– Muszę iść.

– Alice – szepcze Sam – daj spokój. Rozumiem, że się

martwisz, ale czy nie możemy o tym choć przez chwilę

porozmawiać?

Kręcę głową. Sam ma zamiar coś powiedzieć, ale się

powstrzymuje. Sięga po leżącą na podłodze moją nocną koszulę i podaje mi ją. Nie chcę, żeby podczas ubierania się spadło

prześcieradło. Sam chyba to rozumie, bo spogląda w drugą stronę, a ja niezdarnie wkładam na siebie ubranie. Kiedy podchodzę do drzwi, słyszę Sama:

– Zaczekaj!

Odwracam się, ale on tylko dodaje:

– Sprawdź, czy ktoś jest na korytarzu.

Wstaje z łóżka. Teraz on jest owinięty prześcieradłem.

Otwiera drzwi, wygląda na korytarz i zamyka je.

– Droga wolna.

Wymykam się z pokoju, unikając jego wzroku.



Rozdział 26

Biorę chłodny prysznic, trzęsę się przez cały czas i

przeprowadzam ze sobą stanowczą rozmowę. Co ja sobie

myślałam? Czy naprawdę chcę zostać zwolniona? I bez tego mam wystarczająco dużo problemów w pracy. Gdyby Luther się

dowiedział, nastąpiłaby katastrofa. Przecież mógł nas łatwo usłyszeć albo przyłapać – gdyby pojawił się trochę później, Bóg wie, czego byłby świadkiem...

Ale ta myśl prowadzi mnie prosto do Sama. Myślę o tym,

jaki był. O tym, jak intensywne było to, co przeżyłam, będąc tak blisko niego. Nie przypuszczałam, że Sam może być taki namiętny, choć tak naprawdę wcale nie jest to zaskoczeniem. Całe moje ciało sprawia wrażenie, jakby drżało, wibrowało albo coś w tym stylu.

Nadal czuję jego pocałunki na swoich ustach i całym ciele.

Odkręcam lodowatą wodę i zaczynam się energicznie

szorować. Tak, było wspaniale, ale nie zmienia to faktu, że popełniliśmy błąd. Oboje byliśmy pijani, a ja miałam traumę po rozmowie z Olivią, więc zrobiłam coś niewiarygodnie głupiego.

Nie powinnam była nigdy, przenigdy spać z Samem. Źle oceniłam sytuację, ale nie mam zamiaru tego nigdy powtórzyć.

„A co, gdybyśmy nie pracowali razem? ” – pyta mój głos

wewnętrzny. – „Czy czułabyś to samo? ”

Chyba tak. To stało się zbyt szybko, zbyt nagle, a poza tym jest mi teraz wstyd, bo nie wiem, czy Sam nadal będzie mnie szanował. Wiem, że to staroświeckie podejście, ale taka już jestem.

Naprawdę, gdy wspomniałam o braku profesjonalizmu, mówiłam serio. Nie wiem, czemu zareagował w ten sposób. I co miał na myśli, gdy zapytał: „A może po prostu nie chcesz tu być? ”

Na spotkanie z Lutherem wychodzę bardzo zdenerwowana.

Jestem pewna, że mnie przejrzy i zorientuje się, co się stało.

Oddycham z ulgą, gdy widzę, że nie zwraca na mnie uwagi.

Sprawia wrażenie bardzo przygnębionego. Jest na tarasie na tyłach domu, ale nie leży jak zwykle na leżaku, czyta scenariusz, na którym widnieje logo jego agencji.

– Tu jesteś. Szukałem cię – mówi ze smutkiem.

Postanawiam nie wymyślać wymówek, bo być może będzie

w stanie mnie przejrzeć.

– Przepraszam. Czy to scenariusz pilota tego serialu? Podoba ci się? – pytam go i siadam na krześle.

– Nie wiem. Przeglądałem go, ale nie mogę się zmusić do

czytania – nigdy nie słyszałam, żeby był tak zdołowany.

– Aha. Szkoda. Scenarzyści wydawali się dobrzy.

– Tak. W każdym razie powinienem się z tym pogodzić. Tak

wygląda moja przyszłość.

– Co masz na myśli?

Mam dość własnych kłopotów. Z chęcią posłucham o

problemach Luthera. Wzdycha i nie odpowiada od razu.

– Daj spokój, Alice. Nie zaszedłem tak daleko, jakbym

chciał. To znaczy, tak, zrobiłem parę dobrych filmów, ale żaden ze mnie Matt Damon. Albo George Clooney czy Brad Pitt. Jestem świetnym aktorem, jeśli chodzi o główniany film akcji. A za parę lat i na to będę za stary.

Naprawdę nic nie rozumiem. To prawda, że Luther zagrał w

wielu filmach akcji. Ale przecież jest wielką gwiazdą, czyż nie?

Właśnie nakręcił *Rzymskie wakacje* z Natashą Pullman – to będzie murowany sukces. *Total Kombat* nie był główniany, był hitem.

Ostatni legionista też okazał się kasowym przebojem. O czym on mówi?

– Widziałaś *Star Trek*? – pyta. – Dzieciaki, które w nim zagrały, były ode mnie dwa razy młodsze. I nawet nie musiały za dużo się ruszać. Przy tych wszystkich akrobacjach, które zrobiłem w *Total Kombat*, zmasakrowałem sobie kręgosłup. Nie znam się na kick-boxingu. Nie potrzebują mnie, interesuje ich Shia LaBeouf.

– To niedorzeczne! Aktorzy ze *Star Trek* nie są od ciebie dwa razy młodszy. Dzieli was tylko siedem lat. Masz trzydzieści trzy lata, prawda?

– Tak, ale te dzieciaki pojawiają się coraz częściej i są coraz młodsze. A ja nie. Nie mam konta na Twitterze. Nie przyjaźnię się z Lindsay czy Paris. Ale nie jestem też jednym z tych niezależnych aktorów ani znanym wszystkim gwiazdorem.

– A twoja nowa komedia, *Na szarym końcu*? Na pewno okaże się hitem.

– Mam taką nadzieję. Ale kto to wie, do cholery? Nikt. Może to będzie kłapa. Może wytną mnie z filmu albo usuną moje

nazwisko z plakatu? Może wszyscy będą się zachwycać grą innych aktorów, a mnie skrytykują?

Biedny Luther. Nagle zaczynam go rozumieć: jak to jest żyć tak jak on – być ciągle na świeczniku i nie wiedzieć, jak długo będzie trwać twoja kariera.

– W każdym razie *Rzymskie wakacje* były świetne i mam nadzieję, że odniosą sukces. Chcę się rozwijać. Nadaję się do czegoś więcej niż tylko do filmów akcji. Mam wrażenie, że mój wizerunek stał się moim więzieniem. Chcę grać role, które bardziej pokazują, jaki naprawdę jestem.

– Rozmawiałeś o tym z Samem?

– Niezupełnie. Moim zdaniem on martwi się, że nie jestem

kasowym aktorem, i dlatego chce, żebym zagrał w serialu. Wiesz co? Za dziesięć lat aktorzy pewnie wcale nie będą potrzebni.

Wszystko zostanie stworzone za pomocą komputera. Hologramy będą nagradzane Oscarami.

– Oj, daj spokój! Nie mówisz...

– Wszystko będzie się kręcić wokół niebieskich ludzi. James Cameron stworzy armię niebieskich aktorów i będzie ich

wynajmował innym producentom. Będą mieli swoje

stowarzyszenie. Będzie nosiło nazwę: Gildia Niebieskich Aktorów Ekranowych.

Luther zdaje się popadać w coraz większą depresję. Zupełnie zбочyliśmy z tematu. Gdyby była tu Erika, wygłosiłaby jedną ze swoich motywujących przemów, mówiąc, że powinien się cieszyć, iż nie jest sierotą itd.

– Luther, dramatyzujesz. Ja też często to robię. Myślisz o jednej nieprzyjemnej rzeczy i rozkładasz ją na setki innych. Masz wielu fanów. Wiesz, że wszyscy bardzo się cieszymy na myśl o książce. To będzie nasz największy bestseller i najlepiej

sprzedająca się biografia.

To chyba chwilowo podnosi go na duchu. Postana- wiam

rozpocząć naszą sesję i ostentacyjnie włączam dyktafon.

– Czy możemy porozmawiać o tym, co się z tobą działo, gdy

zniknąłeś na jakiś czas?

– Chodzi ci o ten okres, który spędziłem na Hawajach? –

pyta nieoczekiwanie. – Wiem, że krążą różne plotki, ale ja po prostu poleciałem na Hawaje, nauczyłem się surfować i

pracowałem w barze. Zapuściłem włosy i śmiesznie długą brodę.

Zrobiłem sobie też ten tatuaż – pokazuje smoka wytatuowanego na prawym bicepsie. – Ludzie mnie rozpoznawali, a ja mówiłem im, że przygotowuję się do roli albo że jestem na wakacjach.

Cokolwiek, byle dali mi spokój.

Nie mogę w to uwierzyć. Wielka tajemnica i tyle z niej mam.

Przez dziesięć miesięcy włóczył się po plaży.

– To był bardzo spokojny okres – mówi dalej. – Strasznie

wciągnęło mnie pływanie na desce. Siedziałem na plaży, paliłem dużo trawy, chodziłem na imprezy. Hawaje są piękne. Mają tam wulkany, podobnie jak tutaj – wskazuje na położoną za nami Etnę.

– Szczerze mówiąc, ten wyjazd prawdopodobnie uratował mi

życie, tylko że przez narkotyki miałem coraz większą depresję i popadałem w paranoję, więc przestałem brać.

– Co sprawiło, że tam pojechałeś?

– Wszystko. Rozstanie z Dom. Intensywność odwyku. To, że

Letni deszcz był taką klapą... a moją rolę wyśmiano. Sądziłem, że to dobry film i że odniósłby sukces, gdyby w mojej roli obsadzili kogoś innego. Miałem wrażenie, że go zepsułem. Przez te

wszystkie lata myślałem, że tylko udaję aktora, i nagle mnie zdemaskowano. Ale co miałem zrobić? Wrócić do Queens i

znaleźć pracę w sklepie? Nie mogłem tak postąpić, więc Hawaje były moją ucieczką, miejscem, w którym nikt mnie nie znajdzie.

– Miałem takie powiedzonko – ciągnie swoją opowieść – że

pochodzę znikąd i mogę tam wrócić i że nie będzie mi niczego brakowało: braw, dziewczyn, sławy. Nie

wiem, może usłyszałem je na Hawajach, w jakimś filmie czy gdzieś indziej i pomyślałem, że fajnie brzmi. Ale okazuje się, że to nie była prawda.

Luther milczy przez dłuższą chwilę.

– A jak wróciłeś do aktorstwa?

– To nie.

– Co nie? – pytam.

– To jest ta rzecz, o której chyba nie powinienem ci mówić.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Luther kładzie się i zapala

papierosa. Postanawiam, że nie odezwę się do niego, dopóki go nie wypali. To trudne, bo umieram z ciekawości, ale zmuszam się do milczenia. Zaczyna mówić szybciej, niż się tego spodziewałam.

– Wiesz, kiedy przytrafi ci się coś takiego, możesz próbować o tym zapomnieć, udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Ale w twojej głowie nabiera to coraz większych rozmiarów i staje się coraz trudniejsze. Rozumiesz, co mam na myśli?

Powoli kiwam głową.

– To zaczęło się, gdy pracowałem w barze na Hawajach.

Przychodził tam taki koleś, producent filmowy. Był na wakacjach.

Zaczęliśmy rozmawiać i wspomniał mi o filmie o rzymskim

żołnierzu. W opowieściach ta produkcja wydawała się świetna. Nie spotkałem już tego człowieka, ale rozmowa z nim zmotywowała mnie do działania. Poleciałem do Los Angeles i zacząłem dzwonić do znajomych. Nie było łatwo. Skontaktowałem się z dawnym

agentem, ale nie byłem już dla niego rozchwytywanym towarem.

Znajdował dla mnie role, jednak nie takie, jakich pragnąłem. A później spotkałem gościa, który zaproponował, że zostanie moim menadżerem – Luther powoli wypuszcza dym. – Wydawało się, że ma dużo znajomości. Wiedział o *Ostatnim legionście*, tym filmie, o którym słyszałem i w którym bardzo chciałem zagrać. Był w stanie umówić mnie na spotkanie. Nieoficjalne, jak twierdził. No więc poszedłem, spotkałem się z reżyserem i jednym z

producentów – tym, którego poznałem w barze.

Milknie i odwraca głowę, by spojrzeć na morze. Słyszę fale rozbijające się pod nami.

– Niedługo potem zadzwonił do mnie menadżer i powiedział,

że ma dla mnie dobre wiadomości. Dostałem rolę – no prawie. Był

tylko jeden warunek. Miałem pójść na randkę z żoną producenta, żeby szepnęła o mnie dobre słówko.

– Randkę? – pytam obojętnie.

– Tak, randkę – jego mina nic mi nie mówi. – Tak to nazwał.

Ale nie chodziło mu o pójście na kolację i do kina.

Gdy dociera do mnie, co naprawdę ma na myśli,

uświadamiam sobie, że opadła mi szczęka, więc szybko zamykam usta. Rozmowa nadal się nagrywa, jestem w zbyt wielkim szoku, by wyłączyć dyktafon.

– Czyli musiałeś...

– No – potwierdza Luther. – Musiałem się z nią przespać,

żeby dostać tę rolę – zaciąga się papierosem. – Wiesz, kiedy mówię o tym głośno, nie wydaje się to takie straszne. Ale nigdy wcześniej nikomu o tym nie powiedziałem.

Nie chcę wyjść na osobę chętną do osądzania go ani

zblazowaną, ani też obojętną, ale chyba udaje mi się zrobić dokładnie takie wrażenie. Pytam:

– Czy była...?

– Atrakcyjna? Nieszczerólnie. Upewniłem się, że będę w

stanie, no wiesz, stanąć na wysokości zadania, i zapomniałem o tym tak szybko, jak się dało. To wydarzyło się na Hawajach w ich letnim domu. Myślałem, że dzięki temu będzie łatwiej, że będę w stanie zostawić to za sobą – wzrusza ramionami.

– Tyle że chyba mi to nie wyszło. Wiesz, przez to cały mój tak zwany powrót od *Ostatniego legionisty*, który był

najprawdopodobniej moim najlepszym filmem, nie opiera się na talencie, ale na tym, że przespałem się z kim trzeba – spuszcza głowę. – Chyba bardzo się tego wstydzę.

Uznaję, że powinnam przestać na chwilę być bezstronnym

słuchaczem i okazać mu nieco współczucia.

– Nie musisz się wstydzić. To im powinno być wstyd. Ale

rozumiem, że możesz się z tym źle czuć.

– Tak. Tak się czułem. Nadal się czuję.

– I nigdy nikomu o tym nie powiedziałeś? Nawet Samowi?

– Nawet jemu. Ale teraz widzisz, dlaczego tak go cenię. On nie sprzeda mnie jakiemuś obleśnemu producentowi i jego żonie.

– A co się stało z twoim menadżerem?

Luther wzrusza ramionami.

– Pozbyłem się go. Jak tylko film okazał się sukcesem, znalazłem sobie innego. Nie słysząc nic o nim.

– A o producencie i jego żonie?

– On zmarł. Jakies dwa lata temu. Na zawał. Nie posłałem kwiatów – śmieje się, ale nie jest to wesoły śmiech. – Jej też więcej nie widziałem.

– Tak mi przykro – mówię. – Nie zasłużyłeś na to. Nikt nie zasługuje.

– Dzięki. Cieszę się, że komuś o tym powiedziałem.

Wiedziałem, że mi to pomoże.

– Dobrze, cieszy mnie to... – czekam, czy będzie chciał coś

dodać, ale milczy, więc ciągnę: – Luther, naprawdę wykonałeś kawał dobrej roboty przy tej książce. Będzie świetna. Za dzień lub dwa będziesz mógł przeczytać pierwszą wersję tekstu.

– Chyba nie będzie to konieczne.

Zerkam na dyktafon. Gdybym teraz nagrywała tę rozmowę,

byłaby to jedna z tych chwil, gdy przewijam taśmę, żeby się upewnić, czy naprawdę to powiedział.

– Nie chcesz go przeczytać?

– Nie. Lepiej, żeby Sam to zrobił, może też mój adwokat. Ale tak poza tym chyba nie chcę. Nie interesują mnie książki. No i nie zamierzałem stworzyć... – wyraźnie widać, że stara się wymyślić jakieś porównanie – *Mony Lizy*. Chciałem to tylko omówić. A to się udało.

Nie po raz pierwszy nie jestem w stanie nic powiedzieć.

– Zróbmy sobie przerwę – proponuje. – Federico wypływa

swoim jachtem, może do niego dołączę. A podczas rejsu zgubię gdzieś ten scenariusz.

Wstaje.

– Oczywiście. Luther, cała ta historia o, no wiesz,

producencie, nie muszę chyba mówić, że jej nie za- mieszczę.

– Tak sądzisz? No nie wiem, Alice. Może takie rze- czy się zdarzają? Może powinienem otwarcie o tym mówić? Szczerze

powiedziawszy, nie obchodzi mnie to. Sama zdecyduj.

To niemożliwe, że on mówi serio. Nie będę go już teraz o to pytać. Gdy odchodzi, wstaję, wyłączam dyktafon, opieram się o murek, patrzę na morze i oddycham głęboko. Choć widok jest piękny, czuję, jakbym została uwięziona w ciemnym i

klaustrofobicznym miejscu, głęboko pod ziemią. To zabawne, stało się dokładnie to, co sobie wyobrażałam: Luther opowiedział mi coś, o czym nigdy nikomu nie mówił. Tak jak przewidziała Ruth, wydobyłam z niego wszystkie mroczne sekrety. Ale nie jest to w najmniejszym stopniu romantyczne. Jak mogłam sądzić, że takie będzie?

Biedny Luther. Czy może być tak, że chciał, żeby cała ta

książka powstała tylko po to, by mógł komuś powiedzieć o tym, co go spotkało? Ta myśl wydaje się w tym wszystkim najdziwniejsza i najsmutniejsza. Chyba poszedłby z tym do terapeuty, a nie podpisywał umowy na napisanie książki? Ja bym tak zrobiła, ale przecież nie żyjemy w tym samym świecie. Dlaczego jednak, do licha, właśnie mnie powiedział o czymś tak skandalizującym? Czy nie martwi się tym, jaki to może mieć wpływ na jego karierę?

Idę do domu, biorę laptop i zaczynam spisywać rozmowę.

Zamierzam pominąć cały ten skandal i kryzys w karierze – to zbyt okropne, poza tym wydaje mi się, że nie chciał, żeby ta historia znalazła się w książce. Wysłałam materiały do Briana i Olivii i wyjaśniam, że etap hawajski, który miał być ważną częścią

autobiografii, ograniczy się tylko do jednego rozdziału. Kiedy kończę, dosłownie padam na klawiaturę. Nagle czuję potrzebę popływania, pójsia na plażę albo nawet pospacerowania po

Taorminie. Chcę być w jakimś normalnym miejscu z ludźmi, z którymi można zwyczajnie porozmawiać o normalnych, nudnych sprawach.

– Cześć.

Podnoszę głowę znad klawiatury i widzę Sama, który stoi

obok mnie.

– Eee... to chyba twoje... – podaje mi moje bikini.

– Och! – biorę je i zwijam w jak najmniejszą kulkę.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Wyglądasz na

wyczerpaną.

– Dzięki – mamroczę. – Nie wiedziałam, że to aż tak

oczywiste.

– Nie popadaj w paranoję. Nie to miałem na myśli –

odpowiada łagodnie. – Chodziło mi o to, że wyglądasz, jakby przydała ci się przerwa w pracy. Mnie też. Chcesz się gdzieś wybrać?

Oczywiście, że chcę. Pomimo moich obaw to jego

najbardziej na świecie chciałabym teraz oglądać. Wyjście z nim wydaje się w tym momencie podobne do opuszczenia więzienia.

Ale coś mi mówi, że to nie byłoby rozsądne. Co pomyślałby

Luther? I... nadal czuję się trochę skrepowana zdarzeniami

ostatniej nocy. Szaleństwem byłoby ciągnąć to dłużej, kiedy i tak stąпам w pracy po kruchym lodzie.

Sam westchnieniem zakłóca moje myślenie.

– Posłuchaj, Alice. Wiem, że postawiłem cię wczoraj w

niewygodnej sytuacji... dziś rano też. Przepraszam. Nie

powinienem być się z tego śmiać, ale...

– Co? Ale co?

– Chciałbym po prostu spędzić z tobą trochę czasu –

stwierdza bez ogródek. – Jeśli tego nie chcesz, powiedz mi teraz, a ja... pewnie i tak nie przestanę cię męczyć.

To najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam od bardzo dawna.

– Nie, chcę – mówię. – Naprawdę chcę. Daj mi tylko chwilę, wezmę torebkę.



– Ej, zaczekaj chwilę – mówi Sam. – Wiesz, gdzie chciałabyś pojechać?

„Gdziekolwiek, byle nie być tutaj, a z tobą – wszędzie” –

myślę.

– Jest mi to obojętne.

– To przygotuj się i zdecydujemy wspólnie.

Biegnę po torbę, ręcznik, balsam do opalania. Telefon na

pewno zostawiam w domu. Zastanawiam się nad zmianą stroju, ale uznaję, że nie warto marnować czasu. Nie chcę stracić ani

sekundy, którą mogłabym spędzić z Samem. Wkładam tylko bikini pod ubranie i jestem gotowa. Zabieram też szal, na wypadek gdybyśmy – nadzieja umiera ostatnia – wrócili późno.

Niewielki fiat Sama jest tak nagrзany, że musimy zostawić

na kilka minut otwarte drzwi, żeby się nieco ochłodził. Sam rozkłada mapę na masce samochodu.

– Nie wspinałaś się na Etnę, prawda? Chcesz się tam

wybrać?

– No, nie odczuwam jakiejś palącej potrzeby... – tak

naprawdę mam dość gapienia się na nią przez cały dzień.

– Dobrze, bo ja też nie. Moglibyśmy pojechać do Corleone,

rodzinnego miasta ojca chrzestnego. To właśnie stamtąd pochodzą dziadkowie Ala Pacino. Dojazd zajmie nam trochę czasu, bo to na zachodnim krańcu wyspy, no i to tylko małe miasteczko, ale jeśli zaliczasz się do miłośników filmu, wyprawa może być

fascynująca. Jesteś fanką, prawda?

Nie chcę gasić jego entuzjazmu, ale ogarnia mnie

przeżalenie. On naprawdę chce jechać kilka godzin, żeby dotrzeć do jakiejś małej miejsciny? I to wszystko z powodu Ojca

chrzestnego? No cóż, jeśli tego właśnie pragnie, to jestem gotowa poświęcić się dla niego, ponieważ – nie oszukujmy się – do tego stopnia za nim szaleję.

Chyba jednak Sam dostrzega moją minę, bo mówi:

– Albo możemy pojechać do rezerwatu przyrody, który jest

położony nieco bliżej, nad morzem. Są tam piękne puste plaże.

Rezerwat przyrody! Już same te słowa brzmią kojąco. Po

całym tym stresie, jaki przeżyłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nie jestem w stanie wyobrazić sobie niczego lepszego niż ustronne plaże.

– Jedźmy tam – zgadzam się, po czym wsiadamy do samochodu.

– Czyli mam rozumieć, że nie jesteś fanką *Ojca chrzestnego*?

– pyta Sam, gdy wyjeżdżamy na ulicę. – Ale proszę, powiedz, że przynajmniej go widziałaś.

– Nie, moim ulubionym filmem jest *Pracująca dziewczyna*.

– To klasyka. Ale podobał ci się *Bulwar zachodzącego słońca*, tak? Pamiętam, że wspomniałaś o nim któregoś dnia.

– To jeden z moich ulubionych filmów. Jest taki

makabryczny i dickensowski. To doskonały przykład pokazania historii. Nie ma w nim ani jednej niepotrzebnej sceny.

– Wiesz – mówi Sam – można dostrzec w tym filmie pewne

podobieństwo do tego, co się tutaj dzieje. Pisarz uwięziony w domu z gwiazdą filmową próbuje dokończyć scenariusz...

Wybucham śmiechem.

– Ale to niezupełnie tak, że zostałam uwięziona, i nie wydaje mi się, żeby Luther miał wiele wspólnego z Normą Desmond. Na przykład jest od niej trochę młodszy. – Nagle wyobrażam sobie starzejącego się Luthera w smokingu, w otoczeniu setek swoich fotografii, zrobionych w czasach chwały. – A jaki jest twój ulubiony film? *Ojciec chrzestny*?

– *Ojciec chrzestny* na pewno do nich należy. Ale mam parę innych faworytów: *Słodkie życie*, *Złodzieje rowerów*. Jest też taki świetny francuski film *Armia cieni*...

– Chyba o nim słyszałam. To o zombie? – zgaduję.

– Nie, o francuskim ruchu oporu – odpowiada Sam.

Zaczynam się śmiać. Spogląda w moją stronę, szeroko

uśmiechnięty, a ja czuję, że zadurzam się w nim jeszcze bardziej.

Po pół godzinie jazdy zatrzymujemy się na małym parkingu z widokiem na wzgórze. W pobliżu nie ma

nikogo. Pod nami

rozpościera się złotym łukiem pusta plaża, która wiedzie w stronę skalistego cypla porośniętego drzewkami oliwnymi i dziką

roślinnością. Patrzę na zegarek. Jest już czwarta, ale nadal panuje upał. Wdycham zapach morskiej bryzy, upajam się nią. Schodzimy po schodach i spacerujemy po plaży w ciszy.

– To zabawne, że wciąż jest gorąco, choć mamy już późne

popołudnie – mówię.

– To dlatego, że tutaj południe było godzinę temu – wyjaśnia Sam.

Zmierzamy w stronę morza. Żadne z nas nie ma ochoty na

pływanie, więc brodzimy w wodzie. Nad cyplem zauważam

dużego ptaka, który unosi się w powietrze, zataczając wielkie łuki.

Tak tu spokojnie. Oprócz nas na plaży jest tylko młoda para z małym dzieckiem. Kiedy słyszymy, że rozmawiają po angielsku, witamy się z nimi. Okazuje się, że są Amerykanami z Kalifornii.

Sam mówi, że pochodzi z Utah, więc rozmawiają o pieszych

wędrówkach w tym stanie.

– Dlaczego nie powiedziałaś im, że mieszkasz w Los

Angeles? – pytam, gdy para odchodzi.

– Nie miałem ochoty wdawać się w szczegóły.

Rozumiem go. W tej chwili nie chciałabym spotkać nikogo z

Londynu. Jestem ciekawa, co by powiedzieli, gdyby mieli

świadomość tego, co robimy, gdyby wiedzieli, że jest z nami Luther albo że Sam to hollywoodzki agent. Może by ich to nie obchodziło. Może nie oglądają zbyt wielu filmów. Niektórzy tego nie robią. W sumie większość ludzi na świecie nigdy nie słyszała o Lutherze i Dominique Rice. Obserwuję spienioną wodę wokół

moich stóp i zakopuję palce w mokrym brązowym piasku.

– Może popływamy? – proponuje Sam. – Ściągajmy się do

cypla.

Rozbierając się do bikini, nagle czuję się trochę

zawstydzona. Gdy pomyślę o tych wszystkich modelkach, do

których widoku Sam musi być przyzwyczajony w Los Angeles,

zastanawiam się, jak mogę im dorównać, mając bladą skórę i angielskie biodra. Z drugiej strony trochę za późno na bycie skromną, a kiedy myślę o tym, jak ostatniej nocy odkrywał każdy centymetr mojego ciała, chyba mogę założyć, że nie jestem

całkowicie odpychająca.

Woda jest niebiańska. Jestem raczej dobrą pływaczką, ale nie zawsze lubię wypływać daleko w morze, którego nie znam. Mając jednak Sama u boku, czuję się ośmielona bardziej niż zwykle.

Dopływamy do cypla i z powrotem.

Po wyjściu z wody leżymy przez chwilę na plaży, żeby się osuszyć. Sam zapomniał ręcznika, więc podaję mu swój szal.

– Ale będzie cały w piasku.

Wzruszam ramionami.

– Jest tak gorąco, że wyschnie.

– To prawda, co mówią o Brytyjkach. Łatwo się z wami

dogadać. To znaczy... nie jesteście łatwe – dodaje szybko. – Bez problemu można dojść z wami do porozumienia.

Kładzie się obok mnie, a ja zamykam oczy. Słyszę szum fal i czuję, że Sam jest obok, na tyle blisko, bym mogła wyciągnąć rękę i go dotknąć. Mam wrażenie, że czeka na sygnał ode mnie, że gdybym dała mu znak, pocałowałby mnie. Marzę o tym, ale czy powinnam? Chyba trzeba będzie wkrótce wracać, nie chcę jednak, by ten dzień się kiedykolwiek skończył.

– O czym myślisz? – pyta.

– Myślałam, że tylko kobiety zadają to pytanie – stwierdzam, śmiejąc się.

– Niekoniecznie. Jestem raczej wścibski – opiera się na

łokciu i patrzy na mnie.

– Myślałam o tym, jak tu przyjemnie – wyznaję zgodnie z prawdą. – Czuję się tak odprężona.

– Chciałabyś sobie zrobić wolne do końca dnia? Wybrać się gdzieś później ze mną i zjeść kolację?

Patrzę na niego na wpół przymkniętymi oczami, które

osłaniam przed słońcem.

– Myślisz, że Luther będzie miał coś przeciwko? –

odpowiadam niechętnie. Po czym dla wyjaśnienia dodaję: – Jeśli nie wrócimy?

Sam nic nie mówi, tylko przecząco kręci głową.

– W takim razie tak, z przyjemnością – gdy widzę, ile radości sprawia mu moja odpowiedź, czuję się jak milion dolarów.

– Świetnie – rzuca się z powrotem na mój szal, głośno

wzdychając. – Teraz mogę się odprężyć – dorzuca właściwie sam do siebie. Uśmiecham się, znów zamykam oczy i wygrzewam się na słońcu niewiarygodnie szczęśliwa.

– Ej – mówi Sam – poparzysz się, jeśli nie będziesz uważać.

– Naprawdę? – otwieram oczy i widzę, że grzebie w mojej

torbie w poszukiwaniu balsamu do opalania.

– Odwróć się na plecy – komenderuje.

– Czy tak na ogół rozmawiasz z dziewczynami? – pytam,

posłusznie wykonując polecenie.

– Tylko z tymi bardzo ładnymi.

Nie jest to najbardziej błyskotliwy tekst, jaki słyszałam, ale rozbawia mnie. To właśnie kocham w Samie. Luther roztacza swój urok na prawo i lewo i niewiele to znaczy. Sam jest równie uroczy, ale w jego przypadku trzeba go naprawdę dobrze poznać, żeby to dostrzec. Podoba mi się ten jego urok: mam wrażenie, że jest przeznaczony tylko dla mnie. Nie wiem, czy Ruth albo Poppy dostrzegłyby w nim to, co ja widzę, albo zrozumiały, dlaczego stawiam go wyżej niż Luthera, ale nie ma to znaczenia, wiem o tym.

Gdy jego dłonie dotykają moich pleców, ramion i karku,

zamykam oczy i poddaję się temu uczuciu. O Boże, te dłonie...

Nagle przypominam sobie mój pierwszy dzień, gdy pływaliśmy podczas wyprawy jachtem i przypadkiem obnażyłam się przed

Samem dzięki temu szalonemu kostiumowi kąpielowemu.

– Z czego się śmiejesz? – pyta. – A, tak, pamiętam –

potwierdza po moim wyjaśnieniu.

Odwracam się na plecy i spoglądam na niego.

– Byłeś przerażony.

– No niezupełnie...

Udaję, że go uderzam, a on chwyta mnie za rękę i znów

zaczynamy się całować. Nie robimy tego jak Burt Lancaster i Deborah Kerr w *Stąd do wieczności* wśród wysokich fal, ale i tak jest wspaniale.

Później jedziemy do małego miasteczka, które owinęło się

wokół błękitnej zatoki jak biały kot wylegujący się w promieniach słońca. Kręte uliczki pną się po zboczach wzgórza, a małe domki połyskują w zachodzącym słońcu na złoto, pomarańczowo i

różowo. Wypijamy po kieliszku Prosecco na głównym placu, gdzie dzieci biegają i krzyczą jak szalone, ich rodzice przechadzają się dokoła, a starsi panowie siedzą i sączą godzinami jedną lampkę koniaku. Obserwowanie ich wszystkich jest świetną rozrywką. W

pewnym momencie trzech bardzo elegancko ubrani mężczyźni

nieopodal nas wdają się w okropną, zdawałoby się, kłótnię, w trakcie której żywo gestykują: składają dłonie jak do modlitwy, wymachują pięściami, wznoszą ręce do nieba. Jeden z nich

wygłasza najbardziej płomienną mowę, jaką w życiu słyszałam, żałuję więc, że jej nie rozumiem: musi dotyczyć religii, polityki albo straszliwej rodzinnej awantury.

– O czym, do licha, oni rozmawiają? – mamroczę pod nosem.

– O piłce nożnej – odpowiada Sam.

Po pewnym czasie, gdy słońce zaczyna zachodzić, idziemy w

górze wzniesienia i znajdujemy małą restaurację z bielonymi ścianami, kamienną podłogą i dostojnym kelnerem z bujną grzywą siwych włosów. Kelner prowadzi nas do niewielkiego stolika we wnęce na tyłach pomieszczenia i teatralnym gestem wskazuje nam miejsca, po czym odsuwa dla mnie krzesło. Lokal jest przytulnie urządzone: są plecione dywaniki na podłodze, takie jak ten, który widziałam u Marisy, a na ścianach wiszą małe drewniane

płaskorzeźby przedstawiające snopki zboża. Jednak restauracja jest pusta.

– O nie – mówię odruchowo.

– Co się stało? – pyta Sam ze zmartwioną miną.

– Chodzi o to, że... tu jest tak przyjemnie, a jesteś- my

jedynymi gośćmi. Mam nadzieję, że nie cierpią na ich brak.

– Nie, po prostu jak na tutejsze standardy jest dość wcześnie.

Ludzie nie będą jeść jeszcze przynajmniej przez pół godziny.

– Aha – oddycham z ulgą. Nie znoszę, gdy przyjemne

miejsca źle sobie radzą. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale w takich sytuacjach niemal chce mi się płakać. Jest jeszcze gorzej, jeśli właściciele robią tam coś uroczonego, na przykład rysują obrazki na specjalnych tablicach, ustawiają kwiaty na stołach albo wkładają menu w kieliszki. Tak naprawdę, nawet jeśli ten lokal jest oblegany, takie rzeczy wpędzają mnie w melancholię.

– Bardzo mocno reagujesz – stwierdza Sam, gdy mu to

objaśniam. – Ale wiem, o co ci chodzi. Czuję się tak samo w przypadku sklepów zoologicznych. Niedaleko od mojego

mieszkania jest sklep, na którym niedawno pojawiła się

informacja: „Szczeniaki za pół ceny”. Możesz to sobie wyobrazić?

Byłem bliski kupienia ich wszystkich.

W restauracji nie ma menu. Sam rozmawia z kelnerem i

dowiaduje się, że mogą nam podać makaron i rybę (nie jest pewny jaką) albo makaron i jagnięcinę. Decyduję się na to drugie.

Jedzenie jest absolutnie wyjątkowe: zapiekany makaron z

bakłażanem i ricottą, a następnie cienkie plasterki jagnięciny z młodymi cukiniami i pieczonymi ziemniaczkami. Popijamy je

słabym, słodkim czerwonym winem. Sam nalegał na czerwone

wino dlatego, że jem jagnięcinę, choć sam wybrał rybę.

– Dobrze jest jeść kolację z kimś, kto faktycznie je – mówi. –

W Los Angeles ludzie zamawiają tylko sushi. Jest bardzo

popularne.

– Nigdy nie powiedziałaś mi, dlaczego tak dobrze mówisz po włosku.

– Ach, powiedziałbym ci, ale później musiałbym cię zabić.

– Powiązania mafijne? – pytam cicho.

– Nie. Byłem misjonarzem Kościoła Jezusa Chrystusa

Świątych w Dniach Ostatnich.

– Żartujesz sobie.

– Skądże. Przedstawię ci skróconą wersję. Teraz moja

rodzina mieszka w Kolorado, ale dorastałem w Salt Lake City w Utah, gdzie żyje bardzo dużo mormonów. Moi rodzice z

pewnością nie spodziewali się, że pojedę na misję. Ale po tym, jak miałem kontuzję kolana i rzuciłem studia na UCLA, czułem się bardzo zagubiony. Na jakiś czas wróciłem do domu, a później zdecydowałem się na wyjazd. Przypisano mi Włochy, chodziłem na intensywny kurs włoskiego i wysłano mnie na północ kraju.

– Ojej – co innego mogę powiedzieć? – Ile czasu tam

spędziłeś?

– Miałem tam być dwa lata, ale zostałem tylko jedenaście

miesięcy. Mój tato się poważnie rozchorował, więc wróciłem wcześniej do domu.

– O nie. Co się stało?

– Miał zawał serca i musiał przejść kilka operacji. Jest

lekarzem, co właściwie pogarsza sytuację, bo wiedział, jak poważna choroba go dotknęła. Początkowo nic mi nie powiedzieli.

Pamiętam dokładnie, że gdy się w końcu dowiedziałem, byłem w budce telefonicznej przy Piazza dei Signori w Vicenzie, miałem na sobie garnitur i tak dalej. Poszedłem prosto do naszego

mieszkania, spakowałem torbę i pojechałem na lotnisko.

– Miałeś przez to kłopoty?

– Jasne, ale nie obchodziło mnie to. W domu był niezły

bałagan. Mój młodszy brat przechodził wtedy trudny okres z wielu powodów, siostra nie słuchała rodziców, a mama walczyła sama z tym wszystkim. Miałem wyrzuty sumienia, że jestem tak daleko, i w jakimś sensie dałem się ponieść, próbując się o wszystkich troszczyć. Prawdopodobnie doprowadzałem ich do szaleństwa. Ale to właśnie powinienem robić. Nie mogłem przecież być na drugim końcu świata, gdy byłem potrzebny w domu.

– A czy teraz twój tato dobrze się czuje?

– Tak, jest zdrowy. Dziękuję. A bycie na misji pod wieloma względami nie okazało się złym doświadczeniem. To, że przez rok starałem się nawrócić zagorzałych katolików, stanowiło całkiem dobry trening przed pracą agenta w Hollywood. No i mogłem

zamieszkać we Włoszech. Mój dziadek ze strony ojca pochodził z północnych Włoch, z okolic Wenecji, i wówczas miałem wrażenie, że to znak – wzrusza ramionami. – Teraz sądzę, że był to zbieg okoliczności.

– Dziadek ze strony ojca? A twoje nazwisko?

– Brzmiało Terranova, czyli „nowa ziemia”. Zmienił je na

Newland, gdy przyjechał do Stanów. Masz taką minę... O czym

myślisz?

– Myślałam o tym, że wszyscy, których teraz spotykam, mają w przeciwieństwie do mnie skomplikowaną przeszłość.

– Naprawdę? – pyta Sam. – Niczego tam nie ma? Daj spokój,

na pewno skrywasz jakieś mroczne sekrety. Opowiedziałem ci przed chwilą moją szaloną historię. Teraz twoja kolej.

– Nie jest tak dramatyczna, jak twoja – odpowiadam. Ale

opisuję mu liceum, opowiadam o dziewczynach, które dokuczały mi przez cztery lata, zanim zaprzyjaźniłam się z Ruth, moją pierwszą przyjaciółką od czasów podstawówki. Tak naprawdę, mnie i Ruth połączyło uwielbienie, jakim darzyłyśmy Luthera, ale o tym nie wspominam.

– Co robiły te dziewczyny? – pyta łagodnie Sam.

Opisuję w skrócie ich wyczyny, te wcale nie najgorsze. Jedną z zabaw było chowanie moich butów, bo uważały, że to zabawne, iż noszę rozmiar 41; poza tym mnie przezywały.

– Co takiego mówiły?

– Och... – czerwienię się. Naprawdę nigdy żadnemu

mężczyźnie o tym nie powiedziałam. – Biały Królik, bo nosiłam aparat na zębach. I Wielki Ptak.

– Mówisz poważnie? To są najbardziej beznadziejne

przezwiśka, jakie w życiu słyszałem – stwierdza Sam. – Nie były w stanie wymyślić nic lepszego?

– Wiem. W porównaniu z tym, co obecnie mogą usłyszeć

niektóre dziewczyny, te wydają się niemal czułymi określeniami. –

Nie wiem, czemu nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jakie to

niedorzeczne. Sam śmieje się, a ja razem z nim. Nigdy wcześniej nie byłam w stanie żartować z tego. To miłe uczucie.

Przez resztę posiłku rozmawiamy na inne tematy. Nie chcę

wdawać się w szczegóły mojej pracy, ale z jakiegoś powodu

opowiadam mu o Poppy i Claudine oraz ich sprzeczce z powodu manuskryptu.

– Wygląda na to, że trzeba się jej strzec – stwierdza. –

Bezczelna i bezwzględna. To silna mieszanka. Cokolwiek się stanie, nie zatrudniaj jej jako swojej asystentki.

– Tak – cholera, czuję, że jestem wobec niego nieuczciwa, bo nie powiedziałam mu, że sama jestem asystentką, ale teraz jest już na to za późno. Przez moją głowę jak ciemna chmura, przemyka myśl o Olivii i moim katastrofalnym błędzie, ale staram się jej pozbyć. Mam zamiar cieszyć się każdą sekundą tego dnia

spędzonego z Samem. Rozmawiamy o naszych urodzinach. Sam

ma dwadzieścia osiem lat – to idealny wiek. Jest zbyt dobrze wychowany, by spytać, ile ja mam lat, ale mówię mu, że

dwadzieścia sześć. Później znów rozmawiamy o filmach i

przyznaję się, że uwielbiałam *Gorączkę*.

– Z pewnością potrafisz tańczyć – mówi. – Chodziłaś kiedyś na lekcje tańca?

Mam zamiar mu powiedzieć, że taniec nie jest moją mocną

stroną, gdy przypominam sobie, że to nieprawda, tańczyłam

przecież z Lutherem.

– Nie, nigdy się na to nie zdobyłam – przyznaję. – Ale

chciałabym się uczyć. Może kiedyś mi się to uda.

Skończyliśmy już jeść jakiś czas temu, ale kelner taktownie pozwala nam posiedzieć dłużej. Gdy w końcu zabiera nasze

talerze, przynosi dwa małe kieliszki jaskrawożółtego likieru. Mówi coś, co brzmi bardzo uroczo, uśmiecha się do nas i odchodzi, kołysząc się jak kaczką. Alkohol jest lodowaty, ma intensywny, słodki smak.

– Pyszny. Na ogół nie lubię likierów, ale ten jest wyśmienity.

Co to takiego?

– Limoncello. Pije się go w całych Włoszech. Ten był

prezenterem od właściciela restauracji.

– O, jak miło. A co kelner o nim powiedział?

– Trudno to przetłumaczyć, ale mniej więcej brzmiało to jak:

„Złoty napój dla pięknej złotej dziewczyny” – Sam uśmiecha się.

Chcę żartować, że coś takiego nigdy nie przytrafiłoby mi się w Londynie, ale ostatecznie postanawiam tego nie robić.

Wychodzimy z restauracji jako ostatni goście, a przyszliśmy jako pierwsi. Sam upiera się, że on ureguluje rachunek, a ja mu pozwalam.

– Możesz zapłacić za naszą następną kolację – oznajmia, a

jego słowa sprawiają, że moje serce bije mocniej.

Gdy spacerujemy po miasteczku, zastanawiam się, co

dokładnie miał na myśli. Naprawdę cieszy mnie to, że chce jeszcze pójść ze mną na kolację. Ale kiedy? I gdzie? Książka jest już prawie skończona, wkrótce wracam do domu. Sam wspominał, że przyjedzie we wrześniu na festiwal w Wenecji. Może po drodze zatrzyma się w Londynie? Chętnie bym go o to zapytała, ale nie chcę, żeby czuł się osaczony. Prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli rozegram to na spokojnie.

Schodząc po krętych schodach w kierunku głównego placu,

mijamy prześliczną dziewczynę z długimi ciemnymi włosami i dużymi brązowymi oczami. Jest ubrana w długą białą bawełnianą sukienkę, która podkreśla jej niesamowitą figurę – za taką dziewczyną każdy w Londynie by się obejrzał. Sam zerka na nią, a ona odwzajemnia jego spojrzenie z widocznym zainteresowaniem.

Sam opowiada mi o czymś, co przydarzyło się jemu i

Lutherowi podczas gali oscarowej w tym roku. Ja jednak nie mogę się skupić na jego opowieści. Czy patrzył na tę dziewczynę?

Gdyby tak było, nie mogłabym mieć do niego pretensji. Jest prześliczna. Czy to moja wyobraźnia, czy nabrał odrobinę

dystansu? Nie trzyma mnie za rękę. Nagle zaczynam mieć taką paranoję, że się wycofuje. „Przestań – mówię do siebie –

wariujesz”. Ale nie mogę pozbyć się tego wrażenia. Dlaczego w sumie opowiada mi o Oscarach? Czy próbuje w niezbyt subtelny sposób przypomnieć mi, że żyjemy w różnych światach i że on mieszka na drugiej półkuli?

Przechodzimy teraz przez plac, pełen biegających dzieciaków oraz pięknych mężczyzn i kobiet, którzy przechadzają się jak modele. Ja, opalona i ładnie ubrana, i Sam, w koszulce,

wyglądamy teraz jak zwyczajna para na wakacjach. Ale nią nie jesteśmy. W prawdziwym życiu mój

towarzysz jest hollywoodzkim agentem, mogącym mieć każdą kobietę, jakiej zapragnie, a ja zanedbaną asystentką, która nigdy nie miała szczęścia do

mężczyzn. Nawet jeśli uzna, że chce mnie jeszcze kiedyś

zobaczyć, nigdy nie będzie mnie stać na to, by go odwiedzić ani żyć na jego poziomie, nawet jeśli się tam znajdę. On zna Siennę Miller, na litość boską. Kiedy mówi, że mogę zapłacić za naszą następną kolację, raczej nie ma na myśli takiej w Pizza Express.

Drzę na samą myśl o pokazaniu mu mojej sypialni z własnoręcznie zrobionymi kartonowymi kwadratami.

– Masz bardzo ekspresyjną twarz, wiesz o tym? – oznajmia

Sam.

– Naprawdę? – pytam zaskoczona.

– Tak, nawet wtedy, gdy się nie odzywasz. Właściwie to

zwłaszcza wtedy, gdy nic nie mówisz. – Uśmiecha się do mnie, a moje serce przyśpiesza. Zastanawiam się, czy chce powiedzieć coś, co mnie pocieszy – może porozmawiamy o tym, kiedy znów się zobaczymy?

– Chyba nie martwisz się znowu z powodu książki? – pyta. –

Będzie dobrze.

– O, nie, nie myślałam o tym – odpowiadam rozczarowana.

Boże, książka. Chciałabym, żebyśmy nie musieli rozmawiać o tej cholernej książce.

Wsiadamy do samochodu i ruszamy w drogę. Zapadła już

noc, świecą gwiazdy. W radiu grają tę samą piosenkę Shakiry, którą puszczano w klubie. Mam wrażenie, że to było wieki temu.

– Wydawało się, że dzisiejsza sesja była bardzo

wyczerpująca – mówi Sam. – O czym rozmawialiście? Mam

nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że o to pytam.

– Och, poruszaliśmy dość ważne kwestie. Nie zamieścimy

tego w książce.

– Aha – wydaje się zaskoczony. – To było coś poważnego?

Czemu nie trafi to do książki?

Dlaczego Sam ciągle mówi o pracy? Nagle auto jadące za

nami zaczyna nas wyprzedzać, kierując się wprost na pędzącą z naprzeciwka ciężarówkę, i od obu samochodów dzielą go tylko centymetry. Ludzie tu jeżdżą jak wariaci.

– Mówiliśmy tylko o... – nie mogę mu powiedzieć, co

usłyszałam od Luthera. – Tylko o... tym, co Luther zrobił, co mu się przydarzyło i... jego wizerunku. Stwierdził, że chce się rozwijać.

– Chciałby grać bardziej różnorodne role? – Sam wzdycha i

kręci głową. – Rozmawialiśmy o tym tysiąc razy. A później on i tak zamierza wybierać takie same projekty. Musiałem go

namawiać nawet na *Rzymskie wakacje*, które stanowiły najbezpieczniejszą propozycję w tym roku. Czy było coś jeszcze?

– No tak, poruszaliśmy też sprawy osobiste – dlaczego my o tym w ogóle rozmawiamy?

Następuje dłuższa chwila ciszy.

– Czy chodzi o coś nielegalnego?

– Nie! To znaczy nie wydaje mi się. Nie wiem. Słuchaj, to

nic takiego.

– Okej, nie będę cię naciskał w tej sprawie. Porozmawiam z Lutherem – Sam sprawia wrażenie zamyślnego.

– Dobrze – odpowiadam bezbarwnym głosem. – To dobry

pomysł – nerwowo drapię się po ręce. Ugryzł mnie komar.

Cholera. Do tej pory miałam to szczęście, że udawało mi się ich unikać.

– Ugryzł cię komar, co? – pyta Sam. – Są okropne. Niemal

zjadły Marisę żywcem, gdy byliśmy w Rzymie.

„Niemal zjadły Marisę żywcem, gdy byliśmy w Rzymie”.

Nie jestem w stanie wywnioskować z tego zdania, kiedy byli w tym mieście. Być może ma na myśli pobyt kilka lat temu, gdy pracowali razem. Ale w jakiś sposób wiem, że mówi o wizycie trzy dni temu.

– Masz na myśli ostatni pobyt? – pytam. – Po drodze do

Londynu?

– O, nie. Kiedy byliśmy tam kilka lat temu. Gdy tam pracowaliśmy.

Czy Sam kłamie? Nie jestem w stanie powiedzieć. Wydaje

się bardzo przekonujący, ale to nie ma sensu: dlaczego by o tym wspominał, gdyby zdarzyło się to kilka lat temu?

– Ach, tak – rzucam. Wiem, że powinnam odpuścić, ale nie

mogę tego zostawić w spokoju, podobnie jak śladu po ukąszeniu przez komara, więc dodaję:

– W którymś momencie miałam wrażenie... myślałam, że

coś jest między wami. To znaczy na początku, kiedy was

poznałam.

Sam nie odzywa się przez chwilę.

– Spotykaliśmy się. Gdy się poznaliśmy, zanim wyszła za

mąż, przez krótki czas byliśmy razem. Nie wyszło nam. Ale

utrzymaliśmy ze sobą kontakt.

Nic nie mówię. Nie jestem w stanie.

– Czy to ci przeszkadza? – pyta i patrzy w moją stronę.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam zbyt szybko.

Ale to nieprawda. Przeszkadza, bo wiem, że nie mogę

równać się z Marisą, która jest wspaniała, inteligentna i

wyrafinowana, a na dodatek naprawdę miła. To, że byli razem, ma sens, bo Sam jest dla mnie zbyt dobry. A równocześnie nie mogę przestać się zastanawiać: czy to w jego stylu? Czy za każdym razem, gdy pojawi się we Włoszech, we Francji czy w Anglii, wdaje się w przelotne romanse? A później wyjeżdża, wraca do bezdusznego Los Angeles, stugodzinnego tygodnia pracy i

umawiania się z aktorkami? W każdym razie wygląda na to, że myliłam się, gdy myślałam, że tylko ja dostrzegam jego urok.

Muszę zmienić temat. Odchrząkuję.

– Słuchaj, prawie skończyliśmy robić wywiady. Luther

mówi, że nie chce czytać książki. Czy sądzisz, że to prawda?

Zasugerował, że przeczytasz ją zamiast niego.

Nadal na mnie patrzy. Później spogląda z powrotem na drogę.

– Oczywiście, że ją przeczytam. Naprawdę potrzebuje do takich spraw menadżera – dodaje pod nosem.

Resztę drogi pokonujemy w milczeniu, a gdy docieramy do domu, wysiadam z samochodu najszybciej, jak mogę.

– Dzięki za miły dzień i wieczór – mówię, nie patrząc mu w oczy. – Ojej, robi się zimno – ruszam w kierunku domu, okrywam się szalem, zanim zdaję sobie sprawę, że jest cały w piasku. Co za beznadziejna wymówka: jest uroczy, ciepły wieczór.

– Zaczekaj – dobiega mnie jego głos. Odwracam się. Sam stoi przy samochodzie, jest zdumiony. – Serio? To wszystko?

– Nie... Lepiej sprawdzę, co się dzieje z Lutherem – wbiegam do środka, zanim jest w stanie mnie powstrzymać.



Rozdział 28

Kiedy wychodzę na taras, widzę idealny obrazek z życia

domowego: Marisa i Luther piją herbatę i grają w karty. Marisa całuje mnie na przywitanie, a kiedy w podobny sposób wita Sama, odwracam wzrok.

Sam siada.

– Przepraszam, że wróciliśmy tak późno. Przeczytałeś już ten scenariusz?

– Alice, bella – mówi Marisa. – Może pozwolimy im porozmawiać? Pójdziemy do domu i pooglądamy telewizję?

– Nie, zostańcie – stwierdza Luther.

Marisa zerka na Sama.

– Właściwie to powinnam wrócić do domu. Biedny Federico

będzie się zastanawiał, gdzie się podziewam – bierze torebkę i wstaje. – Zadzwoń do ciebie jutro – zwraca się do Sama.

Marisa idzie do łazienki, a ja sprawdzam pocztę. Mam

wiadomość od Briana. Przesłał tekst. Uporał się z pierwszą wersją w niecały tydzień. To niewiarygodne! Podłączam laptop do

drukarki i drukuję tekst książki, jednym uchem słuchając rozmowy Sama i Luthera na tarasie.

– Luther – zaczyna Sam – rozmawialiśmy już o tym. Wiesz,

że nie zrobię z ciebie w ciągu jednej nocy Deppa ani Clooneya.

Ale oczywiście możesz się rozwijać. Sądzę jednak, że jeśli chcesz to osiągnąć, będziesz musiał częściej podejmować ryzyko.

Nie słyszę odpowiedzi Luthera, ale później Sam oznajmia:

– Nie byłbym zbyt pewien. *Rzymskie wakacje* stanowią dobry początek, ale stać cię na więcej. Jak sądzisz, dlaczego proponuję ci tę rolę?

– To nie ryzyko, to telewizja – odpowiada Luther.

– To jest ryzyko, bo to zupełnie coś innego, niż robiłeś do tej pory. To znakomita rola, świetnie napisana. Bohater jest

wielowymiarowy. Takiego rodzaju ryzyko chciałbym, żebyś

podejmował, a nie wybierał rolę w komedii romantycznej po tym, jak zagrałeś w filmie akcji.

Luther mówi coś, czego nie słyszę. Marisa wychodzi z

łazienki, a ja wstaję, żeby odprowadzić ją do drzwi. Gdy idę obok niej, widzę, że ma na ramieniu wielki ślad po ukąszeniu przez komara. Nie wiem, jakim cudem wcześniej go nie zauważyłam.

– Byłaś niedawno w Rzymie? – pytam ją.

Marisa jest bardzo zdziwiona, niemal zszokowana.

– Skąd wiesz?

– Tak się tylko zastanawiałam... wiem, że Sam tam

niedawno był.

Marisa wzdycha.

– Miał nikomu nie mówić. Nie mogę pozwolić, by Federico

się dowiedział. Obiecujesz? – chwyta mnie za rękę i wpatruje się we mnie błagalnie. Wydaje się naprawdę przestraszona. Boże, czy ona się go boi? Jeśli faktycznie tak jest, to straszne.

– Obiecuję – mówię. Czuję się okropnie. – Przepraszam. Nic nie powiem.

– Dzięki, *bella*. Jesteś prawdziwą przyjaciółką. *Ciao* – znów mnie całuje i wychodzi.

Wracam do pokoju i siadam przy komputerze. Tekst jeszcze

się nie wydrukował. Czyli to koniec. Sam był w Rzymie ze swoją piękną byłą dziewczyną. O tym, że stanowili parę, dowiedziałam się godzinę temu. I skłamał, jaki był cel ich wyprawy – nawet jeśli zupełnie niewinny, w co szczerze wątpię. Okłamał mnie po tym, jak się ze sobą przespaliśmy i spędziliśmy wspólnie sielankowy dzień i wieczór.

Zaczynam wątpić we wszystkie jego słowa. Czy on w ogóle

był w Londynie? Czy zmyślił swoją opowieść o spacerze wzdłuż rzeki, sprawdzaniu na mapie, gdzie jest moje biuro? Nagle

wyobrażam sobie Sama i Marisę w Rzymie na kolacji w jakimś eleganckim lokalu w towarzystwie ludzi z branży filmowej, jak rozmawiają mieszanką włoskiego i angielskiego. Ona ma na sobie piękną suknię wieczorową, jego ręka spoczywa na jej ramieniu.

Widzę ich, jak przechadzają się obok Koloseum, trzymają się za ręce... późnym wieczorem wracają do hotelu, ona ma na sobie

jego marynarkę... Boże, jestem taka głupia.

Zabieram wydrukowany tekst do pokoju, żeby go przeczytać

do końca. W środku panuje straszliwy bałagan – prawie taki jak u Annabel, tylko nie ma tutaj tylu drogich ubrań i kosmetyków.

Szuflady są wysunięte – nie zamknęłam ich, gdy wpadłam tu jak burza i przygotowywałam się na spędzenie dnia z Samem. Nie mogę o tym myśleć, to zbyt bolesne. Biorę głęboki oddech i postanawiam skupić się na pracy, tak jak powinnam to zrobić na samym początku mojej wizyty w tym domu.

Jestem po lekturze mniej więcej trzech rozdziałów, gdy

dzwoni telefon. To Olivia.

– Witaj, Olivio – mówię najciszej i najgrzeczniej, jak

potrafię.

– Przed chwilą skończyłam czytać rękopis Briana – oznajmia po prostu.

Zamykam oczy i trzymam kciuki.

– Ogólnie nie jest zły.

Alleluja! W języku Olivii takie stwierdzenie oznacza niemal Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Czy mogę się spodziewać ułaskawienia? Czy powie, że mi wybacza?

– Mam tylko jedną uwagę – ciągnie. – Jestem rozczarowana,

że nie ma nic więcej na temat tego roku, gdy zniknął. Który, jak wiesz, w umowie miał być jednym z tematów poruszonych w

książce.

Dobrze. Punkt dla niej.

– Brakuje punktu kulminacyjnego: on po prostu siedział na

plaży. Jesteś pewna, że nie wydarzyło się tam nic więcej?

O Boże, to takie oczywiste, a równocześnie przerażające

pytanie. Czuję, że dłoń, w której trzymam telefon, robi się wilgotna.

– Widzisz – mówi. – Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli mieć

pewność, że powie nam wszystko. A teraz nie wiem, czy mogę ci zaufać.

– Wiem – mamrocze. – Ale... to wszystko, co powiedział...

do tej pory.

– Nie jestem o tym przekonana. Sądzę, że jest tam coś

więcej, a jeśli zależy ci na przyszłości w naszej firmie, dołóż wszelkich starań, by się tego dowiedzieć – tymi słowami kończy rozmowę.

Wydawało mi się, że wcześniej byłam przestraszona,

martwiłam się o swoją pracę. Ale nigdy do tej pory nie czułam takiego przerażenia jak teraz. To koniec. Jeśli nie powiem Olivii, co Luther mi wyznał, mogę zostać zwolniona.

Powinam była jej powiedzieć. Luther opowiedział mi o tym

podczas wywiadu, nie mam więc powodów, by rezygnować z

zamieszczenia tej historii w książce, jeśli on się na to zgodzi.

Właściwie to z pewnością będę bardziej winna, jeżeli to pominę.

Jeżeli Olivia kiedykolwiek dowie się, co usłyszałam od Luthera i że jej o tym nie powiedziałam, nie ograniczy się do wyrzucenia mnie z pracy. Zabije mnie.

Ale jaki to będzie miało wpływ na karierę Luthera? Czy

wydrukowanie tego czarno na białym okaże się dla niego dobre?

Ze skrępowaniem przypominam sobie, że wcześniej pomyślałam, iż bardziej przydałby mu się

książkę.

No cóż, nie jestem za to odpowiedzialna. Jeśli Luther nie

chce, żeby ta historia znalazła się w książce, może się sprzeciwić.

Ale nie ma sensu, żebym ja ją cenzurowała, by go chronić. Muszę się sama ratować. Wracam do swojego komputera i wyławiam

rozmowę, w czasie której Luther opowiedział o całym tym

wstrętnym wydarzeniu, i spisuję ją. Nie zajmuje mi to wiele czasu.

Po zakończeniu pracy drukuję tekst, żeby móc pokazać Lutherowi, i załączam do maila, którego wyślę Brianowi i Olivii. Waham się, czy nacisnąć „wyślij”. Dziwne. Jeśli to zrobię, wpłynę na całą karierę Luthera. I swoją. I Sama.

Czy potrafię to zrobić? Czy naprawdę jestem gotowa

zniszczyć karierę Luthera, by ratować własną?

Pewnie niepotrzebnie dramatyzuję. Kariera Luthera nie

legnie w gruzach. Poza tym i tak nie pozostawiono mi wyboru. Już mam nacisnąć „wyślij”, gdy słyszę pukanie do drzwi.

– Alice?

To Sam. Nie odpowiadam.

– Alice? Wiem, że tam jesteś.

Puka jeszcze raz. Kilka minut później słyszę, jak odchodzi.

Ukrywam twarz w dłoniach. Dzisiejszy dzień był dla mnie zbyt trudny. Nie wyślę teraz tego maila. Zrobię to jutro rano.



Rozdział 29

Budzi mnie kolejne stukanie do drzwi. Spoglądam na

zegarek: jest kwadrans po siódmej. Kto puka tym razem i czego chce? Nie mogę się doczekać, gdy położę się we własnym łóżku i nie będę na każde wezwanie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Co tam? – odpowiadam półprzytomnie.

– To ja – słyszę głos Sama. Gdy idę otworzyć drzwi, wbrew

mojej woli kielkuje we mnie nadzieja. Czy powie mi, że cała ta sprawa z Marisą była błędem? Sam nie zdążył się jeszcze ogolić.

Ma na sobie kąpielówki, a na ramiona zarzucił ręcznik, co mnie nieco rozprasza.

– Dominique jest w drodze do nas – mówi.

– Co to znaczy, że jest w drodze do nas? – pytam obojętnie.

– Jedzie do nas, tutaj, teraz. Jej menadżer zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem.

Czyli o to chodziło – to dlatego pukał do moich drzwi

wczorajszego wieczoru. Wcale nie chciał ze mną rozmawiać.

– Dlaczego przyjeżdża osobiście? – zastanawiam się głośno, mając świadomość, że brzmi to zgryźliwie.

– Nie mam pojęcia.

– Aha, a kiedy tu będzie?

– Dziś rano. Ma kilka próśb.

– Na przykład?

– Miejsce do lądowania dla helikoptera. Wydrukowanie

tekstu książki w trzech kopiach na kremowym papierze. I

papierosy mentolowe oraz pięć litrów wody Fiji.

– Bardzo zabawne.

– Nie żartuję – mówi Sam. – Wiesz, jak na nią, to nie są to duże wymagania.

– Nie?

– Nie. Masz szczęście – Sam nie uśmiecha się.

– Zrobimy, co w naszej mocy – stwierdzam. – Czy poprosiła o konkretną markę mentolowych... – Co ja właściwie wygaduję? Już same mentolowe papierosy to szaleństwo.

Mam zamiar się odwrócić, gdy Sam kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Ej, Alice. Czy zrobiłem albo powiedziałem coś, co cię wkurzyło?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Dlaczego więc tak dziwnie się zachowujesz? – Rozgląda

się i szeptem ciągnie dalej: – Wczoraj... było mi z tobą świetnie i sądziłem, że czujesz się podobnie.

Zastanawiam się, czy powiedzieć, że wiem o nim i Marisie,

żeby sprawdzić, czy będzie w stanie to wytłumaczyć. Ale co tu jest do wyjaśnienia? Nawet jeśli istnieje niewinny powód, dla którego polecili razem do Rzymu, faktem jest to, że mnie okłamał. Nie powiedział, że to jego była dziewczyna, dopóki go wprost o to nie zapytałem, a poza tym i tak nigdy nie będziemy razem. Wszystko to było taką samą fantazją jak moje zauroczenie Lutherem.

– Czy chodzi o mnie i Marisę? – pyta, najwyraźniej czytając w moich myślach. – Słuchaj, to miało miejsce dawno temu, a nic nie poradzę na to, że w przeszłości spotykałem się z innymi.

Jak on śmie traktować mnie tak protekcyjnie? Nie, na

pewno nie powiem mu, dlaczego jestem zła.

– Nie – mówię. – To nie ma z tym nic wspólnego. Naprawdę

dobrze się bawiliśmy. Przepraszam, jeśli sprawiam wrażenie rozkojarzonej, ale przyjechałam tu do pracy i nie mogę sobie pozwolić na to, by coś mnie rozpraszało.

Sam wycofuje się.

– W porządku – odpowiada lakonicznie. Wygląda na

poirytowanego. – Zrozumiałem – i odchodzi korytarzem.

Gdy to widzę, nadal czuję się dotknięta, ale jestem też zła, przez co w pewien dziwny sposób moje samopoczucie się

poprawia. To o wiele lepsze niż bycie po prostu zranionym.

Reszta poranka kojarzy mi się trochę z poszukiwaniem

skarbów, a trochę z baśniami, w których dziewczyna musi ze stogu siana upleść złotą nić czy coś takiego. Luther śpi, a my uwijamy się jak mróweczki. Maria Santa z szybkością światła podaje śniadanie i krząta się, doprowadzając willę do jeszcze bardziej idealnego stanu. Sam uznaje, że najlepiej będzie, jeśli helikopter wylądje na plaży, więc idzie sprawdzić czas przyływu, żeby się dowiedzieć, ile czasu nam pozostało. Nie wiem, co zrobić w kwestii tekstu książki. W domu są komputer i drukarka, ale pracują bardzo wolno. Chowam dumę do kieszeni, dzwonię do Marisy i zdaję się na jej łaskę.

Tak jak zakładałam, Marisa wie, jak mi pomóc. Mówi, że jej kuzyn prowadzi sklep papierniczy, a Federico ma w biurze

komputer, więc ona może tam wydrukować tekst książki w trzech egzemplarzach. O dziewiątej zakupi kremowy papier, a

wydrukowane materiały dostarczy nam do dziesiątej. Kupi też papierosy mentolowe, które sprawiły, że Dominique bardzo

straciła w moich oczach. Takie papierosy paliłyśmy w liceum –

jakim cudem ona nadal je lubi?

Największym problemem okazuje się woda. Na próżno

sprawdzam w Internecie, czy jest dystrybuowana we Włoszech.

Pytam Marisę, ale ona nigdy o niej nie słyszała.

– Nie wydaje mi się, żebyś znalazła ją we Włoszech –

oznajmia z powątpiewaniem. – Może w Mediolanie, ale...

Gorączkowo zastanawiam się, jak dostarczyć na dziś rano

wodę z Mediolanu – wysłać ją FedEksem? Usługa concierge? Ale później uznaję, że to nie ma sensu.

– Daj spokój – mówię do Marisy. – Nie uda nam się jej

zdobyć i tyle. Kupmy po prostu San Pellegrino.

Kiedy Luther dowiaduje się, że przyjeżdża Dominique,
milknie, ale widzę, że jest jednocześnie podekscytowany i
zdenerwowany. Nie angażuje się w całe to bieganie i
przygotowania. Zamiast tego chodzi tam i z powrotem po tarasie.

Żal mi go. Poza tym denerwuję się, ale z innego powodu. Bo jeśli jego była żona przyjeżdża tu, żeby
wyłożyć karty na stół i powiedzieć, że nie będzie z nami współpracować, czekają nas ogromne problemy.

Uświadamiam sobie, że nie ma sensu wysyłać nic do Olivii i Briana, dopóki nie dowiemy się, co powie
Dominique. Na razie drukuję stronę ze spisana przeze mnie historią z Hawajów –

Hawajegate, jak to nazywam – którą dam Lutherowi, żeby pokazał

Dominique. Jeśli on to akceptuje, a ona się nie sprzeciwi, roześlę ją pozostałym.

– Czy jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu, że

zamieścimy to w książce? – pytam.

– Jasne. I fajnie, że mogę jej to teraz pokazać.

Kiwam głową; czuję się niezręcznie.

Mniej więcej o dziesiątej trzydzieści zauważamy, że

nadlatuje helikopter. Wydaje się, że krąży nad nami przez całą wieczność, ale w końcu zniża się w
kierunku plaży.

– Jak, do licha, będą w stanie tam wylądować? –

zastanawiam się.

– To płaski teren, nie ma tam skał, a przypląwu nie będzie jeszcze przez osiem godzin – wyjaśnia Sam,
choć nie jego o to pytałam. – To całkowicie nielegalne, ale nic im się nie stanie. Gdy Dominique
wsiądzie, pilot poleci na lądowisko dla śmigłowców, które znajduje się w głębi lądu.

Zastanawiam się, jak Dominique dotrze do willi. Czy chętnie pokona te pięćdziesiąt stopni? Sądzę, że
może potraktować to jako element codziennych ćwiczeń, które muszą być dość forsowne, co widać po jej
szczupłej figurze. A może zostanie wniesiona na noszach albo czymś takim?

Z Marisą i Samem wychylamy się z tarasu i spoglądamy w

dół. Luther czeka na plaży. Nic nie słyszymy z powodu hałasu, ale widzimy, że z helikoptera wysiada
chyba sześć osób. Jedna z nich ma charakterystyczne, długie czarne włosy. Rusza do przodu i widzimy,
jak całuje Luthera w bardzo oficjalny sposób: w oba policzki, nie zdejmując okularów
przeciwsłonecznych. Wszyscy stoją razem przez kilka minut, prawdopodobnie rozmawiając, po czym

powoli odwracają się w stronę domu.

– To jak wizyta głowy państwa – mówię.

– Bo to właśnie jest taka wizyta – odpowiada Sam.

Kilka minut później Dominique i jej ekipa oraz Luther

wchodzą na taras. Ona wygląda dokładnie tak jak na fotografiach: jest nieskazitelna. Dziwi mnie tylko to, że jest taka drobna, przypomina dziecko. Ma na sobie bawełniane bojówki i gładką białą koszulkę na ramiączkach. Czarne falowane włosy spływają jej po plecach. Jej ekipa składa się z kobiet i mężczyzn

obciążonych torbami i notatnikami. Trudno jednak zwracać

uwagę na kogokolwiek innego niż ona. Wydaje mi się, że ma

całkowicie obojętną minę, ale może tylko odnoszę takie wrażenie przez to, że nosi ciemne okulary.

Jestem naprawdę zdenerwowana. Spośród wszystkich

sławnych ludzi, jakich miałam okazję poznać, ona jest z pewnością najbardziej znana. Choć nie wiem, czy „poznać” to właściwe słowo. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle zostaniemy sobie przedstawione. Marisa i Maria Santa ulotniły się, a Luther przedstawia swojej byłej żonie Sama. Sam zna jedną osobę z jej ekipy i bardzo uprzejmie wita się z obiema kobietami. Dominique podaje mu rękę.

Później Luther mówi:

– A to moja redaktorka, Alice.

Dominique odwraca się w moją stronę, ale trudno

powiedzieć, czy mnie dostrzega. Być może ma szczególną

zdolność, która pozwala jej widzieć tylko ważnych ludzi.

Delikatnie kiwa głową, a później mówi coś do jednego z członków swojej ekipy, który przekazuje coś Lutherowi.

– Proszę – odzywa się Luther – wejdźcie i usiądźcie.

Prowadzi ich w stronę stołu pod baldachimem. Postanawiam

nie dołączać do nich i zostaję na swoim miejscu. Jednak, co dziwne, nie czuję się poniżona, jeżeli cokolwiek odczuwam, to raczej podekscytowanie i zaszczyt, że dane było mi ją poznać.

Chyba tak właśnie działają gwiazdy.

Marisa staje obok mnie.

– Jaka ona jest? – pyta cicho.

– Piękna – odpowiadam jej szeptem.

Stoimy razem i obserwujemy, jak zostaną przyjęte napoje

przygotowane przez Marię Santę. Podała wielką szklaną karafkę napełnioną wodą, a Luther i Sam wyjaśniają, że choć nie mieliśmy dostępu do wody Fijii, nalaliśmy do tradycyjnych szklanych

butelek schłodzoną wodę mineralną i wyjątkową, naturalnie

gazowaną sycylijską wodę źródlaną. Tylko ja i Marisa wiemy, że to tak naprawdę San Pellegrino. Na chwilę zapada niezręczna cisza, ale później wszystko idzie dobrze.

Po kilku minutach orientujemy się, że stoimy tam jak idiotki, więc postanawiamy iść do domu. Zaraz po wejściu do środka

spoglądamy na siebie i wybuchamy śmiechem, ale udaje nam się opanować i być cicho.

– Ekscytujące, co? – szepcze Marisa. – Jak wizyta rodziny

królewskiej.

– Albo kosmitów – odpowiadam. Obie się z tego śmiejemy,

ale dyskretnie.

Zabieram się do redagowania książki, a Marisa gra w

pasjansa. Mój stosunek do niej trochę się zmienił, ale cieszę się, że nadal tu jest – im więcej osób na pokładzie, tym lepiej, gdyby nagle towarzystwo na tarasie miało specjalne wymagania. Byłoby o wiele przyjemniej, gdybyśmy mogły usiąść przy basenie, ale obie doskonale wiemy, że na razie musimy zejść im z oczu. Po mniej więcej dwudziestu minutach przychodzi Sam.

– Dominique chce przeczytać książkę – oznajmia.

Wydruki leżą na stoliku. Wręczam mu je.

– Jak idzie? – pytam.

– Ciężko powiedzieć, ale przynajmniej chce rzucić okiem na tekst.

Sam wraca do stołu i wręcza wydruki komuś z ekipy, kto –

nie wierzę własnym oczom – przekazuje je komuś innemu, a ten ktoś bierze dwa egzemplarze, z których jeden podaje Dominique.

Teraz wszyscy się wycofują, zostawiając Luthera i jego byłą żonę samych. Ci zaś rozmawiają przez chwilę, a później Luther wstaje i odchodzi ceremonialnie, niemal nie odwracając się do niej

plecami. To jak scena z filmu sztuk walki.

Dominique zmienia pozycję i siada tyłem do tarasu, zakłada nogę na nogę. Wydruk leży przed nią w równo ułożonej stercie. Po minucie z wielką precyzją przewraca kartkę. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś siedział tak wyprostowany, ale zaraz

przypominam sobie, że czytałam gdzieś, że ona tańczyła w balecie.

Od czasu do czasu zapisuje coś w notatniku. Marisa i ja

obserwujemy ją przez chwilę, aż staje się to nedorzeczne, więc odchodzimy do swoich zajęć. Jednak co pewien czas nie mogę się powstrzymać – wstaję i zerkam na Dom, która nadal siedzi

całkowicie prosto i czyta z niezwykłą uwagą. Papieros pali się odłożony w popielniczce. Luther przysiada na brzegu krzesła i patrzy na nią.

Mniej więcej o trzynastej Luther przychodzi do nas.

– Jak idzie? – pytamy go.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Jeszcze nie skończyła czytać. Na razie nic nie powiedziała.

– Jesteś w ogóle w stanie ocenić jej reakcję? – dopytuję się.

– Nie. Byłaby dobra w grze w pokera – stwierdza z

podziwem w głosie.

– Powinniśmy coś zjeść – mówi Marisa. – Luther, czy

proponujemy jej lunch?

– Pytałem już. Nie jest głodna.

– A co z jej ludźmi? – dopytuję się.

– Nie jedzą, jeśli ona nie je.

– Jezu – wzdycha Sam, który przed chwilą do nas dołączył. –

Dobrze, zatem zjedzmy w kuchni.

I tak robimy. Maria Santa pozwala nam ograbić lodówkę z

pomidorków koktajlowych, mozzarelli, wędzonej szynki i oliwek, które jemy z chlebem skropionym oliwą i posypanym solą. Gdy patrzę, jak Luther pochłania swój lunch, zdaję sobie sprawę, że nigdy nie doceniłam tego, że jest tak łatwy w obsłudze. Jasne, skupia się na sobie, ale w porównaniu z Dominique jest

zwyczajnym człowiekiem.

– Czy ktoś ma jakieś wieści od Annabel? – pyta Marisa. –

Nadal jest ze swoim chłopakiem?

– A tak – przyznaje Luther. – Niemal o niej zapomniałem.

Przysłała mi wczoraj wiadomość. Oddzwonię do niej, gdy

Dominique odjedzie.

Po lunchu Marisa wybiera się na plażę, a ja wracam do pracy.

Trochę przeraża mnie to, że Dominique stanowi tak dużą część książki – jeśli nie będzie zadowolona, możemy naprawdę sporo stracić. Ale z drugiej strony, jeżeli będzie chciała wprowadzić wiele zmian, książka stanie się niewiarygodnie nudna.

– To było niezłe westchnięcie – zauważa Sam, który właśnie wchodzi do domu.

– Przepraszam – mówię zakłopotana – nie zdawałam sobie

sprawy z tego, że wzdycham.

– Chcesz, żebym do niej zajrzał i sprawdził, w jakim

jesteśmy położeniu?

To niesamowicie miłe z jego strony.

– Jesteś pewien? – pytam z niedowierzaniem.

– Tak. Możesz mi też zrobić kopię, to zacznę ją czytać.

Patrzę na niego. Nie sprawia wrażenia nastawionego

przyjaźnie, ale najwyraźniej mówi poważnie. A ja zdaję sobie sprawę, że bez względu na to, co do mnie czuje i co się wydarzyło między nami, i tak ma zamiar dotrzymać danego mi słowa.

– Dziękuję – mówię. Drukuję dla niego egzemplarz, a on

zabiera się do czytania.

Oboje pracujemy przez resztę popołudnia i początek

wieczoru. Co jakiś czas ukradkiem zerkam na Sama i zastanawiam się, czy nie popełniłam ogromnego błędu. Kiedy myślę o tym, jaki był tej nocy i podczas dnia, który spędziliśmy razem, naprawdę trudno mi uwierzyć, że mógłby na boku kręcić z Marisą. Ale ciągle wracam do tej samej kwestii: dlaczego skłamał w sprawie ich wyjazdu do Rzymu? I jest coś jeszcze, co mnie dręczy. Dlaczego Marisa nigdy mi nie powiedziała, że Sam jest jej byłym

chłopakiem? Rozmawialiśmy o wszystkim, więc dlaczego nie o tym? Może było w tym coś, o czym nie

chciała, żebym wiedziała.

Może nie mają tradycyjnego romansu, może to coś bardziej

skomplikowanego? Może on planuje się z nią ożenić, żeby dostała wizę i mogła pracować w Stanach Zjednoczonych albo coś w tym stylu. Albo... Amerykanie zawsze umawiają się z kilkoma

osobami, nieprawdaż? Może jemu się wydaje, że nie ma

przeszkód, żeby spotykać się z nami obiema, a jeśli go o to zapytam, pomyśli, że jestem nierozsądna, mało wyrefinowana i zaborcza...

Ta myśl jest tak okropna, że postanawiam o tym zapomnieć i spróbować skupić się na książce Luthera. Generalnie jestem z niej naprawdę zadowolona. W trakcie czytania robię notatki, ale poza tym, że podkolorowałam kilka dramatycznych scen i przycięłam tekst tu i ówdzie, nie ma potrzeby wprowadzania większych

zmian.

Oczywiście trzeba dodać historię producenta – prawdę o tym, co stało się po Hawajach. Wychodzę z poczty i wracam do folderu z brudnopisami, gdzie opis ten czeka gotowy, by wysłać go do Olivii i Briana. Zaczynam pisać wiadomość, do której go dołączę.

„Właśnie się o tym dowiedziałam...” – to kłamstwo, ale co z tego.

– „Luther jest wyczulony w tej kwestii, ale wiem, że mogę skłonić go do zamieszczenia tej historii. To jest tak ważne i bolesne przeżycie, że będziemy musieli mocno zmienić drugą połowę

książki i często się do niego odnosić, a później sprawić wrażenie, że L się z tego «wyleczył». Dochodzą oczywiście kwestie prawne, ale powinniśmy być w stanie je rozwiązać, zwłaszcza że producent nie żyje”.

Przestaję pisać i czytam opis tego wydarzenia. Czy naprawdę to napisałam? To takie niemoralne i przygnębiające. Ten epizod przesłoni resztę książki. To o nim wszyscy będą mówić, o tym ludzie będą pamiętać przez resztę kariery Luthera. „A tak, to ten gość, który zgodził się na seks, byle tylko dostać rolę”. Czy naprawdę tego chcemy?

Dlaczego Luther mi o tym powiedział? Może po prostu

chciał to z siebie wyrzucić, ale to nie to samo, co obwieszczenie tego całemu światu. Sama uważam, że oszalał, zdradzając mi ten sekret. Ale ufa mi i zamieściłby ten fragment, gdybym go do tego przekonała. O Boże. Nie dlatego marzyłam o pracy w

wydawnictwie. Chciałam pracować z autorami i pomagać im

opowiadać świetne historie. Nie zamierzałam wykorzystywać ludzi i szkodzić ich karierom. Wcześniej byłam dumna z tej książki, teraz, jeśli dodam ten fragment, nie będę. Nagle coś okropnego przychodzi mi do głowy: jeżeli to zrobię, to czym będę się różnić od tych ludzi, którzy tak go skrzywdzili?

Nie mogę tak postąpić, nie zamieszczę tego fragmentu w

książce i nie powiem Olivii, co się wydarzyło. To nie jest moja tajemnica. Jeśli Olivia dowie się, że Luther zwierzył mi się z tego, a ja to przed nią ukryłam, z pewnością wyleje mnie z pracy, ale po prostu nie potrafię. Kasuję mail. Później odnajduję plik z naszym ostatnim wywiadem, który spisałam i dałam Lutherowi. Naciskam

„usuń”, po czym opróżniam kosz. Nie ma go. Czuję, jakby z serca zdjęto mi ogromny ciężar.

Dopóki Sam nie wstał i nie zapalił światła, prawie nie

zauważyłam, że zrobiło się ciemno.

– Mój Boże, czy oni nadal tam siedzą? Niemal o nich

zapomniałam.

– Zbierają się – mówi Sam. – Chodźmy się pożegnać.

Na zewnątrz ekipa stoi w kółku, a ona i Luther ustawili się trochę z boku. On trzyma notatki, które ona przygotowała.

Żegnamy się, podając sobie dłonie, po czym całe towarzystwo schodzi po schodach. Dominique i Luther zostają z tyłu i żegnają się dopiero tuż przy schodach. Gdy patrzę na nich stojących na końcu tarasu, w półmroku, na tle ostatnich promieni zachodzącego słońca, myślę, że dla przechodzącego paparazzo byłby to

wspaniały widok. Ale nawet gdyby uchwycono ich na fotografii, nikt nie mógłby się domyślić, o czym rozmawiają.

Dominique odchodzi, a Luther powoli zbliża się do nas,

przeglądając plik papierów, które trzyma w dłoni.

– Jak było? – pytam.

– Dobrze – odpowiada. – Wiesz, tak słodko-gorzko.

– Podobała się jej książka?

Powoli kiwa głową.

– Wiesz, tak. Naprawdę – macha kartkami. – Chce, żebyśmy

wprowadzili zmiany na mniej więcej sześciu stronach.

– Na sześciu stronach? Tylko tyle?

– Tak, martwi ją fragment, w którym opowiadam o naszym

znajomym, jest też parę innych rzeczy, które chce zmienić. Ale godzi się na większość tego, co napisałem o nas. Mówi, że ma nadzieję, że to pomoże innym ludziom, którzy przechodzą przez coś podobnego.

To niewiarygodne. Zaczynam ją szanować: co za gwiazda!

Nagle słyszymy warkot silnika helikoptera. Hałas jest ogłuszający, a podmuch śmigieł rozwiewa nasze ubrania. Obserwujemy, jak śmigłowiec wznosi się coraz wyżej.

Biorę notatki od Luthera i przeglądam je, mocno ścis- kając w dłoniach. Gdyby porwał mi je wiatr, nastąpiłaby katastrofa.

Zmiany zostały naniesione przez Dominique małymi, równymi

literami. Większość z nich to pseudo-psychologiczny bełkot: osobliwe pogawędki o uczeniu się, rozwoju, akceptacji, zmianie i innych rzeczach, które będą bardzo dziwnie wyglądać wplecione pomiędzy łobuzerskie anegdoty Luthera. Ale już mnie to nie obchodzi.

– Te uwagi są świetne – mówię mu. – Nie mogę uwierzyć, że

przyleciała tu i naniósła je w ciągu jednego dnia. Luther, czy wiesz, co to znaczy? Skończyliśmy pracę nad książką! – jestem tak podekscytowana, że skaczę z radości, a Luther śmieje się ze mnie.

Znajdujemy szampana i otwieramy go na tarasie, a Maria

Santa nakrywa do kolacji. Pamiętam ostatni raz, gdy ktoś przyniósł

szampana na taras – to był Luther, który próbował mnie uwieść po wyprawie do klubu nocnego. Nie mogę uwierzyć w to, że po tym wszystkim, co tu się wydarzyło, katastrofach i przeszkodach, udało nam się stworzyć książkę, która nadaje się do publikacji.

– To wspaniałe uczucie – zwracam się do Luthera. –

Powinieneś być z siebie dumny. Czy jesteś zadowolony z efektów swojej pracy?

– Tak – odpowiada. – Tak, jestem. Wiesz, czuję, że się czegoś nauczyłem i rozwinąłem. – Chyba sobie ze mnie żartuje. A może nie? Jak zwykle w przypadku Luthera nie jestem całkiem pewna.

Ale sprawia wrażenie zadowolonego.

Uznaję, że zanim pozostali do nas dołączą, napiszę Olivii, że Dominique zaakceptowała książkę. Zdążyłam zalogować się do poczty, gdy do pokoju wchodzi Sam.

– Co to jest, do cholery? – wybucha.

– Co jest, do cholery... o co chodzi? – pytam, ale widzę, że Sam trzyma w ręce kartkę papieru. W zwolnionym tempie z

przeżeniem uświadamiam sobie, że Luther po- kazał mu historię z producentem.

– Sam, mogę to wyjaśnić – mówię i uświadamiam sobie, że

prawie banały. – Zmieniłam zdanie. Uważam, że to nie powinno się znaleźć w książce.

– Ach, jasne, zmieniłaś zdanie. Zaraz po tym, jak poprosiłaś Luthera, żeby pokazał to swojej byłej żonie. Jak mogłaś to zrobić?

On ci ufał. Jak mogłaś zachęcić go do tego, by opowiedział taką straszną, gównianą historię? Nie pomyślałaś o tym, jaki będzie ona miała wpływ na niego i jego karierę? Jestem szczęśliwy, że postanowił nie pokazywać jej Dominique.

– Ale... wykasowałam to! Naprawdę. Możesz sprawdzić na

moim komputerze – trzęsącymi rękoma odwracam w jego stronę laptop.

– Nie wierzę ci. Ale teraz wszystko rozumiem. Mnie

pokazałaś jedną wersję, a inną naprawdę opublikujecie. Proszę, od tej pory możesz sama wykonywać swoją brudną robotę.

– Czyli... czyli zabraniasz publikacji książki? – pytam

behradnie.

Śmieje się.

– Oczywiście, to jest najważniejsze: książka. Nie martw się, Luther nadal chce ją wydać. Ale nawet nie myśl o tym, by zawrzeć w niej tę plugawą plotkę.

– Sam, zaczekaj! Nic nie rozumiesz. Jestem bliska utraty

pracy...

– Daruj sobie, Alice. Wiem, że naciskają na ciebie, żebyś

wyciągała brudy. Po prostu szukaj ich gdzieś indziej, dobrze?

– Błagam cię, Sam. Mogę to wyjaśnić.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Luther zmienił zdanie w kwestii serialu, chce w nim zagrać. Wylatujemy jutro. Dostałaś swoją książkę. Wszystko skończone.

Sam wychodzi, żeby przywitać Federica i Marisę, którzy

właśnie przyjechali. Nie jestem w stanie mówić. Nie mogę nawet płakać. Straciłam go.

Podczas kolacji wszyscy są w nastroju do świętowania.

Federico mówi o ciągle zacinającej się drukarce, a Marisa o tym, jak zdobyła papier, a jej kuzyn chciał dostać autograf Dominique.

Luther też jest w świetnej formie, opowiada skandalizujące anegdoty, które, jak twierdzi, zamieścił w książce. Szampan kończy się zaskakująco szybko, a Luther natychmiast prosi o podanie następnej butelki, a później jeszcze jednej. Skupiam się na krojeniu jedzenia i sprawianiu wrażenia, że jem, żeby nikt mnie o nic nie pytał. Zarezerwowałam już bilet na samolot i napisałam mail do Olivii, w którym powiadomiłam ją, że Dominique

zaakceptowała książkę i że nie dowiedziałam się niczego nowego na temat Hawajów. Chcę już wrócić do domu.

Pozostali rozmawiają o *Rzymskich wakacjach*. W oryginalnej wersji księżniczka i dziennikarz rozstają się, bo żyją w innych światach. W remake'u, w którym gra Luther, księżniczka oddaje tron młodszemu bratu i odjeżdża z dziennikarzem w siną dal. Taki finał wydaje się okropny. Oczywiście nie mówię tego Lutherowi, ale Marisa, która może powiedzieć to, czego nam nie wypada, oznajmia mu, że powinni zachować pierwotne zakończenie.

– Było bardziej romantyczne – stwierdza. – Ach, ta końcowa scena z konferencją prasową jest piękna.

– Jest dołujące – mówi poirytowany Luther. – Nasze podnosi na duchu.

– Ale jest mniej prawdziwe – argumentuje Marisa. Odwraca

się do Sama. – Co sądzisz? Oryginalne było piękniejsze, prawda?

Sam wygłasza tylko banalny komentarz o tym, że nie może

się doczekać, aż obejrzy wersję z Lutherem. Gdybym tylko nie postąpiła tak okropnie ze spisaniem historii o producencie, być może spojrzałby na mnie i powiedział znacząco, że księżniczka powinna być z dziennikarzem albo coś takiego, ja zgodziłabym się z jego opinią i odjechalibyśmy razem w siną dal. Ale Sam nie chce ze mną rozmawiać ani nawet na mnie spojrzeć. Gdy widzę, jak siedzi obok Marisy, zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest

beznadziejna. Najprawdopodobniej coś ich łączy. A nawet jeśli tak nie jest, to Sam i tak mnie teraz nienawidzi.

Jest pierwsza w nocy. Marisa i Federico jeszcze nie wyszli, świetnie się bawią, a Luther najwyraźniej nie ma zamiaru kłaść się spać. Gdy po raz dziesiąty próbuje dolać mi szampana, zbieram się, wymawiając się zmęczeniem i koniecznością spakowania.

– Nie! – protestuje Luther, gdy wstaję. – Nie jesteś lojalna wobec reszty towarzystwa!

Czerwienię się na wzmiankę o braku lojalności.

– Mam samolot o jedenastej – mamroczę pod nosem.

– Przepraszam, że nie mogę cię zawieźć na lotnisko –

usprawiedliwia się Marisa. – Muszę coś załatwić. Sam, zawieziesz ją?

– Nie będę miał czasu – odpowiada krótko. Marisa jest

zdziwiona.

– W porządku, wezmę taksówkę. Dobranoc wszystkim.

– Ej, daj spokój, stary – mówi nieoczekiwanie Luther. –

Ciężko pracowała. Podwieź ją na lotnisko.

Ten niespodziewany miły gest, który porównuję z tym, co

miałam zamiar zrobić Lutherowi, rozbija mnie kompletnie. Czuję, że w kącikach oczu zbierają mi się łzy i coś staje w gardle.

– Dobrze, w porządku – rzuca Sam.

Uciekam do pokoju, zanim całkiem się rozkleję. Ulżyło mi.

Sam teraz mnie nienawidzi, ale wiem, że jeśli będę miała okazję z nim porozmawiać, potrafię się wytłumaczyć. Taką przynajmniej mam nadzieję. Zasypiam, ćwicząc, co mu powiem.



Rozdział 30

Spakowałam swoje rzeczy. Jestem gotowa. Zaglądam pod

łóżko i do wszystkich szuflad. Wyjeżdżam za dwadzieścia minut.

Zostawiam tu brązową włosiennicę – chciałabym ją rytualnie spalić, ale zostało mi zbyt mało czasu. Uznaję, że Poppy może dobrze wyglądać w jaskrawym kostiumie kąpielowym, więc

zabieram go ze sobą. Przed chwilą pożegnałam się z Marią Santą i podziękowałam jej za pomoc. Dostrzegam Marisę, która

wyskakuje ze swojego samochodu i biegnie w kierunku domu.

– Co się dzieje? – pyta Sam, który właśnie wyszedł na taras z Lutherem.

– Rozmawiałam przed chwilą przez telefon z Annabel –

wyjaśnia Marisa. – Sprawiała wrażenie przerażonej. Jest w

mieszkań Nikosa. Mówi, że się pokłócili i on ją mocno

wystraszył. Chce, żeby ktoś po nią przyjechał.

– Powiedz jej, żeby zamówiła taksówkę – mówi Luther.

– Uderzył ją? – dopytuje się Sam.

Marisa kręci głową.

– Nie wiem. Nie było czasu. Powiedziała, że nie może długo rozmawiać, więc obiecałam jej, że przyjedziemy i ją zabierzemy.

Sam, czy mógłbyś, proszę, pojechać i ją zabrać? Podała mi adres –

spogląda na mnie. – Oj, zaczekaj, zapomniałam. Zawozisz Alice na lotnisko.

– Nie. Myślę, że powinienem pomóc Annabel – mówi Sam.

Gdy słyszę te słowa, wiem, że straciłam go na zawsze.

– Cholera – rzuca Luther. – Wiedziałem, że powinienem spakować swojego gnata. Nieważne, mogę walczyć gołymi

rękoma. Załatwię tego Nikosa.

– Spokojnie, Starsky. Nie jedziesz. Zapomnij o tym –

stwierdza Sam i wchodzi do domu.

– O czym ty mówisz? – Luther podąża za nim. –

Potrzebujesz wsparcia. Na litość boską, jesteś mormonem. Co masz zamiar zrobić? Zamordić go na śmierć? Potrzebujesz kogoś z ulicy, kogoś takiego jak ja.

– Nie! Twoja agentka prasowa już mnie nienawidzi.

– Chodź, *bella* – zwraca się do mnie Marisa. – Zawiozę cię na lotnisko.

Wiedziałam. Wiedziałam, że coś takiego się zdarzy. Nawet

jeśli Annabel jest w niebezpieczeństwie, w co osobiście wątpię, ma kiepskie wycucie czasu. Wchodzimy do domu. Sam zakłada buty, a Luther ćwiczy przed lustrem wyciąganie broni.

– Ej, musimy się pożegnać! – oznajmia Luther. – Alice, było naprawdę przyjemnie – delikatnie uderza mnie w ramię, po czym zmienia zdanie, mocno mnie obejmuje i podnosi do góry. – Wracaj bezpiecznie. Ucałuj ode mnie królową.

– Do zobaczenia, Luther – mam kluchę w gardle.

Odwracam się w kierunku Sama.

– Dziękuję za pomoc.

– Pa! – odpowiada szorstko, nie patrząc nawet na mnie.

Odchodzę szybko, zakładam okulary przeciwsłoneczne, zanim ktoś zobaczy, że oczy zaszkły mi łzami.

Wsiadamy do samochodu, Marisa uruchamia silnik. Luther

wychodzi na zewnątrz, przez sekundę macha nam na pożegnanie, po czym znika. Gdy jedziemy w kierunku bramy, coś do mnie

dociera: to koniec, nigdy więcej go nie zobaczę. Uprzejme pytanie Marisy: „Czy coś się stało?” okazuje się zabójcze. Próbuję na nie odpowiedzieć, ale szlocham zbyt mocno.

– Prze... praszam – mówię między jednym a drugim

łkaniem. – Ale to było takie trudne.

– Wiem, ale – uśmiecha się i nie jest zdziwiona – skończyłaś książkę! Co za sukces.

W odpowiedzi potrząsam tylko głową.

– Dlaczego Sam tak dziwnie się wobec ciebie zachowuje? –

pyta Marisa. – Pokłóciliście się?

Szybko wdycham powietrze i biorę łyk wody z butelki.

Uświadamiam sobie, że muszę wziąć się w garść, inaczej nie wpuszczą mnie do samolotu.

– Pokłóciliśmy się o książkę.

– Ach – odpowiada zamyślona. Po czym zmienia temat i

przez resztę drogi żadna z nas nie wspomina już o Samie.

Na lotnisku obejmuję Marisę z całych sił. Proszę ją o adres, bo zamierzam wysłać jej szampana albo kwiaty, albo słonia czy coś takiego.

– Oto mój adres mailowy – mówi i zapisuje go na kartce. –

Dobrze byłoby, gdybyś najpierw w ten sposób się ze mną skontaktowała, bo... być może niedługo się przeprowadzę.

Gdy wypowiada te słowa, spuszcza wzrok i lekko się

rumieni. Jej zapowiedź wydaje się definitywna. Pewnie zostawia Federica dla Sama. Być może nawet

przeniesie się do Los Angeles.

No cóż, będą stanowić ładną parę. Biorę głęboki wdech, bo za wszelką cenę nie chcę pokazać jej, jaką mi to sprawia przykrość.

– Bardzo ci za wszystko dziękuję, Mariso. Naprawdę nie dałabym sobie bez ciebie rady.

– Niente – odpowiada. Nie ma za co. Całuje mnie na pożegnanie i macha do mnie, gdy zmierzam w stronę wyjścia.

W samolocie pasażerowie, którzy siedzą obok, gapią się na mnie. Wiem, że z przekrwionymi oczami stanowię niezłą atrakcję.

Żeby przetrwać lot, zamawiam gin z tonikiem. Podają go w plastikowym woreczku, kosztuje pięć euro. Samolot ląduje na lotnisku Stansted o czternastej trzydzieści. Przypadkowe miejsce i czas. Gdy wlokę się do sali przylotów i widzę wszystkich tych ludzi, którzy po kogoś przyjechali, staram się nie myśleć o tym, jak Sam czekał na mnie na lotnisku Fontanarossa.

W porównaniu z jasną i upalną Sycylią Anglia jest szara i przygnębiająca. Pada. To jeden z tych letnich dni, które bardziej pasują do marca czy października. Mam na sobie żakiet w paski i granatową spódnicę, jest mi zimno. Jeden z bankomatów nie

działa, więc bardzo długo stoję w kolejce, po czym czekam na autobus do Victoria Station. Kolejka do autobusu ma chyba

kilometr. Za mną płaczą dzieci, a mężczyzna stojący przede mną kłóci się z konduktorem. Im dłużej tam stoję, tym bardziej wydaje mi się, że wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwóch tygodni, było snem.

Podróż z lotniska do domu trwa chyba tak samo długo, jak

lot. Muszę przejechać metrem przez całe miasto. Docieram na miejsce, rzucam torby w przedpokoju i idę do kuchni nalać sobie szklankę wody. Zlew jest wypełniony brudnymi naczyniami, w tle słyszę mecz piłki nożnej. Martin, mój współlokator, wchodzi do kuchni. Ma na sobie koszulkę Realu Madryt.

– O, cześć, Alice. Jak było w Hiszpanii?

– W porządku. We Włoszech było w porządku.

– Fajnie – wyjmuje z lodówki główkę sałaty. Przez chwilę ją ogląda, po czym odrywa jeden liść, smaruje go masłem

orzechowym, zwija w rulonik i zjada.

– Yhm... Czy Ciara jest w domu?

– Nie. Chyba wyszła z jakimś kolesiem – opuszcza kuchnię, zostawiając otwarte drzwi lodówki.

Zamykam je odruchowo. Powinnam się cieszyć, że Ciara

kogoś poznała, ale w tej chwili czuję się przez to jeszcze bardziej samotna. Co mam teraz zrobić? Mogłabym sobie zaparzyć herbatę, zadzwonić do Ruth albo rodziców, rozpakować swoje rzeczy,

wyprać ubrania, sprawdzić maile, ale nie mam na to siły. Biorę torbę i udaję się do sypialni, przechodząc przez salon, w którym Martin ogląda mecz. Wszystko jest dokładnie takie samo jak wtedy, gdy wyjeżdżałam. Znów jestem w swoim pokoju, z moimi płytami DVD i patrzę na kartonowe kwadraty. Te dwa tygodnie –

właściwie nawet niecałe dwa tygodnie – skończyły się, a ja wracam do prawdziwego życia.



Rozdział 31

Naprawdę muszę się solidnie motywować, żeby następnego

ranka zwlec się z łóżka i wziąć prysznic. Gdy myślę o całym tym gniewie, jaki na mnie spadnie, jestem tak przerażona, że niemal rezygnuję z pójścia do pracy. Ubierając się, wymieniam sobie powody do zadowolenia. Numer jeden: mamy książkę Luthera.

Numer dwa: być może teraz, gdy wszystko się udało, wybaczą mi. Numer trzy... spotkam się z Poppy. Tyle na razie musi mi wystarczyć.

Kiedy docieram do biura, Olivia już siedzi za biurkiem. Jest blada i jeszcze szczuplejsza niż zwykle, a sukienka od Orla Kiely, którą ma na sobie, trochę na niej wisi. Czuję się nieco winna, kiedy uświadamiam sobie, jak była zestresowana, gdy chora została w Londynie, a ja, pozostawiona sama sobie, znalazłam się na Sycylii.

Biorę głęboki oddech i pukam do drzwi jej gabinetu.

– Dzień dobry – witam się cicho.

Przez moment patrzy na mnie.

– O, wróciłaś.

Na lotnisku kupiłam oliwę dla Poppy, a dla Olivii ciasteczka migdałowe, które przynoszę jako dar pokoju, ale teraz wiem, że to głupie. Mam już wychodzić, gdy moja szefowa mówi:

– Alice, czy możemy się spotkać o dwunastej? Wcześniej

możesz nadrobić inne zaległości.

– Oczywiście.

Nie było tak źle. Wracam do swojego biurka, po raz pierwszy mając nadzieję, że może cała ta sprawa nie zakończy się katastrofą.

– Cześć, Henry – witam jednego z asystentów i włączam

komputer.

– O, cześć – odpowiada wymijająco. Normalnie ucielibyśmy

sobie pogawędkę, ale teraz ucieka i siada przy swoim biurku.

To dziwne. Właściwie generalnie w biurze panuje nietypowa

atmosfera. Mam wrażenie, że wszyscy mnie unikają. Ale może tylko tak mi się wydaje. Często tak jest, gdy wracasz z urlopu –

wszyscy się tobą interesują przez pięć minut, ale, co naturalne, są pochłonięci własnym życiem. Poppy cieszy się, że mnie widzi, lecz akurat zajmuje się redakcją koszmarnej książki, więc tylko macha mi na powitanie i mówi, że porozmawiamy później.

Gdy nadchodzi dwunasta, Olivia wychyla się zza drzwi.

– Alice, możesz do mnie przyjść?

Wchodzę do jej gabinetu. Jestem zdziwiona, że znajduje się tam też kobieta, którą skądś kojarzę. Ma kaszta- nowe półdługie włosy, okulary, a na sobie szarą prążkowaną spódnicę i niebieski kardigan. W ręce trzyma jakąś teczkę.

– To Kim Lewis z działu kadr – wyjaśnia Olivia.

I właśnie w tym momencie zdaję sobie sprawę, że zaraz

stanie się coś bardzo złego.

– Alice – mówi Olivia – to nie będzie łatwe dla nikogo z nas, więc powiem krótko. Ostatnio mieliśmy z tobą sporo problemów w związku z książką Luthera Carsona i obawiam się, że są one na tyle poważne, że nie mamy wyboru i musimy ci podziękować za współpracę.

– Co? – jestem zaskoczona. Nic nie rozumiem. Przez chwilę

zastanawiam się, czy przenoszą mnie do innego działu albo coś takiego.

– Zwalniamy cię z powodu nieprofesjonalnego zachowania –

oznajmia Kim.

Zwalniają mnie. Wiedziałam, że może to nastąpić.

Wyobrażałam sobie tę chwilę, ale teraz, gdy to się dzieje

naprawdę, nie mogę w to uwierzyć. Olivia zerka na Kim, a ta odchrząkuje.

– Po pierwsze, podjęłaś decyzję o zwolnieniu autora –

zaczyna Kim formalnym tonem. W zupełnym oderwaniu od

rzeczywistości myślę sobie, że ma bardzo kojący szkocki akcent, który być może ułatwia przekazywanie złych wieści. Zastanawiam się, czy to dlatego dostała tę pracę.

– Nie zwolniłam go – odpowiadam tak grzecznie, jak

potrafię. – Kazałam mu wyjechać i pracować w domu...

– Tak, ale nie miałaś prawa tego zrobić – stwierdza Olivia. –

A poza tym jest jeszcze kwestia braku zapisu w umowie.

– Nieumieszczenie zapisu w umowie było pomyłką, wiemy o

tym – mówi Kim gładko, a ja zastanawiam się, czy ćwiczyły razem tę rozmowę. – Ale to, że nie powiadomiłaś niezwłocznie swojej przełożonej o tym, stanowiło zaniedbanie.

Obie spoglądają na mnie tak, jak gdyby oczekiwały

odpowiedzi. Ale ja nie jestem w stanie wymyślić, co mogłabym powiedzieć. Czuję się, jakbym oglądała przedstawienie albo jakiś występ w duecie i mój udział był niepotrzebny. Skinieniem głowy pokazuję, że mogą mówić dalej.

– No i pozostała jeszcze kwestia zdjęcia – dodaje Olivia.

To nowość. Jakie zdjęcie? Olivia wstaje i przegląda

zawartość jednej z drucianych tacek na dokumenty. Wyjmuje

plotkarskie czasopismo, jedno z tych tańszych. Co to takiego? Czy Luther zrobił coś strasznego? A może ktoś przyłapał mnie i Sama?

Teraz naprawdę się boję. Serce bije mi jak szalone. Czy ktoś zrobił

zdjęcie, gdy całowaliśmy się z Samem na plaży?

Podaje mi otwarty magazyn. Nie wierzę w to, co widzę.

Zdjęcie przedstawia mnie i Luthera, gdy wytaczamy się z klubu nocnego. Luther obejmuje mnie ramieniem, jego palce zbliżają się do mojego dekoltu w bardzo lubieżny sposób, a ja wyglądam na kompletnie nawaloną, na mojej twarzy zaś gości dziwny uśmiech à la *Dolina lalek*. Podpis głosi, że Natasha Pullman szaleje z rozpaczy, bo Luthera widziano na Sycylii w towarzystwie

„tajemniczej blondynki”. Czuję, że robi mi się gorąco.

– Później był jeszcze ten mail, który rozesłano po publikacji zdjęcia – dorzuca Olivia. – Jeden z tych plotkarskich newsletterów, w którym była mowa o tym, jak pewna redaktorka została

przyłapaną na obściskiwaniu się ze swoim sławnym autorem i tak dalej.

Kim spogląda na Olivię. Zastanawiam się, czy

„obściskiwanie się” znajduje się w jej oficjalnym zasobie słów. I co ważniejsze: dlaczego, do cholery, tyle mediów się tym

zainteresowało? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Czy mówili o tym w wieczornych wiadomościach?

– Zwłaszcza ten mail był niepokojący, ponieważ dociera do

wielu ludzi z branży. Sporo osób dzwoniło w tej sprawie i Alastair musiał podjąć pewne wysiłki, żeby uciszyć tę historię. Firma wypadła przez to bardzo nieprofesjonalnie – mówi Olivia.

– To bardzo nieodpowiednie zachowanie. Nie jest zgodne ze

standardami firmy. Źle wpływa na jej reputację – wyjaśnia Kim, jakbym nie rozumiała, co znaczy słowo „nieprofesjonalny”.

Doskonale wiem, co ono oznacza. To jedno z najgorszych

określeń, jakich można użyć, nieprawdaż?

Kim zaczyna teraz mówić prawniczym żargonem o

konsultacjach, bezpieczeństwie, natychmiastowym czymś tam.

– Czy masz jakieś pytania? – zwraca się do mnie w końcu

swoim kojącym głosem.

– Uhm... – właściwie to nie mam pytań, ale lepiej będzie,

jeśli jakieś zadam. – Jaki jest okres wypowiedzenia?

Kim i Olivia znów wymieniają spojrzenia.

– Otrzymasz wynagrodzenie za cały miesiąc – oznajmia Kim

– ale lepiej będzie, jeśli zakończysz pracę dzisiaj.

– Mam dużo zadań do przekazania. Z kim powinnam...?

– Zostaw pisemne instrukcje – decyduje Olivia. – Jeśli

będziemy potrzebować czegoś ważnego, mamy dostęp do twojej poczty elektronicznej.

Raz jeszcze kiwam głową i wstaję.

– Alice – mówi Kim. Odwracam się. Potrząsa paczką

chusteczek. – Chusteczkę? – proponuje grobowym tonem.

– Uhm, nie, dziękuję.

Odwracam się i wychodzę. Nie jestem całkiem pewna, co

mam robić, dokąd iść ani jak powinnam wyglądać. Ludzie

przyglądają mi się, a ja uświadamiam sobie, że na pewno krążyły na ten temat plotki. Wiedzą, że coś się dzieje. Ale ja dalej nie mogę uwierzyć w to, że zostałam zwolniona.

Na drugim końcu biura na naszym piętrze jest jakieś

zamieszanie. Wszyscy zgromadzili się wokół biurka Claudine, słysząc mnóstwo okrzyków i odgłosy świętowania. Jeśli wrócę do swojego biurka, będę sprawiać wrażenie, że się dąsam, podchodzę więc tam tak spokojnie, jak tylko potrafię. Na początku myślę, że ma urodziny, ale później słyszę słowo „awans”. Może to tylko moja wyobraźnia, lecz wydaje mi się, że kiedy się zbliżam, wszyscy przestają rozmawiać i gapią się na mnie.

– Gratuluję, Claudine – mówię.

– O! Nasza gwiazda filmowa! – Claudine nachyla się i, co

bynajmniej mi się nie podoba, obejmuje mnie. Po czym

natychmiast zaczyna opowiadać swoją historię o tym, jaka jest zaskoczona i zdziwiona z powodu tego, że w końcu została

mianowana redaktorem. Uśmiecham się z największym spokojem, na jaki mnie stać, a ona wylewa z siebie potoki słów. Zauważam, że nie ja jedna tak robię: Henry, drugi asystent działu non-fiction, też piorunuje ją wzrokiem. Choć Poppy ma wyraz twarzy, który niczego nie zdradza, spogląda w moją stronę i unosi brew.

Wymykam się z powrotem na swoje miejsce tak szybko, jak

to możliwe. Siadam przy biurku i tworzę plik tekstowy, który nazywam „Przekazanie obowiązków”. Wpatruję się w niego. Od czego mam zacząć? Po chwili z opóźnieniem uświadamiam sobie: nie wyjeżdżam na wakacje, nie biorę bezpłatnego urlopu, nie składam wypowiedzenia. Przed chwilą zostałam zwolniona. Nie chcę przekazywać swoich obowiązków.

Wstaję, pozostawiam otwarty plik i migający kursor.

Zabieram się do porządkowania swoich rzeczy. Jest ich tak dużo, że zajęcie się wszystkimi trwałoby wiele godzin. A ja nie chcę tu zostawać tak długo. Do bawełnianej torby ładuję baletki, zapasowe balsamy do ust i parę innych drobiazgów, kartki od autorów, parę książek i tyle. Cztery lata pracy w jednej gównianej torbie na książki. Żałuję, że nie mogę zabrać ze sobą mojej zielistki, ale nie chcę przyciągać uwagi, wychodząc z biura z doniczką. Na pewno zostawię tu plakat z Lutherem. Nie rozmawiam z nikim, na nikogo nie patrzę. Po prostu wychodzę, ignorując spojrzenia i szmer rozmów, który narasta za moimi plecami. Kiedy przechodzę obok gabinetu Olivii, miga mi przed oczami wzór na jej sukience, ale nie patrzę na nią.

Gdy czekam na windę, słyszę stukot obcasów zmierzających

w moim kierunku. To Poppy. Jest ubrana w niebieski dżinsowy kombinezon i srebrne szpilki i wygląda, jakby grała w *Top Gun*.

– Alice! Dokąd idziesz? Co się stało?

– Wylali mnie – szepczę do niej.

– Co zrobili? Dlaczego? Dlaczego cię wylali? – kiedy słyszę, jak bardzo jest zmartwiona, zaczynam płakać po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Chodź – mówi Poppy i wpycha mnie do windy. Była na

tyle przytomna, by zabrać ze sobą torebkę. – Idziemy na drinka.

– A co z pracą?

– Strajkuję – oznajmia Poppy złowrogo.



Poppy proponuje, by udać się do Dog and Duck, ale w tym

lokalu zawsze pełno jest spotkań biznesowych, więc idziemy do Queen's Head. Zamawia dla nas podwójny gin z tonikiem,

hamburgery i frytki, choć ja nie jestem w stanie przełknąć ani kęsa.

Nalegam, żebyśmy usiadły w najciemniejszym kącie. Nie chcę, żeby zauważył nas ktoś z biura.

– Nie mogę uwierzyć, że cię zwolnili – powtarza Poppy. – Co za dranie! To takie niesprawiedliwe!

Udaje mi się nie rozkleić i opowiadam Poppy o wszystkim,

co się wydarzyło. Ale mówię tylko o pracy, nie mogę wspomnieć o Samie, to dla mnie zbyt bolesne.

– To znaczy wiedziałam, że istnieje taka możliwość od

momentu, gdy wyszła na jaw sprawa umowy i wyjazdu Briana, ale nie miałam pojęcia o zdjęciu ani o mailu. A ty wiedziałaś? –

pytam.

– Tak – odpowiada. Widzę, że czuje się niezręcznie. –

Widziałam zdjęcie i słyszałam, jak ktoś mówił o mailu. To był

jeden z tych newsletterów z plotkami. Wiesz, że nikt nie traktuje ich poważnie.

– Masz go jeszcze? Mogę go zobaczyć?

Poppy wyjmuję iPhone'a i po kilku minutach znajduje

wiadomość. „Po tym, jak wydawnictwo zapłaciło celebrycie

rzekomo dwa miliony dolarów za napisanie autobiografii, jego szefowie muszą się czerwienić ze wstydu, gdyż pojawiły się plotki, że redaktorka powiększyła grono podbojów gwiazdy. Wygląda na to, że zwolniła autora, który miał pomóc w pisaniu książki, tylko po to, by mieć aktora na wyłączność. Para skryła się w wakacyjnej willi, widziano ich w klubie nocnym, gdzie byli ze sobą bardzo blisko. Miejmy nadzieję, że dowiemy się o wszystkim z

autobiografii”.

•

Ta informacja przypomina mi jeden z tych koszmarów, w

którym wchodzę do supermarketu, będąc zupełnie naga.

– Prawdopodobnie mogłabyś ich pozwać – stwierdza Poppy.

– To oczywiste, że wszystko zmyślili.

Gdy słyszę jej słowa, krzywię się i ukrywam twarz w dłoniach.

– Problem polega na tym, że nie zmyślili tego. W pewnym sensie, to znaczy tylko ten jeden raz faktycznie się do siebie zbliżyliśmy w klubie nocnym.

Poppy odkłada na stół swojego drinka.

– Co?! Opowiedz mi o tym natychmiast.

Rozglądam się najpierw, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje, i opowiadam jej o wszystkim: o Lutherze, o szampanie, tańcu i o tym, jak niemal go pocałowałam.

– Dobry Boże – mówi Poppy po wysłuchaniu mojej opowieści. – Wiesz, czapki z głów. Atrakcyjny znany facet próbował cię uwieść, a ty odmówiłaś. To niesamowite!

– Nie, to wcale nie jest niesamowite. Po pierwsze, nie powinnam w ogóle iść do tego klubu i się upijać. Po drugie, nie powinnam była odsyłać Briana do domu. Powinnam była inaczej postąpić w tej sytuacji. Zachowałam się jak idiotka – podsumowuję, po czym dodaję cicho: – Zasłużyłam na to, żeby mnie zwolnili.

– Alice! – krzyczy Poppy. – Posłuchaj się! Gdy tam jechałaś, książka nie istniała, powstała dzięki tobie i przyniesie firmie miliony zysku. Co z tego, że tańczyłaś z Lutherem i ktoś zrobił głupie zdjęcie? A Brian? Jego żona ma raka. Co miałaś zrobić, przykuć go łańcuchem do biurka? Kogo obchodzi, jak to zrobiłaś?

Ważne, że zmusiłaś Luthera do napisania książki!

Ryczę już na całego, ale jestem jej bardzo wdzięczna. Cóż ja bym bez niej zrobiła?

– Uważam, że zachowali się jak dranie – powtarza. –

Mogłabyś ich pozwać. A ja w ramach solidaryzowania się z tobą będę strajkować.

– Nie, nie rób tego – wiem, że Poppy jest tak jak ja bez grosza.

– A jak stoisz z kasą? Mogę ci pożyczyć...

– Oj, nie. To bardzo miłe z twojej strony, ale dam sobie radę przez parę tygodni. Zadzwoń do Eriki. Pewnie będzie mogła mi pomóc.

– I specjalizuje się w prawie pracy – przypomina mi Poppy. –

Mogę się założyć, że pomoże ci złożyć pozew i odniesiesz spektakularne zwycięstwo.

Wycieram nos w papierową serwetkę i wzruszam ramionami.

Jestem zbyt przygnębiona, by odnosić przełomowe zwycięstwo.

Chcę wrócić do domu i obejrzeć *Napisała: Morderstwo*.

– Ej, pewnie nie jest to najlepszy moment, ale mam coś dla ciebie. Może cię to pocieszy albo przez chwilę się z tego

pośmiejesz... – Poppy grzebie w miękkiej torbie ze skóry z

włosiem i wyciąga coś, co wygląda jak paczka prezerwatyw.

– Dobry Boże – mówię. – Wiem, że byłam ostatnio trochę nierozważna, ale nie ma potrzeby edukować mnie seksualnie.

– Nie, nie – protestuje Poppy. – To zaproszenie na wernisaż

„Ta suka mnie skrzywdziła”. Piątek wieczór. – Jasne: wystawa jej byłego chłopaka. Teraz widzę, że opakowanie nie jest prawdziwe, to tylko kwadratowy kawałek folii, który z jakiegoś powodu ma wyglądać jak prezerwatywa.

– Okropne, nieprawdaż? Typowe dla Crippa.

Kiedy słyszę to imię, wiem, że będą problemy. Naprawdę ma

na imię Crispin, teraz sobie przypominam, i jest o wiele większym snobem, niż się wydaje.

– Zamierzam zrobić szybkie rozeznanie w przebraniu –

wyjaśnia Poppy. – Wejdziemy i wyjdziemy nie później niż po godzinie. Potem skoczmy na drinka. Co o tym sądzisz? Może to oderwie cię od...

– Niech pomyślę – wzdycham. W tym momencie nie jestem

w stanie wymyślić niczego, na co miałabym mniejszą ochotę niż telepanie się aż do East Endu, żeby oglądać instalację jakiegoś idioty, ale jestem to winna Poppy.

Gdybyśmy nie przyszły na tego drinka, nie wiem, czy

dotarłabym do domu w całości.

Nagle zdaję sobie z czegoś sprawę.

– Poppy, skąd wiedzą, że odesłałam do domu autora?

– Co?

– W tym mailu. Było napisane, że odesłałam autora do domu.

Na pewno nikt o tym nie wiedział oprócz ciebie i Olivii? –

spoglądam na nią i równocześnie mówimy: – Claudine.

– Na pewno podsłuchiwała naszą rozmowę – stwierdza Poppy.

– I zna Simona – dodaję. – O Boże! On zna ludzi, którzy

rozsyłają te maile. Dam sobie rękę uciąć, że opowiedziała mu o tym, a on napisał tę wiadomość. Nawet stylistycznie to do niego pasuje.

– O cholera – mówi Poppy. – Alice, tak mi przykro.

– To nic takiego – odpowiadam otępiała. – Posłuchaj... lepiej będzie, jak wrócisz do biura.

Wlokę się na stację metra. Pełno tu turystów zmierzających na lotnisko Heathrow, obładowanych ciężkim bagażem, co

przypomina mi o mojej zagubionej walizce, której nigdy nie odzyskałam. Kiedy czekam na peronie, nagle ogarnia mnie strach, bo zauważam Luthera. To tylko plakat reklamujący jego nowy film, *Na szarym końcu*. Przesuwam się, żeby go nie oglądać. Czuję się dziwnie, gdy jadę metrem w środku dnia i nie mam nic do zrobienia ani nie muszę nigdzie iść. Jak nazwał mnie Sam, gdy się poznaliśmy? Dziewczyna poza biurem. Teraz naprawdę nią jestem.

Podliczam w głowie sumy i zastanawiam się, ile pieniędzy mi zostało do czasu, gdy będę musiała zapłacić czynsz.



– Dobra – zaczyna Erika, nastawiając wodę na herbatę –

zaczniemy od najważniejszego: czy masz ze sobą umowę o pracę?

Potrząsam głową.

– Wszyscy o tym zapominają – wzdycha. – Nie martw się,

Al. Jakoś to rozwiążemy.

Moja siostra wyszła wcześniej z pracy i przyjechała do mnie na szczyt kryzysowy. Ciara też tu jest, a Poppy dojedzie później.

Ruth również chciała uczestniczyć w spotkaniu, ale utknęła na imprezie firmowej, więc powiedziała, że ugotuje dla mnie jutro obiad. Ciara zamówiła hinduskie jedzenie, a Martin – choć raz –

wyszedł z domu.

Idziemy do salonu, gdzie opowiadam im wszystko, co

zapamiętałam z rozmowy o powodach mojego zwolnienia. Erika wyjmuje notatnik i zadaje mi mnóstwo pytań: interesuje ją, kto był

odpowiedzialny za umowę i inne szczegóły. W końcu mówi:

– Żaden z tych powodów nie wydaje się na tyle poważny, by

uzasadnić natychmiastowe zwolnienie. Zwłaszcza że książka jest na satysfakcjonującym poziomie, a firma nie zaznała trwałego uszczerbku.

Odczuwam wielką ulgę, gdy słyszę te słowa. Erika jest

prawniczką i jeśli ona uważa, że moje postępowanie nie jest aż tak straszne, to być może faktycznie takie nie jest.

– A co z rażącym wykroczeniem? – pytam z

powątpiewaniem. – Za to mogą mnie od razu wyrzucić.

– Alice, owszem, ale gdybyś coś ukradła albo uderzyła

współpracownika – wyjaśnia cierpliwie. – A ty popełniłaś po prostu serię błędów.

Ciara klęka naprzeciwko Eriki i nalewa nam herbaty. Cieszę się, że znów je widzę. Po mojej wizycie we Włoszech wydają się jeszcze bardziej jasnowłose i niebieskookie. Ciara odznacza się takim samym typem urody jak ja i Erica, tylko że ona ma kręcone włosy, a my proste.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nie umieściłaś w książce

tego fragmentu o Hawajach, cokolwiek to jest – mówi moja

współlokatorka. – Opowiedział ci o tym podczas wywiadu,

nieprawdaż?

– Chodzi o to, że nie rozumiał konsekwencji. Luther jest w tej kwestii jak dziecko. Chciał o tym komuś powiedzieć, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, co to będzie oznaczało dla jego kariery i w ogóle. Efekty byłyby dla niego katastrofalne.

– No cóż, to o twoją karierę się bardziej martwię – wtrąca Erika. – Uważam, że masz mocne podstawy, by wnieść sprawę o nieuzasadnione zwolnienie. Mogłabym cię reprezentować w sądzie jako wolny strzelec. Choć moje ubezpieczenie w pracy tego nie obejmuje, więc...

– Nie chcę. Nie jest to tego warte. Poza tym... jest coś

jeszcze, a ja nie chciałabym, żeby to wyszło na jaw, gdyby doszło do sprawy w sądzie i tak dalej.

– Co jeszcze? – pyta natychmiast Erika i odkłada kubek.

– Miałam... – grrr – coś w rodzaju... no, romansu...

– Z Lutherem?

– Nie, nie. Z Samem. Agentem Luthera. My... – spoglądam

na nie. Jak mam to ująć? – Mieliśmy przygodę na jedną noc. W

sumie to było coś więcej. Naprawdę go lubiłam. No i właśnie dlatego nie chcę iść z tą sprawą do sądu. Żeby ta kwestia nie wyszła na jaw.

Obie wyglądają na nieco zszokowane.

– Myślę, że to bardzo nieprofesjonalne z jego strony – oburza się Erika. – Ile lat ma ten mężczyzna?

– Z mojej strony także! Do tanga trzeba dwojga. Ma

dwadzieścia osiem lat. Ale teraz mnie nienawidzi.

– Jestem pewna, że tak nie jest – mówi Ciara. – Co się stało?

Z dużą niechęcią opowiadam im o tym, jak Sam myślał, że

zdradzę jego i Luthera i zamieszczę opowieść o Hawajach w

książce.

– Gdybyście zobaczyły, jaką miał minę. Nie chciał na mnie

nawet spojrzeć ani ze mną rozmawiać. A poza tym jest

zainteresowany inną kobietą.

– Kim? – pyta Ciara niepewnie. – Och, zaczekaj, dzwonek do drzwi. To pewnie nasze jedzenie – biegnie, żeby otworzyć.

Opowiadam Eriке o Marisie i o tym, jak okazała się byłą dziewczyną Sama.

– Nie mów o tym мамie ani тacie – dodaję.

– To przypomina reality show z celebrytami romansującymi

na odludnej wyspie – stwierdza Erika i potrząsa głową. – Jakim cudem którekolwiek z was miało czas, żeby zająć się pracą?

– Cześć! – to Poppy obładowana kartonem z książkami i papierami, które zostawiłam w biurze, i – niech Bóg ją błogosławi

– moją zielistką.

– Co przegapiłam? – dopytuje się Ciara. – Kim była ta druga kobieta Sama?

– Sam? – pyta Poppy. – Wiedziałam! Całe to gadanie o tym, że wszystko chce kontrolować i że jest taki sztywny... Robił wrażenie bardzo seksownego.

– Nieważne – odpowiadam lakonicznie. Nie chcę o tym w ten sposób rozmawiać.

Wszystkie wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Poppy

wygląda na zakłopotaną. Erika wstaje z sofy i siada obok mnie na podłodze.

– Tak mi przykro, Al – mówi i obejmuje mnie. – Wiem, że miałaś ciężki okres. Nie musisz nam o niczym mówić, jeśli nie masz na to ochoty.

Ciara popycha w moją stronę pudełko chusteczek

higienicznych, a Poppy nalewa mi вина do kieliszka. Zaczynam im opowiadać: o tym, jak na początku nie znosiłam Sama, a później dostrzegłam jego inną stronę, i jak spędziliśmy razem noc, po czym zdałam sobie sprawę, że coś go łączy z Marisą.

– Chodzi o to, że – wyjaśniam – wiem, że oni do siebie o

wiele lepiej pasują. Ona jest zdecydowanie bardziej w jego typie.

Jest piękna, wyrafinowana i zna się na przemyśle filmowym...

– Poczekaj chwilę – przerywa mi Poppy. – Poza wyprawą do

Rzymu jakie masz dowody, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń?

– No cóż, powiedziała, że być może wkrótce się

przeprowadzi... – odpowiadam niepewnie.

– Nie uważam, żeby to coś znaczyło. Wydaje mi się, że Sam

cię lubi – oznajmia Poppy. – Spełniał wszystkie twoje zachcianki, zawrócił ci w głowie, obściskiwał się z tobą na plaży, zaprosił na kolację, pił z tobą wino i pukał do twoich drzwi późno w nocy – to mi wygląda na zachowanie kogoś zauroczonego.

Nie jestem w stanie znieść myśli, że być może podobałam się Samowi i to schrzaniłam. Ale nie wydaje mi się, żeby mnie lubił –

a przynajmniej nie tak bardzo.

– Szczerze powiedziawszy, Poppy, być może tak to wygląda,

ale Sam to naprawdę nie moja liga. On też tak uważał.

– Dlaczego tak mówisz? – pyta Ciara.

– No cóż... – zastanawiam się, jak to wytłumaczyć, i zdaję

sobie sprawę, że tak naprawdę nie mam zbyt wielu konkretnych dowodów, którymi mogłabym się z nimi podzielić. – No cóż, kiedy poszliśmy na kolację, była tam taka przepiękna Włoszka, a on się na nią gapił.

– Ojej, ślinił się na jej widok, a nie wtedy, gdy postawiono przed nim talerz spaghetti? – ironizuje Poppy.

– Nie znoszę, gdy mężczyźni to robią.

Ciara kiwa głową.

– Nie – odpowiadam ze smutkiem w głosie w pełni

świadoma, że wychodzę na wariatkę. – On tylko rzucił na nią okiem, gdy ją mijaliśmy.

– W porządku – odzywa się Erika. – Jakie jeszcze dowody

ma prokuratura?

– Nic konkretnego. To po prostu... przeczucie – przyznaję z

niechęcią.

– Wydaje mi się, że masz paranoję – stwierdza Poppy. –

Jesteś boska, inteligentna, utalentowana i urocza. Według mnie ten gość chce być w twojej lidze. Dlaczego mu na to nie pozwoliłaś?

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam.

– Wybacz, kochanie – mówi moja siostra. – Nie chcemy cię

pouczać. Ale tak pewnie jest lepiej. To znaczy... jestem pewna, że moglibyście rozwiązać kwestię tego nieporozumienia dotyczącego Hawajów i tak dalej, ale... on mieszka w Los Angeles, czyż nie?

– Tak – odpowiadam, zgrzytając zębami. Wiem, co teraz

nastąpi: związki na odległość są trudne, a nasze życia bardzo się od siebie różnią.

– Związki na odległość są bardzo trudne – zaczyna łagodnie Ciara.

– No i... wygląda na to, że wasze style życia raczej się od

siebie różnią – dodaje Erika.

– Ale ja o tym wiem! To ja wam mówię, że nic z tego nie

będzie. Próbowałam mu wszystko wyjaśnić, a on mi nie wierzył. A poza tym wiem, że jest z Marisą. Tak więc sprawa zakończona –

ocieram łzy z oczu. – Czy możemy już zmienić temat?

Zapada niezręczna cisza, którą przełamuje Ciara, pytając

niezobowiązująco:

– Czy ktoś chciałby usłyszeć o moim życiu miłosnym?

– Okej – mamrocę.

Ciara zerka na mnie, po czym zaczyna opowiadać o nowym

mężczyźnie, którego poznała, jeżdżąc konno. Zauważam, że

wszystkie nerwowo na mnie spoglądają, jakby bały się, że znów na nie naskoczę. Och, Boże. Muszę uważać – w tym tempie wkrótce nie tylko znajdę się bez pracy, lecz także zrazę do siebie wszystkich moich przyjaciół. Ale wiem, że Poppy nie ma racji, jeśli chodzi o Sama. Wydawało mi się w pewnym momencie, że coś nas łączy, jednak, podobnie jak w przypadku Simona, było to tylko złudzenie.



Rozdział 34

Jest piątek – koniec najdłuższego tygodnia w moim życiu.

Przez cały dzień włóczę się po agencjach pracy tymczasowej, odbywając rozmowy o pracę, które wypadają dobrze do chwili, gdy pada pytanie, dlaczego odeszłam z ostatniej firmy. Nie jestem głodna, ale wiem, że powinnam coś zjeść – coś, na co pozwoli mi mój budżet. Poszłam do banku w sprawie włoskiego czeku, ale nawet jeśli szybko go zrealizują, pieniędzy nie wystarczy mi na długo. Nie miałam pojęcia, jaką byłam szczęściarą, gdy mogłam wyjść na taras i sprawdzić, co przygotowała Maria Santa. Kiedy myślę o kolacji we Włoszech, przychodzi mi na myśl Sam, więc staram się zająć głowę czymś innym.

Stoję w sklepie Ine Ood na końcu mojej ulicy i zastanawiam się, co jest najtańsze i ma najmniej przerażających konserwantów.

Martin mówi, że kiedy się tu sprowadził, sklep nazywał się Fine Food, ale litery F odpadły z szyldu i teraz miejsce to nosi nazwę Ine Ood. Dziś jest wernisaż Poppy, lecz wykręciłam się z niego –

źle się czuję, wiedząc, że ją zawiodłam, ale wieczorem nie mam siły wyjść do ludzi. Ruth zaproponowała, żebym dołączyła do niej i Mike'a podczas kolacji, ale nie jestem w nastroju, żeby grać piąte koło u wozu.

Postanawiam, że postąpię naprawdę okropnie i kupię

mrożoną pizzę w promocji za funta i – a co mi szkodzi! – małą butelkę czerwonego wina, mieszczącą półtora kieliszka. Następnie dostrzegam opakowanie cukierków Minstrels. A czemu i ich nie kupić? Jest piątkowy wieczór, mam do tego prawo. Gdy zbieram swoje pyszności, myślę, że dzisiaj będzie klasyczny, smutny, samotny piątkowy wieczór. Potrzebuję jeszcze DVD z

Dziennikiem Bridget Jones i *Mój chłopak się żeni* i będę gotowa.

Mam tylko nadzieję, że nikt mnie nie zobaczy.

Gdyby ktoś mi o tym powiedział, nie uwierzyłabym, ale

dokładnie w momencie, gdy o tym myślę, dostrzegam Simona. Jest na drugim końcu sklepu z dziewczyną. Nie Claudine, inną. Chyba to ta, którą widziałam na zdjęciu z nim na Facebooku.

Zastanawiają się, jakie wino wybrać. Przerazona przypatruję się tyłowi głowy z kręconymi włosami –

tak, to na pewno on.

– Uważam, że powinniśmy kupić szampana – stwierdza dziewczyna.

– Nie ma mowy, kochanie – mówi on. – Nie mogę się tam pojawić z gównem ze sklepu na rogu.

Kojarzycie te fantazje, w których wpadacie na swojego

byłego akurat wtedy, gdy wyglądacie kwitnąco i swobodnie, a jednocześnie idealnie? Ta sytuacja w niczym ich nie przypomina.

Starałam się dobrze wyglądać na rozmowach o pracę, ale

wszystkie moje ładne ubrania z Sycylii są nadal w praniu. Mam więc na sobie starą zieloną spódnicę, której nie lubię, ale której nie mogę wyrzucić, bo była droga, i czarną koszulę, która nie jest już taka czarna jak dawniej. Jednak nawet gdybym wyglądała teraz jak modelka, to Simon jest ostatnią osobą, jaką mam ochotę spotkać.

Natychmiast odwracam się i modlę, by dwie osoby stojące

przede mną w kolejce pośpieszyły się tak, żebym zdołała zapłacić i wyjść. Albo żeby zakupy zajęły Simonowi dużo czasu i mnie nie dogonił. Ale jest już za późno: stają tuż za mną, słyszę ich rozmowę. Czy Simon mnie zauważył? Szkoda, że nie mam

kapelusza ani kaptura. Ani peruki. Jeszcze tylko jedna osoba przede mną. Zapłacę i wyjdę, nie oglądając się za siebie. Jeszcze tylko kilka minut i będę w domu.

Mężczyzna za ladą mówi:

– Trzy pięćdziesiąt dziewięć.

Podaję mu pięć funtów, pakuję moje nędzne zakupy i

mamrocze pod nosem:

– Reszty nie trzeba.

Biegnę truchtem do drzwi, gdy słyszę:

– Alice!

Odruchowo się odwracam. Cholera. Dlaczego się

odwróciłam? Dlaczego po prostu nie uciekłam?

– Tak myślałem, że to ty. To Emilia. Emilio, to Alice.

O co chodzi temu koleśowi? Czy on lubi niezręczne

sytuacje? Emilia trochę przypomina swoją poprzedniczkę

Claudine: bardzo drobna, ciemnowłosa, ubrana w drogie ciuchy.

Ma wąskie usta i w tej chwili zdziwiony wyraz twarzy, który mówi: skąd Simon zna tę zaniedbaną dziewczynę?

– Co tutaj robisz? – pyta Simon, co jest zupełnie idiotycznym pytaniem. Przecież wie, że mieszkam w okolicy! Bardziej na miejscu byłoby zapytać go, co on tu robi.

– Mieszkam tutaj – przypominam mu. – A ty?

– Och, idziemy na kolację do przyjaciół Emilii – Simon

sprawia wrażenie zadowolonego z siebie. Z tonu jego głosu można wywnioskować, że jego towarzyszka ma bardzo atrakcyjnych

znajomych.

Ty to masz szczęście. Czy mogę już iść? Oczywiście, nie

mówię tego głośno.

– To miło – komentuję.

– A ty? – pyta Simon, rozsuwając stopy, jakby próbował się przykręcić do ziemi. Zapomniałam, że ma taki odruch, wygląda to głupio i jest irytujące. Spogląda na moją torbę.

– Spędzasz wieczór w domu?

– Tak – odpowiadam. Odruchowo patrzę na moje zakupy i

mam już wygłosić jakiś krytyczny komentarz wobec siebie, gdy Simon pyta:

– A przy okazji jak wypadł twój wyjazd z Lutherem

Carsonem?

Spoglądam na niego, a kiedy widzę jego minę, wiem, że to

on stoi za wysłaniem tego maila. Wściekam się, a mój język działa szybciej niż głowa – trochę tak jak w przypadku mojej rozmowy z Lutherem.

– Wiesz – słyszę własny głos – ale masz tupet, zadając mi to pytanie. Wiem, że napisałeś ten mail i że z jego powodu zostałam zwolniona. Nie wystarczyło ci, że sposób, w jaki ze mną zerwałeś, był okropny, tchórzliwy i pokazał, że brak ci jaj – oczy Emilii przypominają spodki. – Teraz jeszcze sprawiłeś, że straciłam pracę.

Gratuluje. Ale masz farta – zwracam się do dziewczyny.

Zdziwienie na twarzy Emilii ustępuje miejsca przerażeniu.

Patrzy na Simona i czeka na wskazówki. On wygląda na nieco zawstydzonego.

– Na zdrowie – dodaje, wymijając ich ciężkim krokiem.

Gdy wychodzę ze sklepu, moje serce nadal mocno bije, tak

bardzo jestem zszokowana tym spotkaniem. Dlaczego musiałam natknąć się na niego w mieście, które ma siedem milionów

mieszkańców? I co ja w ogóle w nim widziałam? Jest okropny.

Męczył mnie i spytał, czy spędzam wieczór w domu. Wystarczyło spojrzeć na moje żalosne zakupy, żeby być tego całkowicie

pewnym. Generalnie w mojej sytuacji nie powinnam się tym

przejmować, ale żałuję, że widzieli, co kupiłam. Dlaczego nie kupowałam, nie wiem, litra śmietany i całego wędzonego łososia?

Albo butelki wódki i sześciu limonek? Teraz prawdopodobnie się z tego śmieją. Nie wiem, czy to, że romans Simona z Claudine, który częściowo przyczynił się do mojego zwolnienia, nie przetrwał, martwi mnie, czy poprawia mi humor.

Docieram do domu. Gdy wchodzę do środka i kładę moje

smutne przekąski na stole, zaczynam się nagle zastanawiać, co ja właściwie robię. Co z tego, że zostałam zwolniona i mam złamane serce? Życie toczy się dalej. Jest piątkowy wieczór. Nawet Simon oderwał się od rujnowania ludziom życia i spotyka się ze

znajomymi. Poppy staje twarzą w twarz z własnymi demonami.

Moja przyjaciółka Poppy, która była dla mnie aniołem. To

powinien być najlepszy okres mojego życia, więc dlaczego siedzę w domu z mrożoną pizzą?

Chowam pizzę do zamrażalnika, zostawiam wino i cukierki

dla Ciary i Martina i dzwonię do Poppy. Na szczęście jest jeszcze w domu.

– Poppy, jadę. Możesz wysłać mi SMS z adresem?



Rozdział 35

Pięćdziesiąt pięć minut później stoimy z Poppy przed

wejściem do magazynu przy Commercial Street, gdzie trwa wielki wernisaż wystawy „Ta suka mnie skrzywdziła”. Poppy nie

zartowała, gdy mówiła, że przyjdzie w przebraniu. Ma długą blond perukę, włożyła ołówkową spódnicę i zwykłą białą koszulę oraz sznur pereł, a do tego wielkie okulary w stylu superniani. To całkiem efektowne przebranie – nawet ja na początku jej nie poznałam. Ja też wyglądam nieco inaczej. Mam na sobie niebieską sukienkę z paciorkami, do tego kozaki, czarne rajstopy i kurtkę.

Włosy spięłam w niedbały kok na czubku głowy, usta podkreśliłam odrobiną czerwonej szminki, a rzęsy dużą ilością czarnego tuszu.

– Jesteś na to gotowa? – pytam.

– Słuchaj, ja wiem o wszystkim, co tam będzie. Pytanie

brzmi: czy ty jesteś na to gotowa? – zsuwa okulary i ponownie mi się przygląda. – O rany. Niech ci się przyjrzę. Ale z ciebie laska!

– Ach, to ubrania, które kupiłam na Sycylii. No dalej,

chodźmy.

Zapomniałam o tym, jak bardzo modni są londyńczycy. To

zadziwiający. Gdy wchodzimy po metalowych schodach,

zauważam ludzi w niesamowitych stylizacjach: sukienki vintage zestawione z futrami i kapeluszami, kombinezony z butami na koturnie, koszulki i tweedowe marynarki ozdobione cekinami, piórami, agrafkami i Bóg wie, czym jeszcze. Poppy, w stroju seksownej sekretarki, bardzo się na tym tle wyróżnia. Mam

nadzieję, że nikt jej nie rozpozna.

Wpisujemy się do księgi gości – Poppy podpisuje się

„Cruella de Vil” – po czym udajemy się do pierwszej sali. To duża, biała przestrzeń. Na jednej ścianie

wyświetlane są w ogromnym powiększeniu slajdy przedstawiające brzdąca w różowym sweterku

– to Poppy. Wygląda uroczo; ma włosy zaplecione w warkoczyki i bezzębny uśmiech. Na drugiej ścianie wyświetla się wielka mapa Jamajki, a na podłodze rozrzucone są różne zabawki: zestaw Lego i Meccano po jednej stronie, My Little Pony po drugiej. Obok kucyka jest nieduże, potargane zdjęcie w taniej ramce, przedstawiające małego chłopca. Sądzę, że to Crispin.

– Jak na razie jest dziwnie – mamrocze Poppy, gdy

wchodzimy do drugiej sali.

Jest jeszcze większa. Na jednej ścianie powieszono pamiątki, bilety, paragony, a drugą pokrywają ogromne szkice i obrazy przedstawiające Poppy. Niektóre z nich są całkiem niezłe. Nagle z głośników słychać głos: „Cześć, kochanie, chciałam ci tylko powiedzieć, że... tęsknię za tobą. Ściskam. Paaaa! ”. To głos Poppy. Po chwili znów słychać: „Cześć, kochanie, chciałam ci tylko powiedzieć...”. Nagranie jest powtarzane przez chwilę, później zapada cisza.

– O mój Boże – mówi Poppy.

– Wszystko w porządku?

– Nie jestem pewna.

Patrzemy na ścianę z pamiątkami. Mnóstwo tu różnych

rzeczy: bilety na wystawy i koncerty, kartki, papier do pakowania prezentów, papierowe serwetki, na których coś nagryzmołono albo zostawiono wiadomość, rachunki za jedzenie w tanich

kawiarniach, bilety kolejowe i do kina, programy i ulotki. Jest też bardzo dużo zdjęć, głównie Crispina, to znaczy Crippa i Poppy. Na niektórych z nich wygląda na naprawdę szczęśliwą.

– Patrz, to Crippa – syczy Poppy.

Spoglądam w tamtą stronę. To faktycznie jej były chłopak,

ubrany w czerwoną flanelową koszulę w kratę, czarne dżinsowe rurki i martensy za kostkę. Nosi okulary w grubych czarnych oprawkach, a włosy nad czołem ma zwinięte w wielkiego loka.

Otoczony jest wianuszkiem wielbicieli, składającym się głównie z dziewczyn. Chyba nie zauważył Poppy.

– Uciekam stąd do sali obok – informuje mnie moja

przyjaciółka teatralnym szeptem. – Idziesz ze mną?

– Idź, dołączę do ciebie za moment.

Choć wystawa ma okropny tytuł, jest moim zdaniem dość

interesująca. Rzucam okiem na program wypełniony ględzeniem o tym, jak to Crippa „utrwała własne reakcje na emocjonalne wstrząsy poprzez różne odnalezione przedmioty”. W dziwny

sposób niemal odczuwam zazdrość: nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by któryś z moich byłych chłopaków zachował zużytą papierową serwetkę, nie mówiąc już o wypełnieniu całej ściany takimi pamiątkami.

Przyglądam się portretowi Poppy, na którym ma na sobie

czerwoną sukienkę i stoi na zielonej powierzchni. Ziemia pod jej stopami pokryta jest setkami małych czerwonych kwiatków.

Nachylam się, by je lepiej obejrzeć. Oczywiście to maki (ang.

poppy). Nigdzie indziej nie zauważam jej imienia.

Gdy się prostuję, ni z tego, ni z owego uderza mnie myśl, że Sam był dla mnie bardzo niesprawiedliwy. Okej, miałam zamiar opowiedzieć Olivii o skandalu związanym z Lutherem, ale tego nie zrobiłam. To wielka różnica. Sam nie dał mi nawet szansy, żeby się wytłumaczyć. Szybko mnie osądził, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że nadal był związany z Marisą. Ciekawe, czy wie, że zostałam zwolniona. Prawdopodobnie nie, skoro i tak teraz

kontaktuje się z Olivią. Ale bagno.

Podchodzę do Poppy, która rozmawia z dziewczyną w

sukience w stylu lat czterdziestych. Ma na głowie stroik z piór wyglądający, jakby przypięła sobie całego bażanta. Później dostrzegam, że to kapelusz.

– To Melissa – mówi Poppy. – Melisso, to Alice, koleżanka z pracy.

Melissa ma ogromne oczy i sztuczne rzęsy, którymi energicznie mruga.

– Ach, tak. Jakimi książkami się zajmujesz?

– Literatura faktu – nie mam zamiaru mówić jej, że właśnie zostałam zwolniona.

– Alice niedawno skończyła pracę nad książką Luthera

Carsona! – wykrzykuje Poppy.

– Wow! Jaki on jest? – pyta Melissa.

Dobre pytanie: jaki on jest.

– Świetny. Można się z nim dobrze bawić i jest bardzo

bezpośredni.

Tak będę określać Luthera. Nigdy nikomu nie powiem o tym, co naprawdę się wydarzyło. No i to w końcu jest prawda. Był świetny.

Przepraszam je i odchodzę do ostatniej sali wystawowej. To dopiero coś. Wszystkie cztery ściany w całości oklejono kartkami papieru, które całe są zagryzmołone zamaszystym charakterem pisma, czasem szkicami. Wszędzie widnieją też przyklejone

suszone kwiatki – maki.

Parę metrów ode mnie widzę wysoką kobietę z długimi

ciemnymi włosami, która też przygląda się ścianie. Kobieta wygląda znajomo. Później rozpoznaję ją: to Caroline Brady.

Widziałam jej zdjęcie w prasie branżowej. Jest Irlandką i wcześniej pracowała jako redaktor w wydawnictwie literackim, a jakiś czas temu z dwiema innymi osobami założyła nową agencję. Niedawno przeczytałam debiutancką książkę jednego z ich autorów – była znakomita.

Wiem, co w takiej sytuacji zrobiłaby Claudine. Pamiętam,

jak w lecie na premierze książki krążyła między gośćmi jak szalona. Natychmiast by tam podskoczyła, wcisnęła tej kobiecie swoją wizytówkę albo nawet zaproponowała wspólny lunch. Ja nigdy nie byłabym w stanie tego zrobić.

Ale wewnętrzny głos podpowiada mi po cichu: „I mo- że

właśnie dlatego Claudine dostała awans, a ty zostałeś zwolniona”.

Gdy tam stoję, myślę, nie po raz pierwszy zresztą, że moje problemy – z Samem, pracą, wszystkim – wynikają z mojego

szaleńczego braku pewności siebie. To śmieszne: mogę stracić nad sobą panowanie i ochrzanić Luthera czy Simona, ale nie umiem porozmawiać z kobietą stojącą w drugim końcu sali. Dlaczego jestem taką szarą myszką? Dlaczego nie mogę po prostu do niej podejść i się przedstawić? Co takiego straszego może się stać?

Mogę zrobić z siebie idiotkę, a ona może mnie zlekceważyć. Nie umrę od tego, nieprawdaż?

Ale później uznaję, że lepiej tego nie robić. To byłoby

narzucanie się. Prawdopodobnie przyszła tutaj, żeby odpocząć, a nie, żeby męczyli ją bezrobotni. I co miałabym powiedzieć:

„Cześć, wiem, kim pani jest”? A... jeśli słyszała, że zostałam zwolniona. Jak to wyjaśnię? Gdy tak

dyskutuję sama z sobą, Caroline spogląda na zegarek i obraca się, jakby zbierała się do wyjścia.

To znak. Muszę to zrobić. Będę udawać, że jestem Claudine.

Nie, nie zrobię tego. Będę udawać, że jestem bardziej pewna siebie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zrobiłam rzeczy o wiele trudniejsze niż to. Podchodzę do niej, zanim zmienię zdanie.

– Przepraszam – mówię – czy pani jest Caroline Brady?

Uśmiecha się.

– Tak, to ja. A pani?

– Jestem Alice Roberts – podaję jej rękę. – Do zeszłego tygodnia pracowałam w Paragonie. Byłam zachwycona tą irlandzką powieścią, którą pani niedawno sprzedała.

– Dziękuję – odpowiada Caroline z widocznym zadowoleniem. Przez chwilę rozmawiamy o książce. Później pyta z ciekawością:

– A czym się zajmowałaś w Paragonie?

Mogłabym to ostrożnie rozegrać i nie wspominać o Lutherze, na wypadek gdyby słyszała, co się stało. Ale jaki sens ma ostrożne rozgrywanie?

– Pracowałam nad książką Luthera Carsona.

Unosi brwi. Zrobiłam na niej wrażenie i oddycham z ulgą, bo tylko to mogę wyczytać z jej twarzy.

– Naprawdę? To gruba ryba. Co pani sądzi o pracy nad książką?

Normalnie powiedziałabym coś bardzo krytycznego wobec siebie albo wspomniała, że było to okropne i trudne. A później myślę o Claudine. Ona nigdy by tego nie zrobiła, sprzedałaby się najlepiej, jak umiała.

– To było wyzwanie. Ale jestem zadowolona z rezultatów.

Naprawdę się odsłonił, a prasa świetnie na to zareagowała.

– Gratuluję – mówi Caroline – A co cię tutaj sprowadza?

– Znam... yhm... byłą. To znaczy temat wystawy.

– Aha, rozumiem. Ja jestem rodziną ze strony pana młodego, że tak powiem. Crispin to kuzyn mojego

męża. Ale daleki.

Oto kolejny dowód, że Crippa ukrywa fakt, że pochodzi z

wyższych sfer. Tylko takie elity wiedzą, kto jest ich dalekim kuzynem, nie wspominając już o zapraszaniu ich na wernisaże.

– A co sądzisz o wystawie?

– Podoba mi się. Prowokuje do myślenia. Ale zakładam, że tytuł jest jednak ironiczny.

Uśmiecha się.

– Miejmy taką nadzieję. Zarezerwowaliśmy stół w restauracji, więc muszę już iść. Ale proszę, oto moja wizytówka.

Jeśli interesuje cię, czym się zajmujemy w agencji, powinnaś się do nas odezwać.

– Dziękuję bardzo, na pewno to zrobię – odpowiadam zachwycona. Caroline żegna się, a ja uradowana śledzę ją wzrokiem. Być może nic z tego nie będzie, ale to krok we właściwym kierunku. Była taka miła! Nie mogę uwierzyć, że nawet nie zapytała, dlaczego odeszłam z Paragonu.

– Cześć – Poppy pojawia się obok mnie. – Co porabiałaś?

– Oglądałam resztę wystawy i nawiązywałam nowe kontakty

– pokazuję jej wizytówkę Caroline.

– Tak trzymać, mała! No proszę, zabawiasz towarzystwo –

rozgląda się. – Chyba już dość widziałam i udało mi się nawet przywitać z Crippa. Możemy się już zwijać?

– Oczywiście – nie chcę pytać, co sądzi o wystawie. Bez

względu na to, jak bardzo musi jej to schlebiać, wyobrażam sobie, że w rażący sposób narusza jej prywatność.

Na całe szczęście Poppy wybucha śmiechem, gdy tylko

wychodzimy z budynku i ruszamy w stronę najbliższego pubu.

– Boże, to było tak surrealistyczne, że muszę się napić –

mówi. – Nie mogę uwierzyć, że poszliśmy na wernisaż, na którym nie było nawet butelki wina. Crippa jest takim skąpcem – Poppy obejmuje mnie. – Ale dzięki, że przyszedłeś tu ze mną. Jesteś boska.

Mam coś dla ciebie!

Poppy grzebie w torbie i coś z niej wyciąga. Spodziewam się kolejnego zaproszenia na wystawę, ale tym razem to wizytówka.

Biorę ją do ręki, nic nie rozumiejąc. To wizytówka Sama.

– Yhm, Poppy... skąd ją wzięłaś?

– Zwinęłam z biurka Olivii, gdy była na lunchu. Wiem,

wiem. Odłożę ją na miejsce w poniedziałek. Ale powiedziałaś, że nie masz jego adresu mailowego. A teraz już masz! Naprawdę, Alice, gdybyś tylko do niego napisała i wszystko wyjaśniła...

– Poppy, nie mam zamiaru się z nim kontaktować.

Przyjaciółka wygląda na zbitą z tropu.

– Ale dlaczego nie? Co masz do stracenia?

Potrząsam głową. Nie potrafię wyjaśnić tego, że nawet tak

drobny gest, jak trzymanie wizytówki Sama, sprawił, że wróciły wszystkie bolesne emocje. Nie chcę do niego dzwonić i znów się tak czuć. Nie chcę być dziewczyną z Londynu, której nienawidzi, albo – jeśli mi uwierzy – dziewczyną, której mu żal, która się w nim podkochiwała i wyleciała z pracy. I nie chcę być zaproszona na jego ślub z Marisą.

– Słuchaj. Doceniam to, naprawdę, ale to nie ma sensu –

oddaję jej wizytówkę. – A teraz chodźmy na drinka i zapomnijmy o wszystkich tych okropnych mężczyznach.

Ruszam, ale Poppy stoi w miejscu.

– Wiesz, Alice, widziałam cię już w takiej sytuacji.

– Jakiej? – pytam ostrożnie.

– Kiedy miły facet pokazuje, że jest tobą zainteresowany,

uciekasz gdzie pieprz rośnie. Jakbyś uważała, że na niego nie zasługujesz. A taki śmieć jak Simon absorbuje całą twoją uwagę.

– To nieprawda – protestuję niepewnie.

Poppy odwraca się lekko, ściąga perukę, chowa ją do torebki i potrząsa swoimi lokami.

– Nieważne. Napijmy się. Może w Ten Bells?

W pubie rozmawiamy głównie o Crippu i wystawie. Poppy

opowiada mi też parę plotek z pracy. Mówi, że pomaga Olivii przy zadaniach, do których potrzebuje bardziej zaufanego pracownika, dopóki nie znajdą nowej asystentki. Dzięki temu miała okazję pożyczyć wizytówkę.

– Nie masz nic przeciwko temu? – pyta.

Oczywiście, że nie mam: nic mnie to nie obchodzi. Poppy nie wraca już do rozmowy o Samie. Ale gdy jadę metrem do domu, rozmyślam o tym, co powiedziała. Kiedy pojawia się miły gość, uciekasz gdzie pieprz rośnie, a śmieciowi takiemu jak Simon poświęcasz całą swoją uwagę.

Ma rację. Byłam przerażona możliwością zbliżenia się do

Sama nie tylko dlatego, że sądziłam, iż na niego nie zasługuję, lecz także z tego powodu, że był prawdziwy. W przeciwieństwie do Luthera, gdyż ten stanowił tylko fantazję, w której go ratowałam.

Pamiętam, jak spanikowałam, gdy obudziłam się obok Sama. Nie zachowywałam się tak tylko dlatego, że to, co zrobiliśmy, było nieprofesjonalne – bałam się, że gdy mnie lepiej pozna, przestane mu się podobać, tak jak to miało miejsce w przypadku Simona. I tak właśnie się stało – nie tylko z powodu nieporozumienia z opowieścią Luthera, lecz także dlatego, że byłam dla niego okropna i uciekłam przed nim. A teraz, nawet gdybym wysłała mu milion maili, jest już za późno.



Rozdział 36

Mój pierwszy pełny tydzień bez pracy jest raczej okropny.

Najgorsze jest przyznanie się rodzicom do braku pracy.

Zwlekałam, ile się dało, ale muszę to zrobić. I tak nigdy nie rozumieli, czym się zajmuję, a kiedy mówię im, że zostałam zwolniona, bo zapomniałam wstawić zapis do umowy i odesłałam autora do domu (nie wspominam o czasopiśmie), są zupełnie

wstrząśnięci i zdumieni.

– Przełączam cię na głośnik... – mówi mama. – Chcę, żeby

twój ojciec to słyszał. Graham! Posłuchaj, co przydarzyło się Alice.

Słyszę jakieś szelesty, po czym tato podchodzi do telefonu.

– Poprosiłaś siostrę o radę? – pyta po tym, jak powtarzam mu to, co wcześniej powiedziałam mamie.

– Tak, tato, ale nie chcę podejmować żadnych kroków
prawnych...

– W porządku – odpowiada. – Spróbujmy zatem rozwiązać to

w mniej formalny sposób. Może umówimy się na spotkanie z

twoją szefową – z radością przyjadę do Londynu i pójdę z tobą – i na spokojnie to przedyskutujemy?

To bardzo miłe z jego strony, ale pomyśl, żeby tato pędził do Londynu, musi zostać stłumiony w zarodku.

– Tato! Nie! To nie podstawówka! Nie możesz umówić się na

spotkanie z dyrektorką!

– Ale coś na pewno da się zrobić. To bardzo nie- wdzięczne z ich strony. Zupełnie bezzasadne. Byłaś do-
brym pracownikiem...

– Graham, ja z nią porozmawiam – słyszę w tle moją mamę.

Podchodzi do telefonu i próbuje mnie pocieszać, choć wiem, że jest bardzo zmartwiona. – Nie martw się,
kochanie. Jakoś to rozwiążemy. A do tego czasu możesz zamieszkać z nami.

I bez tego moja sytuacja jest kiepska, ale kiedy słyszę, że moi rodzice są tak zasmuceni i bezradni, czuję
się sto razy gorzej. Poza tym za każdym razem, gdy składam podanie o pracę, muszę

wyjaśniać, dlaczego odeszłam z poprzedniej firmy. Erika poradziła mi, jakich określeń używać, ale nie
brzmiały one zbyt przekonująco.

W środę nie jestem już w stanie składać normalnych aplikacji i zaczynam się przyglądać tablicom z
ogłoszeniami w poszukiwaniu takich zajęć jak opieka nad dziećmi czy wyprowadzanie psów.

Zanoszę też CV do kawiarni przy mojej ulicy, ale właściciel mówi, że szuka kelnerki z większym
doświadczeniem.

W czwartek rano budzę się zupełnie zrozpaczona. Wiem, że

powinnam się ubrać i starać o pracę, ale zamiast tego włączam telewizor i kładę się na kanapie. Jestem
tak pochłonięta

oglądaniem telewizji, że ledwo słyszę dzwonek swojego telefonu.

– Alice? Tu Alasdair White. Z Paragonu.

– Aha? – mówię, z zaskoczenia niemal upuszczając telefon.

Muszę odchrząknąć, bo dziś nie wypowiedziałam jeszcze ani

słowa. – Och, Alasdair, witaj – staram się być uprzejma, choć jestem przerażona. Po co on, do licha, dzwoni? Czy chcą mnie podać do sądu albo coś takiego?

– Czy możesz teraz rozmawiać?

– Ach... tak – mówię i wyłączam dźwięk w telewizorze.

Mam nadzieję, że jeśli usłyszał rozmowę, pomyśli, że jestem na jakimś spotkaniu.

– Alice, pewnie będzie to dla ciebie niespodzianka, ale...

przemyśleliśmy jeszcze raz naszą decyzję o rezygnacji ze

współpracy z tobą. Uważam, że postąpiliśmy pochopnie.

Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś wrócić do pracy. Nie jako asystentka – dodaje – ale jako redaktor nabywający książki.

Jestem tak zaskoczona, że dosłownie nie potrafię wydusić z siebie ani słowa, ani nawet żadnego dźwięku.

– Oczywiście zrozumiem, jeśli nie będziesz miała na to

ochoty. Gdybyś chciała, mamy też wakat redaktora w innej firmie w naszej grupie wydawniczej i jak sądzę, ta praca byłaby dla ciebie idealna. To również posada redaktora nabywającego książki, w dziale non-fiction, książki celebrytów.

– Co? – udaje mi się zapytać.

Alasdair powtarza:

– W innej firmie w naszej grupie wydawniczej jest wakat

redaktora i mogę cię rekomendować na to stanowisko. O ile

oczywiście nie chcesz wrócić do nas.

– Ale dlaczego chcecie... co sprawiło, że zmieniliście

zdanie?

Wiem, że to bardzo bezpośrednie pytanie, ale nie umiem tego ubrać w inne słowa.

– Jest kilka czynników – mówi. – Wiem, że Luther chciałby

dalej z tobą współpracować. Uważa, że bez twojej pomocy ta książka by nie powstała.

Patrzę w telewizor: Phillip Schofield śmieje się z czegoś

bezglśnie. Czy to się dzieje naprawdę? Czy Luther rzeczywiście nalegał, by przyjęto mnie z powrotem do pracy? Czuję się

równocześnie zszokowana, zadziwiona i zdumiona.

– Yhm... Alasdair, bardzo ci dziękuję, ale będę musiała to przemyśleć. To znaczy... jestem zaskoczona tą propozycją.

– Rozumiem – odpowiada. Słyszę, że jego pies zaczyna

szczekać, a Alasdair chyba wstaje. – Nie musisz się śpieszyć z decyzją, Alice. I chciałbym cię przeprosić w imieniu firmy.

Uważam, że mieliśmy uzasadnione obawy, ale zareagowaliśmy

zbyt ostro. Chcielibyśmy, żebyś do nas wróciła. Mam nadzieję, że to rozważysz.

Rozłącza się, a ja stoję z telefonem w dłoni i z otwartymi ustami i z niedowierzaniem przecieram oczy. Nie mogę w to

uwierzyć. Właściwie, to gdyby nie pies, który szczekał w tle, pomyślałabym, że to żart. Ta rozmowa była jak jeden z tych snów na jawie, w których nagle jesteś szczupła, piękna, a twój były błaga cię, byś do niego wróciła. Wydaje się, że to spełnienie moich marzeń – długo oczekiwany awans. Alice Roberts: redaktor

nabywający, non-fiction. To odpowiedź na wszystkie moje

modlitwy!

Ale... czy na pewno? Czy chciałabym tam wrócić po tym

wszystkim, co się wydarzyło? To miłe, że Alasdair mnie

przeprosił, ale co z Olivią? Co ona o tym wszystkim sądzi? Może powinnam przyjąć tę drugą pracę związaną z celebrytami.

Chociaż... sama myśl o jakiegokolwiek pracy nad książką sławnej osoby napełnia mnie przerażeniem i rozpaczą, co nie jest zbyt obiecujące. Jednak rozmowa dodała mi mnóstwo energii i nagle czuję motywację, by wysłać CV do Caroline Brady. Przez ostatnie dwa dni pisałam i poprawiałam mail do niej; teraz muszę się odważyć, by nacisnąć „wyślij”.

Gdy to zostało zrobione, wskakuję pod prysznic i ubieram

się. Przez cały ten czas zastanawiam się nad powrotem do pracy i myślę o Lutherze. Jeśli faktycznie powiedział, że chce, żebym wróciła, zachował się naprawdę miło. A może... po prostu zdali sobie sprawę, że byli niesprawiedliwi? Czy to możliwe? Nie mogę tego pojąć.

– To świetna wiadomość – cieszy się Erika, gdy przez telefon przedstawiam jej sytuację. – Na pewno dotarło do nich, że ich działanie nie było właściwe, i są przerażeni, że ich podasz do sądu.

No i teraz możesz dostać awans i siedzieć cicho albo wnieść przeciwko nim pozew o nieuzasadnione zwolnienie.

O Boże. Muszę przyznać, że żadna z tych opcji nie wydaje się szczególnie kusząca.

– Muszę to przemyśleć.

Wysłałam jeszcze jedną aplikację, po czym sprzątam

łazienkę, porządkuję swój pokój i idę do Ine Ood po ciastko.

Zjadam je, wypijam filiżankę herbaty i siadam, wpatrując się przed siebie. To śmieszne, ale teraz, gdy nie mam nic do roboty, dni mijają mi bardzo szybko: jakimś cudem jest już piąta. Mogłabym to teraz zrobić: wziąć telefon, zadzwonić do Alasdaira i powiedzieć

„tak”. Mogłabym wrócić jutro do pracy. Nie musiałabym się

martwić, za co przeżyję następny miesiąc. Właściwie to miałabym więcej pieniędzy niż kiedykolwiek wcześniej. To bardzo, bardzo kuszące, ale... ech. Nie wiem, co zrobić. Przygotowuję listę za i przeciw, gdy dzwoni telefon. To Poppy! Świetnie: to właśnie z nią chciałabym porozmawiać.

– Moje gratulacje – odzywa się tajemniczym tonem. –

Słyszałam, że złożono ci propozycję, której nie możesz odrzucić.

Albo możesz. Co o niej sądzisz?

– Nie mam pojęcia, co o niej myśleć! Opowiedz mi o

wszystkim, czy wiesz, dlaczego to zrobili?

– No cóż – mówi. – Na pewno zdali sobie sprawę, że

zachowali się głupio, gdy cię zwolnili. No i oczywiście masz oddanego wielbiciela w Los Angeles, maleńka.

– Czyli to on! Nie mogę w to uwierzyć. To takie miłe z jego strony. Wiesz, co powiedział?

– Wiem. To stało się, kiedy przesłał podziękowania.

Wychwalał cię pod niebiosa, napisał, że bez ciebie ta książka nigdy by nie powstała i że jeśli wrócisz, polecą Paragon swoim słynnym przyjaciółom i takie tam, to była największa z wszystkich

marchewek.

– Wow! – tylko tyle jestem w stanie powiedzieć. – Ale chyba było tam też coś w rodzaju kija. Co? Przywróćcie Alice do pracy albo nie będzie książki? – Nie podoba mi się, że mogę

zawdzięczać swoją pracę polityce silnej ręki.

– No cóż, nie zostało to sformułowane w ten sposób, ale tak, można się było tego domyślić – przyznaje Poppy. – Ale to

tajemnica. Cała ta sprawa jest objęta ścisłą tajemnicą. Przez przypadek wysłano ten mail do mojej wiadomości i wiem, że

miałas się o tym nigdy nie dowiedzieć. Jasno to wyraził, więc nie mów mu, że ci o tym powiedziałam, błagam.

Nie mogę w to uwierzyć. Myśl, że Luther tak bardzo się dla mnie starał, jest rozczulająca. Zwłaszcza że pewnie napotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem ze strony Sama.

– Wydaje mi się, że powiedział im, że to pomysł Luthera –

ciągnie dalej Poppy.

– Tak, wiem – odpowiadam bez zastanowienia. Po czym

dociera to do mnie. – Pomysł Luthera? Sądziłam, że to wymyślił

Luther! Kto to powiedział?

– Sam! A sądziłaś, że o kim mówię? To dzięki Samowi

odzyskałaś pracę.

– Sam? – szepczę. Podczas rozmowy chodzę w tę i z

powrotem, ale teraz muszę usiąść. – Ale... Poppy, to niemożliwe.

Sam mnie nienawidzi. Podczas ostatniego spotkania ledwo na mnie spojrział. No chyba, że teraz mi wierzy! Ale w jaki sposób dowiedział się, że zostałam zwolniona? I dlaczego tak zareagował?

Czy czuje się po prostu winny?

– Alice – przerywa mi – wiesz, że bardzo lubię z tobą

rozmawiać, ale czy nie sądzisz, że powinnaś zadawać te pytania Samowi?

Oczywiście ma rację.

– Dobrze, wyślę do niego mail.

– Zrób tak albo zadzwoń do niego do hotelu. Mam tu numer.

– Co? Jest tutaj? W Londynie?

– Tak, na premierze *Na szarym końcu*. On i Luther są w Dean Street Townhouse. Ale wkrótce będą wychodzić – impreza zaczyna się o szóstej trzydzieści.

– A kiedy lecą z powrotem do Stanów?

– Nie jestem pewna. Jutro rano. Słuchaj – szepcze – Olivia wróciła. Muszę kończyć. Powodzenia!

Loguję się do poczty i zaczynam pisać: „Drogi Samie”. Nie

wiem, co napisać dalej. Nie wierzę, że pomógł mi odzyskać pracę.

Wolałabym zrobić to sama albo, tak byłoby idealnie, w ogóle nie zostać zwolniona, ale i tak jestem bardzo wdzięczna. Chcę mu podziękować, a przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego to zrobił, skoro podczas ostatniego spotkania był dla mnie taki wredny. A ja byłam taka niesprawiedliwa w stosunku do niego?

Może, jak zasugerowała Poppy, powinnam do niego zadzwonić?

Ale co miałabym mu powiedzieć? Może powinnam napisać i

zapropnować spotkanie? Ale może nie będzie miał na nie czasu przed odlotem. Wpatruję się w moją listę za i przeciw związanych z przyjęciem pracy. Może powinnam sporządzić taki wykaz, by wybrać najlepszy sposób skontaktowania się z Samem?

Nagle coś sobie uświadamiam. Gdy zapisuję swoje za i

przeciw, piszę mail i obgryzam paznokcie, Sam jest tutaj, w Londynie, zaledwie parę kilometrów stąd, i zostanie tylko przez jedną noc. Dziś mamy prawdopodobnie jedyną szansę, by się

spotkać twarzą z twarzą i porozmawiać. Jest dwadzieścia po piątej.

Jeśli wyjdę teraz z domu, powinnam go złapać tuż przed

opuszczeniem hotelu. Dobrze, zrobię to, w przeciwnym razie zawsze będę tego żałować. Nie daję sobie czasu na zmianę zdania, nie zawracam sobie głowy przebieraniem się. Ubrana w dzinsy i koszulkę biorę torebkę i wybiegam z domu.



Oczywiście, akurat dziś jest awaria na linii Piccadilly.

Nieskończenie długo siedzimy w zatłoczonym, piekielnie gorącym pociągu na stacji Knightsbridge. Spoglądam na zegarek i myślę, że to był naprawdę głupi pomysł. Gdy wtaczamy się powoli na stację Leicester Square, jest kwadrans po szóstej. Jestem pewna, że już go nie ma w hotelu. A jeśli nawet jeszcze nie wyszedł, wyobrażam sobie, że przepycham się przez tłum i znajduję go otoczonego liczną ekipą, całkowicie pochłoniętego sprawami Luthera. Pyta mnie, co ja tam robię... Dobrze, przestanę o tym myśleć i po prostu to zrobię.

Próbuję iść na skróty przez Leicester Square, ale stoją na nim tłumy ludzi czekających na premierę filmu. Doceniam ironię tej sytuacji. Przez krótką, szaloną chwilę zastanawiam się, czy nie powinnam po prostu zostać tutaj i stojąc w tłumie, machać do Sama, ale to byłoby zbyt upokarzające. Poza tym mógłby mnie nie zauważyć. Idę więc okrężną drogą przez Lisle Street, po czym przechodzę przez Shaftesbury Avenue, gdzie niemal przejeżdża mnie riksza. W końcu docieram do hotelu czerwona, spocona i zdyszana.

– Czy mogę porozmawiać z Samem Newlandem? – pytam, z

trudem łapiąc oddech. – Zatrzymał się tutaj.

– Obawiam się, że nie mamy gościa o takim nazwisku,

proszę pani – odpowiada grzecznie ciemnowłosa recepcjonistka.

– Co? Ale on tutaj jest! Zatrzymał się razem z Lutherem

Carsonem – ściszam głos. – Znam go. Czy mogłaby mu pani po prostu powiedzieć, że tu jestem? A może już wyszedł?

– Proszę pani, bardzo mi przykro, ale chyba udzielono pani błędnych informacji. – W lustrze wiszącym za nią widzę swoje odbicie: potargane włosy, jaskrawoczerwone policzki,

wytrzeszczone oczy. Recepcjonistka pewnie myśli, że jestem szurniętą prześladowczynią albo początkującą aktorką.

Mam zamiar spróbować jeszcze raz, gdy ktoś za mną mówi:

– Alice?

To on. Jest sam i wygląda oszłamiająco przystojnie w stroju galowym. Na jego widok dosłownie czuję, że miękną mi kolana, a serce wali jak oszalałe. O Boże. Mam nadzieję, że znów nie zemdleję.

– Czy ty... szukasz Luthera? – pyta.

– Nie, szukałam ciebie. Chciałam... – milknę. Miałam

przygotowaną całą przemowę, ale teraz, kiedy stoję z nim twarzą w twarz, jestem tak zdenerwowana, że nie pamiętam z niej ani słowa. Czy powinnam mu podziękować? Zapytać go, dlaczego to zrobił? Później zauważam dwie rzeczy: po pierwsze, Sam wpatruje się we mnie, jakby nie mógł uwierzyć we własne szczęście, a po drugie, wydaje się też niesamowicie zdenerwowany.

Podchodzi bliżej.

– Możemy przez chwilę porozmawiać?

Recepcjonistka udaje, że nie słucha, ale widzę, że jest

całkowicie pochłonięta naszą wymianą zdań. Nie wiem, czego będzie dotyczyć ta rozmowa, lecz wydaje mi się, że nie chcę, żeby odbyła się tutaj ani w barze.

– Chodźmy do twojego pokoju – mówię, a recepcjonistce

oczy niemal wyskakują z orbit.

Gdy jedziemy windą, czuję się absurdalnie nieśmiała. Nie

wiem, gdzie patrzeć ani co powiedzieć. Sam też się nie odzywa.

– Przepraszam za tamto, na dole – mówi, gdy idziemy

korytarzem. – Czasem, gdy jestem z Lutherem, proszę ich, żeby mówili, że nas tu nie ma, na wypadek gdyby...

– W porządku.

Pokój Sama jest wspaniały. Ściany są pokryte żółto- -białą tapetą w paski. Stoi tu łoże z baldachimem, na które staram się nie patrzeć. Sam pokazuje, żebym usiadła w przytulnym fotelu, ale postanawiam stać. On sam opiera się o biurko, znajduje się niedaleko ode mnie.

– Dziękuję za pomoc w odzyskaniu pracy – oznajmiam

oficjalnie.

Spuszcza wzrok.

– Ach... no tak. Miałaś o tym nie wiedzieć. Skąd się

dowiedziałaś?

– To bez znaczenia. Ale i tak dziękuję.

Sam potrząsa głową i mówi szybko:

– Alice. To ja powinienem ci dziękować. I przepraszać.

Zachowałem się jak dupek. Powinienem był ci uwierzyć, gdy

próbowałaś wyjaśnić historię Luthera. Byłaś bliska utraty pracy i mogłaś się uratować, publikując ten fakt, ale postanowiłaś tego nie robić. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. To znaczy mogę

uwierzyć, bo teraz znam cię już wystarczająco dobrze. Ale nie spotkałem nikogo innego, kto by tak

postąpił. Jestem ci winien więcej, niż mógłbym ci kiedykolwiek dać. Podobnie Luther. Tak więc, proszę, nigdy mi nie dziękuj.

Wiem, że się rumienię, ale jestem zdecydowana, by wyjaśnić pewne kwestie, zanim dam się ponieść emocjom.

– Ale skąd się o tym dowiedziałeś?

– Po tym, jak wyjechałaś, nie mogłem przestać o tym myśleć.

Zastanawiałem się, czy się myliłem. Byłem zły na siebie, że pojechałem po Annabel, która, tak na marginesie, miała się dobrze i malowała paznokcie, gdy po nią przyjechałem, zamiast dać ci szansę, by wszystko wyjaśnić. Pisałem do ciebie, ale zwracało mi maile z informacją, że odeszłaś z pracy. Próbowałem znaleźć sposób, by się z tobą skontaktować, gdy przyszedł mail od twojej koleżanki... Patty?

– Poppy!

– No właśnie. Powiedziała mi, co się naprawdę stało.

Chociaż mogłem sobie oszczędzić problemów i najpierw ciebie zapytać. Słuchaj... będę całkowicie szczerzy. Było mi przykro, że tak się wycofałaś po tym wszystkim, co się między nami

wydarzyło. Pomyślałem, że chciałaś zakończyć tę znajomość po to, by ujawnić skandal z Lutherem. Bywam czasem upartym,

podejrzliwym draniem, co pewnie zdążyłaś już zauważyć. Bardzo cię przepraszam.

Wyciąga rękę, jakby chciał dotknąć mojej dłoni, ale zaraz ją cofa.

– Ale, Alice, dlaczego się wycofałaś? Jeśli chodzi po prostu o to, że tego nie czułaś, nie musisz nic mówić, a ja nie będę ci się już narzucać. Ale jeżeli coś zrobiłem... muszę o tym wiedzieć.

Serce znów wali mi jak młot. Postanawiam jednak usiąść.

Nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy. Mogłabym oczywiście

powiedzieć: „To z powodu moich głupich kompleksów”, ale

zamiast tego mówię:

– Myślałam, że coś jest między tobą a Marisą. Przez wasz

wyjazd do Rzymu.

Sam wydaje z siebie jęk.

– Wiedziałem. Dostała pracę w Rzymie, w wielkiej

wytwórni. Dlatego tam pojechaliśmy, chciałem ją komuś przedstawić. Prosiła, żebym trzymał to w tajemnicy, i tak zrobiłem.

Ale nigdy nie powinienem cię w tej sprawie okłamywać.

– Ale dlaczego tak zrobiłeś? Wiem, że nie chciała, żeby

Federico się dowiedział, ale mogłeś mi zaufać.

– Wiem, słuchaj, czasem biorę pewne rzeczy zbyt dosłownie.

Jeśli ktoś prosi, bym dochował tajemnicy, tak robię – uśmiecha się smutno. – Chyba byłem też uparty. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym czuć się winny przez moje byłe, i nie miałem pojęcia, że wiesz, że Marisa była ze mną w Rzymie. Później sobie uświadomiłem, że byłem idiotą. Właściwie to ona mi o tym

powiedziała.

– Naprawdę? Wydaje mi się, że byłam zaskoczona także

dlatego... no cóż, ona nigdy nie powiedziała mi, że ze sobą

byliście.

– Sądzę, że być może stało się tak, bo domyśliła się, że mi się podobasz, i nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Gdy to słyszę, muszę na niego spojrzeć. Słowa, które

powiedział, wiszą w powietrzu; niemal mogę je dostrzec. W

pokoju panuje taka cisza, że Sam chyba słyszy bicie mojego serca.

– Ale... co ty czujesz? – pyta.

Niepewność, którą widzę na jego twarzy, sprawia, że się

rozklejam. Wiem, że to jest ten moment, kiedy powinnam

zachować się rozsądnie i powiedzieć mu, że oczywiście, w innych okolicznościach byłoby świetnie, ale mieszkamy na różnych

kontynentach i to naprawdę niemądre... ale zamiast tego wstaję, podchodzę do niego i zanim mam szansę coś powiedzieć, Sam

bierze mnie w ramiona i całuje. To tak samo bajeczne uczucie, jak za pierwszym razem. Nie chcę, by to się kiedykolwiek skończyło.

Nawet jeśli potrwa tylko do jutra, cieszę się, że tu z nim jestem.

Jednak po chwili przypominam sobie o czymś.

– Sam, czy nie spóźnisz się na premierę? – pytam niechętnie.

– Nigdy w życiu. Nawet nie muszę tam iść. Luther ma

mnóstwo towarzystwa – całuje mnie raz jeszcze. – Wiesz,

przyjechałem do Londynu głównie po to, by spróbować się z tobą zobaczyć. Tak naprawdę to jakieś pół godziny temu wysłałem do ciebie mail z pytaniem, czy nie moglibyśmy się jutro spotkać.

– Naprawdę? – jestem bardzo podekscytowana, słysząc te słowa.

– Owszem. Tak więc nie, nie obchodzi mnie premiera.

Chyba, że chciałabyś się na nią ze mną wybrać.

Wybucham śmiechem.

– Mówisz poważnie?

– Pewnie. Dlaczego nie?

– No raczej nie jestem odpowiednio ubrana. I czy Luther nie poczułby się dziwnie, gdybym pojawiła się tam jako twoja, uhm, osoba towarzysząca? – Lepszym argumentem jest to, że nie chcę spędzić jedyne go wieczoru z Samem, oglądając film. Serce mi się kraje, gdy przypominam sobie, że dzisiejszy wieczór należy do nas, ale jutro Sam wyjeżdża.

– Możesz iść tak ubrana. Albo styliści mogliby coś dla ciebie przygotować. A co do Luthera... no cóż, nie wiem, czy to dobry moment, żeby ci o tym mówić, ale...

– Boże, Sam, o co chodzi? – nie przeżyję kolejnego szoku.

– Niedługo przestanę go reprezentować. Zaoferowano mi

pracę w agencji w Londynie. I chcę ją przyjąć.

Czeka na moją reakcję, ale jej nie widzi. Nie potrafię

zareagować. To zbyt wiele. Nie jestem w stanie w żaden sposób zdobyć się na jakikolwiek gest.

– Okej, może później o tym porozmawiamy. Nie chciałem cię

tym w ten sposób zaskoczyć. Ale co chcesz dzisiaj robić? Chcesz iść? Nie musimy. Możemy po prostu posiedzieć, wyjść na drinka, zjeść coś, cokolwiek chcesz...

Wiem, że myśli o tym samym co ja: moglibyśmy zostać tutaj

i wykorzystać jak najlepiej ten uroczy pokój hotelowy. Zamówić jedzenie... to bardzo kuszące, ale teraz, gdy wiem, że będziemy mieli więcej czasu dla siebie, sądzę, że fajnie byłoby pójść na tę premierę. W końcu mamy wiele powodów do świętowania.

– Nie, chodźmy. Jeśli jesteś pewien, że możemy. I gratuluję pracy. To świetna wiadomość! – całuję go ponownie, po czym, zanim totalnie nas poniesie, Sam dzwoni do stylisty, Rogera, który mówi, że może mi pomóc, jeśli natychmiast przyjdę do ich

apartamentu.

Czterdzieści minut później, gdy ja i Sam wysiadamy z windy, trzymając się za ręce, widzę, że recepcjonistka nie wierzy własnym oczom. Nie dziwię się jej. Nie sposób mnie rozpoznać. Mam na sobie piękną długą sukienkę z niebieskiego szyfonu od Alberty Ferretti, włosy zaczesane na bok i spięte w węzeł na karku, a moja skóra promienieje. Roger w jakiś sposób sprawił, że moje oczy wyglądają na trzy razy większe niż normalnie. Zostawiłam dzinsy i koszulkę w pokoju Sama. Żadne z nas nie powiedziało tego

głośno, ale oboje wiemy, że prawdopodobnie włożę je jutro rano, gdy będę wracała do domu.

– Pięknie wyglądasz – mówi Sam i całuje mnie w policzek.

– Dziękuję. Mogę cię przeprosić na moment, muszę wysłać

SMS?

– Jasne. Nic się nie stanie, jeśli się spóźnimy.

Wyławiam telefon z pożyczonej kopertówki Chanel i

wysyłam wiadomość do Poppy: „Idę na premierę z Samem!!!

BARDZO CI DZIĘKUJĘ xxxx”. Po czym wychodzimy z hotelu

na Dean Street, gdzie w naszych strojach wieczorowych

przyciągamy sporo spojrzeń i uśmiechów. Notuję sobie w głowie, by poprosić Sama, żeby opowiedział mi, o czym jest film, na wypadek gdyby Luther mnie o niego później zapytał. Wiem, że gdy Sam usiądzie obok mnie, nie będę w stanie się skoncentrować na niczym innym.

Epilog

Trzy tygodnie później

– I jak poszło? – pyta Sam.

– Chyba dobrze! – siadam obok niego na krześle. Jesteśmy w Polpo przy Beak Street, w barze w stylu weneckim. Sam go

uwielbia, bo podają tu Negroni i mało znany drink o nazwie Spritz all' Aperol. Też lubię to miejsce, ale

prawdę powiedziawszy, moglibyśmy siedzieć w Burger Kingu przy Tottenham Court Road i byłabym równie szczęśliwa. – Byli naprawdę sympatyczni.

Trudno powiedzieć, ale mam wrażenie, że mi dobrze poszło. No i cała ta rozmowa o tym, dlaczego już nie pracuję w Paragonie, była okej, bo teraz mogę powiedzieć, że to ja o tym zdecydowałam.

– I kiedy dadzą ci znać? – pyta Sam, nalewając mi wina. – To druga rozmowa. Już czas, żeby podjęli decyzję.

– No więc tak... Caroline powiedziała: „Oficjalnie musimy

się spotkać z jeszcze jedną osobą. Ale nieoficjalnie: kiedy możesz zacząć? ”.

– Ej! Czyli dostałaś pracę! Gratulacje! – Sam jest

zachwycony.

– Poczekam, aż otrzymam konkretną ofertę. Ale...

trzymajmy kciuki.

Sam był pierwszą osobą, której powiedziałam o rozmowie.

W weekend, który ją poprzedzał, spędził ze mną wiele godzin, omawiając techniki stosowane podczas rozmów kwalifikacyjnych, bombardując mnie pytaniami i powtarzając: „Musisz dać z siebie wszystko! No dalej! ”. Powiedziałam mu, że mnie przeraża, ale byłam wzruszona. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Simon

pomógł mi przygotować się do takiej rozmowy.

– Czyli rozumiesz, dlaczego nie chcę wracać do Paragonu? –

pytam go. – Cieszę się, że mam takie wyjście awaryjne. Ale...

– Tak, rozumiem cię całkowicie. Chcesz działać na własny rachunek i znaleźć coś, co cię ekscytuje – uśmiecha się do mnie. –

Uważam, że to wspaniałe.

Sam przeprowadził się do Londynu, żeby pracować w

siostrzanej agencji swojego poprzedniego pracodawcy z Los

Angeles. Mam wrażenie, że nie jest to tak prestiżowa praca, jak ta, którą wykonywał wcześniej, ale jednocześnie nie tak szaleńcza, i wydaje mi się, że Sam uważa ją za interesującą. Ma na sobie dzinsy, spłowiałą niebieską kurtkę ze ściągaczem w pasie i białą koszulkę. To dziwne, ale wydaje mi się, że przyjazd tutaj go odmłodził. Już nie ma na stałe przymocowanego do ucha

BlackBerry, no może niezupełnie na stałe, ale sprawia wrażenie dużo mniej zestresowanego. Nadal sporo

pracuje, ale mówi, że to nic w porównaniu z wcześniejszym zajęciem.

– No i powiedz mi – drocę się z nim – czy cieszysz się, że moje mądrości życiowe wypowiedziane przy basenie pomogły ci przemyśleć kwestię twojej kariery?

– Nie bądź zarozumiała. Nie tylko ty miałaś na to wpływ,

wiesz?

Podają nam jedzenie: do wyboru gnocchi z ragù z kaczki,

crostini z orzechami włoskimi i gorgonzolą i arancini, ryżowe kulki takie jak na Sycylii. Zajadamy się nimi z apetytem.

Sam ciągnie dalej:

– Ale miałaś rację. Gdybym dalej tak pracował, wypalił- bym się. W pewnym momencie, gdy byliśmy na Sycylii, zacząłem się zastanawiać, czy chcę spędzać cały swój czas, pilnując Luthera.

Chyba przechodziłem przedwcześ- nie kryzys wieku średniego.

Wszyscy moi dawni koledzy z pracy sądzą, że oszalałem,

właściwie to połowa z nich jest przekonana, że zostałem

zwolniony, ale w ogóle mnie to nie obchodzi. A tak przy okazji Luther się ze mną skontaktował. Będzie tu wkrótce w związku z promocją książki, więc powinniśmy się spotkać.

– Uhm – jakoś nie wydaje mi się, aby miało do tego dojść.

Luther ucieszył się z naszego spotkania na premierze, ale teraz Sam powiedział mu, że jesteśmy razem, i najwyraźniej Luther uważa, że to dziwne, co jest dla mnie całkowicie zrozumiałe.

– I wiesz co? Poznał kogoś.

– Naprawdę? – bardzo mnie to cieszy. Jestem teraz tak

zakochana, że pragnę, aby wszyscy byli szczęśliwi.

– Tak. Jest wizażystką. Spotkali się podczas kręcenia serialu.

Ma na imię Jenna i jest Kanadyjką. Z tego, co mi wiadomo, to twarda sztuka. Oczywiście w pozytywnym sensie.

– Wydaje mi się, że tego właśnie mu potrzeba.

– Zdecydowanie tak. Zawsze się bałem, że wróci do

Dominique.

W ciągu ostatnich trzech tygodni poznałam opinię Sama na

temat Dominique. Dowiedziałam się też, że jest świetnym

kucharzem – nauczył się gotować we Włoszech – i że nie znosi kupować ubrań. Jest pedantem, ale nie przeszkadza mu moje

bałaganiarstwo, a on i jego brat są fanatycznymi kibicami drużyny Utes i że zaczyna się właśnie sezon, więc Sam nauczył mnie słów tandetnej piosenki zagrzewającej drużynę do walki. Moje

kartonowe kwadraty nie przeszkadzają mu w najmniejszym

stopniu – jeśli mam być szczerą, to za każdym razem, gdy

przychodzi do mojego pokoju, nie mamy czasu na to, by je

zauważyć. Chce pojechać do Devon posurfować, do Wenecji i

setki innych miejsc i wydaje mi się, że istnieje zagrożenie, że zostanie zwerbowany do drużyny tag rugby Mike’a.

Uświadomiłam sobie, że Sam gorączkowo pragnie wypełnić

pustkę, którą wcześniej zajmowała praca, ale rozumiem to. Poza tym nie jest jedyną osobą, która ma hobby. Wreszcie postanowiłam zacząć chodzić na lekcje tańca.

– A skoro jesteśmy przy Lutherze... zobacz – Sam wyjmuje

egzemplarz recenzyjny książki Luthera, prosto z drukarni. Przez chwilę zachwycamy się nią, jakbyśmy byli dumnymi, świeżo

upieczonymi rodzicami, po czym Sam mówi:

– Podziękowania są na końcu. Powinnaś je przeczytać.

Przerzucam kartki na sam koniec książki i czytam głośno:

– Chcę podziękować mojemu agentowi, Samowi

Newlandowi, który poświęcił mi dziewiętnaście i pół z najlepszych miesięcy swojego życia: Sam, mam nadzieję, że było warto.

– Dzięki – mówi Sam bez emocji. Przeglądam pozostałe

nazwiska – to miłe, podziękował Brianowi – aż docieram do

swojego: „Chcę także złożyć podziękowania mojej redaktorce, Alice Roberts, która uwierzyła we mnie nawet wtedy, gdy leciałem sobie w kulki. Naprawdę, Alice, bez ciebie pewnie nie napisałbym tej książki”.

– Wow, nie wiedziałam, że Luther jest taki elokwentny.

Zdawałeś sobie z tego sprawę?

– Być może ktoś mu trochę pomógł – więcej nie chce

powiedzieć.

Po kolacji idziemy na spacer w kierunku rzeki. Mam na sobie letnią sukienkę – tę pistacjową, którą dostałam od Marisy – a w powietrzu czuć świeżość, której nie było tam nawet tydzień temu o tej porze.

– Nie mogę uwierzyć, że to już wrzesień – mówię.

– Wiem. Słyszałem, że jesień jest doskonałą porą na

zwiedzanie Paryża. Co o tym myślisz? Oczywiście zależy to od tego, kiedy zaczniesz nową pracę – dodaje.

– Jeśli ją zacznę.

– Kiedy ją zaczniesz.

Gdy Sam bierze mnie za rękę, próbuję policzyć, ile razy się widzieliśmy od czasu jego przyjazdu do Londynu, i zdaję sobie sprawę, że straciłam rachubę. Bycie z nim nie przypomina niczego, czego wcześniej doświadczyłam. Kiedy wracam myślami do mojej znajomości z Simonem, trudno mi uwierzyć, że się na to godziłam.

Co ja takiego widziałam w kimś, kogo tak mało obchodziłam?

Życie z pewnością może człowieka zaskoczyć. Pamiętam, jak

w czasie podróży do Włoch miałam szalone marzenia o romansie z Lutherem i awansie. Nic takiego się nie zdarzyło. To, co dostałam w zamian, jest tysiąc razy lepsze. Nie wiem, co się wydarzy w przyszłości między mną a Samem. Nie wiem, jak długo zostanie w Londynie: rok? może dwa? Może wróci do Ameryki, a ja

przeprowadzę się razem z nim albo zdarzy się jeszcze coś innego.

Kto wie? Wiem tylko tyle, że teraz się uśmiecham, i mam

wrażenie, że w przyszłości będę się uśmiechać jeszcze częściej.

KONIEC :)

Podziękowania

Kiedy pisałam tę książkę, pomogło mi wiele osób –

wspierając mnie na duchu, udzielając praktycznych informacji albo czytając napisany tekst. Mam

nadzieję, że nikogo nie pominęłam.

•

Dziękuję wszystkim przyjaciółom, którzy przeczytali wczesne wersje powieści: Gráinne Brett, Síofrze O'Donovan, Amber Burlinson, Clare Thomas, Hannah Knowles, Natashy Laws, Danieli Buckley, Hilary Attenborough i mojemu bratu Barry'emu za ten heroiczny wyczyn. W szczególności pragnę podziękować Friedzie Klotz, mojej pierwszej czytelniczce, za przenikliwe i pełne zachęty komentarze, jakich mi udzielała od pierwszego dnia, a bez których pewnie nie ukończyłabym książki. Podziękowania składam mojej szwagierce Santinie Doherty za pokazanie mi Sycylii i Anne O'Mahony za nieowijanie w bawełnę i wnikliwe komentarze.

Skorzystałam także z rad Julie Cohen za pośrednictwem jej fantastycznego bloga, którego powinien czytać każdy początkujący autor. Dziękuję Olafowi Gonzálesowi Schneeweissowi, Danieli Buckley, Helen Berger i MF za informacje na temat europejskiego i amerykańskiego przemysłu filmowego, a także Markowi

Dysonowi. Za informacje na temat Utah, mormonów i

rekomendacje kawiarni w Los Angeles jestem wdzięczna

Jaremeyowi McMullinowi, za teoretyczne porady prawne –

Noelowi Dilworthowi, Lucy Miles i Ronanowi McCrea. Wszelkie błędy są moją winą. Podziękowania należą się też pracownikom Alimentari i The Salusbury Deli w Queen's Park, którzy mnie nakarmili, napoili i wyciągnęli z domu.

Dziękuję Rowanowi Lawtonowi i Juliet Mushens z PFD za

genialne redakcyjne uwagi, wsparcie i makaroniki, Sherise Hobbs za wspaniałe poprawki, które znacznie ulepszyły książkę, a Imogen Taylor i Lucy Foley za przyjęcie mnie z powrotem na Euston Road

– Imogen jestem wdzięczna także za wymyślenie tytułu! Za wysłanie Alice za granicę podziękowania należą się Rachel Mills i Alexandrze Cliff, za wczesne i bezcenne wsparcie dziękuję Anne Louise Fisher, Joy Terekiev w Mondadori i Nicoli Bartels w Blanvalet.

Dziękuję moim cudownym dawnym i obecnym kolegom w

Hodder i The Folio Society. Wreszcie chciałabym podziękować rodzicom, którzy wspierali mnie we wszystkich moich decyzjach i nie protestowali, gdy przyjeżdżałam ich odwiedzić, po czym zamykałam się w pokoju, by pisać. I Aleksowi za to, że trzymał

mnie za rękę (nie w dosłownym sensie oczywiście), gdy wysyłałam maszynopis do wydawnictw i wprowadzałam poprawki, no i oczywiście za to, że ze mną świętował.

Document Outline

- [Rozdział 1](#)
- [Rozdział 2](#)
- [Rozdział 3](#)
- [Rozdział 4](#)
- [Rozdział 5](#)
- [Rozdział 6](#)
- [Rozdział 7](#)
- [Rozdział 8](#)
- [Rozdział 9](#)
- [Rozdział 10](#)
- [Rozdział 11](#)
- [Rozdział 12](#)
- [Rozdział 13](#)
- [Rozdział 14](#)
- [Rozdział 15](#)
- [Rozdział 16](#)
- [Rozdział 17](#)
- [Rozdział 18](#)
- [Rozdział 19](#)
- [Rozdział 20](#)
- [Rozdział 21](#)
- [Rozdział 22](#)
- [Rozdział 23](#)
- [Rozdział 24](#)
- [Rozdział 25](#)
- [Rozdział 26](#)
- [Rozdział 27](#)
- [Rozdział 28](#)
- [Rozdział 29](#)
- [Rozdział 30](#)
- [Rozdział 31](#)
- [Rozdział 32](#)
- [Rozdział 33](#)
- [Rozdział 34](#)
- [Rozdział 35](#)
- [Rozdział 36](#)
- [Rozdział 37](#)
- [Epilog](#)
 - [Trzy tygodnie później](#)
- [Podziękowania](#)

Table of Contents

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)
[Rozdział 26](#)
[Rozdział 27](#)
[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Epilog](#)
[Podziękowania](#)